

Świadełstwo bohaterstwa sióstr Podgórskich, które podczas wojny ukrywały w Przemyślu trzynaścioro Żydów.
Powieść o nadziei i miłości.



ŚWIATŁO UKRYTE W MROKU

SHARON CAMERON



SHARON CAMERON

ŚWIATŁO
UKRYTE
W MROKU

PRZEŁOŻYŁA
Urszula Gardner





Choć inspirowana prawdziwymi wydarzeniami i rzeczywistymi osobami, niniejsza książka jest powieścią historyczną. Autorka dołożyła starań, by dochować wierności faktom, także tym dotyczącym ludzi i miejsc, ale niektóre elementy są wytworem jej wyobraźni. Część imion i nazwisk zmieniono dla ochrony prywatności przedstawionych na kartach osób.



*Dla Heleny, Małgosi, Eda,
Lori i Mii*

PAMIEĆCI

*Izaaka, Lei, Chaima, Izydora oraz Ernestyny Diamant,
jak również wszystkich przemyskich Żydów i Polaków,
który postradali życie na ołtarzu nienawiści*

1

PRZEMYŚL, LISTOPAD 1942

Ktoś tam jest. W mroku.

Otwieram oczy.

Mrok jak zwykle przypomina pustą kartkę. Czuję woń kapusty gotowanej przez Emilkę dwa piętra niżej. Czuję tchnienie swojej młodszej siostry tuż obok. Mrok się zmienia. Pojawia się w nim echo dźwięku, który przegapiłam.

Ktoś tu jest!

Rozbudzam się do reszty.

Odchylam koc, zamieram, nasłuchując, po czym stawiam stopy na podłodze. Jęk sprężyn brzmi w moich uszach jak wystrzał. Młodsza siostra wzdycha przez sen, ale nie porusza się.

Intruz – jeśli faktycznie jest jakiś intruz – znajduje się poza tym pomieszczeniem.

Boso przemykam po nagich deskach do okna i palcem odsuwam brzeg dywanika, który przybiłam gwoździem do ram. Oślepia mnie blask ulicznych latarni, w jego snopach wirują zmrożone płatki śniegu przypominające drobiny kurzu. Ale droga przed budynkiem jest pusta. Naprzeciw widzę szereg martwych okien, zabitych dywanami, zasłonami, ubraniami. Tak jak moje.

W Przemyśle światło to coś na podobieństwo reklamy łakoci. Tylko ktoś bardzo niemądry zamieściłby znak wskazujący na miejsce ukrycia słodkości.

Puszczam dywanik i zbliżam się do drzwi; przyciskam ucho do drewna, po czym dopiero przekręcam klucz w zamku. Pusty korytarz prowadzi do pustych pokoi. Tak, jak powinien. Wszystko jest tak, jak powinno być.

Wtem ciszę rozdziera hałas. Głośniejszy od wystrzału. W piersi eksploduje mi granat strachu. Nagle pojmuję, jakież to dźwięk przeoczyłam.

Ktoś puka do drzwi frontowych.

Wiedzą. Wiedzą. Wiedzą.

To jedno słowo rozbrzmiewa mi w głowie rytmem szalonego pulsu.

Kolejny jęk sprężyn i młodsza siostra staje za moimi plecami. Milczy. Ma już sześć lat i wie, że to nie pora na zadawanie pytań. Pukanie się powtarza, tym razem natarczywiej, a po nim dolatuje mnie szept:

– Stefania?

To podstęp. Gestapowcy chcą, żebym ufnie otworzyła drzwi. Dzięki temu nie będą musieli ich wyważyć i ładne, nieskazitelne mieszkanie trafi w ręce jakiegoś miłego niemieckiego oficera i jego prawomyślnej żony o czystych włosach i w pończochach bez jednego oczka.

W takim wypadku rozstrzelają nas na zewnątrz, jak pana Schwarzera.

Szept rozlega się ponownie.

– Fusia, otwórz drzwi!

Nikt spoza kręgu najbliższych tak mnie nie nazywa; gestapowcy z pewnością nie znają tego zdrobnienia.

Biegnę ku drzwiom z wyciągniętymi przed siebie rękoma, manipuluję przy świeżo naprawionym zamku. W głębi ducha wiem, że to nie on. *To nie może być on.* Ale i tak mocuję się z kluczem, przekręcam go i rozpościeram drzwi na oścież. Z Heleny uchodzi powietrze. A może to ja wydałam głośne sapnięcie? Ponieważ w blasku gołej żarówki widzę, że to nie on. Nie ten, w którego pojawienie się nie wierzyłam od samego początku.

– Maks!...

2

1936

Zanim trafiłam do Przemyśla, w moim życiu pełno było kur. I koni. Czystego powietrza, drzew i rozległych kremowo-zielonych pól, które otulały wzgórza niczym patchworkowa narzuta. Wiosną i jesienią biegałam do szkoły krętymi drózkami, a zimą, gdy śnieg był zbyt głęboki, zajadałam żur z chlebem w naszej parnej kuchni. Co niedziela zaś, przez okrągły rok bez względu na pogodę, udawałam się na mszę do kościoła w Birczy, upakowana razem z siedmiorgiem rodzeństwa na furmance.

Miałam idealne dzieciństwo, którego szczerze nienawidziłam.

Chlew cuchnął, tak samo jak wychodek, śmieciowisko i parobkowie orzący w upale. Kupy łajna czyhały w trawie, żeby zapaskudzić mi buty. Mama miała wiecznie zaczerwienione dłonie – od prania na tarze bądź szorowania ich przed każdym porodem, jaki przyjmowała. Najbardziej ze wszystkiego nienawidziłam działającego mi na nerwy, nigdy się niekończącego gdakania kur. Ko-ko-kooo... ko-ko-koo... One chyba

w ogóle nie spały. Oczywiście z wyjątkiem koguta, który miał nie po kolei w głowie i piał do księżyca zamiast do wstającego słońca.

Dlatego nie przeszkadzało mi skubanie ptactwa.

Pierwszą próbę ucieczki ze wsi podjęłam w wieku lat jedenastu. Mama zabrała mnie do miasta na wozie poczciarza z myślą o złożeniu wizyty swoim dwóm najstarszym córkom, które zdążyły się wyprowadzić z domu rodzinnego i podjęły pracę w Przemyślu. Miał to być prezent z okazji zbliżającej się Wielkanocy i moich urodzin. Urodziny całej naszej ósemki przypadały bowiem w Wielki Tydzień, a przynajmniej wtedy je obchodziliśmy. Mama nie zawracała sobie głowy zapamiętywaniem, kiedy które z nas pojawiło się na świecie. Tak samo było z naszymi imionami. Na mnie na przykład nigdy nie mówiła „Stefania”. Tylko Stefi, Stefuśka, Stefusia albo – najczęściej – Fusia.

Gdybym sama miała ośmioro dzieci, pewnie też nie pamiętałabym imion ich wszystkich.

Kiedyśmy dojechały do rogatek Przemyśla, mama zapłaciła poczciarzowi i ujęła mnie za rękę. Skóra na jej dłoni była szorstka, nieprzyjemna w dotyku. Mama dobrze się mną opiekowała, na ogół, tak samo jak tata, gdy jeszcze żył. Oboje dobrze opiekowali się nami wszystkimi, ja jednak nie chciałam, by mnie prowadziła jak małe dziecko.

Obecnie zdarza mi się tęsknić za dotykiem jej chropawych dłoni.

Przez całą drogę w głąb miasta to się szarpałam, to wyrywałam, aż w końcu wstyd całkiem mnie opuścił. Mijały nas turkocące po kocich łbach wozy, na podobieństwo owiec beczwały klaksony aut. Przejechała lokomotywa z piskiem wypuszczająca parę z komina i ciągnąca za sobą wagony. Pospołu z okrzykami gospodyń wiejskich, które na ryneczku obwieszczały ceny swoich towarów, wszystko to, znacznie miłsze dla ucha niż gdakanie, jawiło mi się orkiestrą dętą, symfonią zgoła.

Najpierw zrobiliśmy zakupy na straganach i w sklepikach ze szklanymi witrynami. Sukienka dla mamy, trzewiki dla mnie i czepek dla malutkiej Heleny. Popieściłam palcami czerwone jedwabne wstążki, oczyma zaś sreberko, w które zawinięta była czekolada. Starsze siostry podjęły nas elegancko, podając na obiad mięso z puszki zamiast od rzeźnika, na stole nakrytym czystym obrusem, w mieszkanku, które zajmowały wspólnie trzy kondygnacje nad ziemią. Mama dostała zadyszki, zanim się tam wdrapała, ale ja byłam gotowa zbiec po schodach na dół, żeby tylko móc zacząć się wspinać ponownie.

Mama i siostry popijały herbatę, podczas gdy ja siedziałam z nosem przyciśniętym do szyby i chłonełam widoki miejskiej ulicy. Kiedy nadszedł czas powrotu, rozplakałam się. Błagałam. Tupałam nogą. Groźbą i prośbą starałam się doprowadzić do tego, by zostawiono mnie w Przemyślu. Zapewniałam, że swoją obecnością nie sprawię siostronom kłopotu. Tyle że kłopoty to było moje drugie imię. Koniec końców mama wyciągnęła mnie z mieszkania siłą.

Nawiedziłam Przemyśl ponownie dopiero po półtora roku. Miałam wówczas prawie trzynaście lat. Byłam starsza i mądrzejsza. Pączkujące piersi wypychały górę moich sukienek. A ja wiedziałam już, na czym polega gra dorosłych. Wysławszy miesiąc wcześniej list do sióstr, ucięłam sobie z nimi szeptaną pogawędkę na osobności. Podczas obiadu milczałam, po posiłku otarłam kąciki ust, założyłam nogę na nogę i pijąc herbatę, przysłuchiwałam się rozmowie mamy z siostrami. Gdy nadeszła pora powrotu, odmówiłam opuszczenia mieszkania. Tym razem to mama błagała. Próbowwała mi przemówić do rozsądku. Nawet się trochę popłakała. Ale nie tupnęła nogą.

Powiedziałam jej, że Marysia znalazła mi pracę.

– To prawda, mamó. – Marysia potwierdziła moje słowa. – Niejaka pani Diamant szuka dziewczyny do pomocy. Mieszka tylko parę przecznic stąd.

Powiedziałam, że Andzia już przygotowała mi posłanie za wersalką.

– Dostanie dwa koce, mamó – zapewniła Andzia. – I co niedziela będzie chodzić do kościoła.

Wyjaśniłam, że będę oddawać część zarobków obu siostróm, dokładając się do jedzenia. Że uzbierane co nieco prześlę do domu, aby mama mogła zatrudnić kolejnego parobka. Albo kupić więcej kur.

– Byłoby wspaniale, prawda, mamó? – Marysia się uśmiechnęła.

– Ale Fusiú, co z twoim wykształceniem? – rozpaczała mama.

Wyglądziłam na sobie sukienkę i odparłam:

– Zamieszkanie w Przemyślu będzie dla mnie najlepszą szkołą, mamó.

I tak zostałam z siostrami, a mama wróciła do domu w pojedynkę.

* * *

Idąc w podskokach do pracy w sklepie Diamantów, płoszyłam gołębie, zaglądałam w zaułki, gapiłam się na witryny fotografów, a nawet zmitrężyłam nieco czasu na zabawę z bezdomnym kocurem. Bicie dzwonów katedralnych przetoczyło się po niebie, które miało głęboki, przepiękny odcień.

Gdy otworzyłam drzwi sklepu, rozległ się cichszy dzwoneczek, na odgłos którego zza lady podniosła na mnie wzrok kobieta w średnim wieku. W powietrzu unosił się zapach świeżo upieczonego chleba, jabłek, papieru pakowego i sznurka, ja zaś natychmiast wypatrzyłam rzędy owiniętych sreberkiem czekoladek ukrytych pod szkłem. Kobieta, której pośladki zwisały po obu stronach wysokiego taboretu, zlustrowała mnie od stóp do głów, podczas gdy ja kiwałam się na palcach i piętach, z podniecenia niezdolna ustać w miejscu.

– Och – powiedziała. – Patrzcie, kogo przywiało. Panna Podgórska we własnej osobie, zgadza się? Jak masz na imię, *kecele*[1]?

– Stefania. – Poczułam dreszcz na dźwięk swego pełnego imienia.

– A ja jestem pani Diamant. Powiedz mi, Stefanio, umiesz czytać?

– Tak.

– A pisać?

Skinęłam twierdząco głową. Było nie było, nasze gospodarstwo nie leżało na końcu świata.

– To dobrze. Bardzo dobrze. W takim razie zrób listę wszystkiego, co stoi na tych półkach.

Schowałam płaszcz i drugie śniadanie – chleb z serem – w kąciku za ladą, po czym pani Diamant wręczyła mi kartkę papieru przytwierdzoną do podkładki, do której był też przywiązany ogryzek ołówka kopiowego. Zastukałam, stuk-stuk, trzewikami o deski skrzypiącej podłogi, co przydało mi wagi i sprawiło, że szeroko się uśmiechnęłam. Moment później sporządzałam już spis inwentarza dużymi, zamaszystymi literami. W tym czasie pani Diamant, pochylona nad księgą rachunkową, obserwowała mnie spod oka. Gdy w pewnej chwili przesunęłam na półce butelkę wody sodowej, ujrzałam wpatrzoną we mnie z drugiej strony parę brązowych oczu.

– Zawsze podśpiewujesz przy liczeniu? – zapytał mnie ich właściciel niskim chłopięcym głosem.

Przycisnęłam podkładkę do piersi i zarumieniłam się. Rzeczywiście, podśpiewywałam. Do siebie. Niczym mała dziewczynka.

Byłam wtedy małą dziewczynką. Tylko o tym jeszcze nie wiedziałam.

Oczy się zmrużyły i tyle je widziałam. Chwilę później pojawiły się znowu, tyle że nad regałem. Należały do wysokiego chłopca, nadal szczupłego i niezgrabnego jako źrebię, a wieńczyły je dwie krechy

ciemnych brwi zlewające się ze zmierzwioną kręconą czupryną czarnych włosów.

Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie przestawaj podśpiewywać – powiedział. – Stanowisz moją poranną rozrywkę. Jak cię wołają?

– Stefania.

Przechylił głowę.

– Nikt tak na ciebie nie mówi, co? – Nie dało się ukryć, że to prawda. – W takim razie jak? Stefi?

– Stefuśka. – Widząc, że chłopiec patrzy na mnie wyczekująco, dodałam: – Stefusia. I Fusia. Ale wołałabym, żebyś...

– Stefi, Stefuśka, Stefusia, Fusia. – Chłopiec pokręcił głową. – Za późno. Jesteś Fusia. Zaśpiewaj mi coś jeszcze, Fusiu. *Mame*^[2] może zacznie sprzedawać bilety...

– Izio! – krzyknęła pani Diamant, która do tej pory nie opuściła swego posterunku za ladą. – Zostaw dziewczynę w spokoju, *bubele*^[3]! To jej pierwszy dzień. *Nem dajn tuches in szul!*^[4]

– *Mame*...

– Jazda do szkoły!

Wzruszył ramionami i wybiegł na ulicę, gdzie dołączył do dwóch czekających na niego chłopców. Jeden był wyższy, a drugi niższy od niego, ale wszyscy trzej mieli takie same czarne włosy. I byli ode mnie starsi.

Bracia, pomyślałam. Znałam się na braciach. Najważniejsze w kontaktach z nimi to nie pozostawać dłużnym i odpłacać pięknym za nadobne.

Wróciłam do pracy i postawiwszy znaczek na sporządzonej liście, pełnym głosem zaczęłam śpiewać słowa, na których dźwięk mama

wyłączała szybko radio. Oznaczało to oczywiście, że słuchałam ich tym chętniej przy każdej okazji. Było to tango.

*Hej, chłopaku, nad rzeczną, nad głębiną
Szumiała nam winna kiść
Gdy wypłynął z chmur księżyc nad doliną,
Musiałeś do szkoły iść.
Pozostał mi tylko, jak winny kwiat,
Pachnący ust twych ślad
I echo rzuconych litośnie słów
Że może wrócisz znów...*

W pierwszej zwrotce zamiast „do chaty” zaśpiewałam „do szkoły”, a w drugiej przybrałam szczególnie tęskny ton. Reakcją był wybuch śmiechu za moimi plecami i dobiegający już z ulicy tupot stóp. Drzwi sklepu zamknęły się, raz jeszcze trącając dzwoneczek, a ja zerknęłam na panią Diamant, która wprawdzie kręciła głową, ale oczy miała zmrużone w uśmiechu, podobnie jak jej syn wcześniej.

I tak powstał nasz rytuał. Co rano Izydor Diamant, zwany częściej Iziem, zaglądał do sklepu i prosił, abym coś mu zaśpiewała, a ja szybko adaptowałam jakąś mniej lub bardziej figlarną piosenkę. Przed upływem tygodnia wszyscy mieszkańcy ulicy Mickiewicza mówili na mnie Fusia.

Ja zaś poznałam imiona reszty braci. Był więc Heniek, najmłodszy, który nie interesował się jeszcze dziewczętami, i Maks, starszy od Izia, już czeladnik, ale miłkiwy – częściej się uśmiechał, niż odzywał. Poza nimi usłyszałam także o Chaimie, pierworodnym państwa Diamantów, studencie medycyny w jakimś nieznanym mi włoskim mieście, oraz o siostrze mieszkającej niedaleko, bo we Lwowie. Pan Diamant nie pracował, bo

przechodził właśnie rekonwalescencję po chorobie, która zaatakowała jego krew. Dowiedziałam się również, że będę mieć wolne soboty, ponieważ państwo Diamantowie są Żydami, i że pani Diamant piecze wyborną babkę.

Zamiatałam podłogi, pakowałam zakupy i ścierałam kurze z półek, a pani Diamant chwaliła mnie, że jestem obrotna i szybko się uczę. Wkrótce wysyłała mnie na plac targowy, gdzie odbywał się prawdziwy handel. To właśnie tam byłam świadkiem pierwszej walki na pięści. Dwaj chłopcy tłukli się zawzięcie, tarzając się w ulicznym pyłe nieopodal rynsztoka.

Nie przypominało to krótkich spieć między moimi braćmi ani kolegami ze szkoły w Birczy. Nigdy nie widziałam tak zaciętej bójki.

Przyglądający się zajściu policjant zgasił butem niedopałek papierosa, ale to mężczyzna w brudnych spodniach i z maźniętym smarem policzkiem wystąpił z kręgu gapiów, po czym rozdzielił walczących, chwytając obu za kołnierze, mimo że prychali i posykiwali niczym rozzłoszczone koty. Następnie potrząsnął tym po prawej z taką siłą, aż mu zadzwoniły wszystkie zęby.

– Oskar, co w ciebie wstąpiło? – zapytał wyrostka mężczyzna. – Dlaczego bijesz się na ulicy jak jakiś łobuz?

– On zaczął! – wydusił z siebie Oskar. – Uderzył mnie!

– Czyżby? Uderzył cię tak o? – Mężczyzna przeniósł wzrok na drugiego chłopca, a gapie poszli w jego ślady.

Przyszpilony spojrzeniami chłopiec schylił się po czapkę i otarł krew pod nosem.

– Nazwał mnie parszywym Żydem.

Mężczyzna potrząsnął głową, a potem Oskarem.

– Co to ma znaczyć? Spójrz tylko na niego... – Oskar popatrzył na przeciwnika z ukosa. – Ma ręce i nogi, i krew w żyłach tak jak ty. Co ci

przeszkadza, że jego rodzina jest posłuszna naukom Mojżesza? Pogódź się z nim, ale już! Bo powiem twojej matce.

Chłopcy wymienili uścisk dłoni, choć miny mieli przy tym nietęgę. Gdy rozeszli się w przeciwne strony i tłum gapiów także zaczął się przerzedzać, usłyszałam za plecami mamroczącą kobietę:

– Parszywy Żyd...

Udało mi się kupić tanio śliwki do sklepu. Po powrocie z targu wśliznęłam się do łazienki i przejrzałam w lustrze. Dotknęłam twarzy, ramienia, włosów. Tamten chłopiec padł ofiarą nienawiści, ponieważ był Żydem. *Czy to możliwe, że państwo Diamantowie nienawidzą mnie za to, że jestem katoliczką?*

Tego samego popołudnia wywabiłam panią Diamant z jej stałego miejsca za ladą i zaprezentowałam jej ćwiczenia, które wcześniej podejrziałam na boisku szkolnym przy gimnazjum. Gdy do mnie dołączyła, zapakowane w sreberka czekoladki posypały się z półek, lecz pani Diamant tylko się roześmiała, wycierając nalaną szyję z potu.

– *Kecele...* – do tej pory zdążyłam odkryć, że wyraz ten oznacza małego kota – czasami doprowadzasz mnie do gorączki! – To powiedziawszy, podała mi czekoladkę i z uśmiechem, który utworzył dołeczek w jej brodzie, sięgnęła po kolejną dla siebie.

W tamtym momencie zrozumiałam, że pani Diamant cierpiała samotność, zanim się pojawiłam, i że dzięki mnie nie czuje się już samotna. Dotarło do mnie również, że i ja byłam w domu sama pomimo ciągłego towarzystwa rodzeństwa, mamy i kur. Siostry i braci absorbowało własne życie, mama miała za dużo obowiązków, a ptactwo domagało się nieustannej uwagi, nie dając nic w zamian. Dopiero moja mocodawczyni przepędziła złą samotność.

W niedzielę podczas mszy, na którą udałam się z Andzią, podziękowałam Panu Bogu za to, że zesłał mi rodzinę Diamantów. W końcu Mojżesz występował także w naszej Biblii, a do tego odnosiłam wrażenie, że Bóg go lubi.

Takie były początki mojej edukacji.

Izio nauczył mnie przekleństw w jidysz, a ja postanowiłam zaprzestać przynoszenia kanapek z szynką konserwową do sklepu, choć pani Diamant zapewniała, że nie ma nic przeciwko temu. Gdy nadeszła zima i wczesnie robiło się ciemno, zostawałam na kolację w mieszkaniu państwa Diamantów za rogiem. Ich niemal dorośli synowie rozprawiali o medycynie, a pan Diamant niekiedy rzucał pytanie w stylu: „Co jest lepsze: dobra wojna czy zły pokój?”, po czym wywiązywała się dyskusja, podczas której pan Diamant palił papierosa za papierosem. Wieczorami Izio odprowadzał mnie do domu, brnąc razem ze mną przez głęboki chłodny śnieg ozłocony blaskiem latarni ulicznych.

Pani Diamant gimnastykowała się co rano i po jakimś czasie musiała zwięzić wszystkie sukienki. Ja dla odmiany popuściłam swoje na szwach. Nauczyłam się uśmiechać tak, by chłopiec kupił dwie czekoladki zamiast jednej, i obdarzać go jeszcze ładniejszym uśmiechem, kiedy podarował mi którąś z łakoci. Następnie, gdy dzwoneczek przy drzwiach zadźwięczał, odkładałam czekoladkę na półkę, a monety umieszczałam w kasie, co przyprawiało panią Diamant o chichot. Zaczęłam kręcić na głowie loki i nosić pomadkę siostry, kiedy radio grzmiało, że Niemcy najechały Czechosłowację. A gdy Andzia przeniosła się do Krakowa i Marysia wynajęła mniejsze lokum po przeciwnej stronie Przemyśla, pani Diamant tylko zacmokała, zmrużyła oczy i oznajmiła mi:

– W takim razie zamieszkas z nami, *kecele*.

Państwo Diamantowie nie mieli dla mnie osobnego pokoju, dlatego go stworzyli. Odcięli zasłonką końcówkę korytarza, wstawili za nią wąskie łóżko i stolik z lampą, a nawet powiesili lustro na ścianie. Ja zaś naprzeciwko umieściłam święty obrazek przedstawiający Maryję z Dzieciątkiem, a różaniec oplotłam wokół słupka przy wezgłowiu. Pani Diamant chowała pod moim łóżkiem talerz z blincami^[5], ponieważ pan Diamant przestrzegał ścisłego postu w Jom Kipur^[6]. Wkrótce miałam na własność pieczarę przesyconą delikatnym czerwonym światłem z powodu bordowej zasłonki.

Niestety moja komnatka nie miała okna. Ilekroć w nocy zrobiło mi się za gorąco, przemykałam do salonu i przysiadłam na parapecie, by wdychać wlatujące do środka świeże powietrze, jakże inne od zastalej woni papierosów unoszącej się w całym mieszkaniu. Mając za plecami ciemny pokój, a bosa stopy przytknięte do ramy okiennej, nasłuchiwałam zajeżdżających na stację pociągów, świadoma pogrążonego w śnie domu po jednej stronie i przepaści z rozciągającym się za nią miastem po drugiej.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że mrok wiąże się ze strachem.

Dołączywszy do mnie, Izio rozpierał się w fotelu albo wyciągał jak długi na dywanie, z rękoma pod głową. Szeptem opowiadał mi o zajęciach na świeżo rozpoczętych studiach, o krajach, które chciał najbardziej zobaczyć – Palestynie i Turcji – oraz o tym, który chciałam najbardziej zobaczyć ja, czyli o Ameryce. I pytał mnie o zdanie, na przykład czy uważam, że Hitler najedzie Polskę. W tamtym czasie jednak nie wojna była mi w głowie. Izio uzyskał pełnoletność. Nabrał ciała. Wydoroślał. Jego podwinięte rzęsy kładły mu się cieniem na powiekach niczym płatki sadzy.

Tamtego ostatniego lata dołączał też do nas nocami w salonie Maks. Był drobniejszy i cichszy od brata, lecz gdy już się odezwał, zmuszał nas do zastanowienia nad własnym życiem. Albo opowiadał kawały tak kiepskie,

że zrywaliśmy boki ze śmiechu. Izio obejmował się rękoma w pasie, aby stłumić parsknięcia i nie obudzić pani Diamant.

Cieszyłam się, kiedy Izio się śmiał, rozbawiony przez brata.

Wkrótce Maks przestał się pojawiać. Byliśmy tylko my, Izio i ja, kontra reszta śpiącego świata.

Teraz uważam, że Maks wiedział wcześniej ode mnie.

Lato przeszło ostatecznie w jesień. Właśnie wtedy, gdy wiatr gnał za oknem pożółkłe liście, a powietrze na zewnątrz przesycone było swędem spalenizny dobywającej się z okolicznych kominów, Izio sięgnął do mnie w ciemnościach i przytrzymał mnie za rękę. Przyrzekliśmy, że nie zdradzimy się słowem. Dwa tygodnie później na Przemyśl spadły pierwsze niemieckie bomby.

[1] *Kecele* (jid.) – kotek; tu: kotku, moja droga.

[2] *Mame* (jid.) – matka.

[3] *Bubele* (jid.) – kochanie.

[4] *Nem dajn tuches in szul!* (jid.) – Jazda do szkoły!

[5] *Blince* (jid.) – placki, naleśniki.

[6] *Jom Kipur* (jid.) – jesienne święto oczyszczenia; najbardziej uroczyste święto żydowskie.

3

WRZESIEŃ 1939

Zrazu pomyślałam, że to Rosjanie przelatują tak nisko, aż szkło w kredensie Marysi się rozdzwoniło. Był to pierwszy dzień szkoły, na chodnikach roiło się od dzieci, które z książkami pod pachą albo w tornistrze szły do domu na długą przerwę. Wychylałam się właśnie z okna nowego mieszkania siostry, po drugiej stronie Sanu, wyczekując wspólnego z nią obiadu. Osłoniłam oczy przed słońcem. Samoloty pozostawiały na niebie długie ciemne smugi. W pewnym momencie hotel na rogu eksplodował chmurą pyłu cementowego i ognia.

Krzyknęłam. Wszyscy krzyczeli. Dzieci na ulicy rzuciły się do biegu. Kamienica drżała w posadach. Zatrzasnęłam okno, ale – choć zrobiło się ciszej – nadal słyszałam odległe eksplozje i widziałam kłęby dymu zasnuwające niebo nad miastem. Coś przeleciało z wizgiem, huknęło i podłoga usunęła mi się spod nóg. Padłam na kolana, ze ściany zleciał siostrzyn święty obrazek. Na czworakach zbliżyłam się do wyjścia i nawet uchyliłam drzwi, ale zaraz musiałam je zamknąć, tak gęsty dym zza nich

bił. Klatka schodowa stała w ogniu. A ja znajdowałam się na drugim piętrze.

Po raz pierwszy od dawna zatęskniłam za mamą.

Ta myśl przywołała wspomnienie domu na wsi i długiej poręczy po jednej stronie schodów. Olga i Andzia z piskiem zjeżdżały po niej na czas, mierząc wyniki starym zegarkiem taty. Porwałam z łóżka Marysi wełnianą kapę, owinęłam ją na sobie dookoła, tak że przednie poły zachodziły na siebie, chroniąc mnie podwójnie, zaczerpnęłam głęboko tchu i wypadłam w szalejące płomienie.

Ześliznęłam się po tłęcej się poręczy, przytrzymując kapę na sobie łokciami, kolanami, a nawet zębami. Najpierw z drugiego piętra na pierwsze, potem z pierwszego na parter – oczy coraz bardziej mi łzawiły, a w gardle drapało silniej z każdą chwilą – i wreszcie zaznałam ukojenia w ciągnącej chłodem piwnicy, gdzie rozkasłana, zabrałam się do gaszenia nadpalonej miejscami kapy.

W mrocznym kącie siedziało parę osób, zbitych w grupkę. Wydawały się zdziwione moim widokiem. Spojrzałam na nie ostro pomimo ciekających mi spod powiek łez.

– Nie wiecie, że kamienica się pali?! – wrzasnęłam.

Niczym spłoszone szczury wypadliśmy na zaścieloną szczątkami ulicę. Ledwie byłam w stanie rozpoznać, gdzie się znajduję. W powietrzu unosił się pył i dym, panowała ogólna panika. Ludzie krzyczeli. Darli się z bólu. Wołali o pomoc. Nie kilkoro tym razem, lecz dziesiątki, jeśli nie setki. Ze wszystkich stron. Kamienicę naprzeciwko przecięło na pół, jak tort nożem. Na środkowej kondygnacji sterczał tył łóżka, idealnie zbalansowany. Na szczycie z belki stropowej zwisał mężczyzna, wierzgając nogami to w tę, to we w tę. Nad jego głową przeleciał z warkotem samolot. Odgłosy wybuchów zlewały się w jedno z odległym wyciem karetki.

Nagle spostrzegłam dłoń, która wysunęła się spomiędzy kupy gruzu u moich stóp.

Odkopałam mężczyznę, który przypominał raczej sinego, zakrwawionego ducha. Zanim zapytałam, jak się nazywa, odszedł chwiejnym krokiem, mamrocząc coś o żonie i Niemcach. Puściłam się pędem do domu. Nie na wieś, do mamy, lecz do tej drugiej kobiety, która okazała mi serce. Sprintem pokonałam most przerzucony nad rzeką, dopiero w połowie drogi uzmysławiając sobie, jak wspaniałym celem jest on dla spadających bomb. Przemknęłam wąskim zaułkiem, wypadłam na podwórko i jeszcze dobrze nie przekroczyłam progu kamienicy Diamantów, gdy Izio pociągnął mnie za sobą do piwnicy.

Maks był już na dole. Obok niego siedzieli wprost na gołej ziemi oboje państwo Diamant, Heniek i Chaim, który zaledwie przed miesiącem wrócił z Włoch, a także wszyscy chyba sąsiedzi. Pani Diamant rozpostarła szeroko ramiona, a ja dałam się jej przytulić, podczas gdy Izio zajmował miejsce po mojej drugiej stronie.

– Poparzyłaś się – powiedział, dotykając lekko mojego przegubu. Aż do tej chwili nic nie czułam. Izio ukrył pokrytą pęcherzami rękę przed wzrokiem pani Diamant.

Czołgi przetaczały się ciężko nad naszymi głowami, ale ja czułam się bezpieczna.

Ktoś przyniósł ze sobą radio na baterie, dzięki czemu wysłuchaliśmy prezydenta Mościckiego, który zaapelował do młodych, zdolnych nosić broń Polaków, by kierowali się na Lwów. By za nic nie dali się wcielić w szeregi niemieckiej armii. By dotarli choćby do Rosji, jeśli będzie trzeba. Diamantowie poszeptali między sobą. Być może nie pierwszy raz odbyli tę rozmowę. Kwadrans później czterej bracia ucałowali matkę i ruszyli do Lwowa w tym, co mieli na grzbiecie, i z pajdką chleba w kieszeni.

Na oparzonym przegubie wciąż czułam dotyk palców Izia.

Gdy pani Diamant ukryła twarz w dłoniach i zapłakała, objęłam ją odruchowo i zaczęłam gładzić po włosach. Teraz była cała moja. *Moja staruszka...*

Pan Diamant potrząsnął głową.

– *Di welt iz szejn, nor di menczn machn zi mijes*^[Z] – powiedział.

Wiele czasu upłynęło, zanim zrozumiałam, że bracia Diamantowie uciekli nie w odpowiedzi na apel prezydenta Mościckiego, lecz z tego powodu, że byli Żydami.

Przesiedzieliśmy w piwnicy cały tydzień, słysząc, jak pojawiają się Rosjanie, płaczą dzieci i rozlegają się strzały – najpierw z dachów kamienic, a potem bezpośrednio na ulicach. Raz dziennie ktoś z nas ryzykował życie, biegnąc na górę po coś do jedzenia, trochę wody do picia i nafty do lampy. Gdy wreszcie zamilkły strzały, a czołgi przestały dudnić, odważyliśmy się wypełznąć z naszej nory. Na zewnątrz czekał na nas podzielony świat. My znaleźliśmy się po rosyjskiej stronie Przemyśla, moja siostra Marysia po niemieckiej. Granicą był San.

Wojna rozpętana przez Hitlera dotarła na skraj drugiego brzegu rzeki.

I tam się zatrzymała.

Pogrzebaliśmy zmarłych, uprzątnęliśmy gruz, wstawiliśmy szyby do okien. Zamiotłam sklep. W zabudowie ziały wyrwy, puste niczym miejsca po usuniętych zębach, wszędzie tam, gdzie zabrakło kamienic. Rosyjscy żołnierze patrolowali ulice i dworzec. Żydzi ze znajdującej się w niemieckich rękach zachodniej części Przemyśla zostali wydalenii na nasz brzeg. Ponieważ most jednak został zbombardowany, nadchodzili biegnącymi nad rzeką torami kolejowymi, na tle słupów ognia i dymu bijących z płonącej synagogi za ich plecami.

W dzielnicy żydowskiej zrobiło się ciasno. Pokój, który jeszcze do niedawna należał do Chaima i Maksa, kwaterunek przydzielił Reginie i Róży, dwom Żydówkom z Niemiec, które umknąwszy Hitlerowi już raz w przeszłości, wskutek ostatniego doświadczenia zgorzkniały jeszcze bardziej. Obejrzały swoje nowe lokum – stanowiące mieszkanie samo w sobie, z małym zlewem i piecem – i zamknęły za sobą drzwi, nie zaszczycając nas ani jednym słowem. Ponieważ wschodnia część Przemysła została praktycznie włączona do Rosji, bracia Diamantowie wrócili ze Lwowa do domu.

– Widzieliście się z siostrą? – dopytywała pani Diamant. – Jak miewa się Ernestyna?

– Żaden z nas jej nie widział, *mame* – odparł Chaim. – Od bombardowania we Lwowie panuje chaos.

Przyglądałam się uważnie krągłolicej pani Diamant, która tylko na moment straciła rezon.

– To znaczy, że znalazła bezpieczną kryjówkę – powiedziała. – Przedarła się do mojego kuzynostwa albo do siostry ojca mieszkającej w Wiedniu. Dostaniemy od niej list, jak tylko poczta wznowi działanie. – I jakby nigdy nic wróciła do mieszania zupy.

Maks zerknął na mnie i pokręcił głową. Nie wierzył, aby Ernestyna przedostała się do Wiednia.

Na mieście huczało od plotek. Ponoć gdy kryliśmy się w piwnicy, ulicą Mickiewicza przepędzono setkę Żydów, starców i smarków, których niemieccy żołnierze bili przy każdym potknięciu i upadku. Kiedy więźniom zabrakło sił, zostali poprowadzeni na cmentarz i tam rozstrzelani.

Nie dawałam ucha plotkom. Nie wierzyłam w nie. Niemożliwe, by ktoś potraktował w ten sposób drugiego człowieka. Poza tym spadające bomby naruszyły nekropolię, wydobywając na wierzch liczne zwłoki.

Nie chciałam wierzyć w te okropieństwa, dzięki czemu było mi łatwiej kłamać.

Pani Diamant i ja prowadziłyśmy sklep. Pan Diamant, którego stan zdrowia się poprawił, dwa razy w tygodniu wypiekał chleb. Chaim zatrudnił się w miejskim szpitalu, a Maks codziennie pokonywał cztery kilometry dzielące Przemyśl od Niżankowic, gdzie pomagał miejscowemu dentyście. Heniek i Izio wrócili do szkoły.

Izio nic się nie zmienił, choć zarazem zaszła w nim zmiana. Rankiem zatrzymywał się w sklepie. Ja śpiewałam mu różne piosenki, a on uczył mnie teraz przekleństw nie tylko w jidysz, ale też po niemiecku, na wypadek gdyby armia Hitlera przedostała się na nasz brzeg. Nocami tańczyliśmy przy otwartym oknie salonu do melodii dolatującej z restauracji po przeciwnej stronie ulicy. Izio nie miał przede mną tajemnic. Z wyjątkiem kilku. Zaczął palić papierosy. Gdy raz spytałam Maksa, co widzieli w drodze do Lwowa, odparł, że krew. Nie dopytywałam więcej.

Kiedy poczta wznowiła działanie, otrzymałam list od mamy. Była bezpieczna w naszym gospodarstwie razem z moim młodszym rodzeństwem, podczas gdy starsi bracia i siostry rozproszyli się po całej Polsce. Choć pani Diamant też wyczekiwała listu, żadnego nie dostała. Kupiłam sobie czólenka na szpilce, chodziłam do kina i nocami przesiadywałam z Iziem, wdychając wypuszczany przez niego dym i przyglądając się światłom niemieckiej części miasta.

Tej samej wiosny, gdy skończyłam szesnaście lat, pani Diamant zaczęła mnie wysyłać na comiesięczne spotkania gildii sklepikarzy. Dla niej spacer przez miasto stał się zbyt męczący, poza tym irytowały ją wymogi Rosjan, a wszystko, czego ode mnie wymagano, to żebym zajęła miejsce z tyłu sali, podniosła rękę, kiedy wyczytano Leę Diamant, i przekazała w domu najważniejsze informacje. Przy trzeciej okazji pojawiłam się na spotkaniu

spóźniona. Możliwe, że moją uwagę po drodze zaprzętnęły tanie pończochy oferowane na targu. W każdym razie gdy wśliznęłam się do środka, starając się cicho zamknąć za sobą drzwi, z podium doleciał męski głos.

– Lea Diamant?

– Obecna! – odkrzyknęłam, na co starszawi sklepikarze, wśród których znalazła się może jedna albo dwie kobiety w średnim wieku, wszyscy jak jeden mąż odwrócili się na krzesłach, żeby na mnie spojrzeć.

Rozległy się szepty. „Bardzo młoda jak na sklepikarkę! A jaka ambitna! Takich panien nasze miasto właśnie potrzebuje!” Ktoś zaczął bić brawo, parę osób do niego dołączyło i wkrótce cała sala rozbrzmiewała oklaskami. Opadłam na pierwsze wolne miejsce, zaczerwieniona po czubki uszu i zdecydowana patrzeć wyłącznie na prowadzącego spotkanie, by nie uronić żadnego słowa i móc wszystko zaraportować pani Diamant, zanim ukryję się w swojej komnatce za zasłoną.

– No, no – usłyszałam szept. Zerknęłam w bok. Siedział koło mnie młodzieniec, cały przyszczaty na brodzie, co musiało mu utrudniać golenie. – Od dawna prowadzisz swój sklep?

– Nie – mruknęłam. Usta trzymał tak blisko mojej twarzy, że czułam ciepło jego oddechu na skórze.

– Dostałaś go w spadku po rodzicach?

Nie odpowiedziałam. Wpatrywałam się w prowadzącego z takim natężeniem, jakby nic poza nim mnie nie interesowało.

– Moi rodzice mają masarnię – szepnął chłopak. – Tylko że teraz ja ją prowadzę. Zatrudniam rzeźników. Aż trzech. Sam nie brudzę sobie rąk, aniele. Gdzie mieszkasz?

Odwróciłam do niego głowę.

– Jadaczka nigdy ci się nie zamyka? A może potrafisz milczeć choć przez chwilę?

Nie potrafił. W dodatku nazajutrz pojawił się w sklepie państwa Diamant, jakimś sposobem zdobywszy adres. Oprócz niego przyszła połowa członków gildii, aby zobaczyć młodą sklepikarkę w jej żywiolu. Wyprzedaliśmy prawie cały towar w jedno tylko popołudnie. Pani Diamant, pytana, czy jestem jej córką, uśmiechała się i kiwała głową, kuksańcem dając mi znać, że mam robić to samo. W pewnym momencie szepnęła mi na ucho, że chętnie posyłałaby mnie do siedziby gildii dwa razy w tygodniu. Pryszczaty młodzieniec kupił pół kilo jabłek i wodę sodową, przedstawił się jako Zbyszek Kurowski i spytał, czybym nie wybrała się z nim do restauracji.

Odmówiłam. Przyszedł znów następnego dnia i zapytał o to samo. Powtórzyłam swoją odpowiedź, doprawiając ją octem. Na to usłyszałam, że ma mnóstwo wielbicielek i wystarczy, by pstryknął palcami. Zapewniłam go, że to dobrze, niech pstryka i nie mitręży. Wypadł ze sklepu z twarzą niczym chmura gradowa, a ja ucieszyłam się, że mam go z głowy.

Trzy dni później, gdy w sklepie był taki ruch, że Izio musiał pomagać po szkole, zobaczyłam, jak syn pani Diamant szczerzy się do mnie i ponad głową rosyjskiego żołnierza zmrużonymi oczyma wskazuje w stronę drzwi. W progu stał, jakżeby inaczej, Zbyszek, który tym razem pojawił się w towarzystwie starszego mężczyzny i kobiety. Pani miała na dłoniach rękawiczki, a na szyi kołnierz z rudego lisa, sięgający uszu. Kończyłam właśnie pakować zakupy dla klienta, dlatego podeszła do mojego odcinka lady, przedstawiła się jako pani Kurowska i poprosiła o tuzin ptysi. Do tego zażądała tabliczki czekolady z migdałami i dwóch kilo jabłek. Kiedy ja ważyłam i pakowałam jej zakupy, ona zadawała mi pytania. Ile godzin pracuję? Jak często choruję? Czy mam konto w banku? Gdzie kupuję ubrania?...

Zbyszek stał obok ojca, z rękoma skrzyżowanymi za plecami, i gapił się w sufit. Spostrzegłam też, że pani Diamant i Izio pod byle pretekstem przesunęli się bliżej w moją stronę i nadstawili ucha, udając, że zajmuje ich całkiem co innego. Wręczyłam pani Kurowskiej sprawunki, czując, że się rumienię.

Tymczasem kobieta przemówiła:

– Panna zdajesz się obrotna i pracowita. Ładnie się wysławiasz. Nadałabyś się na nowy nabytek w naszym domu.

W pierwszej chwili pomyślałam, że chce mnie zatrudnić u siebie w roli pokojówki, ale wystarczył rzut oka na obu Kurowskich, aby zrozumieć, o co jej tak naprawdę chodzi. Większość klientów spoglądała na mnie wyczekująco, co powiem, a wraz z nimi Izio, który zagryzał wargę, by się nie roześmiać.

– Dziękuję za propozycję – odpowiedziałam sztywno – ale raczej z niej nie...

– Panna pochodzisz z dobrej rodziny – kontynuowała pani Kurowska podniesionym głosem. – Rodzice panny mają gospodarstwo pod Birczą, są katolikami... Nadajesz się panna w sam raz. – Pochyliła się do mnie. – U jakiego lekarza się panna leczyłaś?

– Magdo... – zaczął pan Kurowski i pociągnął żonę za rękaw. Zbyła go machnięciem dłoni.

– Cichaj, Gustaw. To kobiece sprawy. A ty...

– Bardzo przepraszam – przerwałam jej. – Ale skąd pani tyle wie o mojej rodzinie? Nigdy nie rozmawiałam na ten temat z pani synem.

– Och! – Pani Kurowska rozejrzała się, zachwycona, że ma publikę. – Jak tylko Zbyszek mi powiedział, że spotkał pannę, która mu się podoba, wynajęłam detektywa. Panna winnaś zrobić to samo. Najlepiej grać w otwarte karty, prawda? Niemniej od razu mogę pannie powiedzieć, że

mój syn to dobry chłopiec. Nie pali. Nie pije. Na nic nie choruje i ma świetlane perspektywy. Doskonała partia... A panna powinna się ustatkować i wyjść za mąż, zanim pojawi się jakiś bałamutnik i pannę pozbawi czci.

Brakowało mi słów.

– Najlepiej będzie, jak omówimy wszystko przy domowym obiedzie.

– Nie. – Potrząsnęłam głową.

– O której panna kończysz pracę?

– Nie! – Pani Kurowska się zdumiała. – Nie śpieszy mi się do małżeństwa, a już zwłaszcza z pani synem! Do widzenia... i dziękuję za wizytę.

Kobieta odstąpiła od lady z naręczem sprawunków, a jej miejsce zajął Zbyszek.

Mrugnął do mnie.

– I po co ta złość? – zapytał. – Złożyliśmy ci dobrą ofertę. Matka powiedziała samą prawdę. Po prostu moi rodzice chcą cię lepiej poznać, żeby uniknąć...

– Nie jestem towarem, który się maca przed zakupem! – warknęłam.

W tej chwili patrzyli na mnie już wszyscy klienci. Nawet rosyjski żołnierz, mimo że nie rozumiał słowa po polsku.

– Możecie... – Objęłam spojrzeniem całą trójkę Kurowskich. – Możecie wszyscy... *gejn in drerd!*[8]

Zebrani zaczerpnęli tchu. Właśnie powiedziałam Kurowskim, że mogą pójść do diabła. W jidysz. Winien temu był oczywiście Izio.

Pani Kurowska obróciła się na pięcie i wypadła za drzwi, tuż za nią dreptał jej mąż, ale Zbyszek nie ruszył się z miejsca i tylko wyszczerzył zęby.

– Zuchwała jesteś. To mi się podoba. Do zobaczenia niebawem, aniele. – Zanim zniknął za drzwiami, przesłał mi jeszcze całusa.

W sklepie zaległa absolutna cisza. Przerwał ją dopiero śmiech pani Diamant, która tak się trzęsła, że omal nie spadła z taboretu za ladą. Klienci jej zawtórowali. W końcu i ja dołączyłam do ogólnej wesołości. Izio także się śmiał, ale spojrzenie miał poważne.

Pozostał poważny aż do nocy w salonie, gdzie wyłożył się na dywan przy otwartym oknie, ze stopami opartymi o wersalkę matki, i w ciemnościach zapalił papierosa. Rozmawialiśmy o mojej niechęci do kur, chyba że podanych na talerzu, o różnicy między polskim nudziarzem i żydowskim nudnikiem (nie było żadnej), a także o tym, czy Rosjanie kiedyś postawią ten pomnik w rynku, czy raczej pozwolą dzieciom skakać po głowie Lenina. Zrobiło się późno i Izio zamilkł. Pogрузzył się w myślach. Taki już był. Moim zdaniem ognik papierosa w mroku przydawał mu tajemniczości.

W końcu się odezwał.

– Fusi, zostały mi trzy lata medycyny. Potem Chaim załatwi mi pracę w szpitalu, chyba że...

Chyba że do tego czasu naszą stronę Przemysła zajmą Niemcy. Nie zanosilo się jednak na to. Hitler zawarł pakt ze Stalinem. „Niemcy przegrali już jedną wojnę – mawiał pan Diamant. – A Rosja to potężne mocarstwo”.

– Jeśli Niemcy przyjdą – ciągnął Izio, wydmuchnąwszy dym – znów będziemy musieli uciekać. Wszyscy czterej.

– Ale dlaczego? – Ostatnim razem ucieczka się nie powiodła.

Izio usiadł na podłodze.

– Gdzie ty masz uszy? Musiałaś słyszeć, co Niemcy robią Żydom.

– To tylko opowieści...

– To prawda, Stefano.

Urażona, że zwrócił się do mnie pełnym imieniem, zmarszczyłam czoło i wyrzłam przez okno. W dole przeszedł rosyjski żołnierz w podkutych butach.

Tymczasem Izio kontynuował:

– Może więc minąć wiele czasu, zanim zdobędę dyplom i zdołam utrzymać żonę. Trzy albo nawet cztery lata. Kto wie, czy nie pięć. Ale i tak zastanawiam się, Fusi, czybyś nie zechciała tyle zaczekać, by nam pomóc.

Spojrzałam w głąb salonu, ale Izio zdążył zgasić papierosa i nie widziałam jego twarzy.

– Chcesz, żebym pomagała tobie i twojej żonie?

– Nie, *behejme*^[9] – zaprzeczył z westchnieniem. – Proszę cię o rękę.

Opuściłam stopy na skraj dywanu.

– Chyba nie każesz mi iść do diabła? – zapytał. – Ani nie zaśpiewasz jednej z tych swoich piosenek?

Słów żadnej w tamtej chwili nie pamiętałam.

– Uważaj, bo jeszcze wypadniesz z tego okna.

Rzeczywiście mi to groziło. Zsunęłam się z parapetu i stanęłam na miękkich, jak się okazało, nogach. Izio podniósł się z podłogi. Ujął mnie za obie ręce.

– Trzy lata – powtórzył. – Zapewne dłużej. Zaczekasz na mnie?

– Ale co powiedzą twoi rodzice? – Miałam na myśli sobotnie obrządki w synagodze i niedzielne w katedrze. Co by powiedziała mama?

– Praktycznie należysz do rodziny. Wiesz to równie dobrze jak ja. Ale możemy też nikomu o niczym nie mówić, mieć swoją tajemnicę. Na razie.

Jak zawsze dotąd. Izio dotknął moich włosów.

– Stefano, Stefi, Stefuśko, Stefusiu, Fusi Podgórska – wyszeptał. – Będziesz na mnie czekać?

Pocałowałam Izydora Diamanta. Całowałam go długo. A miesiąc później niemieckie bomby znów spadły na Przemyśl.

[7] *Di welt iz szejn, nor di menczn machn zi mijes* (jid.) – Świat jest piękny, tylko ludzie go zohydżają.

[8] *Gejn in drerd!* (jid.) – iść do diabła!

[9] *Behejme* (jid.) – głuptaska.

4

CZERWIEC 1941

Tym razem bombardowanie rozpoczęło się nad ranem, w trakcie najgłębszego snu. Mimo to natychmiast zrozumiałam, co się dzieje. Wyszłam z za zasłonki do korytarza, gdzie Maks złapał mnie jedną ręką, matkę drugą i pociągnął nas obie za tłumkiem ludzi biegnących na dół do piwnicy w samych nocnych koszulach. Po piętach deptali nam Chaim z Heńkiem. Izio niósł chorego ojca niczym worek ziemniaków.

Przez jakiś czas drżeliśmy z zimna w cienkich strojach, ale bardzo szybko w piwnicy zrobiło się gorąco i duszno. Dzieci płakały. Tynk osypywał się z sufitu przy każdym wybuchu. Heniek poskarżył się, że mu ciasno, że zabieram mu miejsce. W odpowiedzi kopnęłam go w łydkę. Izio otoczył mnie ramieniem. Pani Diamant to zobaczyła i pokręciła głową, mamrocząc coś do siebie.

Gdy słońce stanęło w zenicie, ostrzał umilkł. Rozległy się pojedyncze serie z karabinów maszynowych, ale i one rychło ucichły. Ulicą przejechały wojskowe łażiki. Izio spojrzał na mnie, ja popatrzyłam na niego, po czym

oboje wbiliśmy wzrok w Maksa. Jeśli to Niemcy, wszyscy bracia będą musieli uciekać. Trzymałam kciuki, żeby pan Diamant miał rację. Żeby Rosja jednak wygrała.

Odgłosy walki dolatywały bezpośrednio zza bramy. Słysząc było wystrzały, brzęk tłuczonego szkła. Gdy znów zrobiło się cicho, Heniek ostrożnie wyjrzał na ulicę. Wróciwszy, powiedział, że zabici Niemcy siedzą na wystawach jak manekiny. Parę osób wyraziło z tego powodu radość. Chwilę później strzelanina wywiązała się ponownie. Zakryłam uszy dłońmi, żeby nie słyszeć krzyków rannych, a gdy było po wszystkim i Heniek znów wyjrzał na ulicę, dowiedzieliśmy się, że w zasięgu wzroku nie ma żywej duszy. A trupy na wystawach są teraz rosyjskie, podparte kijami od szczotek, z wymalowanymi na twarzy swastykami.

– Niedługo będą tu Niemcy, *mame* – obwieścił Chaim.

Pani Diamant drgnęła, jakby wyrwana z głębokiego snu.

– Na górę – poleciała. – Wszyscy. Ale to już!

Uczyniliśmy, jak kazała, przepychając się przez stłoczoną w piwnicy cizbę ku schodom.

– Fusiū – zwróciła się do mnie pani Diamant, zadyszana od wspinaczki. – Wyjmij spod łóżka kasetkę z pieniędzmi. Przelicz je i rozdziel na pięć równych części, rozumiesz? Wy, chłopcy, włożcie buty z cholewami i dwie warstwy ubrania, żeby w sakwach było miejsce na jedzenie. Wychodząc, zajrzyjcie do sklepu i zabierzcie wszystek chleb...

Zanim podzieliłam pieniądze, chłopcy byli już gotowi do drogi. Pani Diamant upychała właśnie puste butelki do ich sakw, ponieważ z rur nie leciała woda. Chaim skinął mi głową, Heniek odwrócił wzrok, Maks uśmiechnął się przelotnie, a Izio ucałował mnie w czoło.

– Czekaj na mnie – szepnął.

– Zaopiekuj się naszymi rodzicami – poprosił Maks.

Zanim zdążyłam któremukolwiek odpowiedzieć, już ich nie było.

Nie spodziewałam się, że do tego dojdzie.

Pan Diamant zgarbił się w fotelu, zbyt oszołomiony, by sięgnąć po papierosa. Ja w piersi czułam wielką krwawiącą ranę. Pani Diamant to dostrzegła. Tak samo jak ramię Izia wokół mnie i jego pocałunek w czoło. Zdjęła okulary i wytarła je o płaszcz, który miała zarzucony na koszulę nocną. Wokół jej oczu widniały jaśniejsze kręgi pośród umorusanej twarzy. Ze źrenic wyzierał gniew.

Skuliłam się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch.

Podeszłam do zlewu, żeby umyć naczynia z dwóch dni, ale kiedy odkręciłam kurek, nic się nie stało. Zapomniałam o brakach w dostawie wody. Twarz miałam całą mokrą. Usłyszałam, że pani Diamant wzdycha, poczułam, jak przygarnia mnie do siebie, nazywając swoją *kecele*. Razem zapłakałyśmy nad jej synami, podczas gdy w dole przemykały na sygnale karetki.

Równie dobrze mogliśmy zachować łzy na później.

Niemieccy żołnierze przemaszerowali ulicą Mickiewicza, szereg za szeregiem, łomocąc butami o bruk, tak że było ich słychać nawet zza zamkniętego okna. Róża i Regina wróciły z piwnicy, otrzepały się z kurzu w naszym korytarzu, aż nas zakręciło w nosie, po czym zatrzasnęły się w swoim pokoju. Przez myśl przeszła mi ich ucieczka z Niemiec. I Izio. I wszystkie opowieści, w które nie chciałam wierzyć, a w które on wierzył. Spojrzałam na pana Diamanta, wyniszczonego i słabego, na panią Diamant, moją staruszkę, miękką jak ciepłe masło i całą zapłakaną. Odwróciłam się plecami do okna, za którym maszerowała zwycięska armia, i oznajmiłam:

– Musimy uciekać.

Konieczna była perswazja, lecz osamotniona pani Diamant poddała się moim przekonywaniom wcześniej, niż mogłabym przypuszczać.

Powiedziałam, że wyruszymy na wschód. Do Niżankowic. W nadziei, że Żydzi na wsi nie będą przeszkadzać Niemcom tak bardzo jak w mieście. Zresztą będzie nas od nich dzielił kawał drogi.

Pani Diamant zaszyła swoją biżuterię w pasie do pończoch, a pieniądze w staniku. Ja w tym czasie postarałam się o wodę, spakowałam prowiant i ukryłam świece. Nie mogłam mieć pewności, że Regina i Róża nie przetrząsną mieszkania pod naszą nieobecność. W żaden sposób nie poinformowaliśmy ich o swoim odejściu.

Ponieważ nie jeździły pociągi, przedzieraliśmy się przez miasto pieszo, jak najdłużej trzymając się z dala od głównych ulic. W końcu dołączyliśmy do rzeki ludzi, którzy tak jak my starali się uciec przed Niemcami. Państwo Diamantowie odpoczywali mniej więcej co trzy kwadransy, mimo że to ja niosłam cały nasz dobytek. Zaciskałam zęby i zwalniałam, po czym gapiałam się w niebo, czekając, aż odzyskają siły. *Co ja wyprawiam? Jak niby mam się zaopiekować parą staruszków, którzy mogliby być moimi dziadkami? Ktoś inny powinien być na moim miejscu, ktoś inny powinien za nich decydować.*

Tyle że nie było nikogo innego. Byłam tylko ja.

Rozpoczął się drugi etap mojej edukacji.

Choć zrobiło się już późne popołudnie, znajdowaliśmy się dopiero w połowie drogi do Niżankowic. Otaczała nas grupa starców, z których część miała więcej lat niż pan Diamant, a także kobiety z małymi dziećmi i furmanki, na których wieziono chorych. Wlekliśmy się w ogonie. Co rusz natykaliśmy się na porzuconą przez uciekających Rosjan broń. Leżała na wyciągnięcie ręki. W lesie padały pojedyncze strzały i całe serie maszynowe, po których rozlegały się zawsze chłopięce wiwaty. Mineliśmy troje rannych; chciałam się zatrzymać, poradzić coś, ale moim brzemieniem

była para staruszków, zresztą niby jak miałabym pomóc osobom z postrzałem?

Słońce przygrzewało wciąż mocno, państwo Diamantowie byli wycieńczeni, a woda skończyła nam się dawno temu, dlatego zboczyłam ze swoją grupą ze szlaku, licząc, że trafię do jakiejś chaty ze studnią.

I rzeczywiście. Natknęliśmy się na dom ze spadzistym czerwonym dachem, stodołą, w której muczały krowy, i zadaszgowaną studnią na podwórku. Wsparłam się o cembrowinę, wdzięczna za ten cud, i nabrałam wody do wiadra, po czym wyciągnęłam je, żeby napęlić butelkę. Podczas gdy ja walczyłam z wąską szyjką, państwo Diamantowie klapnęli na ziemię z westchnieniem ulgi.

– Co ty wyprawiasz?

Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam kobietę w chustce na głowie. I z wycelowanym we mnie rosyjskim karabinem.

– Przepraszam – odparłam. – Powinna była wpierw zapukać do drzwi... – Posłałam kobiecie uśmiech z rodzaju „kup mi czekoladkę”, ale tym razem nie zadziałał. – Moi... moi kompani są strudzeni, idziemy od rana i...

– Dobrze wiem, kim jesteście! – prychnęła gospodyni, omiatając nas wszystkich lufą karabinu. – Parszywe Żydy z was. Wynocha!

Popatrzyłam na towarzyszy. Czy wszyscy byli Żydami? Nie miałam pojęcia.

– Ale...

– Wynocha, bo będę strzelać! – krzyknęła gospodyni.

Niektórzy ludzie nie lubili Żydów. Oczywiście wiedziałam o tym. Co innego jednak nie lubić jakiejś nacji, a co innego odmówić dzieciom i starcom kropli wody. Nigdy się z czymś podobnym nie spotkałam. Pomogłam panu Diamantowi wstać, spoglądając za grupką osób

oddalających się w stronę drogi. Czy mi się wydawało, czy wszyscy byli jeszcze bardziej zgarbieni? Poprawiłam na ramionach sakwę, a potem spojrzałam na gospodynię, jej karabin i studnię pełną wody. I nagle ogarnął mnie taki gniew, że oczy zaszyły mi czerwoną mgłą.

– Mam nadzieję, że sama umrzecie z pragnienia – syknęłam. – Mam nadzieję, że i wam ktoś odmówi wody, jak wy odmówiliście jej nam.

– Chodźmy, *kecele* – szepnęła pani Diamant.

Odwróciłam się i zaraz podskoczyłam, gdy rozbrzmiał wystrzał. Coś przeleciało z wizgiem koło mojej głowy, a moment później na ramieniu mężczyzny przede mną, którego nawet nie znałam, wykwitła plama krwi. Jęknął, ale nie przystanął. Wszyscy szliśmy różnym krokiem, dopóki nie trafiliśmy znów na drogę. Tam się zatrzymaliśmy. Pani Diamant opatrzyła ranę mężczyzny własną chustką. Mnie zebrało się na wymioty, ale że miałam pusty żołądek, skończyło się na kilkakrotnym przełknięciu śliny.

Skoro przypadła mi rola opiekunki staruszków, skoro byłam za nich odpowiedzialna i skoro chcieliśmy przeżyć, musiałam nauczyć się kontrolować własny temperament. Bez względu na niesprawiedliwość. Bez względu na siłę gniewu.

Nie wiedziałam, czy jestem w stanie.

Do Niżankowic dotarliśmy tuż przed północą, słaniając się na nogach. Skierowałam się do chaty pani Nowak, katoliczki, u której mieszkał Maks, kiedy pracował u doktora Schillingera. Zdziwiła się na nasz widok, lecz nie zrobiła kwaśnej miny. Umieściła nas w pokoju Maksa, gdzie państwo Diamantowie zasnęli, zanim ich głowy spoczęły na poduszce.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Był to ewidentnie pokój młodego mężczyzny. W rogu stały brudne buty, na szafce nocnej walały się podręczniki medycyny, blat biureczka zdobiły fotografie. Jedna przedstawiała całe jego rodzeństwo. Na drugiej widniał on sam,

w kapeluszu na tle sklepu. Jeszcze inna prezentowała nieznaną mi dziewczynę. Na ostatniej byłam ja obok jego matki, przyłapana na szerokim uśmiechu przed regałem z łakociami. Znalazłam zapasowy koc i ułożyłam się do snu na podłodze.

Będzie mi brakować sklepu, pomyślałam przed zaśnięciem.

Nazajutrz po południu, gdy państwo Diamantowie odpoczywali, wymknęłam się na wiejski rynek. Potrzebowaliśmy jedzenia i stałego kwaterunku. Ja musiałam znaleźć jakąś pracę. *Może sklepikarz szuka kogoś do pomocy. Albo gospodyni z ulgą powita służącą...* Na rynku odkryłam trzy osoby leżące na ziemi, martwe albo nieprzytomne, i wieśniaków na skraju buntu. Dwaj mężczyźni na przemian zajmowali miejsce na skrzynce, przekrzykując wrzaskliwy tłum. Byli nieogoleni, ubrani w stroje robocze jak pracownicy fabryki, ale mieli lśniące buty z cholewami. I zadziwiająco schludnie ostrzyżone włosy. Odruchowo schowałam się za zagradzającą mi drogę furgonetką dostawczą.

– Wojnę wszczęli Żydzi! – darł się mężczyzna stojący na skrzynce. Dźgał palcem powietrze przed sobą, cały spocony i czerwony na twarzy. – To oni zbankrutowali ten kraj, to przez nich nasze dzieci nie miały co jeść. Wasi bliscy nie zaznają spokoju, ta wojna nigdy się nie skończy, dopóki nie szczeźnie ostatni Żyd!

Ludzie ryknęli ile sił w płucach, jedni przeciwko tej przemowie, drudzy za nią, a gdy w tłumie doszło do kłótni, kto ma rację, agitatorzy opuścili rynek i skierowali się w stronę nieodległego lasu. Zaobserwowałam jeszcze, że ich śladem ruszyło trzech innych mężczyzn. Wkrótce rozległy się strzały. Tłum się rozproszył, parę osób złapało kije i pałki i podążyło ostrożnie ku lasowi. Na rynečku zostały tylko nieruchome ciała. Wróciłam biegiem na stację i zarygłowałam drzwi. Byłam cała spocona.

– Przyniosłaś coś dobrego? – zapytała mnie pani Diamant. Czytała gazetę, trzymając obrzmiałe stopy na zydelku wyłożonym poduszką.

Przybrałam twarz w uśmiech.

– Dziś niestety nie – odparłam i oddaliłam się do łazienki.

Wciąż słyszałam wizg kuli przelatującej mi koło głowy i jęk ranionego nią mężczyzny. Nie stał za tym żaden Żyd. Tak samo jak za bombardowaniami Przemyśla. Co wstąpiło w ludzi? Zastanawiając się nad tym, spryskałam twarz chłodną wodą.

Pani Nowak zapukała i uchyliła lekko drzwi. Wyprostowałam się przy umywalce. Było jej bardzo przykro, ale nazajutrz mieliśmy się wyprowadzić. Ktoś zarezerwował nasz pokój. Maksa pokój. Z jego fotografiami. Wargi pani Nowak były zaciśnięte w wąską kreskę.

– Czy ktoś wie, że ukrywa pani Żydów? – zapytałam.

Zrobiła minę, jakbym przyłapała ją na gorącym uczynku. Pełną poczucia winy.

– Ja... Ja po prostu nie chcę mieć kłopotów.

Wytarłam twarz do sucha, usiłując przy tym myśleć. Miałam ochotę się rozpłakać.

– Myśli pani, że powinniśmy obrać kierunek na wschód? – zapytałam szeptem.

Pani Nowak pokręciła głową.

– Nie sądzę, aby was Rosjanie wpuścili.

Nie czekaliśmy do rana. Obudziłam państwa Diamantów wpół do czwartej, zanim domownicy zaczęli wstawać. Pani Diamant nakreśliła parę słów podziękowania dla naszej gospodyni, ja zamknęłam za nami drzwi i dziarsko ruszyłam mroczną ścieżką. Pragnęłam znaleźć się tak daleko od Nizankowic, jak to tylko możliwe, zanim nastanie świt.

Zdołaliśmy utrzymać dobre tempo. Znacznie lepsze niż na wcześniejszym odcinku podróży. Pani Diamant nadążała bez trudu, a cukrzyca pana Diamanta nie dała o sobie znać. A może obydwójce po prostu czuli raczej strach niż smutek. Nie zdradziłam się przed nimi, co widziałam w rynku; chyba domyślili się tego sami, tak w każdym razie wywnioskowałam z ich uległości.

W lesie panował spokój, nie było słycać wystrzałów, rześkie poranne powietrze spowijało mgłą nieodległe wzgórze. W drodze napotkaliśmy uciekinierów takich jak my, tyle że zmierzających w przeciwnym kierunku. Rogatki Przemyśla minęliśmy o drugiej po południu, nabawiwszy się tylko otartych pięt.

I to by było na tyle, pomyślałam. Chętnie zrzuciłam z ramion brzemie odpowiedzialności za państwa Diamantów. Ufałam, że sąsiedzi z Przemyśla nie zwrócą się przeciwko nam.

Pani Diamant zahaczyła o sklep, by zabrać do domu trochę artykułów spożywczych. Byliśmy głodni i zmęczeni, a targ jak na razie nie podjął działalności. Witryna była pęknięta, na szybie widniała wymalowana żółta gwiazda Dawida i słowo „JUDE”. Półki ziały pustkami. Nie zostało ani jedno jabłko, ani jedna czekoladka.

Kazałam staruszkom poczekać na chodniku, sama zaś udałam się do banku po drugiej stronie ulicy. Jego dyrektor, mężczyzna, którego pani Diamant znała, odkąd sikał w pieluchy, stwierdził, że Diamantowie nie mają już tam konta. Rachunki wszystkich Żydów zostały zamrożone. Wyplaciłam więc swoje pieniądze i wróciłam do staruszków. Pani Diamant nie odezwała się słowem, ujęła męża pod ramię i powłóczyłym krokiem ruszyła ku kamienicy.

Przynajmniej w mieszkaniu nic się nie zmieniło. Aczkolwiek odniosłam wrażenie, że ktoś przetrząsnął kredens i wszystkie szafki. Ktoś musiał też

wytrzepać dywany w naszym korytarzu, gdyż bordowa zasłonka była cała w kurzu. Kątem oka dostrzegłam – w moim przekonaniu winną obu czynów – Różę, która wyjrzała zza drzwi pokoju, ale zaraz je zatrzasnęła, widząc, że na nią patrzę. Pewnie liczyła na to, że nigdy nie wrócimy.

Nazajutrz rano pani Diamant i ja udałyśmy się na targ, żeby za moje oszczędności zakupić coś, co można by z zyskiem sprzedać w sklepie. Na miejscu dowiedziałyśmy się, że Żydzi mają zakaz wstępu na targ między ósmą rano a szóstą wieczorem, czyli w porze gdy handlowano artykułami spożywczymi. Odesłałam staruszkę do domu i sama załatwiłam sprawunki, co w przyszłości weszło w rutynę, mimo że pieniędzy było coraz mniej.

Tamtego dnia przekroczyłam most, który Niemcy przerzucili nad Sanem w miejsce zbombardowanej przeprawy. Nie udało mi się odnaleźć siostry mieszkającej na drugim brzegu Przemyśla, nikt też nie wiedział, gdzie się podziała. Napisałam list do matki i wysłałam go pierwszego dnia, kiedy pojawił się u nas poczciarz. Szepnął mi, że dobrze uczyniliśmy, wracając z Nizankowic, ponieważ na drogach zrobiło się niebezpiecznie; wielu uciekinierów zostało pobitych i obrabowanych, a niektórzy nawet postradali życie. Ale w Przemyślu też nie mogliśmy się czuć całkowicie bezpiecznie. Pani Diamant przyniosła do domu kenkarty i białe opaski na ramię opatrzone gwiazdą Dawida. Idąc po nie, musiała brodzić w rynsztoku, ponieważ Żydom nie było wolno spacerować chodnikami. Z okna przyglądaliśmy się, jak młodzi chłopcy w jarmułkach szorują bruk pod okiem niemieckich żołnierzy trzymających karabiny maszynowe. Matka nie odpisała na mój list.

Zima zapanowała na długo przed nadejściem mrozów. Było mroczno i przygnębiająco.

Samotnie.

Ogarnął mnie gniew.

Wracałam do domu w deszczu, rozchlapując wodę i niosąc skromne zakupy, na jakie jeszcze było nas stać. Tuż za progiem zzułam buty, ale i tak zostawiłam mokre ślady na podłodze korytarza. Moją zasłonkę, a nawet łóżko pokrywała znów warstwa kurzu. Podeszłam do drzwi Róży i Reginy i zapukałam. Żadnej reakcji. Załomotałam w ciężkie skrzydło. W szparze pokazało się jedno oko – Róży, jak mi się wydawało.

– Matka cię nie nauczyła trzepać dywanów na zewnątrz? Wszystko się od tego kurzy!

Oko w szparze zmrużyło się nieznacznie.

– A wy wnosicie kurz z powrotem, ilekroć... – Przerwało mi trzaśnięcie drzwi. Poszłam poszukać zmiotki i szufelki.

Nazajutrz rano zauważyłam, że mój płaszcz, który powiesiłam w korytarzu, żeby wysechł, został pocięty na paski.

– Nie przejmuj się – powiedziała pani Diamant, bawiąc się frędzlami. – Niektórzy ludzie w smutku stają się okrutni. Zapamiętaj to sobie, *kecele*. Nie wiemy, co im się przytrafiło w Niemczech. Powinniśmy im współczuć.

Nie byłam pewna, czy stać mnie na współczuciu. Ale pomyślałam, że będę mieć mniej do przebaczenia, jeśli zapanuję nad sobą.

Dwa dni później Regina i Róża wezwały do mieszkania niemiecką policję, gestapo. Przy pierwszej wizycie gestapo w kamienicy straciliśmy większość książek, jeden obraz, srebrną menorę i wszystką porcelanę odziedziczoną przez panią Diamant po matce. Obecną wizytę zawdzięczaliśmy temu, że pani Pohler odmówiła użyczenia Reginie klucza do suszarni na strychu – gdzie wszyscy na zmianę rozwieszaliśmy pranie – dopóki jej pościel nie wyschnie. Towarzyszący gestapowcom dwaj esesmani, każdy z trupa czaszką nad daszkiem czapki, zabębnił w drzwi pani Pohler, wyzwali ją od śmierdzących Żydówek, wymierzili jej siarczysty policzek, po czym odebrali od niej klucz do strychu. Przekazali

go następnie Reginie, którą także nazwali śmierdzącą Żydówką. Po odejściu Niemców obie kobiety zaszyły się na strychu, zapewne po to, by podrzeć czystą pościel pani Pohler na strzępy.

Tym razem pani Diamant nie okazała współczucia.

– Ja to załatwię – mruknęła. Włożyła płaszcz, zawiązała chustkę na głowie i wypadła na klatkę schodową.

Przyrządziłam rosół dla pana Diamanta, który chory znów leżał w łóżku, po czym usiadłam na parapecie, gotując się w środku. Pani Diamant raczej nie poszła na targ, był przecież środek popołudnia. Godzina policyjna zaczynała się dopiero o dziewiątej, ale nawet polscy policjanci, którzy robili wszystko, co im kazało gestapo, z byle powodu mogli zatrzymać samotną Żydówkę. Wiatr zacinał deszczem o szyby z coraz większą siłą, aż wreszcie pani Diamant z hukiem wpadła do mieszkania. Wyszłam jej naprzeciw.

– Gdzie pani by...

Staruszka zbyła mnie machnięciem i starannie zamknęła za sobą drzwi. Chustkę na głowie miała przemoczoną, tak samo jak białą opaskę na ramieniu, a do tego była boso. Z porwanych i brudnych pończoch wyzierały nabrzmiałe, ubłocone palce.

– Co się stało z pani butami?

– Dostał je Hitler – odparła. – Zdaniem gestapo Führer potrzebuje ich bardziej niż stara Żydówka przemykająca w ulewie rynsztokiem.

Przypomniałam sobie siniec na twarzy pani Pohler i skrzyżowałam ręce na piersi.

– Co im pani powiedziała?

– Że ten ich Führer powinien sobie znaleźć lepszą pracę, toby go było stać na własne buty!

Obrzuciłam ją uważnym spojrzeniem, ale nigdzie nie dostrzegłam zadrapań ani krwi. Pani Diamant pokręciła głową.

– Tylko mnie popchnęli, *kecele*, a moje pośladki są za miękkie, abym przy tym ucierpiała.

Nie uwierzyłam jej, szczególnie że na pewno wciąż miała matczyną biżuterię zaszytą w pasie do pończoch.

Naszą rozmowę przerwało pukanie do drzwi.

Pani Diamant zamarła, odwróciła się i spojrzała na mnie. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Szli za panią? – zapytałam szeptem.

Potrząsnęła głową i jednocześnie wzruszyła ramionami, ściskając w dłoni pomiętą chustkę. Pukanie się powtórzyło.

– Z czymkolwiek przychodzą, te drzwi ich nie powstrzymają, *ziskajt*^[10] – odezwał się pan Diamant. Przygarbiony, opierał się o futrynę drzwi do salonu. Wyglądał na sto lat.

Pani Diamant zbliżyła się powoli do drzwi. Otworzyła je. Zawiasy skrzypnęły. Spodziewałam się, że zaraz usłyszę niemiecki, ale to Maks powiedział:

– Wolałabyś, żebyśmy nie wrócili, *mame*?

– Och! – Staruszka wypuściła powietrze z płuc. – Och! Och!...

Wciągnęła Maksa do środka. Za nim pojawili się Chaim i Heniek, i na koniec Izio. Byli brudni i mokrzy, w łachmanach, ale matka i tak wycalowała ich w nieogolone policzki, każdego dwa razy. Ja cmoknęłam wszystkich raz, przy czym Heniek mnie odepchnął, a Maks się zaczerwienił, co tylko mnie rozbawiło.

Iziowi pozwoliłam się uściskać. Nie za długo, ale wystarczająco, by wiedzieć, że stęsknił się za mną. Pod ubraniem wyczułam same kości. Spojrzenie miał dojrzałe. Pragnęłam opowiedzieć mu o wszystkim, co się

wydarzyło, ale ugryzłam się w język. Zostawiłam ich, by zrobić herbatę, podczas gdy pan Diamant uśmiechał się bez końca i ścisnął dłonie swoich synów.

Potem wszyscy zaczęli mówić równocześnie. Chłopcy znaleźli pracę w rosyjskim szpitalu wojskowym, skąd mieli nadzieję być ewakuowani. Ale rozkaz ewakuacji nie nadszedł.

– Granica jest zamknięta – oznajmił Chaim. – Nie sposób się wydostać.

O tym akurat wiedzieliśmy.

Wyprawiliśmy skromną ucztę; na stole pojawił się rosół z kaszą, bardziej sycący niż smaczny, resztkę chleba, słoik marmolady, który pani Diamant trzymała na taką właśnie okazję, i parę jabłek. Mimo że to, o czym Chaim opowiadał, było przerażające – uciekinierzy ginący od kul karabinów maszynowych z przelatujących nisko niemieckich samolotów i egzekucja niewinnych ludzi – przy stole rozlegał się częściej śmiech niż płacz. Śmialiśmy się z brzydkich talerzy, które kupiłam z drugiej ręki, aby zastąpić zarekwirowaną porcelanę. Zarykiwaliśmy się, kiedy na pytanie Heńka, jakim cudem Niemcy nie zabrali biżuterii, matka wyjaśniła mu to obrazowo. A gdy Maks, w damskich czółenkach na stopach, głosem Hitlera odczytywał fragmenty ojcowskiego Talmudu, aż musiałam się trzymać za brzuch. Przez cały czas Izio ścisnął mnie za rękę pod stołem.

Uszczęśliwieni swoją bliskością, nie mieliśmy wtedy pojęcia, że był to czas, kiedy mężczyźni powinni zwracać się do Boga, z głową nakrytą tałasem, i kiedy ja powinnam na klęczkach zanosić modły do Najświętszej Pani i Jezusa.

Gdybyśmy wiedzieli – płakalibyśmy, zamiast się śmiać.

[10] *Ziskajt* (jid.) – skarbie.

5

KWIECIEŃ 1942

Jakiś czas później na stole kuchennym wylądowały dwa listy z kwaterunku. Pani Diamant wsunęła czubek noża pod skrzydełko pierwszej koperty. Cokolwiek znalazła w środku, na jej obliczu rozlał się wyraz ponurej satysfakcji. Pośpiesznie wyszła do korytarza, skąd po chwili doleciały mnie odgłosy kłótni. Zastanawiając się, co tym razem przeszkrobały Regina i Róża, upiłam łyk herbaty i zabrałam się do otwierania drugiej koperty.

Przeczytałam list. Dwukrotnie. Później do kuchni wróciła pani Diamant, która tryumfalnie rzuciła na stół pierwszą wiadomość. Regina i Róża musiały się wyprowadzić, ponieważ pokój od frontu został przydzielony innej osobie. Mnie. Miałam mieć własny pokój.

Napawałam się tą informacją przez kilka sekund, zanim wręczyłam pani Diamant drugi list. Zawiadamiał on, że wszyscy Żydzi mają się przenieść do getta. Nowe lokum Diamantów znajdowało się tylko kilka przecznic od

ulicy Mickiewicza, za dworcem kolejowym, w obrębie wytyczonego obszaru.

Będę miała własny pokój. Ale będę sama.

Pani Diamant przeżuwała wieści.

– Nie ruszymy się stąd, dopóki nie będziemy musieli.

Dwa dni później Regina i Róża wyprowadziły się do getta. Trzy tygodnie później na ulicach pojawiły się plakaty. Informowały one, że każdy Żyd, który nie znajdzie się w getcie do północy nazajutrz, zostanie rozstrzelany.

Nie zmrużyliśmy oka przez całą noc. Przesuwałam meble i pakowałam wskazane przedmioty, non stop zasypywana dobrymi radami.

– Pamiętaj, że jesteś katoliczką – mówiła pani Diamant, jakbym mogła o tym zapomnieć. – Nie ważą się tknąć katolika palcem. Nocami zamykaj drzwi na wszystkie zamki, także te od twojego pokoju. W getcie mamy tylko spać, za dnia więc będziemy się nadal widywać, tak? Te rzeczy możesz spieniężyć w potrzebie... – Wcisnęła mi w rękę pudełko. Wcześniej wydzieliła mi jedną czwartą pieniędzy, które ukryłam w martwym wyciągu pieca. – Będiesz nas odwiedzała – kontynuowała, ocierając brew – i przynosiła nam różne drobiazgi, bo my mamy zakaz handlowania.

– Może jednak pójdę z wami? – zapytałam po raz setny. – Mogę spać w korytarzu, tak jak teraz.

– Nie mędrkuj, *kecele...*

Zapewne było to głupie z mojej strony, ale i tak czułam, że mam złamane serce.

Na ulicy rozległa się seria z karabinu maszynowego, ktoś krzyknął, jakaś kobieta wrzasnęła przeraźliwie. Maks podszedł do okna i zdecydowanym ruchem zaciągnął zasłonę.

– Nie wyglądam na zewnątrz, *mame* – powiedział. – W porządku?

Gdy przeniósł wzrok na mnie, obeszło się bez słów. Zastona miała pozostać zaciągnięta. Ciszę przerwał łomot u drzwi wejściowych.

Gestapowców rozpoznawaliśmy bez trudu. Robili tyle hałasu, jakby sam Hitler i Stalin dobijali się do drzwi, sprawdzając, kto wyłamie je pierwszy. Zawczasu dawali znać, że wejdą do środka, czy im się otworzy czy nie. Pani Diamant okręciła się na pięcie i wyrwała sakwę z rąk Izia.

– Szybko! – ponagliła. – Umieście wszystko, co cenne, pod łóżkiem we frontowym pokoju. Chaim, Maks, przenieście tam też stół z kuchni i cztery krzesła. Prędzej!

W mieszkaniu wszczął się ruch. Pięść znów uderzyła w skrzydło drzwi. A może tym razem była to pałka.

– *Gestapo! Öffne die Tür! Öffne!*^[11]

Stół i krzesła zniknęły w moim pokoju. Izio zaczekał, aż jego matka skinie głową, po czym uchylił drzwi. Do środka wpadli czterej gestapowcy i rozbiegli się po całym mieszkaniu. Towarzyszący im esesman został z nami; znad jego czoła szczyrzyła się do nas trupia czaszka. Wysokie buty miał błyszczące jak lustro.

– O co chodzi? – zapytała go pani Diamant.

– Milczeć! – rozkazał. – Führer zezwala wam wesprzeć niemiecką armię!...

Niemiecka armia najwyraźniej wymagała wsparcia w postaci wersalki, którą dwóch gestapowców właśnie wynosiło za drzwi. Pobiegłam do salonu. Trzeci gestapowiec wrócił z kuchni z pudłem rzeczy Chaima, nieprzeniesionym w porę do mojego pokoju. W salonie było ciemno z powodu zasłoniętych okien i chmury dymu unoszącej się wokół fotela pana Diamanta, który siedział otoczony przez drobne przedmioty porzucone w trakcie pakowania. Gestapowiec zmarszczył nos i umieścił pudło pod pachą.

– Wy, Żydzi, mieszkacie jak świnie – powiedział, a przynajmniej tak nam się wydawało. Mówił po polsku znacznie gorzej niż jego przedmówca. Z kieszeni na piersi pana Diamanta wyjął pełną paczkę papierosów i ukrył ją w garści. Potem pięścią klepnął staruszka w plecy. Na koniec zaś splunął na podłogę.

Chaim odstąpił od ściany, ale Maks powstrzymał go wyciągniętą milcząco ręką. Heniek zaciskał pięści w progu kuchni, mając tuż za sobą Izia.

W powietrzu unosiła się charakterystyczna cisza, w której wszyscy czekają na wizg spadającej bomby.

Pośpiesznie zwróciłam twarz do tego, który splunął na podłogę, i obdarzyłam go takim uśmiechem, jakbym prosiła, żeby kupił mi czekoladkę. Drgnął, zlustrował mnie spojrzeniem, po czym odłożył pudło na ziemię i zza pazuchy wyciągnął kartkę.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– To jest panna Podgórska – odparła za mnie pani Diamant, która pojawiła się w pokoju wraz z esesmanem. Skierowała się prosto do biurka i zaczęła przetrząsać papiery w szufladzie. – Jak już mówiłam temu panu, przydzielono jej nasz frontowy pokój. Wszystkie te rzeczy są jej własnością. Jej, nie Żydów. – Odnalazła list z kwaterunku i podała go gestapowcowi. Mnie posłała spojrzenie, które kazało mi trzymać buzię na kłódkę. Zmilczałam.

Gestapowiec porównał dokumenty i pokręcił głową.

– Zostaw sypialnię dziewczyny w spokoju! – warknął do niego esesman. – Zajmij się resztą pomieszczeń!

Bezradnie patrzyliśmy, jak ogoławają mieszkanie ze sprzętów, nie wyłączając fotela pana Diamanta, a nawet dywanów z podłogi. Przed kamienicą stała zaparkowana furgonetka, na której piętrzyły się meble

zabrane innym mieszkańcom. Za wozem jakaś kobieta wylewała na jezdnię kolejne wiadra wody. Do rynsztoka spływała zabarwiona na czerwono ciecz.

Odsunęłam się od okna. Zapomniałam, że miałam nie wyglądać przez nie.

Gestapowiec z kartką po raz ostatni obrzucił wzrokiem puste mieszkanie i naszą siódmkę. Zadowolony, że o niczym nie zapomniał, odwrócił się do wyjścia. Zaraz jednak okręcił się na pięcie, podszedł znów do mnie i uszczypnął mnie w policzek.

– Poszukaj sobie nowych przyjaciół, i to szybko, *ja?*^[12]

Uśmiechnął się i wyszedł, a ja jeszcze długo ścierałam dotyk jego palców pod kranem w kuchni.

* * *

Państwo Diamantowie nie potrzebowali wiele czasu, żeby odebrać rzeczy zgromadzone w moim pokoju.

– Stół i krzesła są dla ciebie – powiedziała pani Diamant, całując mnie w czoło, a pan Diamant, zgarbiony od dźwiganego na plecach ciężaru, z zaczerwienioną z wysiłku twarzą, poklepał mnie po ramieniu.

Heniek zadarł hardo brodę, a Izio pocałował mnie w usta. Maks oddawał się oględzinom pęknięć w tynku.

– Czekaj na mnie – powtórzył Izio.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, podbiegłam do okna i otworzyłam je na oścież. Ulicą szli ustawieni w szereg Żydzi, objuczeni tobołami albo pchający wypakowane po brzegi wózki. Ci sami ludzie, którzy kupowali w sklepie Diamantów blince, wodę sodową i suchary, teraz obrzucali odchodzących inwektywami.

– Świnie!

– Robactwo!

– Żydki!

Upewniłam się, że drzwi wyjściowe są dobrze zamknięte, wróciłam do swojego pokoju, przekręciłam klucz w zamku, podparłam klamkę krzesłem i wpełzłam do łóżka. Płakałam do zachodu słońca, dopóki nie ucichł rejwach na zewnątrz. Potem leżałam w kompletnej ciszy. Nie skrzypiała podłoga, nie trzaskały drzwi, nie słychać było zwykłych odgłosów życia. Kamienica, dotąd zamieszкана przez Żydów i tętniąca życiem, zamieniła się w otwarty grób. A ja czaiłam się w środku. Sama. Otoczona przez cienie. Oczyma wyobraźni widziałam, jak korytarzem stąpają mężczyźni w lśniących butach z cholewami. Nie miałam do kogo ust otworzyć. Nie miałam komu się pożalić. Chciałam do mamy. Chciałam do pani Diamant. Chciałam do Izia. Spocona na całym ciele, przyciskałam koc do struchlałej piersi.

Nie podobało mi się to uczucie strachu.

Nazajutrz rano włożyłam stary płaszcz pani Diamant, ten, który mi pożyczyła, gdy mój skończył w strzępach, a następnie wyjrzałam na pograżoną w dźwięczącej ciszy klatkę schodową. Przystąpiłam przez próg, zaczęłam stawiać kolejne kroki, jeden za drugim, aż w końcu zbiegłam po schodach na parter i wypadłam na wymarłe podwórko, gdzie zabrakło bawiących się dzieci. Przemknęłam zaułkiem, wychylnęłam za róg i skierowałam się ku mostowi przerzuconemu nad torami kolejowymi. Po drugiej stronie rozciągała się dzielnica zamieniona obecnie w getto. Musiałam się zatrzymać.

Przede mną wyrosło ogrodzenie, złożone z wielu rzędów drutu kolczastego, z bramą skleconą ze zbitych ciasno desek. Pilnował jej niemiecki policjant, który na mój widok krzyknął coś i wymierzył we mnie karabin maszynowy. Ruszyłam biegiem wzdłuż torów, szukając końca

plotu, ale okazało się, że każda ulica prowadząca do getta została zablokowana. Żydów nie przekwaterowano, ich uwięziono!

Cały dzień błąkałam się ulicami Przemyśla. Patrzyłam na sterty gruzu w miejscach, gdzie do niedawna stały budynki, zaglądałam w ocalałe witryny sklepów, obserwowałam robotników w drodze do i z zakładów – oczywiście wszystkie zakłady przeszły w ręce Niemców. Wmawiałam sobie, że szukam pracy i dlatego tak kluczę. Że moja wędrówka nie ma nic wspólnego z uczuciem samotności. Ani z obawą przed powrotem do domu.

Jakaś krawcowa potrzebowała dziewczyny do pomocy, weszłam więc i zapytałam o zatrudnienie, lecz szybko stało się jasne, że nikt mnie nie zatrudni, ponieważ nie mam odpowiednich papierów. Moje dokumenty były polskie, a powinny być niemieckie. Udałam się więc do urzędu pracy, który miał siedzibę w ratuszu. Siedzący za biurkiem drobny Niemiec poprawił na nosie druciane okulary i poinformował mnie, że moje polskie papiery są nic niewarte bez oryginalnej metryki urodzenia. Równie dobrze bowiem mogłam być Cyganką albo nawet Żydówką. Dowiedziałam się, że do wyrobienia kenkarty konieczne są: zdjęcie, na które nie było mnie stać, i metryka urodzenia, która nie istniała.

– Nie? – zdziwił się urzędnik. – To może przyprowadź kogoś, kto zna cię od małości i kto pod przysięgą zaświadczy, jak się nazywasz, jakiej narodowości jesteś i jaką religię wyznajesz.

Rozłożyłam bezradnie ręce.

– W takim razie *auf Wiedersehen*^[13].

Wróciłam do mieszkania. Nie wiedziałam, co dalej. Zamknęłam drzwi wejściowe najciszej, jak się dało, by nie usłyszeć złowróżbnego echa w pustym wnętrzu. Moment później doleciało mnie trzaśnięcie drzwi gdzieś z dołu. Serce waliło mi coraz mocniej, w miarę jak czyjeś kroki pięły się na kolejne piętra. W końcu rozległo się pukanie. Ale do drzwi naprzeciwno.

Cisza się przeciągała, aż w końcu stopy zaszurały i ktoś zastukał do drzwi państwa Diamantów.

– Jest tam kto? – Głos należał do młodej kobiety. Uchyliłam drzwi i ujrzałam uśmiech. Odciągnęłam skrzydło szerzej i zobaczyłam kobietę w niebieskiej sukience. Kołysała się niecierpliwie na piętach. – To ja, Emilka – powiedziała. – Mieszkam w pokoiku na parterze. Ale straszno tam samej... Wokół tylko puste mieszkania... Mam cukier. Niezbyt dużo, ale zawsze. Pomyślałam, że możesz mieć ochotę na herbatę. Albo też ci jest nieswojo w opuszczonej kamienicy i zechcesz napić się herbaty w moim towarzystwie. Zanim zabraknie cukru...

– Tak! – odparłam, zanim dodała coś jeszcze.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Zaraz wracam – rzuciła i już jej nie było.

Pośpieszyłam do swojego pokoju, by wepchnąć pudła pod łóżko i przykryć kapą rozgrzebaną pościel. Zawiesiłam różaniec na słupku przy wezgielciu, po czym poprawiłam święty obrazek na ścianie. Później włączyłam przenośny piecyk. Emilka zdążyła wrócić z czajniczkiem, dwiema filiżankami, herbatą i papierową tytką cukru. Zdumiewające, że gdy słońce za oknem zaszło, w moim pokoju zrobiło się przytulnie i przepadły gdzieś nawiedzające mnie koszmary.

Emilka miała dwadzieścia trzy lata, była piegowatą szatynką – katoliczką jak ja – i pracowała w zakładzie fotograficznym. Uważała, że Niemcy dopuścili się zbrodni na Przemyślu. Odkładała każdy grosz i zamierzała udać się do rodziny do Krakowa, gdy tylko pociągi znów zaczną kursować. Chyba że wcześniej Rosjanie odbiją miasto z rąk Niemców. Albo wojna się skończy i wszystko będzie znów tak jak dawniej. Tymczasem jednak tylko my pozostałyśmy w naszej kamienicy. Królowe tyłu mieszkań! Mogłyśmy z nich korzystać wedle woli, prawda?

Moja nowa współlokatorka przytargała na górę swój materac i rozgościła się w przydzielonym mi pokoju. Cisza przestała nas martwić, ponieważ niewiele z niej zostało. Rozmawialiśmy prawie przez całą noc. Emilka pytała mnie o chłopców. Powiedziałam jej, że jest taki jeden. Ona odparła, że do tej pory miała kilku adoratorów. W następne noce też oddawaliśmy się pogaduszkom.

Dziesiątego z kolei ranka obudził mnie hałas. Z zewnątrz dolatywał tupot licznych stóp na bruku. Odciągnęłam lekko zasłonę i zobaczyłam kolumnę żydowskich mężczyzn, którzy maszerowali ulicą, pilnowani z obu stron przez niemieckich strażników uzbrojonych w karabiny maszynowe. Więźniowie mieli głowy spuszczone, wzrok wbity w jezdnię pod stopami, ale jeden z nich w pewnej chwili zerknął w górę i spojrzał prosto w moje okno.

Maks.

Zrzuciłam z siebie koszulę nocną, włożyłam pośpiesznie sukienkę i boso zbiegłam po schodach. Wypadłam na podwórko, minęłam zaułek i wyłoniłam się zza rogu. Na stację właśnie wjeżdżał pociąg. Zaczęłam się przepychać przez tłum ludzi pragnących do niego wsiąść. Wszystkich nas blokowali gapie przyglądający się maszerującym Żydom. Jakimś cudem udało mi się przedrzeć na ulicę, po czym – wykorzystując moment nieuwagi strażnika – dołączyłam do idącego z brzegu kolumny Maksa.

– Cześć – powiedział.

– Co się dzieje? Dokąd was zabierają?

– Do pracy. Przynajmniej tak mówią. Że wszyscy musimy pracować.

Natychmiast zrozumiałam, że z tą pracą nie będzie szła w parze płaca.

– Wszystko u ciebie dobrze? Jak pozostali? Pani Diamant? I Izio?

Maks wzruszył ramionami. Choć fizycznie niewiele się zmienił, miał nietypową dla siebie minę. Napiętą. Cierpką.

– *Mame* chce, żebyś sprzedała trochę rzeczy i załatwiła nam jedzenie. W getcie nic nie można kupić. Mieszkamy z ośmioma innymi rodzinami i już dawno skończyły nam się zapasy.

– Ale jak się do was przedostanę? Próbowałam, lecz dookoła getta biegnie ogrodzenie...

– Przechodzimy tędy co rano. Przynieś, co możesz, a ja postaram się przerzucić to na drugą stronę.

– *Halt!*^[14] – rozległo się ostre warknięcie.

Podskoczyłam w miejscu. Strażnik mnie zauważył i teraz celował lufą karabinu w moją głowę.

– Ja tylko chciałam coś powiedzieć znajomemu... – mamrotałam, oddalając się od kolumny. – Już sobie idę...

Odwrociłam się i rzuciłam do ucieczki, nie mając pewności, czy strażnik mnie nie zastrzeli. Nie zrobił tego. Wspięłam się na drugie piętro, stwierdziłam, że Emilka zniknęła, i zajęłam się myciem nóg.

Dziewięć rodzin w jednym mieszkaniu? Jak to? To by oznaczało dwadzieścia, może nawet trzydzieści osób stłoczonych na zbyt małej powierzchni. W dodatku skończyło im się jedzenie i nie mieli gdzie go kupić. Zatem cierpieli głód – i mieli pozostać głodni do czasu, aż Maks przyniesie im jakąś żywność jutro po pracy. Ale jak on zdoła zabrać tyle, by wystarczyło dla wszystkich? A nawet jeśli mu się to uda, czy strażnicy go przepuszczą? Niemcy prędzej odbiorą mu pakunki...

Czesząc skołtunione włosy, zastanawiałam się, jak przemyscy Żydzi mają przeżyć w getcie. Czyżby Niemcy zamierzali ich wszystkich zagłodzić? Naciągnęłam na stopy skarpetki i wzięłam trzewiki.

Niewykluczone, że taki właśnie mają plan. Ale ja nie pozwolę im skrzywdzić Diamantów!

Przejrzałam pudło z rzeczami na sprzedaż i wybrałam jedwabną bluzkę pani Diamant, od dawna na nią za małą, i srebrny świecznik, który gestapowcy przeoczyli, ponieważ cały zaśnieżony leżał na dnie szafy. Sterczałam na targu przez parę godzin, aż wreszcie stać mnie było na zakupienie jednego kurczaka, woreczka mąki razowej, pół kilo masła i trzech tuzinów jajek. Resztę pieniędzy schowałam w wyciągu pieca.

Sięgnęłam po torebkę i włożyłam do niej tyle jajek, ile się zmieściło, na wierzchu umieściłam kostkę masła, z nadzieją że się nie rozpuści, a wreszcie zapakowałam kurczaka w szary papier i obwiązałam sznurkiem, którego jeden koniec przytroczyłam sobie do nadgarstka. Podobnie postąpiłam z woreczkiem mąki, po czym wsunęłam obie ręce do przepastnych rękawów płaszcza pani Diamant, ukrywając w ten sposób drób i mąkę. Do kieszeni nakładłam resztę jajek, zarzuciłam chustkę na głowę i ujęłam torebkę.

Wprawdzie Niemcy zabrali lustro, ale nie musiałam się przeglądać, aby wiedzieć, że wyglądam głupio.

Po cichu zeszłam po schodach, omijając skrzypiące stopnie, na wypadek gdyby Emilka wróciła już z pracy, wymknęłam się na podwórko i przez zaułek wyostałam na ulicę, skąd skierowałam się prosto do mostu biegnącego nad torami. Znalazszy się po drugiej stronie, skręciłam w kierunku przeciwnym do głównej bramy i idąc wzdłuż ogrodzenia, zniknęłam w wąskiej uliczce między dwoma budynkami, gdzie stał tylko prowizoryczny płot. Obejrzałam się przez ramię, ale nikt za mną nie szedł. Zbliżyłam się więc do drutów.

Trzymały się na dwóch słupkach wbitych płytko przy narożnikach kamienic. Wystarczyło nimi trochę poruszać i pociągnąć, by...

Udało mi się poluzować jeden ze słupków. Uchyliłam część ogrodzenia niczym drzwi, przedostałam się na drugą stronę i umieściłam słupek na

swoim miejscu, przyklepując wokół niego ziemię czubkiem buta. Byłam w getcie.

Wyjęłam z kieszeni białą chustkę do nosa i zaczęłam ją mocować na prawym ramieniu. Okazało się to trudniejsze, niż myślałam. Koniec końców musiałam użyć zębów. Wreszcie z bijącym mocno sercem wyszłam spomiędzy kamienic.

Trzej staruszkowie, każdy w czarnym płaszczu z białą opaską na ramieniu i z pejsami po bokach twarzy, którzy siedzieli zgarbieni na stopniach budynku naprzeciwko, obdarzyli mnie obojętnym spojrzeniem i spuścili wzrok, mamrocząc coś między sobą. Usłyszałam stukot podkutych butów. *Nadchodzi policjant!* Przemknęłam przez jezdnię z opuszczoną głową schowaną w ramionach. Wszyscy w getcie tak chodzili. Policjant przerzucił pistolet z jednej ręki do drugiej i wyminął mnie bez słowa. Odprowadziłam go wzrokiem i uśmiechnęłam się lekko.

Już się nie bałam.

Co tylko świadczy o tym, jaka byłam niemądra.

– Państwo Diamantowie? – szepnęłam do staruszków. – Izaak Diamant i jego żona Lea? Mają czterech synów...

– *Gej awek*^[15] – odparł jeden ze staruszków.

– Wracaj tam, skąd przyszłaś, dziewczyno, zanim cię zabiją! – dopowiedział szeptem po polsku drugi.

I wszyscy trzej obrócili się do mnie plecami. Nie mając wyjścia, ruszyłam dalej.

Zbici w grupki ludzie stali po bramach, dzieci bawiły się na chodnikach i w rynsztokach. Mieszkańcy getta sprawiali takie wrażenie, jakby odpoczywali w dzień wolny od pracy, choć nie wyczuwało się atmosfery święta. Na widok zbliżającego się policjanta zamieniali się we własne cienie i przepadali w mroku pomimo świecącego słońca. Robiłam to samo.

Prowizoryczna opaska nie przeszłaby uważniejszej inspekcji, zresztą i tak zwracałam uwagę nienaturalnymi kształtami pod płaszczem. Dopytywałam o Diamantów raz po raz, aż w końcu jakaś kobieta odszepnęła:

– Ulica Reymonta numer dwa.

Odnalazłam wskazaną kamienicę, która nie różniła się niczym od innych przemyskich kamienic, jeśli nie liczyć tego, że była tylko jednopiętrowa. Pchnęłam skrzydło bramy wiodącej na klatkę schodową.

Za nią wszędzie zalegały ciała. Po kątach, na stopniach, pod sznurami na bieliznę rozwieszonymi od klamki do klamki przeciwległych drzwi. Niemowlęta kwiliły, dzieci marudziły i krzyczały, wokół unosił się zapach szamba, które wybiło. Wspinając się na piętro, minęłam małą dziewczynkę, która dała klapsa brzdącowi jeszcze mniejszemu od siebie, nakazując mu przestać płakać. To oczywiście sprawiło, że malec rozdarł się głośniej. Zatrzymałam się, gotowa wziąć szkraba na ręce i odszukać jego matkę, ale dziewczynka zmierzyła mnie twardym wzrokiem obiecującym szarpaninę i zaborczym gestem przygarnęła dziecko do siebie. Wtedy zrozumiałam. Malec płakał z głodu. Ta mała dziewczynka także była głodna, być może cierpiała głód jeszcze przed tym, zanim trafiła do getta. Wszystkie dzieci tutaj były głodne. A ja przemyślałam masę jedzenia.

Ogarnęło mnie poczucie winy. *Powinnam je nakarmić...* Chciałam to zrobić. Ale jakżebym mogła? Podjęłam wspinaczkę i oddalając się od dzieci stopień za stopniem, walczyłam ze łzami, które przeszkadzały mi wypatrzeć drzwi Diamantów. Odnalazłam je w końcu, zapukałam, po czym stanęłam oko w oko z nieznanym mężczyzną. Miał długą brodę i burkliwy głos.

– Czego chcesz?

– Przyszłam do...

– Fusia?

W korytarzu pojawiła się pani Diamant. Jej siwe włosy powiewały za nią, gdy zmierzała szybkim krokiem do drzwi. Przytuliła mnie do obfitego biustu. Westchnęłam z ukontentowaniem, ale ona zaraz odsunęła mnie na wyciągnięcie ręki.

– Co ty tutaj robisz?!

Zamrugalam.

– Po co tu przyszłaś?!

– Mówiła pani, żebym...

– Ale nie w ten sposób! Życie ci niemiłe? Przecież... – Urwała, gdy uniosłam ręce, i pochwyciła wzrokiem dyndające mi u nadgarstków pakunki.

Wciągnęła mnie do środka i szybko zamknęła drzwi, bez słowa poprowadziła do pokoju, który kiedyś służył chyba za jadalnię, a teraz był wszystkim po trosze, zależnie od potrzeb. Pan Diamant siedział na podłodze, wsparty o zrolowany koc. Złapał mnie za ręce i zaczął po nich całować, lecz jego żona przerwała bezceremonialnie te wyrazy wdzięczności, zabrawszy się do rozbierania mnie z płaszczem.

– Ostrożnie na jajka... – szepnęłam i zaraz umilkłam.

Pani Diamant mamrotała coś gniewnie pod nosem, po polsku i w jidysz, delikatnie rozplątując sznurki z moich przegubów i popatrując w stronę drzwi. Jakby się obawiała, że ktoś wejdzie i sprzątnie wszystko jedzenie.

Może i tak by się stało.

– Głupia dziewczyna – mruzczała pani Diamant. – Głupia, głupia dziewczyna...

– Przecież kazała mi pani zdobyć jedzenie dla was!

– Miałaś je przekazać Maksowi, nie malować sobie tarczę strzelniczą pośrodku czoła! – Rozglądała się przez chwilę z torebką mąki w dłoniach,

po czym schowała ją za plecami męża. – Śmierci szukasz? Co ja bym zrobiła, gdybyś zginęła na ulicy?

Poczułam wstyd. Może faktycznie okazałam się lekkomyślna. Gdybym dała się zabić, Diamantom groziłaby śmierć głodowa. Spotulniała otworzyłam torebkę. Na widok nieforemnej kostki masła i jajek pod spodem pani Diamant się wzruszyła, ujęła mnie za głowę i ucałowała mocno w oba policzki.

– Masz złote serce, *kecele* – szepnęła. – Ale nic nie rozumiesz. Jakżebyś mogła, skoro i ja do niedawna nic nie rozumiałam? Posłuchaj mnie uważnie... – Przytrzymała mnie obiema rękami i spojrzała mi prosto w oczy. – Oni cię zabiją. I zrobią to z przyjemnością. Nie daj im sposobności.

– Fusia! – Zerknęłam ponad ramieniem pani Diamant i zobaczyłam Heńka wchodzącego do pokoju z dziewczyną za plecami. Szcherzył się od ucha do ucha. Nie wiedziałam, czy dziwić się temu, że śmieje się w getcie, czy temu, że śmieje się do mnie. – Słyszałem, że ktoś rozpytywał o nas na ulicy. To byłaś ty? Powinnaś bardziej uważać. Przyniosłaś może jakieś...

– Sza, Heniek! – przerwała mu pani Diamant. Pogładziła mnie po włosach i odstaąpiła o krok. – Fusia musi już iść.

Dziewczyna towarzysząca Heńkowi zapuściła żurawia zza jego ramienia. Czarne loki otaczały jej bladą twarz. Nie miałam pojęcia, czy to naturalna dla niej cera, czy raczej wynika z pobytu w getcie i przymusowej głodówki.

– Wiele o tobie słyszałam – odezwała się cicho. – Jesteś tą gojką, prawda?

Uniosłam lekko brwi.

– To sympatia Heńka, Danka – dokonała prezentacji pani Diamant.

Danuta wyciągnęła do mnie rękę, którą uścisnęłam, zastanawiając się, od kiedy to Heniek ma sympatię. Pani Diamant już ubierała mnie z powrotem w płaszcz.

– A gdzie Izio? – zapytałam.

– W pracy – odparła. – Tam przynajmniej dostanie zupę.

– Może mogłabym na niego zaczekać?...

– Czy ty mnie w ogóle słuchałaś? Oczywiście, że nie możesz zaczekać!

Zaczęła mnie popychać w stronę drzwi, aż znalazłyśmy się na korytarzu. W progu pomachałam panu Diamantowi, Heńkowi i jego dziewczynie, po czym zatrzymałam się przed wyjściem.

– Czego jeszcze potrzebujecie?

Pani Diamant zmarszczyła przelotnie czoło.

– Mydła. I trochę jedzenia każdego dnia. Przekazuj Maksowi tylko tyle, ile zdoła wziąć, dobrze?

– Dobrze.

– Nie wolno ci tu nigdy wrócić. Rozumiesz?

Skinęłam głową. Poprawiła mi opaskę na ramieniu i ucałowała mnie w czoło. Jak robiła to mama, gdy byłam malutka.

– *Szolem alejchem*^[16] – rzuciła z taką miną, jakby się miała popłakać. – A teraz zmykaj. Uważaj na siebie, zachowuj się roztropnie i za wszelką cenę unikaj śmierci. Przyrzeknij mi to.

Przyrzekłam, obróciłam się i zaczęłam schodzić po stopniach, lawirując między zapłakanymi dziećmi. Z każdym krokiem było mi ciężiej, zupełnie jakbym nabrała wagi albo urosła. Ale tym brzemieniem był strach. Bałam się.

Bałam się, że już nigdy ich nie zobaczę.

[11] *Gestapo! Öffne die Tür! Öffne!* (niem.) – Gestapo, otwierać!

[12] *Ja?* (niem.) – tak?

[13] *Auf Wiedersehen* (niem.) – do widzenia.

[14] *Halt!* (niem.) – stać!

[15] *Gej awek* (jid.) – odejdz.

[16] *Szolem alejchem* (jid.) – Pokój z tobą.

6

CZERWIEC 1942

W drodze powrotnej z getta widziałam, jak pewna dziewczyna ginie zatłuczona kolbą karabinu. Nie umiałabym powiedzieć, ile miała lat, czym zawiniła ani czy w ogóle zawiniła. Ale esesman, który ją zamordował, uśmiechał się, zanim porzucił jej zmasakrowane zwłoki na ulicy. Z wielkim trudem zmusiłam się do wyjścia z cienia i postąpienia tych paru kroków dzielących mnie od płotu. Zaczekałam na właściwy moment, odsunęłam jego ruchomą część i pognałam do domu, drżąc na całym ciele.

Tamtego wieczora zrozumiałam, z czym się mierzę. Wcześniej łatwo mi przychodziło wyobrazić sobie, że wszystkie straszne rzeczy to tylko jakaś pomyłka, jedno wielkie nieporozumienie będące efektem poronionych pomysłów niezrównoważonego człowieka, który dorwał się do władzy i teraz sprowadza na manowce naród i armię. Przecież zawsze byli ludzie ubodzy i głodujący. Zawsze kogoś nienawidzono i kimś pogardzano. Zawsze toczyły się wojny, na których walczyli młodzi mężczyźni i ginęły niewinne osoby. Owszem, było to straszne, ale tak wyglądał świat. Tyle że

nie to ujrzałam w oczach esesmana. Zobaczyłam na jego obliczu radość nienawiści. Szczęście wynikające z cierpienia i śmierci bliźniego.

Czyste zło.

Któremu postanowiłam się przeciwstawić.

Moja edukacja weszła w trzecią fazę.

Szybko wyszło na jaw, że więźniowie są poddawani rewizji przed powrotem do getta i że wszelkie jedzenie jest im odbierane. Dlatego co rano wychodziłam na spotkanie Maksowi, prowadzonemu do szuflowania węgla, nie po to, by przekazać mu artykuły spożywcze, lecz by umówić sygnał. Pojawiałam się z taką regularnością, że strażnik przywykł do mojej obecności i pilnował mnie tylko kątem oka, gdy szeptałam z Maksem. Odchodząc, posyłałam mu całusa. Później, wieczorem, Maks gwizdał bądź kasłał, kichał bądź śpiewał, dając mi znać, że w pobliżu nie ma policji i że mogę bezpiecznie podać mu jedzenie przez płot. Było to niebezpieczne. Nie tak niebezpieczne jednak jak wejście goja na teren getta. Poza tym w ten sposób nie łamałam przyrzeczenia złożonego pani Diamant – a przynajmniej nie łamałam go znacznie.

Po chudnącej sylwetce Maksa widziałam, że to, co przynoszę, nie wystarcza, ale było to lepsze niż nic.

Emilka nadal sypiała w moim pokoju na drugim piętrze, coraz częściej jednak zostawała w pracy do późna, wywołując zdjęcia, tak że do mieszkania wpadała tuż przed rozpoczęciem godziny policyjnej. Dlatego gdy pewnego razu zapukała do drzwi przed zachodem słońca, bardzo się zdziwiłam. Tyle że na klatce schodowej zobaczyłam nie Emilkę, lecz... Izia.

Nie miałam pojęcia, jak się przedostał na tę stronę miasta. Ale nie pytałam. On z kolei nic nie mówił, nawet się nie przywitał. Objął mnie tylko ciasno ramionami, chudy i chropawy jak ten słupek

w prowizorycznym fragmencie ogrodzenia. Mimo że przyłgnął do mnie z całych sił, szybko zamknęłam za nim drzwi.

Słońce zniknęło za horyzontem i zrobiło się ciemno, ale ja zwlekałam z zapaleniem lampy. Nafta była tańsza od żarówek, a płonęła dostatecznie jasno, by migotliwie rozświetlić mrok. Byłam szczęśliwa, niesamowicie szczęśliwa. Izio odsunął mi włosy z twarzy i całował mnie po czole, po policzkach...

– Wiesz, że cię kocham? – pytał.

Kiwałam głową, nie miałam bowiem co do tego wątpliwości.

Zmienił pozycję i nie wypuszczając mnie z objęć, podparł się na łokciu.

– Przyszedłem powiedzieć, że Niemcy planują wywiezienie tysiąca Żydów. Co młodszych mężczyzn. Do obozu pracy.

– Dokąd?

– Chyba do Lwowa. Nie wiem, na jakiej zasadzie dokonali selekcji, ale imię Maksa znajduje się na liście.

Poczułam, jak serce mi się ściska. We Lwowie ludzie przepadali. Córka państwa Diamantów nie była jedyna.

– W węglarni jest ciężko. Silni mężczyźni padają jak muchy, a Maks nie odżywia się wystarczająco dobrze jak na taką robotę. Obawiam się, że w obozie pracy może być jeszcze gorzej... – Splótł ze mną palce, marszcząc czoło w bolesnym grymasie. Przymknąwszy powieki, szepnął: – Fusi, nie wszyscy wyjdziemy z tego cało.

Uścisnęłam jego dłoń.

– Oczywiście, że wyjdziemy. Coś się wydarzy...

– Mówisz o nadejściu Rosjan? Poprzednim razem niewiele na tym skorzystaliśmy. Przynajmniej na dłuższą metę. Przynajmniej my, Żydzi...

Chciałam powiedzieć, że Niemcy zostaną pokonani, że wojna się skończy i wszystko znów będzie jak dawniej. Nie byłam jednak pewna, czy to prawda.

A właściwie wiedziałam, że się okłamuję. Nawet wtedy to wiedziałam. Że nic nigdy nie będzie już takie jak dawniej.

– Wiedz – odezwał się znów Izio – że nade wszystko pragnę, abyśmy przeżyli. Ty i ja. Pamiętaj, że najbardziej ze wszystkiego na tym właśnie mi zależy.

Nie rozumiałam, dlaczego tak mówi. Nie poświęciłam jego słowom wiele myśli. Byłam zaślepiona miłością. Do czasu, aż ponownie zobaczyłam Maksa, jak w otoczeniu innych mężczyzn zmierzał do węglarni. Posłałam całusa strażnikowi, który swoim zwyczajem odwrócił wzrok, i dobiłam do szeregu maszerujących, równając z nimi krok. Maks wyglądał okropnie, pod oczyma miał głębokie sine cienie. Szepnął mi, że jednak nie pojedzie do lwowskiego obozu pracy.

Ponieważ Izio zajął jego miejsce.

* * *

Nazajutrz udałam się do niemieckiego urzędnika w ratuszu, tego w drucianych oprawkach. Za biurkiem zastałam kogoś innego, choć okulary miał takie same. Ale z wyglądu przypominał kunę, która dusiła nasze kury.

Ściągnął brwi, kiedy go zapytałam, jak można się dowiedzieć, w jakim obozie pracy kto przebywa. Odparł jednak, że Polacy z Przemyśla są wywożeni do Niemiec i dawnej Czechosłowacji, gdzie pracują na chwałę Vaterlandu, podczas gdy przemyscy Żydzi trafiają do Bełzca i do obozu janowskiego we Lwowie.

Postawiłam na ten ostatni.

Podziękowałam urzędnikowi, choć miałam ochotę splunąć mu w twarz, i wróciłam do mieszkania, natykając się w bramie na obwieszczenie:

KARA ŚMIERCI

DLA KAŻDEGO, KTO POMAGA ŻYDOM.

ŚMIERĆ KAŻDEMU, KTO DA ŻYDOWI DACH NAD GŁOWĄ.

ŚMIERĆ KAŻDEMU, KTO NAKARMI ŻYDA.

KAŻDY, KTO PODWIEZIE ŻYDA, ZGINIE.

ŚMIERĆ KAŻDEMU, KTO PRZYJMIE OD ŻYDA ZAPŁATĘ

– CZY TO W BRZĘCZĄCEJ MONECIE, CZY W NATURZE,

CZY W KOSZTOWNOŚCIACH.

CZY W KOSZTOWNOŚCIACH.

Przeczytałam komunikat raz, drugi, potem trzeci. Dopuściłam się niemal wszystkich tych występków. Niektórych jednego dnia. A teraz musiałam kupić bilet na pociąg, na który nie było mnie stać.

Przez tydzień jadłam tylko chleb, żeby zaoszczędzić choć trochę grosza, po czym w desperacji sprzedałam spódnicę spośród rzeczy pani Diamant. Pudło było już prawie puste, ja jednak musiałam zyskać pewność, że Izio żyje. I że wciąż ma siły. Wiedziałam, że jego bliscy także chcieliby to wiedzieć.

Był wczesny ranek, słońce nie zdążyło jeszcze zaświecić w okno. Po tym, jak obgryzłam do krwi czwarty paznokieć, zamiast wypić herbatę, Emilka się zniecierpliwiła.

– O co chodzi? Pokłóciłaś się ze swoim chłopcem?

– My się nie kłócimy – odparłam. Od urzędnika wiedziałam, że w obozie janowskim siedzą także więźniowie polityczni: Polacy, Cyganie,

a nawet Ukraińcy. Jeśli powiem, że tam trafił, Emilka się nie domyśli, że Izio jest Żydem. – Został zesłany do łagru we Lwowie. Chcę go tam odwiedzić, tyle że nie stać mnie na bilet. A nawet gdybym jakimś cudem zdobyła pieniądze, nikt mi biletu nie wyda, bo nie mam kenkarty.

– To ją sobie załatw.

– Próbowałam, ale do tego jest potrzebna metryka i zdjęcie...

– No i? – rzuciła zniecierpliwiona do granic Emilka.

– Nie posiadam metryki, a zrobienie zdjęcia drogo kosztuje. Na bilet musiałam oszczędzać przez dwa tygodnie.

– To dlatego tak marnie jesz ostatnio? Och, na miłość boską, Fusi!u!

Skrzywiłam się – zarówno w imieniu Pana Boga, jak i swoim. Nigdy nie prosiłam, by tak się do mnie zwracała. Ona jednak była człowiekiem czynu i nawet nie spostrzegła, że popełniła gafę.

– Przestań się mazać i włoż coś na siebie – rozkazała. – Mamy sprawy do załatwienia.

Sądziłam, że chodzi jej o cotygodniowe pranie, ale ona narzuciła chustkę na włosy jak do wyjścia. Ledwie się ogarnęłam, pociągnęła mnie do drzwi i dalej, prosto w spiekotę na zewnątrz.

Musiałam truchtać, żeby za nią nadążyć. Po drodze skinęła głową przyjaźnie – ale nie nazbyt przyjaźnie – dwóm niemieckim żołnierzom, którzy palili papierosy obok przyzmy gruzu, i zrobiła zaaferowaną minę, jakby czekała nas sprawa niecierpiąca zwłoki, w której załatwieniu nie powinna przeszkodzić nawet Trzecia Rzesza. Niemcy nas nie zatrzymali. Minęliśmy witrynę z żółtą gwiazdą Dawida, za którą jeszcze niedawno handlowałam u boku pani Diamant, a ja skuliłam się, gdy rozbrzmiał donośny brzęk. Rozdzwoniły się dzwony katedralne. Była niedziela.

Emilka zatrzymała się przed zakładem fotograficznym, bacznie rozejrzała, wyjęła z kieszeni klucze na dużym kółku i wpuściła nas do

środku. Drzwi zatrzasnęły się za nami, a zamek w nich kliknął, zanim dobrze się zorientowałam, co się dzieje. Mimo że żaluzje były opuszczone, dostrzegałam zarysy oprawionych portretów, rolek z filmem i aparatów na półkach. Emilka zamaszystym ruchem odciągnęła zasłonkę oddzielającą front zakładu od zaplecza.

– Szybko – ponagliła mnie, zbliżając się do dużego aparatu fotograficznego na trójnogu. – Usiądź tam... – Wskazała taboret stojący przed tłem pomalowanym w szare esy-floresy.

– Ale...

– Siadaj! – powtórzyła ostrzejszym tonem. – Muszę sprawdzić, jak ustawić lampy.

– Ale...

Pstryknęła przełącznikiem i pochwyciła mnie w snop reflektora.

– Nie ruszaj się! – przykazała.

– Ale ja nie mam czym ci zapłacić!

Emilka wyjrzała zza aparatu fotograficznego.

– Wiem, idiotko. Dlatego przyszliśmy tu w niedzielę. A teraz odpowiedz: chcesz zobaczyć się ze swoim chłopcem czy nie? Siadaj z powrotem!

Usiadłam. Emilka pomajstrowała przy aparacie fotograficznym, poprawiła mi włosy i głowę, po czym pstryknęła dwa razy migawką i błyskawicznie wyłączyła lampy.

– To powinno wystarczyć – powiedziała, pchając mnie ku drzwiom. – Pan Markowski nie zauważy dwu dodatkowych klitek, a ja schowam zdjęcia do torebki zaraz po tym, jak zostaną wywołane.

Zamknęła zakład, umieściła klucze z powrotem w kieszeni i uśmiechnęła się do mnie łobuzersko.

– Dziękuję – szepnęłam.

Ujęła mnie pod łokieć i poprowadziła chodnikiem w stronę ulicy Mickiewicza.

Tamtego dnia wiele się od Emilki nauczyłam. Po pierwsze, trzeba udawać, że ma się coś ważnego do załatwienia, a większość ludzi uwierzy, że tak faktycznie jest. Po drugie, nigdy nie zapomnieć zakręcić loków. I po trzecie, pomoc czasami nadchodzi w najmniej spodziewanym momencie i z najmniej spodziewanej strony – i dobrze, gdyż to oznacza, że człowiek tak naprawdę nigdy nie jest sam.

Nawet gdy czuje się bardzo samotny.

We wtorek znów zasiadłam przed urzędnikiem w drucianych okularach. Tym razem nie miał na głowie urzędniczej czapki, dzięki czemu dojrzałam zaczątki łysiny na ciemieniu.

– *Fräulein*^[17], jaka jest pani data urodzenia?

Podalam pierwszy miesiąc i dzień, jaki przyszedł mi do głowy, posiłkując się rokiem, który czynił ze mnie szesnastolatkę. Przynajmniej to ostatnie się zgadzało. Chyba. Urzędnik zerknął na mnie.

– A metryka?

– W jej miejsce przedstawiam zaświadczenie złożone pod przysięgą – odparłam, sięgając po pismo stwierdzające, że Emilka jako moja kuzynka zna mnie od maleńkości. Ręka mi przy tym nawet nie zadrżała.

Urzędnik przyglądał się długo najpierw mnie, potem zaświadczeniu, wreszcie zdjęciu, aż w końcu przeniósł spojrzenie na stojącą za moim krzesłem Emilkę.

– To jest pani podpis, *Fräulein*?

– Jak najbardziej. – Obdarzyła go leniwym uśmiechem.

Dwie godziny później siedziałam w pociągu jadącym do Lwowa.

* * *

Podróż trwała cztery godziny, tak że zanim znalazłam w mieście obóz – który był położony w centrum miasta, a prowadziła do niego jedna z bocznych uliczek – zrobiło się grubo po siódmej wieczorem. Na lekkim wzniesieniu po jednej stronie stała fabryczka, a w dole pod nią tłoczyły się byle jakie budyneczki ustawione na planie kwadratu. Cały teren otoczono zasiekami z drutu kolczastego. Nic więcej nie widziałam. Odnalazłam wartownię i weszłam do środka.

Ludzie kłębili się w kolejce. Trudno mi było ocenić, czy szukają krewnych i znajomych, czy robią interesy z Niemcami. Zresztą wolałam tego nie wiedzieć. W końcu kobieta przede mną zaczęła toczyć długą cichą rozmowę z człowiekiem, który siedział za biurkiem. W pewnym momencie raptownie się obróciła, odsłaniając pozbawioną wyrazu twarz, zanim wyszła. Kogokolwiek szukała – męża, brata, siostry, matki bądź ojca albo dziecka – jej starania spełzły na niczym. Osoby tej nigdy tam nie było lub już tam nie było, gdyż... nie żyła.

Nagle ogarnęło mnie przerażenie. Do biurka podeszłam z trudem, szurając po podłodze stopami, jakby były odlane z betonu. Urzędnik popatrzył na mnie zza okularów w drucianych oprawkach. Czy oni tylko takie mieli w tych Niemczech?

– *Nein*^[18] – rzucił, chociaż o nic nie zapytałam. – *Nein, nein, nein!* – wykrzykiwał do wszystkich obecnych, mieszając słowa niemieckie i polskie. – Nie, nie ma odwiedzin! Nie, nie można zostawić jedzenia dla więźniów! Nie, nikomu nie udzielię informacji o tożsamości osadzonych w tym obozie! – Wstał, gwałtownie odsuwając od siebie krzesło, którego tylne nogi zgrzytnęły o gołą podłogę, zebrał swoje papiery do teczki i uniósł prawą rękę. – *Heil Hitler!*^[19]

I tyle go widzieliśmy.

Popatrzyliśmy po sobie nawzajem i niczym potulne barany wysypaliśmy się za nim na zewnątrz. Do odjazdu pociągu zostały mi dwie godziny, a wiedziałam już z doświadczenia, że niemieckie pociągi kursują punktualnie. Z dziedzińca obozu, skrytego za drutem kolczastym i budynkami, dolatywały jakieś odgłosy. Maszyny pracowały, robotnicy pokrzykiwali, a nawet... grała orkiestra? Słońce nadal całkiem mocno przygrzewało, tak więc większość ludzi schroniła się w cieniu wartowni.

Przerażenie opuściło mnie równie nagle, jak się pojawiło. Nie bałam się już. Czułam gniew. To po to nakłamałam Niemcowi w przemyskim ratuszu? To po to, zamiast kupić jedzenie Diamantom, wydałam pieniądze na bilet kolejowy?

Pojawił się strażnik, który zajął miejsce przed drzwiami wartowni. Obrzuciłam wzrokiem jego mundur. Nie należał do SS. Był jakiś wymiętoszony i przykurzony, ciężki karabin maszynowy zwieszał się w jego rękach luźno. Sprawiał wrażenie kogoś odrzuconego, tak jak my.

Wiedziałam już, że strach prowadzi donikąd. Tak samo jak gniew. Starłam emocje z twarzy i zbliżyłam się ostrożnie do strażnika. Strzelił oczyma na prawo i lewo, po czym utkwiał spojrzenie we mnie.

– Wyznaczono ci wartę – stwierdziłam. – Masz pecha.

– Są gorsze rzeczy od warty – odparł.

Z ulgą powitałam polszczyznę, to nic, że zabarwioną niemieckim akcentem. Uśmiechnęłam się.

– Jak mogę dostać się do obozu?

– Nijak. Po co ci tam iść? Ja nie pozwoliłbym mojej sympatii zbliżyć się do tego obozu nawet na dziesięć kilometrów.

– Ale... w środku jest ktoś... znajomy...

Zauważyłam, że zaciska szczęki w uporze. Spuściłam wzrok.

– Jego żona, a moja siostra, właśnie urodziła mu dziecko. Chłopca... – Kłamstwa spływały mi po języku niczym wino porzeczkowe. – Chcę mu tylko przekazać, że został ojcem. Że matka i dziecko czują się dobrze. To chyba nic takiego? Poza tym – ciągnęłam – chyba umiesz sobie wyobrazić, że mężczyzna, który został ojcem, będzie pracował jeszcze ciężiej, będzie przestrzegał wszystkich zasad, byle kiedyś móc zobaczyć najbliższych. Czy to nie najlepsza motywacja? Spójrz – dodałam, wyciągając z torebki zawiniątko, w którym wiozłam chleb z serem zapakowany na drogę. Plamy tłuszczu zaczęły już przesiąkać przez pergamin. – Mam też coś dla ciebie...

Wargi strażnika drgnęły. Uśmiechnęłam się szerzej. Mężczyzna chyba się zarumienił.

– Jak się nazywa twój szwagier? – zapytał cicho.

– Izydor Diamant.

– Sprowadzę go. Ale chcę dostać coś od ciebie w zamian. Coś innego niż jedzenie.

Żołądek mi się zacisnął.

– Całusa – dopowiedział strażnik. – Jednego całusa w policzek.

Czując na sobie spojrzenia ludzi ukrytych w cieniu wartowni, spojrzenia wierzące mi w plecach dziury niczym kule, nie zawahałam się. Stanęłam na palcach i ucałowałam Niemca w policzek.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Chodź ze mną.

Poprowadził mnie do wnętrza pustej teraz wartowni. Minęliśmy drzwi za biurkiem i znaleźliśmy się w pomieszczeniu, w którym był jeden stół i jedno krzesło oraz kolejne drzwi w przeciwległej do wejścia ścianie. W powietrzu unosił się zapach papierosów i potu.

– Zaczekaj tutaj – polecił mi strażnik.

Wychodząc, zamknął drzwi na klucz.

Stałam z rękoma zwieszonymi wzdłuż boków, przeklinając się w myślach, że jestem dokładnie tak niemądra, jak mówiła mi pani Diamant. A do tego naiwna. Niemcy nie znali takich pojęć jak dobro i zło. Byli drapieżcami, a ja właśnie zamieniłam się w ofiarę. Mama sprawiłaby mi lanie za to, że nie okazałam cienia rozsądku; podobnie postąpiłaby moim zdaniem pani Diamant.

Drugie drzwi także zamknięto na klucz, sprawdziłam to, a okien w ogóle nie było. Spozstrzegłam, że jedna z desek podłogowych odstaje, źle przybita do podłoża, i uznałam, że dziura w podłodze to już coś. Poza tym deska z wystającymi gwoździami też mogła się do czegoś przydać. Właśnie starałam się ją podważyć i wyjąć, gdy w zamku zachrobotał klucz. Na oścież otworzyły się te drugie drzwi i przeszedł przez nie nieznajomy w za dużych na niego szarych łachmanach.

– Dziesięć minut – rzucił strażnik, zajrzawszy do środka, zanim zamknął drzwi od zewnątrz.

Nieznajomy chciał do mnie podejść, ale robił to niezdarnie z powodu łańcucha skuwającego mu nogi w kostkach.

– Fusia... – wydyszał i wtem przestał być w moich oczach nieznajomym.

To był Izio.

Podbiegłam do niego i zarzuciłam mu ręce na szyję.

Głowę miał ogoloną na zero i cały był przykurzony. Nie mył się chyba od wielu dni. Obejmując go ramionami, czułam tylko skórę i kości. W ciągu miesiąca postarzał się o trzydzieści lat. W najgorszych snach nie wyobrażałam sobie, że człowiek może tak cuchnąć, ale przecież to nadal był mój Izio.

– Fusiu... – zaczął ponownie, po czym odstąpił o krok, aby mi się przyjrzeć. – Strażnik mówi, że zostałem... ojcem?

Widziałam, że jest zdumiony, zważywszy, że biologia ma jednak swoje prawa. Gestem zlekceważyłam swoje kłamstwo i zamiast cokolwiek wyjaśniać, wyjęłam z torebki resztę jedzenia, które mu przywiozłam. Usiadł na jedynym krześle i pochłonął kanapkę w okamgnieniu. Był spięty. Nerwowo. Ręce drżały mu nieznacznie.

– Masz wodę? – zapytał. Nie miałam. Wtedy szepnął do mnie: – Musisz mnie stąd wydostać.

Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam. Izio ujął moje dłonie.

– Musisz mnie stąd wydostać! Nie mogę tu dłużej być... Zabiją mnie. Nas. Każdego. Rozumiesz?

Nie rozumiałam. Izio zacisnął mocno powieki. Skóra na jego ogolonej czaszce naciągnęła się niczym pergamin.

– Wydostań mnie stąd, Fusi – poprosił. – Błagam, wydostań mnie stąd...

Coś we mnie pękło. Pomyślałam, że to moje serce. Ale z pękniętego serca było tyle samo pożytku co ze strachu i z gniewu.

– Powiedz, co mam zrobić.

* * *

Podróż powrotna do Przemyśla była znacznie krótsza od jazdy w tamtą stronę. Przynajmniej takie odniosłam wrażenie, zatopiona głęboko w myślach.

„Zabiją każdego Żyda – powiedział Izio. – Każdego komunistę. Każdego Cygana. Ale w szczególności wszystkich Żydów...”

Zabiją nas, zabiją nas, zabiją nas, rozbrzmiewało w rytm stukotu kół. Zamknęłam oczy, starając się odciąć od tych słów.

„Wiedzą, że i tak umrzesz, więc pogrywają z tobą. Bawią się jak zabawką. Biją i głodzą. Upokarzają na każdym kroku. Torturują. Strzelają

do ludzi po lasach, a potem miał ich kości, żeby nie dało się ich znaleźć. Mają nawet orkiestrę, złożoną z samych więźniów, którzy układają specjalne piosenki z okazji każdej egzekucji, każdej sesji tortur...”

Zabiją nas, powtarzały koła pociągu.

„To nie są przypadkowe zabójstwa. To działanie według planu. Oni tego chcą!”

Tak jak tamten esesman, bijący dziewczynę kolbą karabinu.

Izio zapewnił mnie, że strażnicy przemykają oko. Niektórzy nie pętają więźniów na noc. Gdyby zatem oddalił się po południowej zmianie, nikt by nie zauważył jego zniknięcia do czasu wydawania wieczornego posiłku. Ale potrzebował cywilnego ubrania, mydła, butów, czapki i okularów. A także biletu kolejowego. Mogłabym po niego przyjść tak jak dzisiaj. Ukryć odzienie w krzakach obok oficerskich latryn i oddalić się razem z nim po tym, jak by się już przebrał. Odczekać swoje na peronie u jego boku. Nikt by go nie rozpoznał – w cywilnych ciuchach, w towarzystwie dziewczyny. Przedostalibyśmy się do Przemyśla, później może do Rosji...

„Pomóż mi, Fusi” – błagał, a łzy ciekły mu po brudnych policzkach.

Sprzedawałam wszystko. Co innego mogłam zrobić? Potem kupowałam rzeczy w rupieciarniach i sprzedawałam za grosze drożej w innych sklepikach, gdzie akurat był popyt. Oszczędzałam i oszczędzałam. Moje ostatnie dwie sukienki wisały na mnie jak na szkielecie. Chodziłam do getta i zносиłam Maksowi jedzenie dla rodziny Diamantów. Może nie tyle, ile powinnam, ale za to codziennie.

Wyznałam Maksowi, że widziałam się z Iziem. Że jego brat żyje i pracuje. Nie zająknęłam się tylko na temat tego, w jakim jest stanie.

Ani na temat planu.

W dniu, w którym miałam uratować Izia, kupiłam bilet kolejowy, ukryłam męskie buty pod każdą pachą, co było możliwe dzięki obszernemu

płaszczowi, zdecydowanie zbyt ciężkiemu jak na lipiec, koszulę upchnęłam pod sukienką, a czapkę, slipy i parę zdefasonowanych okularów, które znalazłam na ulicy, zwinęłam razem ciasno, by pakunek mógł uchodzić za drugie śniadanie.

Spocona jak licho, wsiadłam do pociągu i przez jakiś czas poddawałam się jego rytmowi, w końcu jednak poszłam do ubikacji, gdzie nad dziurą udającą toaletę zwróciłam wszystką herbatę, którą wypięłam na śniadanie. Od razu poczułam się lepiej. Opuściłam nieco okno i koncentrując się na świeżym powiewie, rozmyślałam, jak to będzie wspaniale, gdy wszystko się uda. Nadejdzie kres wojny, Izio dokończy medycynę i zatrudni się w szpitalu. Zamieszkamy w kawalerce o jasnobieżowych dywanach, które nigdy nie będą się brudzić, i z nowoczesną tapetą, taką bez wzorku. W przyszłości dochowamy się dwojga dzieci, schludnie ubranych i z metrykami urodzenia w szufladzie.

Zęby szczękały mi w rytm stukotu kół...

Wreszcie powiew na twarzy zelżał, kołysanie ustąpiło i pociąg ociążał się zatrzymał. Wyjrzałam przez okno, aby sprawdzić, jaka to stacja. W oddali dostrzegłam czołgi. Przekraczały tory, z działami sterczącymi z wieżyczek. Po obu stronach pancерnej kolumny jechały dżipy ze swastykami na drzwiach. A z tyłu... z tyłu szli mężczyźni. Szereg za szeregiem.

W przedziale nikt się nie odezwał. Nie było sensu nic mówić. Po prostu siedzieliśmy, czekając, aż niemiecka armia przestanie maszerować.

Trwało to pięć godzin.

W końcu pociąg szarpnął i znów ruszył. Pasażerowie jak jeden mąż odetchnęli z ulgą. Jechaliśmy dalej przez jakieś dwadzieścia minut, po czym znowu stanęliśmy.

Tym razem czekaliśmy trzy i pół godziny. A gdy w końcu dotarliśmy do Lwowa, na niebie świecił księżyc, obóz zaś był zamknięty na cztery spusty.

Rozminęłam się z Iziem.

[17] *Fräulein* (niem.) – panna.

[18] *Nein* (niem.) – nie.

[19] *Heil Hitler!* (niem.) – dosł. „Chwała Hitlerowi!”, powitanie i pożegnanie obowiązujące za Trzeciej Rzeszy.

7

LIPIEC 1942

Znalazłam nocleg u pewnej kobiety, która jednak policzyła sobie słono, tak że nazajutrz musiałam się obejść bez jedzenia.

Miałam nadzieję, że Izio nie czekał na mnie. Skoro nie pojawiłam się przy latrynach, nie powinien był realizować dalej planu sam.

Na kwaterze mogłam zostać tylko do obiadu, a że nie było mnie na niego stać, włożyłam ciężki płaszcz i błąkałam się po Lwowie do zmierzchu, kiedy to więźniowie wracali z dziennej pracy do obozu janowskiego. Szli zgarbieni, powłócząc nogami i gapiąc się w ziemię, dlatego zajmąwszy umówioną pozycję przy oficerskich latrynach, narzuciłam na głowę jaskrawoczerwoną chustkę. Czekałam. Nigdzie nie dostrzegłam Izia, ale trudno było kogokolwiek wypatrzeć wśród jednakowo ogolonych i ubranych więźniów. Mnie z kolei było doskonale widać, nawet w promieniach zachodzącego słońca.

Czekałam.

I czekałam.

Zmrok nadszedł późno i niechętnie, jak to latem. *Jeśli Izio nie pojawi się niebawem, pomyślałam, ucieknie nam pociąg. Jeśli nie pojawi się w ogóle, najbliższą noc spędzę pod gołym niebem i jutro znów tu wrócę.* Przed wartownią zmienił się strażnik. W pewnym momencie rozległo się syknięcie.

Rozejrzałam się dookoła. Strażnik mnie przywoływał. Gdy podeszłam bliżej i przyjrzałam mu się, stwierdziłam, że to ten sam Niemiec, którego pocałowałam w policzek. Na mój widok potrząsnął głową.

– To ty – rzucił chmurnym głosem. – Tak myślałem, że to ty. Szukasz swojego „szwagra”?

Nie odpowiedziałam. Mówił bardzo dziwnie. Bełkotał jak pijany, ale nie miałam pewności, czy faktycznie był pod wpływem alkoholu. W jego oczach było coś, co mnie zaniepokoiło.

– Wiedziałem, że nie powinienem być cię wpuszczając. Po co ja w ogóle cię... – Dodał coś po niemiecku, coś, czego nie zrozumiałam, ale z jego tonu domyśliłam się, że to przekleństwa. Na koniec splunął mi prosto pod nogi.

Podniosłam na niego spojrzenie.

– Czemu jesteś na mnie zły?

– Przyczyniłaś się do jego śmierci, *Liebchen*[20]. Żona któregoś oficera poszła skorzystać z latryny, a on pomyślał, że to ty. Ale to nie byłaś ty. Mieliście plan, jak go stąd wydostać, lecz ty się nie zjawiłaś. Prawda?

W głowie mi huczało. Z każdą chwilą szum narastał. Przez to nie mogłam się skupić. Miałam nawet kłopoty ze słuchem.

– Tak nam powiedział. Na sam koniec. Każdy by powiedział na jego miejscu. Nie powinienem był... – Skrzywił się, splunął ponownie i mruknął: – Przekłęta orkiestra.

– Kłamiesz.

Strażnik się roześmiał.

– Jesteś Polką, ale to mnie zarzucasz kłamstwo? Dorastałem w Polsce, wiem, że wszyscy Polacy to urodzeni kłamcy. – Postąpił w moją stronę, złapał mnie za włosy i przyciągnął do siebie, tak że niemal stykaliśmy się twarzami. Szeptem opowiedział mi, co uczynili Iziowi. Kręciłam głową, zaprzeczałam, ale on nie przestawał. Wreszcie odepchnął mnie z taką siłą, aż się zatoczyłam. – Odejdź – syknął. – Zanim zawołam komendanta.

Stałam bez ruchu, jakby ktoś rzucił na mnie zaklęcie. Mogłam tylko dyszeć.

Izio. Nie żyje. Mój Izio nie żyje. Nie żyje...

– Wynoś się stąd! – krzyknął strażnik.

Cofnęłam się o krok, drugi, okręciłam na pięcie i pognałam na plac sąsiadujący z obozem. W uszach mi dudniło, jakby nisko nad moją głową przelatywał bombowiec. Hałas mnie otaczał. Nic poza tym nie słyszałam. Nie byłam w stanie myśleć. Ledwie widziałam na oczy. Potykając się i zataczając, pokonywałam nierówne podłoże. W pewnym momencie wyjęłam spod pach buty dla Izia i cisnęłam nimi w dwie przeciwne strony.

Potem przyszła kolej na zawiniątko z czapką i okularami, wzięłam potężny zamach, wrzeszcząc przy tym na całe gardło, i rzuciłam je daleko, tak że zniknęło w ciemnościach. Omal się nie przewróciłam o kupę kamieni, rozcięłam sobie przy tym łydkę, po czym wyzuta nagle z sił, osunęłam się na ziemię.

I zapłakałam. Wyłam i zanosłam się szlochem tak donośnym, że z pewnością słyszano mnie na ulicy, a może nawet w obozie.

Pragnął żyć. Tak bardzo pragnął żyć, a oni mu nie pozwolili. Niemcy zabili Izia. Wcześniej zaś go torturowali.

Wnętrznosci zadzierzgnęły mi się w supeł. Przełyk palił żywym ogniem. Do ust podeszła gorycz.

Poczułam, że ktoś ciągnie mnie za rękaw. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że pochyla się nade mną kobieta, za którą stało kilka podobnych, niewyraźnych postaci. Jedna z osób poświeciła latarką. Ujrzałam zabłocone trzewiki, pomiętą sukienkę, ciężki płaszcz rzucony na zroszoną trawę.

– Źle się czujesz, dziecko? – zapytała kobieta.

Wyciągnęłam rękę i wsparłam się na zimnym kamieniu. Był gładki i płaski, a blask latarki wydobył z ciemności wyryte na nim litery. Zrozumiałam, że siedzę nie na kupie zwykłego gruzu, lecz wśród zniszczonych nagrobków. Otaczała mnie miękka, poznaczona płytami nagrobnymi ziemia. Znajdowałam się na cmentarzu.

Może Izio gdzieś tu jest...

– Kiedy ostatnio miałaś coś w ustach?

Uświadomiłam sobie znów obecność kobiety, która teraz podawała mi sucharek. Wzięłam go od niej i zjadłam niczym posłuszne dziecko, za jakie mnie miała.

– Straciłaś kogoś? – zapytał ktoś inny.

Skinęłam głową.

– Biedactwo.

– Możesz u nas przenocować.

Ich dobroć wydała mi się okrucieństwem, ponieważ Iziowi nikt nie okazał serca.

– Dworzec – szepnęłam.

Opatulili mnie i wózkiem zawieźli na stację, gdzie kupili mi bilet i wręczyli zapakowane w papier suchary. Nie pamiętam, ilu ich było. Nie pamiętam nawet, jak wyglądali.

Do Przemyśla dotarłam już po rozpoczęciu godziny policyjnej, ale i tak z dworca udałam się prosto do domu. To znaczy do wyludnionej, przypominającej grobowiec kamienicy. Po drodze nie spotkałam żadnego policjanta ani żandarma. Za to na miejscu znalazłam wiadomość od Emilki: pojechała z odwiedzinami do matki mieszkającej w Krakowie. Napiłam się trochę wody i wyciągnęłam na łóżku. Naprawdę upłynęło tyle czasu, odkąd Izio żył pod tym dachem?

Tak. Ponieważ było to w innym życiu.

Wstałam o wschodzie słońca, odszukałam brulion i coś do pisania, po czym skreśliłam krótki list do państwa Diamantów. Poinformowałam w nim, że Izidor zmarł w obozie. Zginął na miejscu od strzału w głowę. Został pochowany we Lwowie, tak więc będą mogli odwiedzać jego grób po wojnie.

Kłamstwa, same kłamstwa.

Z wyjątkiem tego, że Izio nie żył.

Wręczyłam list naszemu poczciarzowi, panu Dorlichowi. Choć był Żydem, miał pozwolenie na wożenie poczty, pod warunkiem że co wieczór zamelduje się w getcie. Esesmani czekali na niego zawsze przy bramie. Pan Dorlich uchylił czapki, po czym odjechał konnym wozem pocztowym. Odprowadzałam go wzrokiem, dopóki nie ścichł stukot końskich podkówek na bruku, i dopiero wtedy zarzuciłam sakwę na ramiona.

Chciałam do mamy.

Chciałam do sióstr.

Chciałam do domu.

Nie miałam jednak grosza przy duszy.

Dlatego ruszyłam pieszo.

Szłam jak automat. Jak pusta skorupa z metalu, z przegubowymi kończynami. Po przejściu dwudziestu pięciu kilometrów i krótkiej

podwózce furmanką wkroczyłam na ścieżkę prowadzącą do naszego gospodarstwa.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, ale wciąż złociło swymi promieniami okoliczne wzgórza i pofałdowane pola. Nigdzie nie widziałam żywej duszy. Łany zboża kołysały się na wietrze, drzewa rosnące na skraju lasu zdawały się do mnie machać konarami. Kiedy znalazłam się w pobliżu domu, wyczułam, że coś jest nie tak. W ogóle nie było słycać gdakania. Zniknęły gdzieś wszystkie kury i krowy. Konie ani nie parskały, ani nie rżały. Stodoła świeciła pustkami. A tylne drzwi budynku mieszkalnego stały otworem.

Przestąpiłam przez próg z duszą na ramieniu.

Od mojej ostatniej bytności kuchnia się skurczyła. Stół zrobił się niższy, palenisko mniejsze. Do tego panował tu straszny bałagan. Krzesła leżały poprzewracane, drzwiczki szafek ledwie się trzymały na zawiasach, półki były ogołoczone ze wszystkiego, tylko kurz walał się na nich. W powietrzu wyczułam stęchliznę. Jakby dom był od dawna niezamieszkały. Porzucony, niekochany...

– Mamo? – szepnęłam. – Stasiu?

Chodziłam od izby do izby, ale choć nieustannie szeptałam imiona, nikt mi nie odpowiadał. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i dało się wynieść, poduszek nie wyłączając, zniknęło. W szafie ostało się kilka najstarszych bluzek mamy i jeden czy dwa garnitury po tacie, ale wszelka biżuteria przepadła, tak samo jak należące jeszcze do babci pozłacane jajo, otwierane w połowie niczym puzderko.

W końcu dotarłam do izby, którą niegdyś sama zajmowałam. Pchnięte przeze mnie drzwi zaskrzypiały, w środku zastałam inny kolor na ścianach i parę wyblakłych perkalowych zasłonek, które powiewały na otwartym

oknie. Pośrodku podłogi, na gołym materacu, który kiedyś służył mi za łóżko, leżała zwinięta w kłębek ciemnowłosa dziewczynka.

– Hela! – krzyknęłam. I wybuchnęłam płaczem.

* * *

– Gdzie mama? – zapytałam chyba po raz dziesiąty, lecz moja siostra tylko chwyciła powietrze otwartymi ustami, rycząc wniebogłosy.

Zniosłam ją jak bezwolne ciele na dół, podniosłam krzesło z podłogi i usadziłam na nim małą, odruchowo rozglądając się za czajnikiem albo czymś innym, w czym mogłabym zagotować wodę. Z naczyń ostał się tylko antyczny nocnik, który służył za poidło dla kota. Prądu oczywiście nie mieliśmy. Nasza osada nie była zelektryfikowana. Na szczęście na obramowaniu pieca znalazłam zapalki, których nikt nie zabrał, a pod fajerką trochę drewna. Przyniosłam wiadro wody ze studni, zagotowałam ją w nocniku, chlusnęłam zawartością przez otwarte tylne drzwi i powtórzyłam czynności, licząc, że przy kolejnej próbie żadnej z nas nie otruję.

Przez cały ten czas Helena siedziała sztywno z dłońmi złożonymi na kolanach i obserwowała mnie bacznie. Włoski miała skołtunione, sukienkę tak podartą, że ledwie co zakrywała. Przez dziury w tkaninie widziałam siniaki na jej ramionach i nogach. Wyciągnęłam z sakwy jedyny kubek, jaki posiadałam, wlałam do niego gorącej wody, dosypałam całą łyżeczkę cukru i na koniec dorzuciłam parę listków mięty, którą mama hodowała w doniczce na parapecie.

Kazałam Helenie dobrze podmuchać, zanim upije pierwszy łyk. Usłuchała, po czym wypła wszystko duszkiem. Naszykowałam jej drugi kubek. Oczywiście miała wielkie jak spodki. *Ile ona ma teraz lat? Sześć czy siedem?...* Uznałam, że sześć.

– Zabrali ich – wyszeptwała. – Panowie ze złamanym krzyżem.

Uzmysłowiłam sobie, że chodzi jej o swastykę. Przysiadłam na drugim krześle.

– Kogo zabrali?

– Mamę i Stasia.

Przecież jesteśmy katolikami, pomyślałam.

– Zabrali kogoś jeszcze? – dopytywałam. – Był tu ktoś jeszcze? Marysia?

– Nie. Nie wiem.

– Kiedy ostatnio jadłaś, Helu?

– Rano. Znalazłam w lesie maliny.

Musiały być mocno przejrzałe.

– Ile ich znalazłaś?

– Cztery.

– A wcześniej? Kiedy jadłaś?

– Wczoraj rano. Też maliny.

– A gdzie spałaś?

– U pani Zielińskiej. Mama mnie u niej zostawiła.

No, nareszcie do czegoś dochodzimy.

– Zatem tutaj jesteś od wczoraj, tak?

Helena skinęła głową, pozwalając, by łzy popłynęły jej znów po twarzy.

– Fusi, dlaczego ona mnie tam zostawiła?

Nie miałam pojęcia. Może dlatego, że sama nie wiedziała, co począć? Chciało mi się z tego wszystkiego płakać, ale nie mogłam okazać słabości przed młodszą siostrą. Przez wzgląd na nią uśmiechnęłam się szeroko.

– Zjedźmy coś.

– Będę musiała wrócić do pani Zielińskiej?

Powiodłam wzrokiem po sińcach na ciele dziecka. Mama przyjaźniła się z panią Zielińską i pozwalała jej huścić Helenę na kolanie. Odkąd jednak pojawili się Niemcy, w ludziach zaszła zmiana. Teraz każdy był zdolny do wszystkiego.

Niemcy... To oni zabrali obie moje rodziny. Ścisnęło mnie w dołku.

Helena czekała na odpowiedź. Podobnie jak mama, nie miałam pojęcia, co z nią począć.

Powiedziałam więc tylko:

– Tę noc spędzimy w domu.

Nakarmiłam siostrę sucharami, które dostałam od ludzi z cmentarza. Potem zebrałam w obejściu trochę drew i słomy, dzięki czemu udało mi się przyrządzić grzanekę z serem, który wzięłam z mieszkania przy ulicy Mickiewicza. Helena jadła powoli, rozkoszując się każdym kęsem. Mnie musiało wystarczyć jabłko.

Gdy już się posiliłyśmy, zgasiłam ogień, zamknęłam wszystkie drzwi i zniosłam Helenę z powrotem na górę, zabrawszy ze sobą nocnik z ciepłą wodą i lampę znalezioną w stodole. W mdłym blasku umyłam siostrę tak dobrze, jak umiałam w tych okolicznościach, uważając oczywiście na tkliwe miejsca, następnie rozczesałam jej włosy i wreszcie ubrałam ją w jedną ze starych koszul mamy. Nie miałyśmy pościeli, padłyśmy więc obie na goły materac. Helena zasnęła w locie.

Bolało mnie całe ciało. Lwów opuściłam o głodzie, później praktycznie nie spałam, a zrobiłam prawie trzydzieści kilometrów pieszo. Straciłam Izią, mamę i Stasia. Może jeszcze kogoś, ale tego nie wiedziałam na pewno. Bolały mnie stopy. Bolała mnie głowa. Lecz najbardziej ze wszystkiego doskwierała mi w piersi rozpacz, która była gorsza od najstraszniejszej choroby.

W świetle lampy przyglądałam się śpiącej Helenie. Była wychudzona, lecz twarz wciąż miała pucołowatą, dziecięcą. Potrafiłam myśleć wyłącznie o tym, że jest moją siostrą. I że jest tutaj, koło mnie. Tu i teraz. Moja rodzina. Helena mnie potrzebowała, a ja mogłam jej pomóc. Wszyscy inni byli dla mnie straceni.

Zepchnęłam Izia w najgłębsze zakamarki świadomości i postawiłam tamę smutkowi. Zdecydowałam, że zajmę się nim w przyszłości, gdy będę umiała to zrobić. Otoczyłam Helenę ramieniem i zasnąłam.

Po przebudzeniu wyszłam z siostrą w pole. To zabawne, co człowiek pamięta. Znałam okolicę jak własną kieszeń, każdą ścieżynkę, każdy zakręt i odnogę. Poruszałam się tutaj z taką samą łatwością, jak czyniłam to, chodząc po ulicach Przemyśla. W pewnym momencie Helena wyśliznęła się z moich drętwiejących ramion i stanęła pewnie na ziemi. Akurat znalazłyśmy się przed furtką Zielińskich. Choć moja siostra nadal miała na sobie podartą sukienkę, przybrała dumną minę. A przy tym ścisnęła mnie za rękę tak mocno, że aż bolało. Zapukałam do drzwi. Otworzył mi starzec, którego nigdy nie widziałam na oczy. Przyglądał rzadkie pasma siwych włosów na głowie i zmrużył powieki w obronie przed rażącym słońcem.

– Czy mogłabym mówić z panią Zielińską?

– Nie – odparł starzec.

Poczułam, że moje brwi wędrują w górę.

– Dlaczego?

– Pani Zielińska nie żyje. Pójdę po zięcia.

Drzwi się zamknęły. Zrozumiałam, że właśnie miałam do czynienia z ojcem pani Zielińskiej. Wcześniej nie mieszkał w naszej osadzie.

Zerknęłam na Helenę.

– Nie powiedziałaś mi, że pani Zielińska nie żyje.

– Nie pytałaś mnie o to – odparła moja siostra. Znów była bliska łez. Pochwyciłam mocniej jej drżącą rączkę.

Ktoś otworzył ponownie drzwi i tym razem w progu stanął pan Zieliński. Helena instynktownie się skuliła.

– Ho, ho! Jeszcze jedna Podgórska! Czego chcesz?

Był pijany. A nie minęła jeszcze ósma rano. Nawet nie zauważył Heleny. Błyskawicznie sobie przypomniałam, dlaczego nigdy go nie lubiłam.

– Chcę się dowiedzieć, co stało się z moją matką i bratem.

Pan Zieliński wzruszył ramionami.

– Żołnierze przyszli i wyciągli ich z chałupy. Wysłali do Niemiec, do obozu pracy. Teraz oboje pracują na Hitlera, a wasza ziemia się marnuje.

Obóz pracy... Izio też był w obozie pracy... Żal rozgorzał we mnie ze zdwojoną siłą.

– Jak dawno to było?

Znowu wzruszył ramionami, jakby miał taki tik.

– Sześć, może siedem tygodni temu.

Wtedy, gdy głowę miałam zaprzątniętą rodziną Diamantów. Dlaczego nie było mnie tutaj? Mogłabym ich ostrzec. Mogłabym im powiedzieć, jacy naprawdę są Niemcy. Ukryliby się gdzieś. Albo by uciekli...

Poczuciu winy też postawiłam tamę. Będę się nim samobiczować później.

– Opiekował się pan moją siostrą – raczej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Kim?

– Moją młodszą siostrą, Helą.

Oparł się o futrynę. Tylko dzięki temu się nie przewrócił.

– Małą zajmowała się Ela. Zanim umarła.

Nie miałam pojęcia, czy mówi o swojej żonie czy o Helenie, której nadal nie zauważał.

– Sądzi pan, że dzieci można bić i zostawiać same w lesie?

Wymierzył we mnie wyprostowany palec wskazujący.

– Stara Podgórska obiecała, że zapłaci. Ale do tej pory nie przysłała ani grosza. Nie będę karmił darmozjada. Zaznała mojej ciężkiej ręki, kiedy nie chciała sprzątać w obejściu, a co!

Spoglądałam na jego nieogoloną gębę, na wory pod oczyma i obwisłą skórę pod pachami. Cuchnął na kilometr, choć miał się w czym umyć. Schowałam Helenę za siebie i postąpiłam krok w jego stronę.

– Pan Bóg ci odpłaci – syknęłam.

Zieliński chyba się zdziwił.

– Za każdy cios, który jej wymierzyłeś – podjęłam – będę się modlić, żeby Niemiec dziesięciokrotnie upuścił na ciebie pałkę. Za każdy dzień, w który przymierała przez ciebie głodem, będę się modlić, żebyś przez dziesięć dni z rzędu musiał się obejść bez jedzenia, a zwłaszcza bez picia. Będę się modlić, żeby wyskoczyły ci wrzody. Żeby ugryzł cię wściekły pies. Żeby zęby ci zgniły i żeby twoje... twoje przyrodzenie odpadło! – Popatrzyłam w dół, a on pobiegł spojrzeniem za mną. – I jeszcze żeby ta podła wódka, którą pędzisz w stodole, przeżarła ci wnętrzności na wylot i utrupiła cię!

Zieliński otworzył usta i na powrót je zamknął.

– Tak między nami mówiąc, z pewnością pan wie, czyich modlitw Pan Bóg wysłucha. Ty podlec!

Wzięłam Helenę na ręce, odwróciłam się i wyszłam za furkę, kopiąc ją za sobą nogą z całej siły. Usłyszałam jeszcze, jak trzaskają drzwi do domu, po czym z hukiem opada rygiel. Helena trzymała się mnie kurczowo za szyję.

- Zostawiłaś u nich buty i ubrania? – szepnęłam.
- Nie. Wszystko sprzedali – odszepnęła.
- Doskonale. – Gotowałam się w środku z wściekłości.
- Nie muszę tam wracać?
- Nie.
- Już nigdy?
- Nigdy.

Helena złożyła głowę na moim ramieniu i zamachała nóżkami. A potem zachichotała.

Im bardziej oddalałyśmy się od gospodarstwa Zielińskich, tym mniej czepliwa była moja siostra. Po jakimś czasie poprosiła, żebym postawiła ją na ziemi. Jeszcze trochę później zaczęła podskakiwać. W połowie drogi do naszego domu opadły mnie wątpliwości. *Co ja wyprawiam? Jak ją wykarmię? Jak przyodzieję? Czy Helena nie powinna przypadkiem chodzić do szkoły?* Nie miałam pojęcia, jak zadbać o małe dziecko.

Ale musiałam o nią zadbać, ponieważ nie było nikogo prócz mnie.

Maszerując na przelaj przez pole, myślałam w duchu zawzięcie, że Pan Bóg powinien wysłuchać moich modlitw dotyczących Zielińskiego, o ile jest na tym świecie jakaś sprawiedliwość. Na domiar złorzeczyłam też Niemcom, po tysiącuroć bardziej. Za getto w Przemyślu. Za wysłanie mamy i Stasia do obozu pracy. Za zatrzymywanie pociągów. I za to, co uczynili Iziowi.

Helena szybko się zmęczyła. Mówiła, że bolą ją stopy i głowa, i prosiła, żebyśmy częściej przystawały. Wzięłam ją więc na barana i sama zmachałam się jeszcze szybciej, tak że obie potrzebowałyśmy odpoczynku. Podzieliłam się z nią resztką chleba, popiłyśmy wodą ze strumyka i ruszyłyśmy dalej. Przez cały dzień nie minął nas żaden samochód, a z powodu licznych postojów droga powrotna trwała dwa razy dłużej, choć

szłam znaną mi trasą. W końcu wyszliśmy spomiędzy wzgórz i zobaczyliśmy światła Przemyśla rozciągającego się po obu stronach rzeki.

Świateł było jednak niewiele. Działały tylko nieliczne latarnie, do tego zasłonięte przez kamienice, a wszystkie okna zaciemniono. Nie miałam zegarka, ale przypuszczałam, że jest już po północy. Nie puszczając rączki Heleny, zagryzałam wargę i myślałam intensywnie.

Zdarzyło mi się wracać do Przemyśla po rozpoczęciu godziny policyjnej, zwłaszcza wtedy, gdy za towary pozostawione przez panią Diamant mogłam dostać więcej pieniędzy na wsi niż w mieście. Na ogół jednak spędzałam noc pod gołym niebem, czekając na wschód słońca, po którym mogłam przebywać na przemyskich ulicach. Tego dnia do świtu było jeszcze daleko, a ja miałam pod opieką Helenę. Słaniała się na nogach i była bardzo milcząca. Poza tym pot, który oblewał nas za dnia, teraz chłodził nam nieprzyjemnie plecy. Gdy moja siostra zadrżała, podjęłam decyzję. *Ostatnim razem nie natknęłam się po ciemku na żaden patrol. Zresztą będziemy się trzymać bocznych uliczek...*

– Chodź, Helu. To już niedaleko. Napijemy się herbaty, zrobimy ci kąpiel, a potem całą noc prześpisz w wygodnym łóżku.

Kiwała głową jak lalka, półnaga w wystrzępionej sukience i tylko na poły przytomna. Ponownie zagryzałam wargę. Nie mogła się tak pokazać w mieście, nawet jeśli większość ludzi już spała. Zatrzymałam się przy drzewie, zdjęłam sukienkę i szybko ubrałam w nią małą. Przecknęła się, kiedy wkładałam jej rączki w za długie rękawy i ściągałam obfity materiał w talii paskiem. Było go sporo, ale przynajmniej mogłam mieć nadzieję, że Helena nie potknie się i nie upadnie. Zanim ruszyliśmy dalej, wyjęłam z sakwy swój płaszcz i nałożyłam go bezpośrednio na halkę.

– Widzisz? – zwróciłam się do Heleny. – Nikt się nie pozna. Ale musisz być cichutko jak myszka, przebierać dziarsko nóżkami i robić wszystko to,

co ci każe. Rozumiesz? To taka zabawa. Sprawdzimy, czy uda nam się dotrzeć pod drzwi mieszkania tak, żeby nikt nas nie zobaczył...

Przyśpieszyłam kroku, wlekąc za sobą ledwie żywą Helenę. Wkrótce znalazłyśmy się na rogatkach Przemyśla. Przypadłyśmy do ściany pierwszego budynku i ukrywając się w cieniu, nasłuchiwałyśmy, zanim wyjrzałyśmy za róg. W mieście panowała zwykła nocna cisza, tylko w oddali rozlegał się turkot kół pociągu. Przemykając zaułkami, dotarłyśmy na ulicę Mickiewicza. Była to jedna z głównych arterii miasta, toteż zabrakło kryjówek.

– Pośpiesz się, Helu! – szeptałam nagląco, ciągnąc siostrę za rękę.

Omijałyśmy żółtawe kręgi rzucające przez latarnie, przyczajałyśmy się pod markizami i w bramach kamienic.

– Fusi... – dyszała Helena. – Ja już nie mogę...

– Dasz radę, to jeszcze tylko kawałek...

– Brak... mi... tchu... – Moja młodsza siostra zaczęła charczeć, rozdzierając nocną ciszę. A potem jej rączka zwiotczała i Helena wyrznęła na bruk twarzą naprzód.

Nie wstawiała.

Nie ruszała się nawet.

Padłam przy niej na kolana i obróciłam ją na bok. Miała podrapane czoło, krew wydawała się taka żywa na tle jej trupio bladej twarzy. Jej policzki były chłodne, dłonie tak samo. Nie widziałam, aby oddychała. Nie czułam jej tętna...

Stawiana pieczołowicie tama runęła i żalność zalała mnie rwącą falą. *Stracę wszystkich, pomyślałam. Każdego, kogo kiedykolwiek kochałam. I to będzie moja wina!*

Moja wina, moja wina, moja wina...

Wpatrując się w martwą twarz Heleny, zaczęłam krzyczeć.

[20] *Liebchen* (niem.) – kochana.

8

LIPIEC 1942

W ołałam jej imię, ale ona nadal leżała bez ruchu. Nawet gdy nią potrząsnęłam.

W końcu jednak rozchyliła wargi i westchnęła.

Sapnęłam, przykładając dłoń do piersi, i zaraz usłyszałam:

– *Halt! Wer ist da?*^[21]

Blask latarki mnie oślepił. Szczęknął kurek broni.

Helena nie umarła. Ale ja właśnie nas zabiłam. Powolnym ruchem uniosłam obie ręce.

– Proszę... – zachrypiałam, mrużąc oczy. – Moja siostra źle się poczuła... Potrzebny jej lekarz...

Dostrzegłam zbliżające się chodnikiem buty z cholewami i lufę pistoletu skierowaną wylotem ku ziemi. Warknął pies.

– Lekarz... potrzebny jest lekarz... – powtórzyłam. – Błagam!

Buty zatrzymały się i czubkiem szturchnęły Helenę. Moja siostra zakasłała, a właściciel butów odskoczył. Z ciemności dobiegło mamrotanie.

Moment później ten sam głos, który wcześniej odezwał się po niemiecku, przemówił łamaną polszczyzną.

– Weź dziecko na ręce i chodź z nami – polecił, o ile dobrze zrozumiałam.

Schyliłam się po Helenę i chwiejnie wstałam. Nieprzytomna była jeszcze cięższa niż przedtem, a mnie dopadła wyjątkowa słabość, ale jakoś dałam radę. Ruszyłam za szeregowymi członkami patrolu, czując wymierzony w moje plecy pistolet podoficera.

Wiedziałam, że jesteśmy aresztowane i co będzie dalej. Zostanę poddana torturom. Niemcy odkryją, że zanosłam Żydom jedzenie. Że jednemu z nich próbowałam pomóc w ucieczce. I że mam fałszywe papiery.

Wyrobiona nielegalnie kenkarta ciążyła mi niezmiernie, na samą myśl o niej robiło mi się niedobrze i krew tężała mi w żyłach. Wyznanie prawdy mogło mi przynieść ulgę, ale tylko na minutę czy dwie.

Po krótkim marszu dotarliśmy na komisariat. Do środka dostaliśmy się nie przez drzwi frontowe, lecz tylne. Ułożyłam Helenę na drewnianej ławie w poza tym pustym korytarzu rozjaśnionym rażącym światłem elektrycznym. Dwaj policjanci przetrząsnęli moją sakwę, wyciągając z niej kubek, zapalki i pół piętki chleba. Pół piętki... Popatrzyłam na poszarzałą twarzyczkę siostry. Dlaczego Helena nie zjadła jej nad strumieniem?

Pojawił się trzeci policjant, przeszukał mi kieszenie i chciał zdjąć ze mnie płaszcz. Dostał po rękach. Pod spodem miałam tylko halkę, a wszystkie pieniądze, jakie mi zostały, ukryłam w staniku. Nie wiedziałam, co by na to powiedzieli. Musiałam uderzyć policjanta po rękach jeszcze raz, zanim dał mi spokój. Pozostali wybuchnęli śmiechem. Przez chwilę rozmawiali o czymś we trójkę, zapewne o mnie, po czym dwaj opuścili korytarz przez tylne drzwi, a trzeci – ten z pistoletem – został, żeby mnie pilnować.

Nie odzywał się ani słowem. Nawet na mnie nie patrzył. Musiał wiedzieć, co zaraz nastąpi. O dziwo, prawie się nie bałam.

Czułam strach mniejszy, niż powinnam w takiej sytuacji.

Usiadłam obok Heleny. Oddychała, ale oczy miała zamknięte. Pogładziłam nieprzytomną siostrę po włosach, zastanawiając się, co z nią będzie.

W pewnym momencie otworzyły się drzwi na drugim końcu korytarza i wyrzwał przez nie mężczyzna. Obrzucił nas obie wzrokiem, a następnie przywołał mnie gestem. Zerknęłam z obawą na strażnika, on jednak ani drgnął. *Zatem to już*, pomyślałam. I schyliłam się, by podnieść Helenę.

– *Nein*. Ja to zrobię – powiedział mężczyzna. Podeszedł bliżej i wziął Helenę na ręce. Miał na sobie mundur niemieckiego oficera, ale mówił po polsku poprawnie, tylko z lekkim akcentem. Podążyłam za nim do pomieszczenia, z którego wyszedł. Wbrew moim obawom nie roiło się tam od policjantów, esesmanów, karabinów i pałek. Stało za to biurko, wisiało parę półek, a centralne miejsce zajmowała leżanka, taka jak w gabinecie lekarskim. – Jestem doktor Becker – przedstawił się, wyciągając z kieszeni stetoskop. – To twoja siostra?

Skinęłam głową, zamarła ze zdziwienia.

– Opowiedz mi wszystko od początku.

Mówiłam, a on rozbierał Helenę z komicznie za dużej na nią sukienki, aby ją zbadać. Nie chciałam, by jej dotykał, zarazem jednak pragnęłam, by jej pomógł. Wypytywał o to, co jadłyśmy i kiedy oraz jak Helena się zachowywała przed omdleniem. Szczególną uwagę poświęcił sińcom na jej ciele. W pewnym momencie moja siostra ocknęła się i otworzyła oczy.

– Nie kręć się – rzucił doktor Becker, po czym zwrócił się do mnie. – Usiądź. I może zdejmij ten płaszcz.

Usiadłam, ale pokręciłam głową, zaciskając mocniej poły płaszcza.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział mężczyzna i wyszedł na korytarz.

Teraz wkroczy SS, pomyślałam. Zabierze mnie dokądś i już nigdy nie zobaczę Heli.

Pot wystąpił mi na całym ciele.

Gdy drzwi otworzyły się ponownie, ujrzałam lekarza niosącego dwie filiżanki herbaty. Jedną podał mnie, a drugą Helenie, której najpierw pomógł usiąść, a potem przyłożył brzeg naczynia do ust.

– Twoja siostra jest niedożywiona i wycieńczona – oświadczył. – Potrzebuje głównie odpoczynku i jedzenia. – Wydobył z kieszeni opakowanie herbatników i poczęstował Helenę. – Pij – zachęcił mnie. – To herbata z cukrem i odrobiną mleka. Dobrze ci zrobi.

Uśluchałam, ale dalej nie spuszczałam z niego oka. Wciąż podejrzewałam jakiś haczyk.

– Mała ma lekką gorączkę i słyszę szmery w jej płucach – kontynuował doktor Becker. – Dam ci antybiotyki i aspirynę. Będiesz jej podawać, zgoda? Nie sprzedasz ich?

Zerknęłam na Helenę, która pożerała herbatniki w tempie szybszym, niż wypadało, i potrząsnęłam głową.

– Będę jej podawać – powiedziałam.

– To dobrze. Zajrzę jutro, żeby sprawdzić, jak się czuje. Gdzie mieszkacie?

Ze zdumienia straciłam czujność. Podałam adres lekarzowi, który następnie wezwał dwóch policjantów i kazał im odprowadzić nas do domu, żeby po drodze nie zainteresował się nami żaden patrol. Po starannym zamknięciu drzwi na klucz umyłam Helenie buzię i rączki, podałam antybiotyki i aspirynę, a w końcu położyłam ją spać we własnym łóżku. Emilki nie było. W głębi ducha miałam nadzieję, że jej wizyta w Krakowie udała się bardziej niż moja we Lwowie.

Zasnęłam na siedząco, podświadomie czekając, aż gestapowcy załomocą do drzwi.

Pukanie rozległo się dopiero o poranku. Zgodnie ze swoją obietnicą odwiedził nas doktor Becker. Helena siedziała na łóżku, uczesana i ubrana w moją czystą koszulę nocną. Lekarz zadarł jej brodę, spojrział w oczy, osłuchał płuca, nazywając na przemian robaczkiem i wróżką. Zanim wyszedł, przykazał mi dobrze się nią opiekować i nie zabierać jej w długie podróże. Zostawił nam trochę jedzenia i buteleczkę witamin.

Nigdy więcej go nie zobaczyłam.

Tamtego dnia nauczyłam się chyba najważniejszej rzeczy od przybycia do Przemyśla przed wojną: nie należy wrzucać wszystkich do jednego worka. Ludzie różnią się między sobą. Zarówno Żydzi, jak i Polacy.

A nawet Niemcy.

* * *

Nazajutrz zostałam z Heleną w domu. Pilnowałam, by nie wstawała z łóżka, i karmiłam ją tym, co nam zostało. Kolejnego ranka przyczytałam się przy oknie i przez mżawkę wypatrywałam kolumny mężczyzn maszerujących ulicą. Na ich widok zbiegłam na dół, aby zamienić parę słów z Maksem. Właśnie chciałam zająć miejsce u jego boku, lecz on pokręcił głową i wskazał przed siebie. Prowadził ich inny strażnik niż zawsze. Tym razem był to esesman. Wycofałam się więc, a Maks pokazał mi rozczapierzoną dłoń i dwa palce drugiej ręki. Chciał się ze mną spotkać w umówionym miejscu o siódmej wieczorem. Szybko wbił znów wzrok w ziemię, aby nie ściągać na siebie uwagi.

Odprowadzałam go spojrzeniem, dopóki nie zniknął za rogiem, zgarbiony niczym człowiek, który wszystko utracił.

Chyba dostał mój list, pomyślałam w pewnym momencie.

Przeszłam kawałek ulicą, pogrążona w myślach, po czym zatrzymałam się na rogu, odwróciłam twarzą do kamienicy i niepostrzeżenie wsunęłam dłoń za stanik. Wciąż miałam pieniądze przeznaczone na bilet dla Izia. Zachowując oszczędność, mogłam wykarmić siebie, Helenę i państwa Diamantów przez tydzień. Nie dłużej. Do tego moja siostra potrzebowała ubrań, butów, bielizny, koszuli nocnej i zapewne jeszcze innych rzeczy, które dotąd nie przyszły mi do głowy.

Rzuciwszy okiem na witrynę pobliskiego sklepu, wyprostowałam ramiona i skierowałam się do krawcowej, u której niegdyś bez powodzenia szukałam pracy. Oczywiście posada była już zajęta. W dalszej kolejności miałam zamiar wstąpić do każdego sklepu w drodze z ulicy Mickiewicza na plac targowy. Ale albo nie szukano pracownika, albo nie spełniałam wymogów, albo sklep stał zamknięty na cztery spusty, ponieważ do niedawna należał do Żyda. W końcu się poddałam i poszłam na targ, gdzie wyjątkowo się obkupiłam, bo klientów nie było wielu, a handlarze zdążyli przemoknąć do suchej nitki. Udało mi się nawet znaleźć spódniczkę dla Heleny, tylko ciut za dużą. Gdybym jeszcze dostała gdzieś nici, mogłabym zwęzić ją nieco w pasie, a podartą sukienkę przerobić na bluzkę... Takie optymistyczne myśli krążyły mi po głowie podczas drogi powrotnej, kiedy niebo się przejaśniało, a deszcz przestawał padać.

Pod bramą kamienicy natknęłam się na dwie ciężarówki wyładowane meblami, jakby ktoś splądrował całkiem spory dom. Okazało się, że będziemy miały nowych sąsiadów. Wspinając się po schodach, musiałam kluczyć między kartonami i ludźmi, a gdy weszłam do mieszkania, przekonałam się, że moja dotychczasowa sąsiadka jest na miejscu. Helena siedziała na kolanach u Emilki, która czesała jej włosy. Mała nie była tym zachwycona.

– Poznałam twoją siostrę – oznajmiła Emilka, odsuwając Helenie z twarzy proste kosmyki. – Hela opowiedziała mi o waszej wspólnej podróży, prawda? – Pytanie skierowała do dziecka, lecz nie zraziła się brakiem odpowiedzi.

Odstawiłam pakunki na ziemię, na wierzch rzucając płaszcz. Gdyby Emilka zobaczyła, ile jedzenia przyniosłam, zaczęłaby zadawać pytania. A tak tylko mówiła. O matce, mimo że ja nie miałam swojej. O chłopcu, z którym się spotkała, mimo że mój nie żył.

Byłam dla niej niesprawiedliwa. Przecież o niczym nie wiedziała. Ale i tak miałam ochotę wypchnąć ją przez okno.

– Co tam, Fusi? Ugryzłaś cytrynę? – rzuciła w pewnym momencie, pełna dobrych intencji. Ponieważ piła do mojej skwaszonej miny, opowiedziałam jej o daremnym poszukiwaniu pracy. – Och, miejsc w fabrykach nie brakuje. O ile nie przeszkadza ci wysługiwanie się Niemcom. Idąc tu dzisiaj rano, widziałam długą kolejkę bezrobotnych stojących pod urzędem pracy. Sięgała aż za róg.

Ominęła mnie kolejna szansa, pomyślałam i potarłam skronie.

– Nie martw się, Fusi – pocieszyła mnie Emilka. – Dla chętnego nie ma nic trudnego. – Sznurkiem spięła włosy Heleny w koński ogon. Widziałam, że małą ciągnie. – Drobnym podarunek powinien załatwić sprawę. Urzędnik przeniesie twoje nazwisko na szczyt listy.

– O jakim podarunku mówisz?

– Ponoć wystarczy trzysta pięćdziesiąt marek.

Trzysta pięćdziesiąt marek. Jak niby miałam zdobyć taką kwotę? Pudło pani Diamant było niemal puste. Nie pozostał mi żaden przedmiot, który mogłabym korzystnie spieniężyć.

Myśli o tym nie poprawiły mi humoru. W dodatku Helena nie wiedzieć czemu się dąsała. Zaraz po wyjściu Emilki rozsiadła się na łóżku ze

skrzyżowanymi na chudej piersi rączkami i odmówiła zjedzenia posiłku, na który przygotowałam chleb z masłem. Oznajmiłam jej, że musi jeść.

– Wcale nie.

Przypomniałam, że doktor Becker tak zalecił.

– Wcale nie.

Kazałam jej podejść do stołu i zjeść swoją porcję. Odparła, że nikt nie będzie jej rozkazywał.

Była moją siostrą, ale przede wszystkim dzieckiem, a ja nie miałam pojęcia, jak postępować z dziećmi. Rzuciłam, że mam coś do załatwienia, chociaż tak naprawdę potrzebowałam świeżego powietrza i chwili do namysłu.

– Pójdę z tobą – powiedziała Helena. Musiałam mieć odmowę wymalowaną na twarzy, gdyż Helena wykrzywiła buzię w podkówkę i objęła się ciaśniej. – Chcę iść z tobą!

– Nie możesz.

– To w takim razie odwieź mnie do domu!

Byłam w kropce. Nie miałam cierpliwości mamy.

– Nie możesz wrócić na wieś, Helu.

– Ale ty mnie tutaj nie chcesz!

– Nieprawda!

Jakiś głos w mojej głowie powiedział: *Kłamiesz. Nie chcesz jej tutaj...* Rodzące się wyrzuty sumienia stłamsiła ulga, że moja siostra żyje. Przysiadłam na łóżku obok niej.

Otarła oczy i znów się odezwała:

– Słyszałam cię w nocy.

– Co słyszałaś?

– Twój płacz. Jesteś nieszczęśliwa, że tu jestem.

Wypuściłam wstrzymywane powietrze. I oczyma wyobraźni zobaczyłam Helenę samą w domu na wsi, a jeszcze wcześniej samą z tamtym mężczyzną, który ją bił i zaniedbywał. Później zaś nieprzytomną na komisariacie, poddawaną badaniu przez nieznanego. Zastanowiłam się, jak musiała się czuć, gdy obudziła się dziś rano i mnie nie zastała, by potem trafić w ręce obcej kobiety, która zniszczyła jej fryzurę. Nie mogłam przepędzić spod powiek widoku niezjedzonej pół piętki chleba...

Moja siostra uważała, że musi się głodzić, by ze mną zostać.

Najpierw rozwiązałam sznurek trzymający w ryzach koński ogon, dzięki czemu jej grzywka odzyskała wolność. Następnie powiedziałam do niej:

– Nie będę próbowała zastąpić ci mamy. Nie jestem nią. Ale jestem twoją siostrą. Skoro nie możemy wszyscy znaleźć się znów w domu na wsi, wolę, abyś była tutaj ze mną niż gdziekolwiek indziej. Od tej pory stanowimy zespół. Będziesz musiała robić to, o co cię poproszę, nawet jeśli wyda ci się to dziwne, a ja w rewanżu będę ci mówić zawsze prawdę. Nawet gdy będzie niemą.

Helena zmarszczyła czoło.

– Zaczniemy od razu, zgoda? W nocy płakałam, ponieważ umarł ktoś, na kim mi zależało. Rozumiesz? Nie miało to nic wspólnego z tobą.

– Znałam tego kogoś?

Pokręciłam głową przecząco. Helena uderzyła piętami w ramę łóżka.

– Nie jestem małym dzieckiem – powiedziała. – Umiem o sobie zadbać. Co dzień wracałam do naszego domu, tylko że... Wszyscy odeszli...

– Ja nie odejdę – zapewniłam ją, mając nadzieję, że nie złamię tej obietnicy. – Zawsze będę do ciebie wracać, Helu.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Chodź. – Wyciągnęłam do niej rękę.

Podeszłyśmy do drzwi, gdzie pokazałam jej, jak działa zamek, po czym nauczyłam ją tak ustawiać krzesło, żeby oparcie blokowało klamkę. Ustaliłyśmy też specjalny kod, po którym pozna, że to ja pukam. Później obeszłyśmy wszystkie puste pomieszczenia w mieszkaniu, zamknęłyśmy za sobą na klucz drzwi naszego pokoju i tu także założyłyśmy blokadę za pomocą krzesła. Helena się uśmiechnęła, a po chwili cała się rozpromieniła, kiedy pokazałam jej spódnice. Posłusznie usiadła na jednym z wolnych krzeseł i zaczęła przeżuwać chleb.

– Ta pani nazwała cię Fusią – powiedziała z pełnymi ustami. – Tak samo jak Michał. – Wspomniała naszego starszego brata. – Ja... nie pamiętam, jak do ciebie mówiłam... Mogę nazywać cię Fusią?

Wszyscy inni to robią, pomyślałam. Ale na głos powiedziałam:

– Możesz mnie nazywać, jak zechcesz.

Helena ściągnęła brwi, po czym wzruszyła ramionami.

– W takim razie będę mówić na ciebie „Stefi”.

Wieczorem, gdy zamknęłam za sobą drzwi wyjściowe, mając ukryte pod płaszczem pakunki z jedzeniem dla państwa Diamantów, odczekałam chwilę, nasłuchując, jak moja siostra przekręca klucz w zamku, a następnie z szuraniem przysuwa krzesło, by zablokować klamkę.

Po części pragnęłam trzymać Helenę zamkniętą w mieszkaniu, dopóki wojna się nie skończy.

Po części pragnęłam zamknąć się tam razem z nią.

Zjawiłam się w umówionym miejscu parę minut przed siódmą. Słońce kryło się już za budynkami, nisko nad horyzontem, ale powietrze było nadal ciepłe, co czyniło mój wybór odzienia co najmniej dziwnym. Pocąc się w grubym płaszczu, czekałam na rogu, przytupując nogą dla animuszu. Nad moją głową wisiało świeżo przyklejone obwieszczenie „KARA ŚMIERCI

DLA KAŻDEGO, KTO POMAGA ŻYDOM” i tak dalej. Poczulałam się nieswojo. Było tak, jakby Niemcy wiedzieli, że dokładnie w tym punkcie stanie ktoś wymagający ostrzeżenia. W końcu usłyszałam cicho nucone tango. Melodia dolatywała z zaułka.

Zniknęłam w wąskiej uliczce, na której końcu czekał na mnie – za ogrodzeniem – Maks. Zamiast jednak odebrać ode mnie pakunki, odchylił płot i wciągnął mnie do środka.

– Ciii... – uciszył moje protesty. – Masz chustkę do nosa?

Nie czekając na odpowiedź, sprawdził moje kieszenie i znalazłszy to, czego szukał, przewiązał mi białą opaskę na prawym ramieniu. Następnie podprowadził mnie pod jakieś drzwi i otworzył je. Za nimi rozciągał się magazyn, ciemne, zatęchłe pomieszczenie, w którym grasowały szczury. Maks nachylił się do mojego ucha i szepnął:

– W getcie planowana jest czystka.

– Co?

– Każdy, kto nie ma karty zatrudnienia, zostanie wywieziony do obozu pracy.

Na ostatnie słowa przeszedł mnie dreszcz.

– Dlaczego szepczesz? – zapytałam.

– Dlatego, że wszyscy donoszą Niemcom. Nawet Żydzi, jeśli myślą, że to pomoże im ocalić życie.

– A ty masz kartę zatrudnienia?

Raczej poczułam, niż zobaczyłam, jak kiwa głową.

– Ja tak. Chaim i Heniek ze swoją sympatią też, ale nasi rodzice już nie.

– Państwo Diamantowie zostaną wywiezieni do obozu pracy?... – Ponowne skinienie. – Kiedy?

– W ciągu najbliższych dni. Dlatego odkładamy to dla nich. – Wskazał pakunki z jedzeniem. – Zabiorą tyle, ile zdołają.

Wszystko działo się tak szybko, że nie było czasu na przeżywanie emocji. Wiedziałam, że przyjdzie mi się z nimi uporać później.

– Dasz radę przynieść więcej? Na zapas?

– Macie coś jeszcze na sprzedaż? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie. Wyrzucając z siebie słowa, wspomniałam o Helenie, braku pracy dla Polaków, zwłaszcza lepszej pracy, za którą było trzeba płacić Niemcom.

– *Mame* być może odłożyła coś na czarną godzinę... Fusi. – Rozczochrał włosy jeszcze bardziej. – Chciałbym wiedzieć...

Oboje zamarliśmy. Na zewnątrz rozległ się odgłos kroków w podkutych butach. Strażnik minął drzwi do magazynu, sprawdził wytrzymałość drutu kolczastego i zawrócił, po czym zaczął się oddalać.

– Chyba wiedzą o tym miejscu w płocie – szepnęłam.

– Chyba tak – przyznał mi rację. – Spotkajmy się tu, w środku, jutro o tej samej porze. Znajdziemy jakieś inne miejsce. – Przeczesał ręką włosy. – Chciałbym wiedzieć... Ten twój list... – Serce podeszło mi do gardła. Gdy Maks znowu się odezwał, mówił ledwie słyszalnie: – To były kłamstwa, prawda? O tym, że zginął szybką śmiercią?

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. Gdybym tylko wtedy zjawiała się na czas... Wszystko mogłoby potoczyć się inaczej... Izio być może byłby tutaj z nami...

Jeśli jednak ktokolwiek potrafił zrozumieć mój ból, tą osobą był Maks. Przecież Izio go zastąpił. Zacisnęłam szczęki i skinęłam głową.

– Rozumiem – powiedział Maks. – Rozumiem... – Przez chwilę staliśmy w ciemnościach, po czym Maks przyłożył ucho do drzwi. – Droga wolna. Bądź ostrożna i... – Złapał mnie za rękę i złożył na niej pocałunek. – Dziękuję, że okłamałaś naszą matkę.

Wyśliznęłam się za płot najszybciej, jak umiałam, cała w strachu przemknęłam pod obwieszaniem, ale na szczęście za rogiem nikogo nie było. Tak samo jak następnego dnia, kiedy to Maks przekazał mi dwie koszule, zegarek i broszkę, do tej pory zaszytą bezpiecznie w pasie do pończoch pani Diamant.

– Broszkę spożytkuj na łapówkę – poinstruował mnie Maks. – Jakoś wytrzymamy o głodzie, wiedząc, że zaczniesz zarabiać i będziemy mieli stałe dostawy jedzenia.

Schowałam skarby pod płaszczem i prędko znalazłam się po drugiej stronie, z tym że ledwie odstawiłam ruchomy słupek na miejsce, usłyszałam, jak niemiecki strażnik wywarkuje rozkaz pod magazynem. Momentalnie odezwał się Maks, zapewniając, że nic takiego nie robi, szuka tylko wuja, który...

Ukryłam się za rogiem i stojąc pod obwieszaniem, z zamkniętymi oczyma czekałam na odgłos pięści spadającej na odsłonięte ciało.

Błagam, Boże, nie pozwól, żeby Maks zginął...

Tamtej nocy nie zmrużyłam oka.

Ale już nazajutrz rano, punktualnie jak w zegarku, pojawiła się kolumna mężczyzn zmierzających do węglarni. Maks był pośród nich. Miał sińca na twarzy i spuchniętą wargę, ale był cały. Do późnego popołudnia handryczyłam się z handlarzami i sklepikarzami, aż zdobyłam trzysta czterdzieści marek.

Miałam nadzieję, że to wystarczy.

Następnego dnia skoro świt zajęłam miejsce w kolejce do urzędu pracy.

Hucpa. Pan Diamant twierdził, że nigdy mi jej nie brakowało. Ale to tego dnia najbardziej jej potrzebowałam.

Przestępowałam w kolejce z nogi na nogę, obejmując się za burczący brzuch, starannie uczesana i z wargami muśniętymi czerwoną szminką.

Około dziesiątej znalazłam się w budynku. Około piętnastej nadeszła moja kolej. Wyprostowałam plecy i dziarsko podeszłam do urzędnika, uśmiechając się tak, jakby siedzący za biurkiem Niemiec był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł coś ode mnie kupić.

Nie miał drucianych okularów. Za to jego brodę szpecił pieprzyk.

– Dzień dobry – przywitałam się. – Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje dzisiejszego dnia.

Podniósł spojrzenie na moją rozpromienioną do przesady twarz, po czym powiódł wzrokiem wzdłuż wijącej się za mną kolejki. Nawet jeśli chciał odpowiedzieć na moje pozdrowienie, rzucił tylko znużonym głosem:

– Dokumenty.

Usiadłam na krześle.

– Chcę znaleźć pracę – oznajmiłam. – I to szybko. Bo widzi pan... – Nachyliłam się ku niemu. – Mam młodszą siostrę. To sześciolatka, sierota. Nasz ojciec od dawna nie żyje, a matka z bratem są w Niemczech, gdzie pracują dla Vaterlandu, ciężko, tak jak pan...

Urzędnik westchnął i wytarł nos o rękaw munduru. Uznałam, że trochę przedobrzyłam.

– Pod ich nieobecność muszę się nią opiekować...

– Dokumenty – powtórzył, wyciągając rękę.

– Dlatego chciałabym, żeby wczuł się pan w moje położenie i umieścił moje nazwisko na szczycie listy. – Podałam mu papiery i nie spuszczałam z niego oka, kiedy je rozkładał przed sobą na blacie. Usiłowałam przejrzeć jego myśli, gdy zobaczył banknoty, które włożyłam między okładki kenkarty. Nie chcąc dopuścić, by milczenie się przedłużało, dodałam: – Jestem bardzo pracowita. Zarabiam na siebie, odkąd skończyłam dwanaście lat. I nigdy się nie spóźniam.

Urzędnik otworzył szufladę, pozwolił banknotom wpaść do środka, po czym zatrzasnął ją głośno. Oddał mi dokumenty, a potem przesunął po blacie jakiś druczek i ołówek kopiowy.

– *Fräulein* to wypełni.

Wypełniłam, czując, jak żołądek zaciska mi się w supeł. Pieniądze przepadły. Mimo to uśmiechnęłam się do Niemca, wręczając mu wypełniony druczek.

– Co z moją posadą?

– Dostanie panna list.

– Ale...

– Urząd pracy skontaktuje się z panną.

– Ale...

– Następny!

Pochwyciłam swoje dokumenty i odeszłam od biurka. Zegarek. Broszka. To były skarby, a ja właśnie podarowałam je jakby nigdy nic jakiemuś Niemcowi. Niczego w zamian nie otrzymując.

Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze.

W nocy źle spałam. Martwiłam się o Maksa i jego bliskich, wyrzucałam sobie, że przeszarżowałam z tą hucpą. W pewnym momencie z płytkiego snu wyrwał mnie krzyk. Kobięcy krzyk gdzieś w oddali.

Znałam ten głos.

Materac jęknął i zazgrzypiał, kiedy zerwałam się na równe nogi, na szczęście nie budząc Heleny. Na palcach przebiegłam do dawnej sypialni państwa Diamantów. Otworzyłam okno i wychyliłam się tak mocno, jak się dało.

I ujrzałam rozświetlone getto. Rażące snopy reflektorów sprawiały, że reszta zabudowań tonęła w tym głębszym mroku. Na bocznicę stał długi

skład, ludzie kłębili się tak licznie, że nie sposób było wychwycić wzrokiem poszczególnych osób. Powietrze niosło wrzaski i płacz dzieci. Psy ujadły. Od czasu do czasu rozlegał się pojedynczy strzał albo cała seria z karabinu maszynowego. Gdy oczy przyzwyczyły się już do ciemności, zobaczyłam, że strażnicy pędzą Żydów do podstawionych wagonów. Tych, którzy mieli problem ze wspięciem się do wejścia, wrzucali do środka jak paczki, jak leci, na nic się nie oglądając. Co bardziej opieszali byli bici pałkami albo szczuci psami. Hałas był ogłuszający. Chciałam zasłonić sobie uszy. I oczy.

Pomimo harmideru ponownie usłyszałam ten sam kobiecy głos.

To była pani Diamant. Czułam pewność, że moja staruszka jest wpychana do jednego z wagonów.

Stałam przy oknie, dopóki tłum się nie przerzedził i pociąg nie ruszył, bijąc w niebo kłębami pary.

Później, słaniając się na nogach z niewyspania, czekałam na pojawienie się Maksa. Kolumna mężczyzn nadeszła punktualnie jak zawsze, strażnik był ten, którego znałam. Rzucił mi nieprzychylnie spojrzenie, ale gdy nie zareagowałam, wzruszył ramionami i odwrócił się do mnie plecami. Zaczęłam maszerować u boku Maksa, nie odzywałam się jednak. Maks przypominał własny cień. Był blady, oczy miał podkrążone, ale szedł rażno i zaciskał pięści, jakby szykował się do bitki. Zdawał się bliski wybuchu. W pewnym momencie zaczął mówić, starannie dobierając słowa.

Heniek i Danka stracili się z getta, zostali wywiezieni na wieś, gdzie mieli pomagać przy żniwach. Matka i ojciec zaś... Błagał ich, żeby się ukryli. Zaklinał na wszystko, co święte. Ale oni odpowiadali, że to tylko obóz pracy, nic strasznego. Natomiast za próbę uniknięcia wywózki groziła im śmierć na miejscu. A potem nadjechał pociąg i jakiś esesman zbył Maksa śmiechem, gdy ten próbował przynieść rodzicom herbatę. „Nie będą

potrzebowali herbaty – powiedział oficer SS. – Już nigdy. Ten pociąg jedzie do Bełżca, a Bełżec to nie żaden obóz pracy, ty durny Żydku”.

W Bełżcu rozkręcała się machina zagłady.

Maks zamilkł i tylko wpatrywał się pustym wzrokiem w przestrzeń przed sobą. Zwolniłam i wtopiłam się w tłum przechodniów. Byliśmy już niedaleko węglarni.

Państwo Diamant... Skazani na śmierć. Podobnie jak wszyscy ci ludzie, których na moich oczach ładowano nocą do pociągu. Właściwie byli już martwi.

Ale my wciąż żyliśmy. Wprawdzie w piekle, ale żyliśmy.

[21] *Wer ist da?* (niem.) – Kto tam?

9

SIERPIEŃ 1942

Po pierwszej czystce w getcie jego teren zmniejszono, przesuając ogrodzenie i zaciskając je wokół ocalałych Żydów niczym stryczek na szyi skazańca. Fragment płotu z ruchomym słupkiem, dzięki któremu mogłam przekazywać Maksowi zapasy, przestał być częścią granicy oddzielającej Przemysł od getta. Ustaliliśmy więc z Makssem nowy punkt spotkań, aczkolwiek gdy wartę pełnił określony strażnik, mogliśmy rozmawiać przez bramę i tą samą drogą wymieniać towary. Inni też tak robili. Mieszkańcy getta wyprzedawali cały swój dobytek, byle zdobyć coś do jedzenia, a Polacy – cóż – korzystali z tego, robiąc interesy bez względu na zakazy okupanta. Czasami więc musiałam przedzierać się do Maksa przez ciżbę ludzkich ciał. Kiedy indziej znów, gdy wartę pełnił esesman, za ogrodzeniem nie było żywego ducha, a źródłem jedyne słyszalnego dźwięku była gazeta, która szeleszcząc, przemieszczała się po bruku, by ostatecznie skończyć na drucie kolczastym.

Po okrojeniu getta Maks i Chaim musieli się przenieść do mniejszego lokum. Zajęli pomieszczenie dawnej kuchni razem z dentystą, u którego Maks pracował w Nizankowicach, doktorem Schillingerem, z jego córeczką Dziusią, a także ze starszym lekarzem panem Hirschem i jego dorosłym synem Siuńkiem. Wszyscy złożyli się do jednej puli, po czym Maks pewnego dnia przyniósł mi cztery złote guziki, kilka par kolczyków i dwa płaszcze.

Byłam przeciwna temu, by powierzył mi te rzeczy. Przecież zegarek i brosza poszły na zmarnowanie. Nie udało mi się ich spożytkować z zyskiem, tak jak nie udało mi się uratować Izia. Pod tym względem Maks i ja mieliśmy wiele wspólnego. Dręczyły nas wyrzuty sumienia. Że cierpi z poczucia winy, widziałam po jego oczach, ilekroć wspominaliśmy państwa Diamantów, którzy zginęli, choć on przeżył, czy jego brata, który zginął zamiast niego. Dlatego dobrze się rozumieliśmy. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że żal nie przywróci nikomu życia. Ani głód. Uczyniłam więc to samo co Maks, zepchnęłam poczucie winy i rozpacz na samo dno umysłu. Do tego stałam się mistrzynią w handlu używanymi rzeczami. Sprzedawałam jedno, by za pieniądze z tej transakcji kupić coś innego i sprzedać to gdzie indziej. I tak w kółko. A nagrodą i celem moich działań było jedzenie, które utrzymywało nas przy życiu.

Przypominało to grę. Nie dać się zabić. Wystrychnąć Niemców na dudka.

Udało mi się zdobyć trzewiki i płaszcz dla Heleny. Koło śmietnika znalazłam porzucony stary dywan, dzięki któremu nogi już nam tak nie marzły. Helena bawiła się na klatce schodowej i na ulicy z dziećmi, które wprowadziły się z rodzicami do naszej kamienicy. W większość dni widywałyśmy się z Emilką, choć nie sypiała już w naszym pokoju. W budynku tak jakby przestało straszyć.

Jedyne duchy pozostały w mieszkaniu państwa Diamantów. Stało puste, jeśli nie liczyć naszej w nim obecności, i gdy się wsłuchałam w ciszę, miałam wrażenie, że z korytarza dolatują mnie strzępki rozmów w jidysz. Czasami nawet czułam zapach blinców i starego dymu papierosowego. Kiedy zaś przysiadłam na parapecie i odpowiednio wyteżyłam wzrok, wśród cieni niemal widziałam sylwetkę Izia leżącego na podłodze, z rękoma pod głową i stopami na brzegu wersalki.

Oczywiście nic z tego nie było prawdziwe.

Czułam się niczym tykwa: wydrażona i postukująca w środku.

Wróciłam do domu po całodniowej bieganinie od sklepu do sklepu, zdobywszy tylko worek kaszy. Pięciokilowy, a więc za duży, abym mogła go ukryć pod płaszczem. Dlatego wymyśliłam, że obwiążę się w pasie sznurkiem i tak samo zacisnę mankiety na przegubach. Następnie Helena, śmiejąc się do rozpuku z mojej głupoty, stanęła na krześle i przez dekolt nasypała mi – do rękawów i górnej części sukienki – ziarenek kaszy. Uczucie było okropne, wszystko mnie swędziało, a w dodatku spuchłam nienaturalnie w różnych miejscach. Jak zwykle uratował mnie płaszcz. Tyle że nie mogłam dokonać wymiany z Maksem przy ogrodzeniu; musiałam wejść na teren getta.

Helena zamknęła za mną drzwi i jak zwykle zablokowała klamkę oparciem krzesła. Wiedziała, że pomagam innym zdobywać jedzenie, lecz nigdy nie pytała, co to za ludzie ani dlaczego to robię. Po prostu pogodziła się z faktem, że wychodzę, wierząc, że wrócę.

Ja też w to wierzyłam. Przedostanie się do getta i z powrotem nie było trudne, zwłaszcza teraz, gdy jego teren się zmniejszył i zminimalizowano liczbę strażników. Od paru dni w getcie kręcili się głównie porządkowi, czyli członkowie żydowskiej policji założonej przez Judenrat, radę starszych powołanych do zarządzania resztą Żydów w imieniu Hitlera. Im

nie ufałam, za to liczyłam, że trafię na patrol Polaków, którzy udadzą, że mnie nie widzą.

Wyszłam na chodnik. Było szaro, wiał chłodny wiatr niosący pierwsze tchnienie jesieni. Na mieście panowała napięta atmosfera. Śpieszący we wszystkie strony ludzie mieli podniesione kołnierze, ale głowy spuszczone. Unikali się wzrokiem, mało kto rozmawiał. Każdy chciał się znaleźć w domu przed rozpoczęciem godziny policyjnej. Nabrałam ostrożności. Pozdrowiłam pana Szymczaka, naszego nowego sąsiada z parteru, widząc, że kupuje gazetę na rogu, ale on tylko pokręcił głową.

– Coś się stało? – zapytałam.

Pan Szymczak rozejrzał się czujnie wokół.

– Nie słyszałaś? – szepnął. – Gestapo przeszukało wszystkie mieszkania i sklepy przy placu Na Bramie.

Nic o tym nie wiedziałam. Plac Na Bramie znajdował się rzut beretem od ulicy Mickiewicza, moje okna jednak wychodziły na przeciwną stronę.

– Czego szukali gestapowcy?

– Żydów oczywiście. Tych, którzy ukrywają się przed... sama wiesz czym.

Miał na myśli kolejną czystkę w getcie.

– Znaleźli kogoś? – zapytałam, udając beztroskę.

Ale pan Szymczak nie dysponował dalszymi informacjami. Ruszyłam wolnym krokiem w stronę getta. Przystanęłam w jakiejś bramie, bacznie obserwując odcinek ogrodzenia, przy którym spotykałam się z Makssem. Czekałam dłuższą chwilę z bijącym sercem, ale nikt się nie pojawił. Wiedziałam jednak, że fragment drutu kolczastego jest poluzowany – to Maks go poluzował – w sam raz na tyle, by się pod nim prześliznąć na drugą stronę.

Miałam utrudnione zadanie z powodu całej tej kaszy, ale jakoś podołałam. Nikt mnie nie zatrzymał. Nie rozległ się żaden okrzyk ani nie świsnęła kula. Ulga dodała mi skrzydeł. Nałożyłam prowizoryczną opaskę, teraz już z wymalowaną gwiazdą Dawida, ledwie obejmującą moje rozdęte ramię, po czym pobiegłam w głąb getta.

Lokum zajmowane przez Maksa i pozostałych znalazłam bez trudu, przy głównej ulicy nieopodal bramy. Zdumieli się na mój widok. Jeszcze bardziej zdziwione miny mieli wtedy, gdy stanęłam na prześcieradle, rozwiązałam pasek i mankiety i pozwoliłam kaszy posypać się z furkotem na podłogę. Siuniek Hirsch śmiał się głośniejszym niż Helena, a Dziusia o długich czarnych lokach otrzymała zadanie wyzbierania wszystkich ziarenek co do jednego. Było mi jej żal, szczególnie że to ja przysporzyłam jej tej pracy.

– Dostaliśmy list – oznajmił Chaim, kiedy wytrząsałam rękawy. Był cieniem dawnego siebie. W szpitalu usiłował ratować chorych i zagłodzonych, nie mając do dyspozycji ani leków, ani jedzenia. Z tego, co mówił Maks, wynikało, że jego brat częściej pomagał ludziom godnie odejść. – Od Heńka. Píše w nim, że nie ma pewności, jak długo jeszcze zostaną na wsi.

– Niech się stamtąd nie rusza! – burknął pan Hirsch ze swojego miejsca na podłodze. – Lepsze to, niż siedzieć tutaj i czekać na śmierć.

Wymieniłam spojrzenia z Maksem. Rozmawialiśmy wcześniej o tym, co będzie, gdy żniwa dobiegną końca. Gdy Heniek i Danka przestaną być potrzebni...

– Píše również, że oświadczył się Dance – dodał Chaim ze zmarszczonym czołem. – Moim zdaniem to dziwne... Dlaczego właśnie teraz?

– Nie ma w tym nic dziwnego! – powiedziałam ostro. – Niech zazna szczęścia, póki może.

Gwałtownie wyciągnęłam rękę za siebie, ale trafiłam w pustkę.

Gdzie ten rękaw?

Pan Hirsch westchnął.

– Niech się chłopak ożeni! Przynajmniej umrze żonaty.

Doktor Schillinger odwrócił uwagę staruszka, zmieniając temat, a Chaim potrząsnął głową tak energicznie, że mógł się od tego przewrócić. Jeden Maks przytrzymał mi płaszcz, abym mogła się ubrać. Tylko on rozumiał, dlaczego słowa Chaima tak mnie rozwścieczyły.

– Krążą plotki – szepnął mi do ucha Maks – że w getcie odbędzie się kolejna czystka.

Okręciłam się na pięcie.

– Niemożliwe!

Jego mina mówiła jednak coś wręcz przeciwnego.

– Sporządzili już listę?

– Może tak, a może nie. – Maks wzruszył ramionami. – Równie dobrze mogą nas wysiedlać ulicami. Nikt nic nie wie. Nie było jeszcze obwieszczenia.

– Co zamierzasz?

– Na pewno nie będę siedział z założonymi rękoma.

Maks miał ogromne ciemnobrązowe oczy. Patrząc w nie, natychmiast widziałam Izia. Ale było w nich coś jeszcze, coś, czego nigdy nie dostrzegłam w oczach jego brata. Jakaś zasadniczość.

Może po prostu nie zdążyłam poznać Izia z tej strony.

Maks poprawił na mnie klapę starego płaszcza pani Diamant.

– Tamta sytuacja się nie powtórzy. Zostaliśmy uprzedzeni. Będziemy gotowi. Tak więc się nie martw.

Oczywiście i tak się martwiłam. Szczególnie jego ostatnimi słowami. Przemykając pod ścianami budynków w blasku księżyca zamiast latarni – w getcie znowu nie było prądu – zmierzałam do poluzowanego miejsca w płocie.

Wkrótce się przekonałam, że zaprzętały mnie nie te zmartwienia, które powinny. Właśnie zadarłam drut kolczasty, by prześliznąć się pod nim, gdy poczułam na karku dotyk zimnego metalu. Drgnęłam i odruchowo chciałam się obrócić, niepotrzebnie jednak. Kątem oka zarejestrowałam już długą i lśniącą lufę karabinu.

Znieruchomiałam. Powoli uniosłam obie ręce. Kliknęła latarka i chodnik po drugiej stronie ogrodzenia zalał żółty krąg światła, z moim cieniem wewnątrz. Za moimi plecami zgrzytnął żwir i nagle poczułam przytkniętą do głowy drugą lufę, tym razem pistoletu. Trzymający go człowiek stał tak blisko mnie, że bez trudu mógłby zerwać mi z ramienia opaskę, która teraz w dodatku zwisała luźno, pozbawiona oparcia w postaci rękawa wypełnionego kaszą.

Między Niemcami wywiązała się cicha rozmowa. Ja nadal klęczałam z obiema rękami w powietrzu i kontemplowałam rychłą śmierć.

Strzał w głowę nie powinien być taki zły, myślałam. Nawet się nie zorientuję, co się stało. Co jednak będzie z innymi? Z Maksem, Chaimem i resztą? Co będzie z Heleną?

Powinnam była zachować większą czujność. Powinnam była mieć oczy i uszy szeroko otwarte.

Bolały mnie kolana, bolały ramiona, bolało serce. W duchu zanosiałam modły do Boga, Pana Jezusa i Matki Boskiej. Niemcy skończyli

rozmawiać. Przymknęłam oczy. Zmusiłam się do spokoju. Czekałam. Minęła najdłuższa minuta w historii Przemyśla.

Nagle uświadomiłam sobie, że nic nie dotyka mojej głowy. Plama światła na chodniku zbladła, mój cień się wydłużył i zaczął zmieniać kształt. Przeobrażał się z każdym chrzęstem żwiru, który słyszałam za plecami. W pewnym momencie kroki jęły się oddalać.

Nie odwróciłam się. Nie poruszyłam. Chyba nawet zapomniałam o oddychaniu.

W końcu blask zniknął zupełnie.

W dalszym ciągu klęczałam bez ruchu. W dalszym ciągu czekałam. Kiedy wreszcie się odważyłam i zerknęłam przez ramię, ujrzałam pusty zaułek. Momentalnie prześliznęłam się pod drutem kolczastym i rzuciłam do biegu. Gnałam przed siebie, obok stacji, przez most, na przełaj niewielkiego placu, wzdłuż ulicy wyłożonej kocimi łbami. W końcu wpadłam przez boczną bramę na podwórko naszej kamienicy; tam, nieopodal śmietnika, oparłam się o mur, dysząc. Pot lał się ze mnie strumieniami. Cała się trzęsłam. Jedno kolano miałam podrapane do krwi.

Nie rozumiałam, jakim cudem żyję.

Okutałam się szczelniej płaszczem, próbując przepędzić strach z oczu, zanim zobaczy mnie Helena. W pamięci miałam wciąż plakaty rozlepione na mieście. Obok ostrzeżeń „KARA ŚMIERCI DLA KAŻDEGO, KTO POMAGA ŻYDOM” wisały inne, oszczędniejsze w słowach, ale nie mniej wymowne. U góry widniało słowo „ŻYDZI”, u dołu „WSZY”, a pośrodku wymalowany był robal przypominający tego insekta. Już miałam zacząć wspinać się po schodach, gdy na ulicy wszczęło się zamieszanie. Usłyszałam odgłosy spadających razów, krzyki, płacz dziecka. A gdy wyjrzałam na zewnątrz, zobaczyłam małą dziewczynkę pędzącą chodnikiem ile sił w nogach. Prosto do mnie.

Helena.

– Co ty tutaj ro...?

Objęła mnie ciasno w pasie, a ludzki kłęb na jezdni rozstał się na tyle, by odsłonić przede mną następującą scenę: dwaj esesmani okładali pałkami dziecko mniejsze od Heleny, a z pobliskiego magazynu wytoczył się starszy mężczyzna z brodą, ale tak, jakby został wypchnięty. Oczy mnie nie myliły. Za nim wypadła starsza kobieta i dziewczyna mniej więcej w moim wieku, chociaż drobniejsza ode mnie. Miała piękne niebieskie oczy. Przyjrzałam się brodatemu mężczyźnie. To był pan Schwarzer, znajomy państwa Diamantów. Obrzuciłam całą trójkę nierozumiejącym spojrzeniem.

Żydzi.

Poza gettem.

Ich śladem z magazynu wyrzucono rodzinę Polaków. Małżeństwo z pozostałą dwójką dzieci. Kobieta rzuciła się ratować córeczkę, która leżała nieruchomo od dłuższej chwili, tak więc razy zaczęły spadać na jej głowę.

Jeden z esesmanów postąpił krok do przodu, ucinając wszystkie szepty wśród gapiów.

– Kara śmierci dla każdego, kto pomaga Żydom – powiedział.

Wyciągnął z kabury pistolet.

Oswobodziłam się z objęć Heleny, złapałam ją za rączkę i pociągnęłam za sobą w kierunku przeciwnym do tych okropieństw.

– Śmierć Żydom! – ryknął esesman. Zdawał się szalony. Opętany.

Moment później padły strzały. Jeden. Drugi.

Ludzie zaczęli wrzeszczeć. Rozproszyli się w okamgnieniu. Niektórzy dogonili nas w paru krokach, inni pobiegli w odwrotną stronę.

Trzeci strzał. Zgarbiłam się. Czwarty.

– Co się dzieje? – zapytała moja siostra, szarpiąc mnie za rękę.
Nasi sąsiedzi ukrywali pana Schwarzera.
Piąty strzał. Skuliłam się jeszcze bardziej.
Pomogli trójce Żydów. A teraz esesmani mordowali ich dzieci.
Szósty strzał. Wciągnęłam głowę w ramiona. Siódmy.
Obiecałam Helenie, że zawsze będę mówić jej prawdę, nawet niemą.
Ale przecież nie mogłam jej powiedzieć tego.

Ósmy strzał.

Skręciłyśmy za róg, przebiegłyśmy jeszcze parędziesiąt metrów. Znow
zmieniłam kierunek bez zastanowienia. Helena przebierała nóżkami obok
mnie. Pociągnęłam ją w dół po kamiennych stopniach na opustoszały
dziedziniec, po czym pchnęłam rzeźbione dębowe drzwi.

W katedrze było pusto. I cicho. Znajdowałyśmy się na poziomie
sutereny, dzięki witrażom w środku panował przyjemny wielobarwny blask.
Przy ołtarzu płonęły świece, nad nim wisiała figura konającego Chrystusa.
Zamoczyłyśmy palce w wodzie święconej, przyklekłyśmy
i przeżegnałyśmy się mechanicznie, gestem, który wykonałyśmy już tysiąc
razy w życiu. Zaprowadziłam siostrę do ławki; drewno skrzypnęło, kiedy
siadałyśmy.

Chciałam poczuć w palcach swój różaniec. Chciałam, żeby przez głowę
przechodziły mi inne myśli.

Zastrzelili dzieci, zastrzelili dzieci, zastrzelili dzieci...

– Tamci panowie zapukali do naszych drzwi – odezwała się Helena. –
Ale to nie był nasz umówiony znak, więc im nie otworzyłam. – Strach
przeszył mnie niczym pocisk. – No to oni wyłamali drzwi i tak weszli do
środku – kontynuowała moja siostra. – Ale nie znaleźli tego, czego szukali.

Koncentrowałam się na oddechu. Wdech, wydech, wdech, wydech.
Helena ścisnęła mnie za rękę.

– Stefi, co to jest Żyd?

Podniosłam spojrzenie na figurę Chrystusa, nie wiedząc, jak odpowiedzieć siostrze. I nagle przypomniałam sobie mężczyznę spotkanego na placu targowym zaraz po przybyciu do Przemyśla. Byłam wtedy niewiele starsza od Heleny, ufna jak ona teraz i pełna nadziei. Ujęłam ją za dłonie.

– Spójrz na naszą skórę, Helu – szepnęłam. – Twoja jest nieco ciemniejsza od mojej, ale to taka sama skóra, prawda? Człowiek składa się ze skóry, kości i krwi, każdy człowiek. Żyd to ktoś, kto ma kości i krew jak my wszyscy, ktoś, kto może być dobry albo zły, kto kocha swoich bliskich. Tylko że słucha nauk Mojżesza zamiast Jezusa. Nie zapominaj jednak, że Jezus też był Żydem. A Bóg jest wspólny, tak mówiła mama.

Nie mogłam mieć pewności, czy nie przekręcam słów mamy. Z tego, co pamiętałam, wydawała się lekko rozczarowana i niepewna, wysyłając mnie do Diamantów. No ale Helena nie musiała o tym wiedzieć. Przez chwilę przyglądałam się jej zamyślonej twarzyczce.

– Pomóc Żydowi to coś złego? – zapytała w końcu.

– Nie – odparłam. – W żadnym razie.

Nie byłam pewna, czy zrozumie. Ja niczego nie rozumiałam. Lecz ku mojemu zaskoczeniu Helena skinęła głową. Później odczekałyśmy prawie do godziny policyjnej i ruszyłyśmy z powrotem w stronę domu. Zamiast wejść od frontu, pokazałam jej boczną bramę, żebyśmy nie musiały oglądać śladów wcześniejszego okrucieństwa.

Drzwi mieszkania były wyłamane, tak samo jak drzwi naszego pokoju. Z futryny na wysokości zamka sterczały długie drzazgi. Krzesło leżało wywrócone na ziemi, pościel była skotłowana, ale poza tym wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Helena najadła się strachu i tyle. Miałyśmy dużo szczęścia, że nas nie okradziono.

Zapytałam pana Szymczaka, czy pomoże mi naprawić drzwi, a on się zgodził i z powagą zabrał do pracy, podczas gdy ja szykowałam dla siostry kolację – oczywiście z naszej porcji kaszy. Helena śpiewała i mówiła do siebie, bawiąc się przy jedzeniu, a ja zastanawiałam się, ile zrozumiała z tego wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło. Pan Szymczak zostawił mi młotek i garść gwoździ. Stwierdził, że nam się przydadzą.

Chyba było mu nas żal.

Kiedy Helena zasnęła, udałam się do salonu i zapaliłam światło. Pomieszczenie było gołe, brudne i obce, choć niektóre elementy wydawały się znajome: rysy na obramowaniu kominka, dokąd sięgał łańcuch do nakręcania zegara, zanim się go podciągnęło; rozdarcie tapety, które pani Diamant bez końca podklejała... Uświadomiłam sobie, że już nigdy więcej nie podklei tego kawałka tapety. Ponieważ nie żyła. Ponieważ była Żydówką.

Czy to wszystko musiało się wydarzyć?!

Otarłam łzy i usiadłam na parapecie, podkulając kolana pod brodę. Było już późno, ulice zdążyły opustoszeć, jeśli nie liczyć niemieckich patroli. Zwłoki nie leżały na jezdni. Ja jednak patrzyłam na księżyc. Na wszelki wypadek. Bo księżyc był nadal piękny.

Usłyszałam pyknięcie i dźwięczenie szkła. Tuż nad moją głową w szybie pojawiła się dziurka, od której rozchodziły się promieniście pęknięcia przypominające pajęczą sieć. Otwór był mały. I idealnie okrągły.

Po kuli.

Wylądowałam twardo na podłodze, jakby mnie ktoś zepchnął z parapetu, zaczęłam pełznąć po gołych deskach i wyciągając rękę wzdłuż futryny, zgasiłam górne światło.

Na ulicy rozbrzmiał śmiech, Niemcy przekrzykiwali się wesoło, idąc dalej ulicą. Po chwili usłyszałam kolejne pyknięcie i kolejny brzęk.

Wróciłam do naszego pokoju, zamknęłam drzwi, przysunęłam sobie krzesło do okna i podarowanymi przez pana Szymczaka gwoździ przybiłam nowy dywan do ram okiennych. Nazajutrz za grosze kupiłam drugi dywan, niesamowicie brzydki, i zasłoniłam nim inne okno.

Nie wygrają, myślałam zawzięcie. Nie pozwolę im. Ze mną nie wygrają...

Po co jednak kusić los?

Sąsiedzi z kamienicy naprzeciwko także zaciemnili wszystkie okna. Podobnie postąpił pan Szymczak z dołu. Ciekawe, czy z tą myślą zostawił mi te gwoździe.

Maksowi nic nie mówiłam, tak samo jak on nie rozmawiał ze mną o swoich przygotowaniach przed kolejną czystką w getcie. Nie mieliśmy czasu na wymianę wiadomości. Żydowscy porządkowi, którzy odpowiadali przed gestapo, okazali swoim pobratymcom mniej zrozumienia, niżby można przypuszczać, a nawet polska granatowa policja węszyła bardziej niż zwykle. Podawałam więc tylko chleb i jajka przez płot tak szybko, jak się dało.

Coś wisiało w powietrzu.

Moje najgorsze przeczucia spełniły się w pewien chłodny listopadowy dzień, pod zwieszającymi się nisko brzuchatymi chmurami pełnymi śniegu. W getcie podniósł się rejwach. Już to kiedyś słyszałam... Tym razem doszłam tylko do mostu i stamtąd zobaczyłam wagony bydłęce, tłum ludzi i psy. Były też strzały. Całe ich serie, jakby oddawał je pluton egzekucyjny. Zimnymi palcami uplecionymi z mgły dotknęła mnie panika.

Zło, pomyślałam. Tak wygląda czyste zło.

Musiałam się odwrócić.

Nie daj się, Maks. Nie dajcie się wszyscy. Chaim, doktor Schillinger, Dziusia, stary i młody Hirsch... Brońcie się albo uciekajcie. Zróbcie co

trzeba, tylko nie dajcie się zdeptać.

Zaczekałam, aż pociąg odjechał z gwizdem, wypuszczając kłęby pary, a potem wróciłam do domu. I znów nie dotrzymałam obietnicy złożonej siostrze.

Jak bowiem mogłam otworzyć jej oczy na to, jak wygląda teraz jej świat?

Nie miałam pojęcia, ile jedzenia kupować. Przez wiele dni z rzędu do getta nie było dostępu. Stało pilnie strzeżone i milczące. Rozmontowano graniczny płot i zacieśniono perymetr jeszcze bardziej, zamykając ocalałych Żydów jak zwierzęta w pułapce. W końcu odważyłam się przejść wzdłuż ogrodzenia.

Nigdzie ani śladu Maksa.

Wiedziałam, że nie żyje, ale nie mogłam się z tym pogodzić.

A może tylko nie dopuszczałam do siebie myśli o przegranej.

Zrobiłam pranie. Pokazałam Helenie, jak bawić się w kocią kołyskę, śpiewając przy tym odpowiadające wzorom piosenki. Popijałyśmy gorącą herbatę z cukrem i spałyśmy w ciepłym łóżku.

Tylko że ja nocami nasłuchiwałam w mroku.

Skąd SS wiedziało, że pan Schwarzer ukrywa się w tym magazynie? Ktoś go zobaczył i rozpoznał? A może esesmani szukali na oślep, wyłamując kolejne drzwi, aż natknęli się na coś zabronionego?

A może... może ktoś z nas, sąsiadów, udał się na policję i wydał ośmioro ludzi?

Jeśli tak właśnie było, nie widziałam ani jednego powodu, dla którego taki ktoś miałby oszczędzić mnie.

Usiłowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek postąpiłam lekkomyślnie. Wspomniałam, ile jedzenia kupuję? Dałam się złapać na

częstych wędrówkach po mieście? Nie zwróciłam uwagi, że Helena może coś szepnąć koleżance na schodach?

A jeśli tamci dwaj Niemcy, którzy przyłożyli mi broń do głowy, wiedzą, kim jestem? Gdzie mieszkam? I tylko czekają, aż powinie mi się noga, aż uczynię coś gorszego niż przynoszenie jedzenia Żydom? Co będzie, jeśli chcą dopaść nie tylko mnie, ale też moją młodszą siostrę?

Strach przychodzi w ciemnościach, gdy leży się nieruchomo i czeka, aż rozlegnie się pukanie do drzwi. Strach rzadko bywa racjonalny.

Usiadłam na łóżku.

Odkąd przybyłam do Przemyśla, wiele się nauczyłam. Zrozumiałam, że podziały między ludźmi biorą się z nazw. Żyd. Katolik. Niemiec. Polak. Ale to były niewłaściwe podziały. Istniały inne słowa. Dobroć. Okrucieństwo. Miłość. Nienawiść. To te podziały się liczyły.

To w Przemyślu odnalazłam kompas.

I zobaczyłam przed sobą drogę – prostą, lecz mroczną.

Złożyłam głowę ponownie na poduszce, uśmiechając się, gdy Helena westchnęła przez sen. Nasłuchiwałam. Myślałam. Próbowałam pozwolić sobie na sen. Do czasu, aż otworzyłam oczy i usłyszałam dźwięczące echo.

Echo pukania do drzwi.

Wybiegłam do korytarza, ale w progu nie zastałam gestapo.

Nie zastałam też Izia.

Do moich drzwi zastukał Maks Diamant.

10

LISTOPAD 1942

– **M**aks!...

Stoi przede mną, mrugając oczyma. Żarówka nad jego głową migoce, jakby miała zaraz zgasnąć. Oboje oczu ma podbite, skórę na policzku otartą, koszula wisi na nim w strzępach, przesiąknięta rdzawymi plamami. Jedną ręką trzyma się za brzuch, dzięki drugiej, którą opiera się o futrynę, stoi jako tako wyprostowany.

– Fusia? – szepcze.

Wciągam go do środka, przy czym nieomal się przewraca, straciwszy podporę. Kiedy ja zamykam drzwi i mocuję się z zamkiem, on osuwa się plecami po ścianie i siada na podłodze.

– Jedna noc... Tylko jedna noc...

Kłękam obok niego. Dygoce z zimna.

– Helu – odzywam się do siostry, która przygląda się nam szeroko otwartymi oczyma. – Sprawdź, czy na piecu nie stoi trochę ciepłej wody. Jeśli nie, napełnij garnek zimną. Ale nie włączaj światła. Zaraz zapalę

lampę naftową. I zachowuj się cicho, nie chcemy nikogo zbudzić. Poradzisz sobie?

Helena kiwa głową, rzuca spojrzenie nieznanemu mężczyźnie i zmyka, powiewając nocną koszulą. Dotykam podrapanej twarzy Maksa. Krew jest w większości zaschnięta.

– Czy ktoś widział, jak tu idziesz? – pytam szeptem. Oczy ma zamknięte, brodę przytkniętą do piersi. – Maks, odpowiedz mi! Czy ktoś cię widział?

Potrząsa głową i natychmiast się krzywi.

– Przyszedłeś sam?

Wykrzywia twarz w grymasie, po czym mówi:

– Wyskoczyłem.

– Wskoczyłeś? Skąd?

– Z pociągu.

– Wskoczyłeś z jadącego pociągu?

Otwiera powoli oczy. Są ciemnobrązowe, lśniące. Ale powieki wyraźnie mu ciążyą.

– Potrzebuję... Muszę... ukryć się gdzieś na jedną noc. Proszę, Fusi...
No dobrze, myślę. Dobrze... Co w tej sytuacji uczynisz, Stefanie,

Stefusiu, Fusi Podgórska? Co uczynisz?

Trzeba go rozgrzać. Trzeba go obmyć. Trzeba go nakarmić.

– Chodź – mówię. Maks nie reaguje. – No dalej, wstawaj – dodaję rozkazująco. – To tylko kawałek.

Podnosi się na nogi ze stęknieniem, wspiera na mnie i w ten sposób, niezdarnie, przechodzimy do pokoju, który zajmuję z siostrą. Pojawia się Helena, trzyma garnek przed sobą tak, jakby był pełen wody święconej. Umieszcza go ostrożnie na piecyku, a ja w tym czasie rozkładam na łóżku

duży ręcznik do kąpeli. Maks jest potwornie brudny. Zapalam lampę i zabieram się do rozwiązywania mu sznurówek.

– Było trochę ciepłej wody – opowiada Helena – więc przelałam ją do kubka.

– Wiesz, jak zrobić herbatę?

– Tak. – Nie spuszcza wzroku z Maksa.

– W takim razie ją zrób. I posłódź dwiema łyżeczkami cukru. Możesz też dorzucić bryłkę węgla do piecyka.

Siostra gapi się na mnie otwarcie. Namawiam ją do samych ekstrawagancji. Nie oponuje jednak. Posłusznie dodaje węgla do piecyka i idzie zrobić herbatę.

Maks albo śpi na siedząco, albo jest tylko na wpół przytomny. Zaczynam rozpinać na nim koszulę, ale szybko się orientuję, że cała przesiąkła krwią i lepi się do ciała. Staram się odkleić ją delikatnie, lecz Maks i tak syczy z bólu, nie otwierając oczu. Dostrzegam, że zdarł sobie skórę na jednym boku, może nie głęboko, ale za to na dużej powierzchni. Jego pierś szpeci najpaskudniejszy siniak, jaki w życiu widziałam. Przypomina czerwono-zielono-fioletowy kwiat, który sięga od pachy do pachy i wyciąga swoje płatki w dół, ku pępkowi. Gotowa jestem założyć się o tygodniowy zapas chleba, że Maks ma kilka złamanych żeber.

Cieszę się z tego, że nie zginął, że nikt go nie zastrzelił.

Woda na piecyku nie zagrzała się jeszcze, ale przynajmniej przestała być zimna, dlatego próbuję zmyć zaschniętą krew z ciała i twarzy rannego. To sprawia, że miejscami krew zaczyna się znów sączyć. W pewnym momencie wyczuwam za plecami Helenę, która stoi bez ruchu, bojąc się podejść bliżej. O jej obecności zaświadcza cichutkie dźwięczenie filiżanki o spodek. Odbieram z jej rąk herbatę.

– Masz – mówię do Maksa. – Pij.

Usiłuje to zrobić, ale palce ma sztywne od otarć, a poza tym cały znowu drży. Pomagam mu więc, dzięki czemu osusza naczynie raz-dwa. Odstawiam pustą filiżankę na bok i wracam do obmywania go, przy czym robię to tak, aby sprawić mu jak najmniej bólu. Nagle spostrzegam, że Maks płacze. Łzy wymykają się spod jego zaciśniętych powiek i spływają po nieogolonej twarzy.

Och, Maks...

Chcę wiedzieć, co go spotkało. Chcę wiedzieć, gdzie są pozostali. Ale nie mogę o to pytać przy swojej siostrze.

Doprowadziwszy Maksa do porządku w stopniu, w jakim to możliwe w tych warunkach, łapię sukienkę i przerzucam ją przez głowę, wyciągam ręce z rękawów koszuli nocnej, po czym pozwalam jej opaść na podłogę, szybko wygładzając na sobie dół sukienki. Następnie przekładam koszulę nocną przez głowę Maksa i pomagam mu trafić poranionymi dłońmi w otwory rękawów. Wolę zniszczyć koszulę nocną niż pościel, szczególnie że to byle jaka koszula nocna.

– Zdejmij spodnie – instruuję. – Potem będziesz się mógł położyć.

Posłusznie robi, o co proszę, i ostrożnie przykłada głowę do poduszki – wiem, że otarty bok i tkliwa pierś dają mu się we znaki – a kiedy wreszcie wsuwa nogi pod przykrycie, opatulam go po szyję. Drży jeszcze przez minutę czy dwie, ale niemal natychmiast zasypia.

Przez cały ten czas Helena siedzi na podłodze obok piecyka, po turecku, ze stopami schowanymi pod kolanami. I bacznie wszystko obserwuje.

– Stefi – odzywa się cicho. – Kto to jest?

– Ma na imię Maks. Kiedyś tutaj mieszkał. – Wydaje mi się, że od tamtej pory upłynęło mnóstwo czasu.

– To twój znajomy? Nazwał cię Fusią.

Widzę, że Maks wzdryga się przy głębszym oddechu.

– Tak, to mój znajomy. On i jego bliscy... wszyscy mnie tak nazywali.

– To Żyd?

Odwracam się do niej.

– Czemu o to pytasz?

– Ktoś zrobił mu krzywdę.

W świecie, w którym żyje moja siostra, Żydów się krzywdzi. Helena nie pamięta, że kiedyś było inaczej. Przyklękam koło niej, tak żeby mogła spojrzeć mi w oczy.

– Maks to nasza tajemnica – mówię. – Wielka tajemnica. Nie możemy jej nikomu zdradzić. Ani Emilce, ani sąsiadom z dołu. Gdybyśmy choć pisnęły słówko, Maksa mogłaby spotkać krzywda. Jeszcze większa krzywda – poprawiam się. – Rozumiesz, Helu?

Moja siostra kiwa głową z powagą, co przekonuje mnie, że pojęła grozę sytuacji, wszystko jednak psuje jej następane pytanie:

– Od teraz to on będzie spał w łóżku?

– Tak – potwierdzam.

Helena wzdycha z rezygnacją. Widzę, że powieki jej się kleją.

Przygotowuję dla niej legowisko obok piecyka. Rozkładam na podłodze swój płaszcz, pod głowę podkładam jej złożoną własną spódnicę. Potem idę zablokować klamkę drzwi wejściowych. Kiedy wracam, moja siostra już śpi. Na zewnątrz panuje smętna cisza. Nie ma ani żywego ducha. Zamykam drzwi pokoju na klucz i także blokuję klamkę oparciem krzesła, gaszę lampę i z inną, mniejszą, rzucającą mniej światła, podchodzę do łóżka, by usiąść delikatnie przy Maksie.

Spoglądam na jego zmaltretowaną twarz. Widzę, że oddycha. Krwawi. A więc żyje. Nagle nachodzi mnie myśl, że właściwie nie chcę wiedzieć, co mu się przydarzyło, jestem bowiem pewna, że ta wiedza przyniesie tylko ból.

Budzę się. Nie mając pojęcia, że zasnęłam. Prostuję się na krześle, pocieram oczy. Helena śpi spokojnie, zwinięta w kłębek na swoim legowisku. Ale Maksowi coś się śni.

Nie, to nie zwykły sen – to koszmar.

Rzuca głową po poduszce, podnosi do oczu zranioną rękę i mamrocze:

– *Mame...*

– Ciii – szepczę, przykładając mu lekko dłoń do piersi.

Mamrocze coś ponownie, niezrozumiale; choć nachylam się, by lepiej słyszeć, nie jestem w stanie rozróżnić słów. Czyżby zwracał się do Ernestyny?

– Skacz! – krzyczy zniecierpliwiona i budzi się raptownie.

Zatykam mu usta dłonią. Przez moment boję się, że mnie ugryzie, że będzie ze mną walczył, ale jego spojrzenie szybko nabiera ostrości, a on sam nieruchomieje. Cofam rękę, kręcąc głową. Maks potakuje na znak, że rozumie. Mimo to nadal ciężko dyszy.

Daję mu minutę, żeby się uspokoił. Potem pytam:

– Zjesz coś?

Kolejne skinienie. Daję mu kromkę chleba, resztkę masła, która nam została, i kubek wody. Maks siada, aby było mu łatwiej przełykać, a ja przenoszę się z krzesła na łóżko, uważając, żeby przypadkiem nie sprawić mu bólu. Czekam. Biję się z myślami. W końcu nie potrafię dłużej wytrzymać niepewności.

– Maks... – Na dźwięk mego głosu zamiera. – Co z Chaimem?

Nie patrzy na mnie. Kładzie się z powrotem na wznak, z oczyma wbitymi w sufit.

– To twoja siostra? – pyta.

– Tak. – Milczę chyba całą minutę. – Maks... co z Chaimem?

– Odszedł – odpowiada szeptem. – Nie skoczył za mną. Obiecał, że skoczy, ale nie zrobił tego.

– Opowiedz mi wszystko.

Maks mruga, nie przestaje patrzeć w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, a gdy już myślę, że się nie odezwie, z jego ust pada:

– Przyszykowaliśmy bunkier. Kryjówkę w piwnicy. Prowadziły do niej drzwi, ale my postawiliśmy ścianę, żeby je zamaskować, a okna zasłoniliśmy workami z piaskiem i słomą. Gdy czystka w getcie się zaczęła, było nas tam pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt osób. Czekaliśmy w kompletnych ciemnościach...

Dobrze pamiętam, jakie to uczucie, doświadczyłam go w trakcie bombardowań Przemyśla.

– Pan Hirsch z synem? Doktor Schillinger z córką? – pytam.

Maks potrząsa głową.

– Nie było ich na liście. Gestapowcy chodzili od drzwi do drzwi i jeśli ktoś z listy wciąż był w mieszkaniu zamiast w punkcie zbiórki, zabijali go na miejscu. Słyszeliśmy strzały, jeden po drugim, bez końca. Może byłoby lepiej, gdybym...

– Twoje imię było na liście?

– Tak. I Chaima też. Dlatego postanowiliśmy się ukryć. Chowaliśmy się przez cały dzień. Wyglądałem przez szparę między workami, taką małą o, ale i tak widziałem... – Zaciska mocno powieki. – Widziałem, co robili... co robili z dziećmi... Fusi, dlaczego, dlaczego?

Nie znajduję odpowiedzi. Kładę dłoń na jego rękę, a on chwyta mnie poranionymi palcami. Mocno.

– Siedzieliśmy jak trusie przez całutki dzień, nawet najmniejsze dzieci. Gdy czystka niemal dobiegła końca, ktoś wsadził lufę karabinu między worki i wpuścił do środka nieco światła. Był to porządkowy. Krzyknął:

„Jest tam kto?” i kazał wyjść z podniesionymi rękoma, w przeciwnym razie, zagroził, wrzuci do środka granat. Gestem pokazałem, żeby nikt się nie odzywał. Porządkowy nie miał pojęcia, że tam jesteśmy. Znudzi się i pójdzie dalej, myślałem. Ale przy oknie siedziała młoda kobieta z małym dzieckiem. Straciła głowę i zanim się zorientowałem, wyrwała jeden z worków i przez powstały w ten sposób otwór przepchnęła córeczkę, kając jej uciekać, ratować się za wszelką cenę. Porządkowy oczywiście ją złapał i zabrał na gestapo, a tam zaczęli ją bić, dopóki nie wyśpiewała wszystkiego. – Z każdym słowem Maks mówi szybciej, jakby miał mało czasu. Choć dłoń drętwieje mi w jego uścisku, lekkim ruchem palców daję mu znać, że cały czas jestem przy nim. – Gestapowcy przyszli i wyciągnęli nas z piwnicy, tłukąc przy tym kolbami karabinów. Jeśli ktoś upadł, ginął zastrzelony. Tych, co przeżyli, ustawili w szeregu, a Chaim powiedział... powiedział do mnie, żebym wypiął pierś, bo mogą nas zabić tylko raz. Esesman, który się pojawił znikąd, stwierdził, że w pociągu jest jeszcze miejsce i że grubi Żydzi są potrzebni na... na mydło. Nie chciałem zostać przerobiony na mydło, Fusi. – Zadrżałam i pokręciłam głową. – W wagonie było ciasno, tak ciasno, że nie mogłem oddychać, nie mogłem się ruszyć, a kiedy jakiś mężczyzna niedaleko mnie powiesił się na własnym pasku, pomyślałem... pomyślałem, że lepiej będzie się zabić, niż pozwolić, aby zabili mnie Niemcy. W kieszeni miałem obcęgi dentystyczne, zdołałem nimi przeciąć siatkę w oknie, a Chaim obiecał... obiecał, że wyskoczy zaraz po mnie, tak że umrzemy razem, i ludzie wokół mnie dźwignęli i wypchnęli przez okno, tyle że głową do przodu, a ja nie mogłem tak wypaść, boby koła pociągu zmiażdżyły mi czaszkę. Mimo że chciałem zginać, kazałem się wciągnąć z powrotem, po czym wypchnęli mnie jeszcze raz, ale teraz już nogami naprzód. Kiedy znaleźliśmy się na zakręcie, zawisłem tylko na jednej ręce, a potem runąłem w dół nasypu

i wyróżnałem w płot, tracąc przytomność. Gdy się ocknąłem, pociągu nie było widać ani słyszeć, a ja byłem sam, żywy. Chaima nigdzie nie widziałem. Poskarżyłem się Bogu: „Dlaczego? Dlaczego?!”.

Dlatego, że musisz żyć, myślę, ściskając jego rękę obiema dłońmi. *Musisz żyć...* Nie mówię jednak tego na głos. Co komu z życia, kiedy cała jego rodzina zginęła?

– Znalazłem za to dwóch innych, którzy skoczyli za mną. Jeden miał złamaną rękę, drugi złamany obojczyk. Któryś powiedział, że Chaim nie chciał skoczyć, bo zobaczył, że się nie ruszam, i uznał, że nie żyję, a więc nie może mi już pomóc. Chciał, by jego krew splamiła ręce Niemców, nie jego własne. – Urywa, ponieważ nie jest w stanie dłużej powstrzymać łez. Płaczę razem z nim. Opłakuję Chaima, którego jedynym pragnieniem było leczyć. Tymczasem Maks już mówi dalej: – Zatrzymałem się u znajomego, który prowadzi kawiarnię, tam gdzie jeździliśmy na nartach... – Pamiętam, że Izio także o nim kiedyś wspomniał. – Pozwolił mi się przespać pod swoim dachem jedną noc, ale dłużej nie mogłem zostać, gdyż jego żona się bała. Tak wylądowałem w mieście. Przywiózł mnie do Przemyśla na swoim wozie, leżałem przykryty u jego stóp, żeby nikt mnie nie zauważył. A potem... Potem nie wiedziałem, dokąd się udać.

Dlatego wrócił do domu. Do mieszkania, które zajmował z rodzicami i rodzeństwem.

Maks drży teraz, jakby wpadł do zimnej wody, ale zarazem też się poci. Przykładam dłoń do jego czoła, tam gdzie nie ma żadnych zadrapań, i czuję, że skórę ma rozpaloną.

– Ciii – uspokajam go. – Nie mów nic więcej. Potrzebujesz snu.

Tak naprawdę potrzebuje lekarza. I leków. Jedzenia w większej ilości, niż mogę mu zapewnić, a przede wszystkim bezpiecznej kryjówki.

Tymczasem dostanie dwie aspiryny od doktora Beckera, które zaoszczędziłam, resztę kaszy i... mnie.

Podaję mu jedną aspirynę, pilnuję, aby ją połknął, po czym przysiadam na brzeżku krzesła obok łóżka. Widząc, że usnął, zaczynam płakać. Opłakuję Izia. Izaaka i Leę Diamantów. Chaima. Ale szczególnie Maksa, który odtąd musi żyć bez nich. O ile przeżyje.

Musi przeżyć!

W końcu wstaje słońce, rozjaśniając świat za zabitym dywanem oknem. Zdmuchuję płomień lampy. Helena wzdycha przez sen.

Czeka mnie podjęcie kilku decyzji.

W pierwszej kolejności wyglądam na ulicę. Wszystko jest jak zwykle. Nie widzę żadnych esesmanów, jak wtedy, gdy zginął pan Schwarz z rodziną. Uspokojona, wspinam się na strych, gdzie odcinam kawałek sznura do prania, przynoszę go do mieszkania i przywiązuję do grzejnika pod oknem sypialni państwa Diamantów. Sznur jest wystarczająco długi, by dosięgnął niemal samej ziemi w dole. W razie gdy gestapo pojawi się znowu, Helena będzie musiała skorzystać z tej drogi ucieczki, pod warunkiem że nie zabraknie jej odwagi. Mam wysokie mniemanie o mojej siostrze.

Po powrocie do naszego pokoju zastaję Helę na krześle, skąd uważnie się przygląda śpiącemu Maksowi. Odwraca się do mnie, patrząc wielkimi oczyma i zasłaniając buzię rączką. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że Helena chichoce.

– On ma na sobie koszulę nocną! – parska przez złączone palce.

– Na pewno pomyliłaś mnie ze swoją siostrą – mruczy spod przykrycia Maks, ledwie będąc w stanie unieść spuchnięte powieki. – A tu taka niespodzianka...

Helena wybucha śmiechem. W świecie, gdzie śmierć czai się na każdym kroku, nieoczekiwanie czuję potrzebę, by się uśmiechnąć.

11

LISTOPAD 1942

Po powrocie z targu pukam w umówiony sposób, a Helena – odsunawszy krzesło i otworzywszy drzwi – wita mnie, podskakując jak szalona. Zanim pozwolę jej mówić, starannie zamykam za sobą drzwi i dopiero wtedy odejmuję palec od ust. Słowa wylewają się z mojej siostry jak potok, który przerwał tamę.

– Czy Emilka widziała, jak idziesz na górę?

– Chyba nie. A dlaczego pytasz? – Żołądek zaciska mi się w supeł. – Była tutaj?

– Zastukała do drzwi, a ja powiedziałam, że nie możesz podejść, na co się zdziwiła, a ja dodałam, że jesteś chora, a kiedy upierała się, że jednak wejdzie, bo możesz potrzebować pomocy, powiedziałam, że to niemożliwe, bo zarazasz.

Helena wyrzuca z siebie wszystko na jednym wydechu. Żałuję, że nie powiedziała po prostu, że wyszłam i będę później, rozumiem jednak, że

wtedy Emilka mogłaby się wprosić na siłę, aby na mnie zaczekać. Pojęłam, że moja dotychczasowa przyjaciółka będzie stanowić problem, dopóki...

Dopóki nie wdrożymy działań, które wdrożymy.

Spoglądałam na Helenę, która wciąż czeka, jaki werdykt wydam, schylałam się i całuję ją w czoło.

– Będę udawać bardzo chorą.

Z mojej siostry jest naprawdę zmyślna dziewczuszka.

Znalazłszy się za progiem naszego pokoju, widzę, że Maks siedzi wyprostowany w łóżku, a sądząc po odstawionej na krzesło pustej filiżance, domyślałam się, że Hela zrobiła mu herbaty. Maks wygląda strasznie, ale na szczęście ma już mniejszą gorączkę.

– Fusiū – odzywa się, nie odrywając wzroku od pościeli. – Muszę prosić cię o przysługę.

Odkładam sprawunki na stół. Jeśli będziemy oszczędzać i jeść tylko dwa małe posiłki dziennie, dzisiejszych zakupów wystarczy nam na trzy dni. Nie mam pojęcia, co pocznjemy później. Zakładając, że wcześniej nie zginiemy.

Ciekawi mnie, czego jeszcze Maks może ode mnie chcieć.

– Mój brat – wydusza z siebie przez ściśnięte gardło. – Heniek. On o niczym nie wie...

Z całej rodziny pozostali tylko oni dwaj. Przy czym Heniek nie wie, kto przeżył ostatnią czystkę, a kto nie.

– Nie mam pojęcia, co mógłby zrobić – ciągnie Maks – ale na pewno nie powinien wracać do getta. Niech spróbuje ucieczki przy pierwszej okazji. On nie wie... nie wie, jak to jest. Nie był przy tym, kiedy zabierano naszych rodziców. Napisać do niego nie mogę...

Oczywiście, że nie. Niemcy skonfiskowaliby list i Heniek miałby poważne kłopoty.

– Pojadę na wieś jeszcze dziś – obiecuję z westchnieniem. – I tak mam udawać chorą.

* * *

Gospodarstwo, w którym pracują Żydzi z przemyskiego getta, niegdyś należało do jednego z nich. Obecnie znajduje się w niemieckich rękach, zarekwirowane w imię Vaterlandu. Od miasta dzieli je dziesięciokilometrowy spacer. Wybieram trasę obok zamku, bajkowej budowli z basztą, wzniesionej z trawionego kamienia, pod którą moje siostry urządzały sobie pikniki. Dziś tamte wspomnienia są blade niczym fotografie leżące zbyt długo na słońcu. Wokół panuje szarówka, wiatr zacina lodową mżawką, a mnie trudno sobie przypomnieć czasy, gdy nie obawiałam się śmierci.

Pozostawienie Heleny z ukrywającym się w naszym mieszkaniu Żydem jest chyba najgorszą rzeczą, jaką zrobiłam w życiu.

Przyśpieszam kroku. Krajobraz tutaj jest płaski i otwarty, nie ma nawet marnego pagórka, za którym mogłabym się schować. W dodatku, gdy wreszcie dostrzegam dachy stodół pośród zaoranych pól, pojmuję, że znajdują się dalej, niż myślałam. Zaczynam więc truchtać, przez co staję przed strażnikiem zdyszana.

Jest to Polak. Kopci jak lokomotywa, ma czerwony nos i wysoko postawiony kołnierz, a swoją broń oparł o murek okalający bramę wjazdową. Gdybym się wysiliła, zapewne znalazłabym jeszcze butelkę wódki ukrytą gdzieś w pobliżu. Podaję nazwisko Heńka i czekam, ale strażnikowi jest obojętne, czy porozmawiam z więźniami czy nie. Z równą obojętnością podchodzi do ich pilnowania, co akurat nie dziwi – dokąd bowiem mieliby pójść wszyscy ci ludzie?

Odnajduję brata Maksa i jego narzeczoną w jednej ze stodół, którą po części przerobiono na barak z piętrowymi pryzkami zaopatrzonymi z boku w drabinki. Niektóre łóżka są zajęte, ale wiele osób stoi wokół paleniska, które daje więcej dymu niż ciepła. W powietrzu unosi się woń zwierząt gospodarskich.

Na mój widok Heniek zrywa się na równe nogi i całuje mnie siarczyście w oba policzki, co bardzo mnie zdumiewa. Danką tylko wymienia ze mną uścisk dłoni. W stodole panuje brud i chłód, oboje są wychudzeni, ale nie tak przeraźliwie chudzi jak mieszkańcy getta. W ich spojrzeniu czegoś brakuje.

Dopiero po chwili uzmysławiam sobie, że oni się nie boją.

Heniek usadza mnie na kłodzie nieopodal drzwi, a ja mówię mu to, z czym przyszedłam. Że Chaim odszedł, że Maks wyskoczył z pociągu, jest ranny, ale żyje i ukrywa się w mieszkaniu, które nadal zajmują. Heniek marszczy czoło i przesuwając dłoń po głowie. Całkiem jak Maks. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi.

– Nie możemy mieć pewności, że Chaim zginął, prawda? – odzywa się po chwili milczenia. – Maks nie widział na własne oczy, jak...

– Chaim nie skoczył za nim. Został w pociągu.

– Właśnie o tym mówię – podchwytuje Heniek. – *Mame* i *tate* także odjechali pociągiem...

– Co zamierza Maks? – wtrąca Danką.

– Jeszcze nie wiem. Ale... – Nachyliłam się ku obojgu. Wprawdzie w pobliżu nie ma strażników, lecz pozostali więźniowie nadstawiają uszu, a skąd mnie wiedzieć, czy któryś z nich nie uzna, że dodatkowa porcja jedzenia warta jest zdrady rodaka i współwyznawcy? – Maks przestrzega, żebyście nie wracali do getta. Za żadną cenę. Z tego, co tu widzę –

obrzucam wzrokiem otoczenie – ucieczka nie powinna być trudna. Moglibyście na przykład...

– Mielibyśmy stąd uciec? – przerywa mi Heniek. – Maks przesadza. Sprawy nie mogą przedstawiać się aż tak źle. Najgorsze z pewnością już minęło.

Oczy rozszerzają mi się mimowolnie.

– Heńku, w getcie was zabijają. Maks twierdzi, że Niemcom zależy na uśmierceniu wszystkich Żydów...

– Co mamy jego zdaniem zrobić? – wpada mi znów w słowo Heniek. – Zamieszkać w lesie i umrzeć z głodu? Tu mamy jedzenie i dach nad głową, a getto stoi już prawie puste. Może dostalibyśmy do dyspozycji całe mieszkanie.

Odbiera mi mowę. Jak on może tak myśleć po tym, co przed chwilą usłyszał? Po tym, co spotkało jego rodziców, dwóch jego braci i siostrę najprawdopodobniej też?

Danka ujmuje mnie za dłoń.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Fusi. Odprowadzę cię do bramy.

Ledwie wyszliśmy na zewnątrz i oddaliśmy się od wrót stodoły, Danka odwraca się do mnie.

– Nie gniewaj się. On tylko tak się zgrywa. Jedyne w ten sposób może... – Danka zagryza wargę. – Nie był przy tym, jak zabierali jego rodziców, a to, co widział na własne oczy, wymazał z pamięci. Dzięki temu jest mu łatwiej.

Nic nie rozumiem. Ale kiwam głową, jakbym rozumiała.

– Powiedz Maksowi, że porozmawiam z Heńkiem. Mają nas odesłać za trzy dni, ale może znajdzie się tu dla nas jeszcze jakaś praca. Coś do naprawienia...

– Danka! – woła ją Heniek ze stodoły.

Moja rozmówczyni się wzdryga.

– Muszę już iść – rzuca. – Podaj mi swój adres, żebym mogła ci napisać, co się z nami dzieje.

Mówię jej, gdzie mieszkam, po czym macham na pożegnanie, mijam strażnika i wychodzę za bramę. Danka ma miły uśmiech, lekko zadarty nos i kręcone włosy, którym nie zaszkodziłoby porządne czesanie. Nie wydaje się głupia. Zastanawiam się, co w takim razie robi z takim głupcem jak Heniek.

Jakiś człowiek z wózkiem ciągnionym przez osiołka proponuje mi podwózkę do miasta, ale jak dla mnie jedzie za wolno. W drodze przez głowę przelatują mi wszystkie możliwe scenariusze, jak gestapo znajduje w mieszkaniu Helenę i Maksa. Przypomina to oglądanie filmu, na którego obejrzenie wcale nie ma się ochoty. Dziesięć kilometrów dzielące mnie od ulicy Mickiewicza pokonuję tak szybko, jakbym śpieszyła się na pociąg. Wreszcie jestem na drugim piętrze kamienicy. Otwieram drzwi i nasłuchuję. W mieszkaniu panuje absolutna cisza. Serce najpierw podchodzi mi do gardła, a potem zjeżdża przętykiem na dno żołądka.

Nie ma ich.

Zostali zabrani.

Odeszli.

Biegnę do naszego pokoju.

I widzę Helenę i Maksa wtulonych w siebie; moja siostra przerzuciła mu rączkę przez posiniaczoną pierś. Śpią jakby nigdy nic.

Gdyby teraz w progu stało gestapo, walczyłabym zębami i pazurami, aby im nie przeszkadzać we śnie.

Trzy dni później do drzwi stuka nie gestapo, lecz Danka.

– Uciekłam – oznajmia. – Od Heńka! – Przez chwilę wyrównuje oddech, nie mniej zdumiona ode mnie. – Uważam, że Maks ma rację. Getto

to umieralnia. A ja... – głos zaczyna jej drżeć – ja też straciłam rodziców, wiesz...

Otwieram drzwi nieco szerzej i wpuszczam ją do środka.

Nie mam pojęcia, co teraz będzie.

* * *

Jeden pokój to za mało przestrzeni dla czterech osób. Trzeba równo trzech dni, aby ktoś z nas stracił panowanie nad sobą. Helena kopie w nogę stołu na moje dictum, że nie może iść się pobawić z dziećmi na ulicy, kto bowiem zaręczy, co im powie. W odwecie moja siostra zjada wszystko masło. Samo. Na łyżeczki. To wtedy tracę panowanie nad sobą. Maks prostuje się na łóżku, nagi od pasa w górę, ponieważ wciąż nie kupiłam mu nowej koszuli. Cały jest poznaczony sińcami i strupami, które nie wiedzieć czemu odłazą i od początku krwawią. Tyle dobrego, że gorączka już mu minęła.

– Chodź tu do mnie, Helu – mówi. – Opowiem ci bajkę...

– Mam powyżej uszu bajek! – wrzeszczy w odpowiedzi Helena.

Maks opowiedział jej chyba wszystkie znane polskie bajki, i to dwa razy. Ostatnimi dniami stara się je wymyślać, co jednak daje różne rezultaty.

– Wiecie, co myślę? – odzywa się Danką. Zważywszy, że rzadko dzieli się z nami swoimi przemyśleniami, nadstawiamy uszu. – Myślę, że Hela potrafi dochować tajemnicy. Prawda, Helu?

Kręcę głową. Nasza tajemnica jest zbyt poważna, aby zawierzyć ją sześciolatce. Stawką jest nasze życie. Niemniej moja siostra się rozpromienia. Danką rozkłada szeroko ramiona, a Hela wspina się jej na kolana.

– No więc, co powiesz komuś, kto zapyta, ile osób mieszka w naszym mieszkaniu?

– Dwie: ja i moja starsza siostra.

– I jeszcze ktoś?

Dziewczynka potrząsa głową.

– A jeśli ktoś będzie nalegał: „Słyszałem przez ścianę różne głosy, panienko. Jesteś pewna, że twoja starsza siostra nie sprowadziła sobie jakiegoś mężczyzny?”. – Bezwiednie unoszę brew. Ale Danka przybrała prześmieszny niemiecki akcent, bardzo napastliwy, co rozśmiesza Helenę do łez. – Co wtedy powiesz, Helu?

– Powiem, że moja siostra często opowiada mi historyjki i że świetnie naśladuje głosy, także męskie. Mam z tego wiele uciechy.

Przechwytyuję spojrzenie Maksa, który wzrusza ramieniem. Muszę przyznać, że mała doskonale się spisała.

Nie przestając się uśmiechać, Danka kontynuuje:

– A jeśli ktoś zapyta, czy może pójść z tobą, tak dla pewności. Żeby przekonać się na własne oczy. Jak zareagujesz?

– Powiem, że siostra jest chora i rozsiewa zarazki. I że ja też jestem chora, a potem jeszcze spróbuję się przytulić do tego kogoś.

Danka wybucha śmiechem. Helena posyła mi tryumfalne spojrzenie.

– Och, biegnij się bawić. – Wzdycham. – Dzisiaj tylko godzinę, a jak wszystko pójdzie dobrze, jutro spróbujemy wydłużyć ten czas. Zgoda?

Ale moja siostra już pędzi korytarzem i otwiera drzwi wyjściowe. Wstrzymuję powietrze. Strach zagościł w moim sercu na dobre, co było do przewidzenia. Skromna zastawa śniadaniowa brzęczy mi w dłoniach, gdy zbieram ją ze stołu.

Nie cierpię się bać.

– Fusia?

Zamieramy w bezruchu, Danka z rękoma uniesionymi wysoko w powietrze przy strzepywaniu kapy. Głos rozległ się w drzwiach. Tych samych, których nikt nie zamknął po wyjściu Heleny.

– Fusia! – Zbliżający się korytarzem głos jest coraz bardziej nagłący.

Maks rzuca się na podłogę i wtacza pod łóżko tuż przed tym, zanim otworzą się drzwi pokoju.

– Witaj – mówi Emilka. – Zobaczyłam, że Hela zbiega po schodach, i pomyślałam, że już wyzdrowiałaś. Nareszcie.

Zamykam otwarte usta. Danka wciąż trzyma koc w powietrzu. Emilka wodzi spojrzeniem od jednej z nas do drugiej.

– Kto to jest? – pyta wreszcie.

Danka odzyskuje zdolność ruchu, rozściela koc na łóżku, zostawiając spory margines z przodu łóżka, by ukryć lepiej Maksa. Emilka spogląda na mnie wyczekująco.

– Moja kuzynka – odpowiadam szybko. – Ma na imię Danuta.

– A... – Emilka kiwa głową i puszcza do mnie oko. – Prawdziwa kuzynka, tak? Chowacie się tu na górze z jakiegoś konkretnego powodu? Bo coś nie wyglądasz mi na bardzo chorą.

Wpatruje się we mnie z natężeniem, lecz ja widzę tylko Dankę, która wyziera zza jej ramienia cała zielona na twarzy. Uśmiecham się, odstawiam naczynia i zamykam drzwi za Emilką.

– Wiedziałam, że nic się przed tobą nie ukryje – mówię, wzdychając. – Zgadłaś. Mamy powód się ukrywać. Tylko nie powiedz nikomu, Emilko. Błagam.

Emilka kiwa głową. W jej oczach czai się ciekawość. Danka wygląda tak, jakby miała zaraz zwymiotować.

– Danka ukrywa się u mnie, ponieważ jest... – wymieniona z imienia wstrzymuje powietrze – ponieważ jest w ciąży i jej rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć.

Danka siada ciężko na krześle przy łóżku.

Opowiadanie kłamstw my, siostry Podgórskie, mamy chyba we krwi.

– Och! – Emilka odwraca się do Danki. – Biedactwo! Rzeczywiście wyglądasz niewyraźnie... Potrzebujecie... rady?

Zerkam na Dankę. Ona zerka na mnie. Przez moment wszystkie trzy tylko wymieniamy spojrzenia.

– Jeśli potrzebujecie rady – kontynuuje Emilka – powiem dokładnie, co trzeba zrobić w takiej sytuacji.

– O tak, przydałaby się nam twoja rada – mówię i ledwie Emilka odrywa ode mnie oczy, gestem nakazuję Danke, żeby włączyła się do rozmowy, a ona potakuje posłusznie i uśmiecha się słabo.

– Weźmiecie garnek – zaczyna wyliczać Emilka. – Taki duży. Napełnimy go gorącą wodą, najgorętszą, jaką dasz radę znieść. Usiądziesz w nim i będziesz siedziała przez pół godziny. – *Biedny Maks...* – A po tym czasie zaczniesz biegać w górę i w dół po schodach, najszybciej jak umiesz. Stąd na parter i z powrotem, aż się spocisz, i wtedy usadzimy cię w garnku ponownie... – Danuta kiwa głową jak zepsuta lalka. – Najlepiej zrobmy to od razu! Mam odpowiedni garnek u siebie – dodaje Emilka. – Tutaj nie ma takiego dużego. – Klepie Dankę po kolanie. – Zaraz wracam!

Z tymi słowami na ustach wypada za drzwi.

Danka zrywa się na równe nogi i naskakuje na mnie.

– Co ty wypra...?

– Ratuje ci życie – odpowiada Maks, wystawiając głowę spod łóżka.

– Słuchaj – szepczę do niego. – Odwróć się do ściany i zamknij oczy. Nie próbuj nawet kichnąć. Ani się przeciągać, ani prostować nóg. Najlepiej

nie oddychaj. I nie słuchaj tego, co się tu mówi!

Maks znika pod łóżkiem.

– Chyba cię za to zabiję – grozi mi szeptem Danka, słysząc stukot obcasów na schodach.

– O ile gestapo nie będzie pierwsze – odpowiadam.

Na to zamyka buzię na kłódkę.

Po dwóch sesjach gotowania części intymnych Danki we wrzątku i jednym maratonie na klatce schodowej zwracam się do Emilki z pytaniem, o której powinna się stawić w zakładzie fotograficznym. Uderza się w czoło, całuje nas obie w policzki, każe nie przestawać, po czym wybiega z mieszkania. Danka wstaje z trudem, bierze ode mnie ręcznik, którym następnie starannie się wyciera, zaróżowiona od ciepła, wysiłku i upokorzenia.

– Myślisz, że to by zadziałało? – pyta, poprawiając na sobie sukienkę.

Wzruszam ramionami. Mama, która przed wojną była położną, skwitowała by takie zabiegi śmiechem. Unoszę jednak brew.

– A co? Jesteś w potrzebie?

– Dajcie spokój! – prosi stłumionym głosem Maks.

Danka uderza mnie lekko w ramię, po czym się uśmiecha.

Wtedy do mieszkania wpada Helena, także z zaczerwienionymi policzkami, ponieważ na zewnątrz jest rześko. Brakuje jej tchu, ale jest wyraźnie szczęśliwa.

– Nic nie powiedziałam – melduje, kiedy zamykam za nią drzwi pokoju. – Mówiłam, że nic nie powiem. Gdzie Maks?

Zadziera kapę i wpełza pod łóżko.

* * *

W ciągu najbliższych dwóch dni Emilka puka do nas jeszcze trzy razy, zawsze dopytując, czy jej rada odniosła skutek. Odpowiadamy, że tak. Po części jest to prawda. Dzięki Emilce wszyscy mieszkańcy kamienicy uważają, że Danką to moja zhańbiona kuzynka z Birczy. Wprawdzie nadal nie mogę jej wysłać na miasto, ale na strych już tak. Może wieszać za mnie pranie i nie musi w strachu chować się pod łóżko, gdy rozlegnie się niewinne sąsiedzkie pukanie do drzwi.

Dlatego jest ze mną, gdy ktoś puka następnym razem. Tyle że to nie żaden nasz sąsiad. Ani nie Emilka. W progu stoi mężczyzna. Nieznajomy w wytartym płaszczu, który nie wita się, o nic nie pyta, lecz pokazuje palcem na moją towarzyszkę i mówi:

– Właśnie tej Żydówki szukam.

* * *

Oparta o futrynę przyglądam się nieznajomemu, jakby był diabłem wcielonym. Mężczyzna wydaje się nerwowy, obraca niezdarnie kapelusz w dłoniach, podczas gdy Danką siedzi przy stole i czyta list, który jej przyniósł. Nie przypomina agenta tajnej policji. Ale tego właśnie należało się spodziewać po tajniaku, prawda? Czekaając, wybieram najlepszą broń z możliwych – sagan, którego Emilka nie zdążyła dotąd odebrać. W końcu Danką pociąga nosem i odkłada list.

– To od Heńka – wyjaśnia. – Wrócił do getta i namawia mnie, żebym do niego dołączyła. Tego pana poznał przy płocie i obiecał mu zapłatę, jeśli mnie sprowadzi. Sterczy teraz przy ogrodzeniu i czeka na mnie. Och, chyba naprawdę mnie kocha. Co powinnam zrobić?

Powinnaś pójść do Heńka i skopać mu tyłek z całych sił, odpowiadam w duchu. Bo co on sobie myślał, dając mój adres obcemu człowiekowi

i jeszcze zdradzając, że w moim mieszkaniu są Żydzi? Do tego spisał wszystko na papierze, z którym ten mężczyzna obnosił się po całym mieście!

Wszyscy przez niego zginiemy.

Chyba że ja położę na nim ręce pierwsza.

– Jeżeli nie wrócę od razu – odzywa się znów Danka – mam złożyć podpis tu, u dołu, żeby wiedział, że przeczytałam jego list. Fusi, co począć? Wracać czy...

– Nie możesz wrócić teraz do getta! – przerywam jej brutalnie. – Trzeba wszystko zaplanować, upewnić się, że jest bezpieczna droga...

– Ale ten pan nie odejdzie, dopóki z nim nie pójdę albo chociaż nie złożę podpisu!

Nieznajomy chrząka.

– Ten żydowski chłopiec obiecał, że zapłaci mi więcej, jeśli list będzie podpisany. Taki też zamierzam mu dostarczyć.

Doprawdy nie wiem, czego jeszcze mogłoby potrzebować gestapo.

– Nie jestem mordercą – zapewnia nieznajomy. – Po prostu chcę zarobić.

Wręczam Dancę moje jedyne pióro, tak gwałtownie, że nasze dłonie plaskają o siebie przy dotyku. Nieznajomy wyrywa jej list, ledwie zdążyła go podpisać.

– Nie jestem mordercą – powtarza, otwiera drzwi i wypada na zewnątrz.

Maks wystawia głowę spod łóżka.

– Może Heniek ma co do niego rację, może to ktoś, komu zależy tylko na pieniądzach...

Może, potakuję w duchu. Tyle że nie mamy jak tego sprawdzić.

– Co za *juc*[22] – rzuca Maks z poziomu podłogi. Ma na myśli brata.

Wyjątkowo zgadzam się z jego opinią o Heńku w całej rozciągłości.

Maks i Danka najpierw toczą długą rozmowę w salonie państwa Diamantów, po czym wracają do mnie i Maks oświadcza, że miał spędzić w tym mieszkaniu tylko jedną noc, tymczasem został na dwa tygodnie. A teraz narażają życie moje i Heleny. Dość dla nich uczyniłam. Pora, by wrócili do getta.

Nie chcę, by Maks tam wracał. Niemal co noc dręczą go koszmary. Mnie z kolei jest niedobrze na samą myśl, że powrót do getta oznacza w ich wypadku jedno. Śmierć. Kusi mnie bezpieczeństwo Heleny, oczywiście, że kusi. Ale jakaś część mnie czuje się zagubiona. Pusta. Jak wydrażona tykwa.

Są gotowi o zmierzchu. Helena płacze, dowiedziawszy się, że musi się pożegnać z Maksem. Maks całuje ją w czoło i przyrzeka, że gdy wojna dobiegnie końca, zabierze ją nad morze, gdzie będzie mogła biegać po plaży i bawić się w słonych falach. Najwyraźniej kiedyś, pod moją nieobecność, opowiedział jej bajkę o morzu i plaży, ponieważ teraz jej twarzyczka rozpromienia się jak włączona lampa.

– Przysięgasz, Maks?

– Przysięgam.

Wolałabym, żeby nie robił obietnic, zwłaszcza w takiej sytuacji. Zwłaszcza gdy jego rany jeszcze się nie zaleczyły.

Zamykam Helenę w mieszkaniu, ja zaś schodzę na półpiętro, aby się upewnić, że nikt z sąsiadów nie stoi na klatce schodowej i nie zobaczy, jak wyprowadzam mężczyznę. Im dłużej myślę o decyzji Maksa i Danki, tym bardziej wydaje mi się niewłaściwa. W getcie Maks nie dostanie racji żywnościowej, ponieważ Niemcy mają go za martwego. Co z nim zrobią, kiedy odkryją, że jednak żyje? Danka usiłuje mnie przekonać, że Maks będzie unikał każdego, kto by mógł mu zagrozić: tak samo niemieckich

żołnierzy, żydowskich porządkowych i polskich granatowych policjantów. Pociesza mnie, że ma jeszcze jakieś oszczędności.

Ale to straszne uczucie mnie nie opuszcza. Zupełnie jak wtedy, gdy usłyszałam krzyk pani Diamant. Gdy ujrzałam twarz strażnika tam, pod obozem janowskim.

Opadają mnie wątpliwości.

Nachodzi mnie myśl, że strach jest najskuteczniejszą bronią Hitlera.

Bierzemy obie Maksa pod rękę i prowadzimy go w dół ulicy.

[22] *Juc* (jid.) – głupiec.

12

GRUDZIEŃ 1942

Rozmawiamy o tym i owym, a Maks kiwa głową i rzuca uśmiechy, ubrany w kapelusz i płaszcz, który znalazłam na śmietniku i wyprałam cztery razy, tak że po ciemku jakoś uchodzi. Ale i tak trzymamy się bocznych uliczek, po czym na skróty docieramy do mostu, przekraczamy go i unikając blasku latarni, zatrzymujemy się przy odcinku płotu, który Maks własnoręcznie poluzował ile to już tygodni temu. Stoimy w tym samym miejscu, w którym Niemcy darowali mi życie.

Heniek już na nas czeka. Na widok Danki rozciąga usta w szerokim uśmiechu. W zasięgu wzroku nie ma żadnego strażnika, żadnego żołnierza. Ja jednak pamiętam dotyk zimnego metalu na skórze karku i doświadczoną wtedy pewność, że zaraz zginę. Pot występuje mi na czoło.

Zauważam, że Maks mi się przygląda.

Danka przeciska się pod drutem kolczastym, wstaje i z całym siłą wali Heńka w brzuch pięścią.

Tego się po niej nie spodziewałam.

– Tchórz! – syczy. – Podalesz adres Fusi obcemu człowiekowi! Gdybyś miał odrobinę odwagi, sam byś przyszedł...

Heniek przykładła dłoń do bolącego miejsca.

– Mówili mi... Mówili, że można na nim polegać. Załatwia różne sprawy przez płot.

– A skąd wiesz, czy nie ma konszachtów z Niemcami?

Maks odwraca się do mnie.

– No, pora już. – Próbuje się uśmiechnąć, ale mu to nie wychodzi. – Dziękuję, Fusiu.

Całuje mnie w policzek, po czym stoimy przez moment, stykając się twarzami, dopóki nie schyli się i nie przepelźnie pod drutem kolczastym. Macha mi ręką na pożegnanie i każe zmykać.

Dopiero w tamtej chwili uświadamiam sobie, że nie ja jedna boję się jego powrotu do getta. Maks także się boi. Jakże miałyby się nie bać? Po tym wszystkim, co go tam spotkało?

Nie chcę, by zniknął z mojego życia. Ale teraz przynajmniej Helena będzie bezpieczna. Zresztą nie zostało nam już prawie nic do jedzenia.

Pocieszam się, że zrobiłam wszystko, co może zrobić jedna osoba. Ale i tak czuję się jak wydrażona tykwa.

Nazajutrz zabieram Helenę i idę szukać pracy. Żadnej nie znajduję. Za to spotykam wiele innych dziewcząt, kobiet, a także mężczyzn, którzy szukają tego samego. Udaję się nawet na drugą stronę torów, do dzielnicy jeszcze niedawno stanowiącej część getta; pojawiają się tam nowi mieszkańcy, myślę sobie, że może ktoś będzie potrzebował pomocy w sklepie. Nikt mnie jednak nie zatrudnia.

Och, jakżebym chciała odzyskać swoje trzysta czterdzieści marek!

– To tu mieszka Maks? – pyta znienacka Helena, wskazując widniejącą w perspektywie uliczki bramę do getta.

Pilnuje jej niemiecki strażnik. Choć tłumek ludzi kłębi się po drugiej stronie, dzisiaj nie będzie załatwiania spraw przez płot. Nie wydaje mi się, aby w grupce był Maks. Ale nagle słyszę krzyk.

Chłopiec – albo młody mężczyzna, nie umiem rozpoznać z tej odległości – upada na kolana. Stojący nad nim strażnik unosi karabin jak do uderzenia. Zaczynam odwracać Helenę, żeby nie patrzyła, lecz rozmyślam się w pół ruchu. Niech patrzy. Gdy kolba dosięga głowy chłopca, ów pada jak długi i nieruchomieje momentalnie, nie wydając żadnego dźwięku. Nikt nie przychodzi mu z pomocą, nikt nawet nie rusza palcem. Strażnik idzie dalej jakby nigdy nic. Jakby nic się nie stało.

– Stefi... – bąka Helena, ale nie sądzę, aby wiedziała, o co chce zapytać.

– Tak – odpowiadam. – To tu mieszka Maks. I to dlatego mu pomogliśmy. Dlatego też zarówno on, jak i Danka muszą na zawsze pozostać naszą tajemnicą. – Helena wbija we mnie wzrok. – Największą, najpilniej strzeżoną tajemnicą, nawet teraz, gdy nie ma ich już z nami. W przeciwnym razie groziłoby nam niebezpieczeństwo. Jak temu chłopcu.

Moja siostra kiwa głową i wiedzie spojrzeniem ku bramie getta.

– Czy to znaczy, że nie będziemy już pomagać Maksowi?

Nie chcę udzielić odpowiedzi twierdzącej. Nie chcę, by taka była. Helena ujmuje mnie za rękę i zaczynamy się oddalać.

W drodze powrotnej kupuję w piekarni dwie wyschnięte, przecenione bułki na kolację, a dwa tygodnie później muszę wybierać pomiędzy jedzeniem dla zaspokojenia głodu i węglem dla zagrzania mieszkania. Oczywiście kupuję chleb, a pogoda jak na zawołanie się psuje, temperatura spada jeszcze niżej i lodowate powietrze znad wzgórz kąsa nas nawet w czterech ścianach.

Śpimy w płaszczach, kuląc się pod przykryciem, podczas gdy wiatr wyje za oknami. Na śniadanie pijemy ciepłą wodę, bo herbata nam się skończyła. Nie pozostało już nic do sprzedania. Nie mam pieniędzy, aby próbować coś kupić i odsprzedać z minimalnym zyskiem. Nawet nie możemy odwiedzić Emilki, ponieważ wyjechała do Krakowa, do matki. Helena zaczyna znów tracić na wadze. Spódnica, którą dla niej zwęziłam, wisi jej na chudych biodrach. Przytulając się do siostry, by ją ogrzać, słyszę, jak jej charczy w piersi.

W trzeci wieczór pożyczam piłę od pana Szymczaka i przecinam stół na pół. Boli mnie od tego ręka, a podłoga jest cała zaśmiecona, ale stół wciąż nadaje się do użycia, jeśli go podeprzeć odpowiednio o ścianę, a my mamy drewno do piecyka. Oczywiście korzystamy z niego oszczędnie, a Helena zamiata wióry, żeby nic się nie zmarnowało.

Gdy jest już odrobinę cieplej, kładziemy się do łóżka. Otulam siostrę własnym ciałem, dopóki nie uśnie. Potem zaczynam rozważać nasze położenie. Jeśli będziemy bardzo oszczędzać, jedzenia starczy nam na kolejne dwa dni. Pieniądzy nie mamy w ogóle, a ze stołu ostała się połowa. Maksa ani Danuty nie widziałam, odkąd wrócili do getta, ale mogę mieć pewność, że powodzi im się znacznie gorzej niż nam. Ja mogę jutro wyjść na miasto w poszukiwaniu pracy. Albo zapytać kogoś z sąsiadów, czyby mi nie zapłacił za zrobienie prania. Nawet jednak gdyby ktoś się zgodził, nie mam mydła. Mogłybyśmy też wrócić na wieś, ale za żadne skarby świata nie udałoby nam się ogrzać tak wielkiej chaty. Zresztą co byśmy tam jadły? Spiżarnia świeci pustkami, a zimą nie ma skąd wziąć jedzenia.

Delikatnie gładzę siostrę po włosach, wspominając znajomych z Birczy. Kto z nich przygarnąłby Helenę? Postawiona przed wyborem mama zdecydowała się na Zielińskich, ale sama myśl o odesłaniu tam Heli

napawa mnie odrazą. Z drugiej strony nie mogę pozwolić, by mała przymierała głodem. Przykładam głowę do poduszki, zrezygnowana.

Jeżeli nie znajdę jutro pracy, będę musiała poczynić jakieś kroki.

Praca, której tak potrzebuję, nie znajduje się dla mnie ani rano, ani po południu, ani wieczorem, choć przez cały dzień jestem na nogach i nieustępliwie pytam o nią wszędzie, gdzie się da. Gdy słońce zachodzi, w dalszym ciągu nie wiem, jakie kroki miałabym poczynić. Wiem tylko, że zawiodłam Helenę. Pod każdym możliwym względem.

Zamiast zjeść kolację, odkładam porcję jedzenia na jutro.

I wtedy przypominam sobie, że przecież są święta. Wigilia. *Niech przynajmniej Hela się naje, myślę. Byle nie przypomniała sobie, co to za dzień.*

Ponieważ mróz zelżał, nie palimy reszty stołu. Drżymy z zimna, mnie do tego burczy w brzuchu, ale trzymam się do chwili, w której moja siostra zaśnie. Potem zaczynam cicho płakać. Łzy nie przestają mi cieknąć po twarzy. Opłakuję wszystkich, którzy odeszli. Chłopca zabitego kolbą karabinu w getcie, niebieskooką rówieśnicę zastrzeloną na ulicy Mickiewicza, Ernestynę Diamant, której nigdy nawet nie spotkałam. Płaczę za Maksem i Danką, i Heńkiem, bo żałoba przybiera różne formy. Głównie jednak użalam się nad sobą. Bo czuję się smutna, sfrustrowana, głodna i pokonana. A nigdy lekko mi nie przychodziło pogodzić się z porażką.

Nagle spływa na mnie spokój. Ciepło w miejsce zimna. Zupełnie jakby ktoś objął mnie ramieniem, jakby przytulił policzek do mojego policzka. Nachodzi mnie wspomnienie Izia i tamtej nocy, kiedy mi powiedział, że chce żyć. Pamiętam, jak śpiewałam mu tanga i jak on odprowadzał mnie przez śnieg do mieszkania Marysi. Jak tłumiąc śmiech, przemykaliśmy do drzwi wyjściowych tak, by Regina i Róża nas nie usłyszały, jak zakradaliśmy się na strych, unikając pani Pohler, z naręczem pełnym...

Otwieram oczy i prostuję się na łóżku. Chyba przysnęłam. I coś mi się śniło. Chociaż był to bardzo realistyczny sen. Sprężyny materaca jęczą pod moim ciężarem, kiedy wstaję z łóżka, na szczęście nie budząc siostry. Opatulam ją szczelniej przykryciem, wsuwam stopy do lodowatych trzewików – płaszcz mam już na sobie – i sięgam do półki nad kominkiem, gdzie trzymam klucz do suszarni na strychu. Pozostawiam pogrążone w głębokiej ciszy mieszkanie za sobą i wymykam się na klatkę schodową.

Poruszam się ostrożnie, nie chcąc, by sąsiedzi mnie usłyszeli.

Stopnie prowadzące na strych przypominają w mroku czarną otchłań, lecz ja wiem, jak stapać, by nie nacisnąć żadnej ze skrzypiących desek. Wreszcie otwieram drzwi wiodące na poddasze. Na niebie świeci księżyc, który widzę przez okienko na jednym końcu. Jego blask srebrzy sznury na pranie, rzuca widmowe cienie na zakurzoną podłogę. Dach jest spadzisty, jedna jego płaszczyzna styka się z ceglany obramowaniem komina. Tam właśnie przyklekam, pod krokwią.

Pamiętam, jak wiele miesięcy temu klęczałam w tym miejscu razem z Iziem. Długo nam wtedy zeszło, ponieważ całowaliśmy się, zamiast wykonać zadanie, co było przyczyną niezadowolenia pani Diamant. Teraz sądzę, że się domyślała. W każdym razie zrobiliśmy to, o co nas poprosiła. „Nikommu nawet nie przyjdzie do głowy, by tu szukać – powiedział mi na ucho Izio. – Nawet tobie by nie przyszło...”

Faktycznie, nic nie wskazuje na to, by znajdował się tu otwór. Cienie jednak bywają mylące, zastrzały bowiem sięgają głęboko, tak że gdy się położyć na brzuchu i wyciągnąć mocno rękę...

Zaciskam zęby i wsadzam dłoń w dziurę, czując, jak pot występuje mi na czoło pomimo chłodu. Kiedy jeszcze byłam młoda i naiwna, nasłuchiwałam się od braci Diamantów historyjek na temat tego strychu, między innymi że poprzedni właściciel ukrył pod stropem ciała martwych

ludzi. Tak naprawdę wcale nie myślę, że zaraz dotknę trupa. Już prędzej myszy albo szczura, który mnie ugryzie. W najlepszym razie tylko usłyszę, jak pod deskami coś przemyka. Kiedy w końcu dotykam futra, jest zimne i nieruchome. Chwytam je dłonią i wyciągam.

Czapka z lisa po panu Diamancie. I kołnierz z lisa wraz z mufką po pani Diamant. Kawalek dalej leżą inne skarby. Srebrzysta etola, kożuszkowe podbicie. Naręcze futer, o których istnieniu zapomniałam. Do czasu, aż mi się przyśniły.

Czy też do czasu, aż Izio wrócił, aby mi przypomnieć, że nade wszystko pragnie, abym przeżyła.

Helena wybucha śmiechem, gdy budzi się pod stertą futer, rozgrzana i spokojna. Długo nie wychodzi z łóżka, wysłuchując snutyh przeze mnie planów.

Mam kuzyna. Takiego prawdziwego. W Leżajsku. Nie znam go zbyt dobrze, lecz chyba wystarczająco, by poprosić, aby mnie przenocował, dzięki czemu będę mogła załatwić sprawy na mieście. Jestem dobrej myśli, ponieważ Leżajsk położony jest około pięćdziesięciu kilometrów od Przemyśla i futro na pewno stanowi w nim luksus. Zamierzam policzyć sobie za każde naprawdę słono, żeby wyprawa mi się opłaciła. Helena mości się wygodniej, pieszcząc etolę, którą zarzuciła sobie na szyję.

– Naprawdę chcesz je wszystkie sprzedać, Stefi?

Uśmiecham się do niej.

– Pomóż mi w podjęciu decyzji. Co wolisz: ciepło futer czy pełen żołądek?

Oczywiście wybiera pełen żołądek. Mądre z niej dziecko.

Zwłaszcza teraz będzie musiała sięgnąć do pokładów swojej inteligencji. Ponieważ Emilka nadal siedzi w Krakowie, moja siostra zostanie sama na te parę dni. Przyjdzie jej samodzielnie przygotowywać

posiłki, pilnować, żeby drzwi były zawsze zamknięte na klucz, i do tego zapewnić sobie ciepło, nie puszczając z dymem całej kamienicy.

– Zatem nie wyjdiesz na zewnątrz, nawet żeby się pobawić, dopóki nie wrócę, tak? Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to ważne?

Helena potakuje skinieniem.

– A w razie sytuacji awaryjnej – kontynuuję – zejdziesz na parter i zapukasz do drzwi pana Szymczaka, tak?

– Nie martw się o mnie, Stefi. Umiem o siebie zadbać – zapewnia.

A ja, głupia, jej wierzę. Zostawiam jej jedzenia na dwa dni, resztkę drewna i trochę starych czasopism, które wygrzebałam na śmietniku, żeby miała z czego wycinać zdjęcia i robić kolaże. Przyrzeka, że zrobi dla mnie coś ładnego, a kiedy dwie godziny później zimowe słońce wstaje, ja mam za sobą już pięć kilometrów drogi do Leżajska.

Blżej południa szczęście wreszcie się do mnie uśmiecha i jakiś gospodarz oferuje, że mnie podwiezie. Tak mija mi kolejne dwadzieścia kilometrów drogi. Gdy zsiadam z wozu, jestem zeszywniała z zimna, ale co tam! Otaczające mnie lasy wyglądają precudnie, lśnią diamencikami lodu, a z pól i łąk podnosi się mgła. Resztę trasy pokonuję pieszo, dzięki czemu porządnie się rozgrzewam.

Otwiera mi żona kuzyna, z początku zdziwiona moją wizytą i nieco względem mnie podejrzliwa, lecz wystarczy pół godziny, by sama zapłaciła mi za futra dwakroć tyle, ile mogłabym uzyskać w przemyskim komisie. Kiedy wymieniam pieniądze na artykuły żywnościowe, kobieta ze śmiechem pyta, na co mi tyle jedzenia. Odpowiadam, że sprzedam je z zyskiem, co budzi w niej pewien szacunek. Obiecuje, że kiedy będzie jechać w odwiedziny do siostry w następnym tygodniu, przywiezie mi więcej żywności, w końcu to żaden kłopot zrobić sobie przystanek w Przemyśle.

Tę noc spędzam u kuzynostwa na wersalce, a przed północą nazajutrz jestem z powrotem w mieszkaniu, gdzie grzeję sobie dłonie nad piecykiem i moczę w ciepłej wodzie moje biedne, obolałe i zmarznięte stopy. Helena aż piszczy z uciechy na widok łupów w sakwie. Mamy jajka, masło i chleb, a nawet po szklance mleka na jutrzejsze śniadanie. W rogu pokoju odkładam niewielki worek z węglem, który zdobyłam, i w tej samej chwili dostrzegam kolaż przypięty pinezkami do ściany. Nie mam pojęcia, skąd Hela wytrasnęła pinezki, ale mniejsza o to. Jeśli nie będziemy rozrzutne, jedzenia starczy nam na cztery, może pięć tygodni – nie tylko dla nas, ale też dla Maksa, Heńka i Danki.

Nie wiem, co zrobię potem. Na razie jednak czuję się jak podczas pierwszej wizyty Emilki – jakbym była władczynią własnego małego królestwa.

Zasypiam i śnię o Iziu. Ale tym razem jest ode mnie bardzo, bardzo daleko.

* * *

Żona kuzyna istotnie pojawia się tydzień później. Przywozi dwa saczki ziemniaków, jeszcze więcej masła i jajek, buraki, suszone jabłka, brukiew i trzy warkocze cebuli. Miesiąc później przytraczam pod płaszczem sznurki jak kiedyś, zawieszam na wpół pełne saczki, napełniam torebkę i kieszenie tym, co zostało z zapasów. Wiem, że nie zdołam wszystkiego przekazać Maksowi przez płot. Jest tego sporo, bo przez ostatnie cztery tygodnie nic tylko handlowałam; kupowałam rzeczy tanio, by sprzedać je drożej w komisie; przetrząsałam śmietniki na podwórkach lepszych kamienic, a potem prałam, cerowałam i zszywałam, co się dało. Dzięki temu jedzenia starczyło aż do teraz. Trzymam kciuki, żeby mi się poszczęściło podczas kolejnej wyprawy. Nie będzie mnie dwa, może nawet cztery dni.

Nie mogę pozwolić, aby przez ten czas Maks, Heniek i Danka przymierali głodem.

Z dziury zrobionej własnoręcznie w materacu wydobywam opaskę z gwiazdą Dawida i mówię Helenie, że może iść się pobawić na placu przy końcu ulicy – dokąd nie wrócę lub dokąd nie zrobi jej się zimno. Jak na ostatni dzień lutego słońce przygrzewa dość mocno, zupełnie jakby próbowało sobie przypomnieć wiosnę, a gdy docieram pod bramę getta, stwierdzam, że patrole są polskie, nie niemieckie. Przez płot toczy się niemrawy handel, ja jednak przemykam do zaułka, w miejsce, gdzie poluzowaliśmy drut kolczasty.

Ni z tego, ni z owego cały mój dobry humor znika. Serce tłucze mi się w klatce żeber. Słyszę rozmawiających ze sobą Niemców, czuję koniec lufy przytknięty do mojego karku. Zaczynam się dusić. Myśli mam rozbiegane, nieposłuszne. Przykładam dłoń z tyłu szyi, żeby odsunąć uciskający mnie metal.

Wiem oczywiście, że nikogo za mną nie ma.

A jednak nie mogę się zmusić do otwarcia oczu. Boję się spojrzeć na ogrodzenie. Boję się tego, co mogę zobaczyć po drugiej stronie.

Zadaję sobie pytanie, czy naprawdę pozwolę swoim przyjaciołom głodować, dlatego że boję się płotu.

Otwieram oczy. Mam przed sobą tylko drut kolczasty i toczoną wiatrem pustą puszkę po pomidorach. Prześlizguję się pod ogrodzeniem, wstaję, otrzepuję płaszcz z kurzu i zakładam na prawy rękaw białą opaskę. Ruszam przed siebie.

W getcie śledzą mnie liczne pary oczu. Zamiast jednak skrzyżować ze mną spojrzenia, uciekają w bok. To różni ten raz od poprzedniego. Nie jestem pewna, gdzie obecnie mieszka Maks, czy w tym samym lokum, czy gdzie indziej. Nie mam nawet pojęcia, czy bezpiecznie jest o niego pytać.

Poza tym boję się, że zapukam do niewłaściwych drzwi. Dlatego zaczepiam przechodzącą obok kobietę, z ostrym zarysem szczęki i sterczącymi obojczykami, i podaję jej imię Heńka. W odpowiedzi wyciąga rękę z wyprostowanym palcem wskazującym, po czym znika, rozmywa się w powietrzu. Znów panuje idealna cisza, nie przerywa jej nawet tupot oddalających się stóp. W pewnej chwili z pobliskiej bramy dolatuje kasznięcie. Ludzie milczą, obawiając się rozmowy nawet w swoim gronie.

Nigdzie nie widzę żadnych dzieci.

Adres się nie zmienił – ulica Kopernika w samym centrum getta. Otwiera mi Danka. Całuje mnie w oba policzki, daje buzię, że niepotrzebnie się narażam, po czym prowadzi do dawnej kuchni, gdzie teraz mieszkają. Na widok jedzenia przestaje wyrzekać na moją lekkomyślność. Doktor Schillinger całuje mnie w rękę, a Dziusia macha do mnie z łóżka, na którym leży, schowana pod koszulą ojca służącą jej za całe przykrycie. Cieszę się, że widzę oboje; nie mogłam mieć pewności, że wciąż żyją.

Żałuję, że nie przyniosłam więcej jedzenia.

– Gdzie Maks? – pytam.

– Wyszedł gdzieś z Siuńkiem. Nie potrafi usiedzieć w czterech ścianach. – Danka smutnieje. – W każdej chwili spodziewa się łomotu do drzwi.

Dobrze to rozumiem. Za dobrze.

– A co u pana Hirscha?

– Żyje. – Sądząc z jej tonu, nie jest to dla niego powód do radości.

– Heniek? – rzucam na koniec krótko.

– Ma się dobrze.

Ponieważ się czerwieni, domyślam się, że mu wybaczyła. Wszystko. Zastanawiam się, jak często musi mu wybaczać. Spoglądam na jej

zarumienioną twarz i lekko zadarty nos i mam nadzieję, że będzie miała okazję wybaczyć mu jeszcze wiele razy w przyszłości.

Danka wypędza mnie za drzwi, ledwie zdążyła ukryć jedzenie; w korytarzu daje mi jeszcze mnóstwo rad: trzymaj głowę nisko, z nikim nie rozmawiaj i sakramentalne – nie ściągaj na siebie uwagi policji. Przytula mnie z uśmiechem, ale w jej oczach czai się niepokój.

Zbiegam po stopniach, strasząc szczura, który ucieka mi spod stóp, i myślę sobie, jakie by to było fantastyczne uczucie: wjechać do getta czołgiem.

Znalazłszy się na ulicy, znów czuję na sobie ludzkie spojrzenia. Choć jestem szczupła, wyglądam za zdrowo. Mam płaszcz i torebkę. Czyste, uczesane włosy. Kolejne osoby pokazują mi plecy, kiedy koło nich przechodzę. Dociera do mnie, że równie dobrze mogłabym kroczyć przez getto z lśniąca koroną na głowie. Wtem rozlega się krzyk.

– Ty! Ty tam!

To woła Polak, rodowity Polak. Nie reaguję.

– Stać!

Nie zatrzymuję się, dopóki czyjaś ręka mnie nie szarpnie i nie osadzi w miejscu. Zadzierając głowę, spoglądam w twarz policjanta. Mężczyzna jest przystojny, ma ładnie zarysowaną szczękę i niebieskie oczy. Nawet gdyby się nie odezwał, po mundurze zorientowałabym się, że mam do czynienia z Polakiem. To mnie rozwściecza. A może jestem tak bardzo zła z powodu niepokoju Danki, z powodu strachu Maksa, z powodu leżącego nieopodal w rynsztoku mężczyzny, który może, ale nie musi być martwy, za to na pewno jest i Polakiem, i Żydem. Wyrywam się z chwytu męskich rąk.

– Czego pan chce?

Policjant robi zaskoczona minę. Dla mnie to żadne zaskoczenie.

– Chcę wiedzieć, co tu robisz. – Zerka na opaskę i marszczy czoło. – Nie jesteś z getta, prawda?

Nie odpowiadam.

– Masz dokumenty?

Ani drgnę.

– Pokaż mi swoje dokumenty!

Wręczam mu kenkartę. Z ociąganiem. I przyglądam się, jak ją czyta. Nie ma w niej nigdzie napisu „JUDE”.

– Wstydź się! – beszta mnie policjant, oddając dokumenty. – Żeby taka ładna dziewczyna szwendała się po getcie!

Z nas dwojga to on powinien się wstydzić. Chyba dostrzega coś w mojej twarzy, bo jego blond brwi niemal się stykają, kiedy robi marsa.

– Mów, co tu robisz, bo cię aresztuję!

– Sprzedałam trochę jedzenia. Wielkie mecyje.

– Pomaganie Żydom jest sprzeczne z prawem.

– Nie pomagam Żydom. To Żydzi pomagają mnie. Im potrzeba jedzenia, mnie pieniędzy. Co ma do tego prawo?

Przez moment myślę, że moja niepoprawna bezczelność skłoni policjanta do uśmiechu. Mylę się jednak.

– Powinienem cię aresztować – rzuca. – Wiesz? Każdy policjant ma taki obowiązek. I dostarczyć na gestapo. To niebezpieczne miejsce.

Tego akurat nie musi mi mówić.

– Gestapowcy nie będą dla ciebie mili, dlatego że jesteś ładna. Jeśli mam być szczery, prawdopodobnie nie uszłabyś żywa z ich rąk.

Wiem, co robi. Stara się mnie nastraszyć. Nadaremno. Nie dlatego, że jestem taka odważna czy że mu nie wierzę. Po prostu już teraz tak się boję, że nie ma we mnie miejsca na więcej strachu.

A poza tym wciąż jestem wściekła.

Mierzę go nieprzychylnym spojrzeniem. Usta mu lekko drżą.

– W porządku – mówi. – Jak sobie chcesz. Jesteś aresztowana. Chodź ze mną.

Odwraca się i rusza z kopyta.

Truchtam za nim. Sama nie wiem dlaczego. Nie dobył broni. Nie ciągnie mnie za rękę. Ogląda się na mnie, błyskając przy tym niebieskimi oczyma, po czym przyśpiesza. Ja zwalniam, a on przyśpiesza jeszcze bardziej.

Dziwne to aresztowanie...

Na najbliższym rogu przystaję. Policjant dalej nie zwalnia. Jest już w połowie drogi do następnej przecznicy. Czekam jeszcze przez chwilę, po czym wyciągam jedną nogę najdalej jak umiem i robię potężny krok w bok. Teraz znajduję się na całkiem innej ulicy, poza jego polem widzenia. Policjant nie krzyczy. Nie gwizdże nawet w gwizdek. Zaczynam uciekać. Dopadam kolejnego rogu, skręcam za niego i rozpłaszczam się na ścianie kamienicy. A kiedy jednym okiem zerkam za ceglany występ, żeby sprawdzić, czy policjant mnie ściga, przez mgnienie widzę jego granatową czapkę ze złotym otokiem. Mój prześladowca robi to samo co ja. Sprawdza, gdzie jestem.

Dopiero w tej chwili uzmysławiam sobie, że chce mnie zgubić.

Oddalam się więc i kluczę po getcie, aż nabieram pewności, że nie depcze mi po piętach żaden Żyd, Niemiec ani Polak, po czym prześlizguję się pod drutem kolczastym, ściągam opaskę z rękawa, prędko pokonuję most i zaułkami docieram na ulicę Mickiewicza. Tam, obejrzawszy się dyskretnie przez ramię, widzę, że wśród przechodniów kroczy mój policjant z getta.

Wcale mnie nie puścił. Postanowił wytropić, gdzie mieszkam.

Nabieram prędkości, kierując się do najbardziej zatłoczonego miejsca, jakie znam. Na plac targowy. Niestety jest tam mniej ludzi niż zazwyczaj. Próbuję wtopić się w rzadki tłum, schować za zasłoną dymu bijącego z kosiaków, złąć w jedno z przekupkami zachwalającymi swoje towary. Znienacka daję nura za stragan i przemykam za zamkniętymi budami, brodząc po kostki w śmieciach i odpadkach. Przystaję dopiero przy kupie gruzu, nieuprzątniętej jeszcze od czasu niemieckich bombardowań Przemyśla, wyglądam zza niej, ale nigdzie nie widzę policjanta. Opuzczam czym prędzej to miejsce, wracam po własnych śladach, zagłębiam się w boczną bramę kamienicy i dostaję się na klatkę schodową przez podwórko.

Helena jest w domu, zaczerwieniona od mrozu i zabawy. Dopytuje, czemu tak długo mnie nie było. Nie odpowiadam, ostrożnie odciągam palcem skraj dywanu przybitego do ramy okiennej i zerkam na zewnątrz. Bezwiednie wstrzymuję oddech. Mój policjant tam jest. Rozmawia z panią Wójcik, która wyprowadziła psa na spacer. *Czyli jednak ani na moment nie stracił mnie z oczu...*

Uderzam się w czoło.

Przecież w kenkarcie widnieje mój adres!

– Kto to? – pyta mnie Helena, popatrując spod mojego łokcia.

– Nikt taki.

W tym momencie zarówno policjant, jak i pani Wójcik zadzierają głowy, żeby spojrzeć w moje okno. Instynktownie puszczam dywan, który opada na swoje miejsce.

– Jestem głodna – oznajmia moja siostra. – Stefi, a ty? Nie jesteś też głodna?

– Zaraz wrócę, Helu.

Zza pleców dolatuje mnie westchnienie frustracji, gdy wybiegam do korytarza i na klatkę schodową. Czekam, aż policjant sobie pójdzie. Odchodzi cały w skowronkach. Dzięki uśmiechowi robią mu się dołeczki w policzkach. Gdy znika mi z oczu, wypadam na zewnątrz i zbliżam się do pani Wójcik, której pies załatwia się w krzakach. Muszę skrzyżować ramiona na piersi w obronie przed zimnem. W pośpiechu zapomniałam płaszcza.

– A, to ty – wita mnie sąsiadka. – Coś nabroiła?

– Nic – odpowiadam i upewniam się, że policjant nie zawrócił. – Co mu pani powiedziała?

– Że mieszkasz na górze ze swoją siostrą. Że rodzice cię nie odwiedzają, tylko jedna kuzynka. Że dużo wychodzisz, kręcisz się to tu, to tam, choć nie masz pracy. I że większość czasu spędzasz, handlując na targu i po sklepach.

Nie miałam pojęcia, że pani Wójcik tak bacznie mnie obserwuje. Aby powstrzymać dreszcze, obejmuję się ciasniej rękoma.

– Nie rób takiej miny – rzuca pani Wójcik. – Znam się na mężczyznach. A ten na pewno nie przyszedł tu służbowo.

– Myśli pani, że nie wpadłam w kłopoty?

– Żaden z niego ksiądz. Wróci, zobaczysz. A kłopoty, w jakie wpadniesz, pojawią się dziewięć miesięcy po tym, jak wpuścisz go za drzwi.

Wybucho głośnym śmiechem, a ja uświadamiam sobie, jak bardzo jej nie lubię. Zostawiam ją sam na sam z psem i wracam do środka, czując, jak z nerwów skręcają mi się wnętrzności.

Czekam, aż Helena mnie wpuści, po czym udaję wesołość.

– Mam pomysł – mówię. – Posprzątajmy nasz pokój!

– Ale ja jestem głodna!

– To nie zajmie nam wiele czasu.

Helena marudzi, lecz łapie się za miotłę, podczas gdy ja chowam nadmiarowe jedzenie do kredensu i utykam opaskę z gwiazdą Dawida z powrotem w materacu, rozglądając się, czy na widoku leży jeszcze coś, czego ten policjant nie powinien zobaczyć.

Właśnie porządkuję wycinki z czasopism, gdy w oko wpadają mi leżące pod spodem dwie koperty.

– A to co? – pytam.

– Och! Pan Dorlich przyniósł pocztę, kiedy cię nie było. Całkiem zapomniałam...

Biorę do ręki pierwszą kopertę z brzegu i rozdzieram ją palcami. List jest z Salzburga. Od mamy. Nie rozpisuje się, ale z jej słów wynika, że pracuje w fabryce i że Stasiu jest razem z nią. Prosi mnie, żebym pojechała się upewnić, czy u Heli wszystko w porządku, i przekazać małej, że mama ją kocha i tęskni za nią. Ten fragment odczytuję Helenie aż trzy razy. Później sięgam po drugą kopertę, rozrywam ją niecierpliwie, przebiegam wzrokiem list i odkładam go na stolik.

To pismo z urzędu pracy. Dostałam pracę. Dobrą pracę. Mam się stawić pojutrze.

Łapówka, na którą ciężko zapracowałam, przyniosła nareszcie owoce.

Świętujemy, jedząc kanapki z szynką konserwową, po czym Helena wcześniej zasypia. Rozsiadam się przy piecyku i popijając herbatę, rozmyślam o swojej nowej pracy, o Iziu i o Maksie, a od czasu do czasu także o bardzo przystojnym policjancie. Właśnie dopijam ostatni łyk i sięgam po koszulę nocną, gdy u drzwi wejściowych rozlega się pukanie.

Jest późno, długo po rozpoczęciu godziny policyjnej, chyba nawet po północy. Ale może policjantów nie obowiązują żadne obostrzenia. Znow zaczyna mi wykręcać z nerwów wnętrze. Nieświadomie przyglądam

włosy, a kiedy naciskam klamkę i zaczynam otwierać drzwi, w mojej głowie pojawia się myśl, że to bardzo, ale to bardzo zły pomysł. Nie powinnam wpuszczać go do domu.

Tyle że to nie on.

– Fusi... – dyszy mi prosto w twarz Maks. – Właśnie usiłowałem zabić policjanta.

13

MARZEC 1943

– **K**toś widział, jak idziesz po schodach? – pytam szeptem, zamykając cicho drzwi i przekręcając klucz w zamku.

– Nie, przysięgam. Byłem ostrożny. Przyczałem się w piwnicy...

– Maks! – woła Helena, rozpościerając szeroko ręce. Obudziła się, cała rozczochrana i wymięta.

Maks bierze ją na ręce, pozwala się jej uściskać, ale ani na moment nie spuszcza ze mnie wzroku. Pyta, czy może zostać.

Daję mu chleba i herbaty, a on opowiada Heli bajki, dopóki mała nie zaśnie. Razem zasiadamy przy piecyku. Milczenie przeciąga się w nieskończoność. W końcu Maks zaczyna mówić. Wyznaje mi, że od jakiegoś czasu wychodzi z getta. Bez konkretnego powodu. Że patrzenie na ludzi zza drutu kolczastego czyni z niego zwierzę zamknięte w klatce. Eksponat w zoo.

Z dwojga złego wolałby zginąć zastrzelony.

Poprawiam się na zimnej podłodze, w poszukiwaniu odrobiny ciepła oplatając palcami kubek z gorącą wodą, którą zalałam fusy herbaty, i nie mogę się powstrzymać przed myślą, że wyskakując z pociągu, Maks był gotów popełnić samobójstwo.

– Dzisiaj – kontynuuje swoją opowieść – zupełnie straciłem poczucie czasu. Myślałem, że jest po ósmej. Ale było już po dziewiątej. I w drodze powrotnej zatrzymał mnie policjant. Powiedziałem mu, że pracuję w sortowni odpadów, że przedłużyła się zmiana. Że możemy tam razem pójść, a każdy za mnie poświadczy, powie mu, jak się nazywam... Oczywiście mnie przejrzał. Wiedział, że kłamię. Nie wyglądałem jak ktoś z tej strony miasta. Zdradziło mnie ubranie. Wychodząc z getta, nie przestałem wyglądać jak brudny, głodny Żyd.

Podrywam na niego wzrok.

– Potem zażądał papierów. – W kenkarcie Maksa widnieje duży czarny napis „JUDE” nad zdjęciem, z dwiema gwiazdami Dawida po obu stronach. – Odparłem, że ich zapomniałem. Oskarżył mnie, że jestem szpiegiem.

– Szpiegiem? Czyim szpiegiem?

– Nie mam pojęcia. W każdym razie wyciągnął broń, zaarrestował mnie i powiedział, że odstawi mnie na gestapo. – Z wrażenia odłożyłam kubek. – Nie wierzyłem, że to zrobi. Wmawiałem sobie, że chce mnie tylko nastraszyć, da mi nauczki i puści mnie wolno. Straciłem nadzieję, gdy znaleźliśmy się pod komisariatem. W środku paliły się światła. Zapytałem go, dlaczego to robi. Obaj jesteśmy przecież Polakami. Nie odpowiedział. Byłem tak zły, tak przerażony, a na ulicy nie było nikogo... Wziąłem zamach i uderzyłem go w głowę z całej siły. Padł jak długi, zanim zdążył pociągnąć za spust. – Nie odrywam spojrzenia od twarzy Maksa. – Mimo że leżał, uderzyłem go ponownie. I jeszcze raz. I znowu. Mogłem uciec, ale

wolałem... W pewnym momencie zacisnąłem mu ręce na szyi. Wtedy zaczął mnie błagać... błagać... mnie... żebym go nie zabijał.

Spogląda w dół na swoje ręce, jakby należały do kogoś obcego. Kłyckie ma zdarte do krwi, posiniaczone.

– Co stało się potem? – pytam szeptem.

Maks wzrusza ramionami.

– Nic. Uciekłem. Zostawiłem go na jezdni i pobiegłem.

Do mnie.

Kładzie się na podłodze obok piecyka z rękoma podłożonymi pod głowę.

– Powinnaś mnie wyrzucić za drzwi, Fusi! – mówi, zamykając oczy. – Nie powinnaś pozwolić mi zostać.

Czekam, aż doda, iż to dlatego, że jest Żydem, że stanowi dla mnie i Heli zagrożenie.

Ale on mówi:

– Nie jestem lepszy od nich.

Zmęczenie bierze nad nim górę. Widzę, kiedy zasypia. Potrzebuje golibrody, kąpieli i żeby ktoś go utuczył, ale w moich oczach nie wygląda jak zagłodzony Żyd.

W moich oczach jest silnym mężczyzną, fizycznie i psychicznie. Jednym z tych, którzy się nie poddają.

Przykrywam Maksa starym płaszczem jego matki i kładę się obok Heleny. Nie mogę jednak zasnąć. Nie mogę przestać myśleć o tym, co Maks powiedział. Ponieważ to nieprawda.

Wybrał życie.

A to czyni go kimś znacznie lepszym od nich.

* * *

Helena budzi Maksa wcześniej, ponieważ zanim nasz gość wróci do getta, chce mu pokazać nowe układy w kociej kołysce, których jej ostatnio nauczyłam. Podczas gdy ja kroję chleb i gotuję jajka, ona próbuje nauczyć Maksa śpiewać piosenkę. Przerywa nam pukanie do drzwi frontowych.

Wspólny śpiew milknie nagle, jakby ktoś wyłączył radio, a kiedy się odwracam, Maksa nigdzie nie widać, Helena zaś zasłania dłonią usta i drugą ręką pokazuje mroczną przestrzeń pod łóżkiem. Samymi oczyma proszę, żeby naciągnęła niżej kapę, na co ona wpycha najpierw pod łóżko na wpół pełen sacek ziemniaków, po czym dopiero wykonuje polecenie. Zuch dziewczyna. Gestem nakazuję jej milczenie, co kwituje potakującym skinieniem głowy. W końcu na palcach przemykam korytarzem do drzwi.

Pukanie się powtarza. Nie jest to łomot typowy dla gestapo ani umówiony sygnał Emilki. Ktoś jednak stanowczo dobija się do drzwi. Jakby miał jakąś sprawę urzędową. Przez moment się waham, ale ostatecznie pytam podniesionym głosem:

– Tak?

– Ja do panny Podgórskiej... – Momentalnie pojmuję, kto stoi za progiem. – Moglibyśmy porozmawiać?

Uchylam lekko drzwi. W szparze widzę znajomego policjanta. Właśnie zatyka czapkę pod pachę i uśmiecha się do mnie.

– Witaj ponownie – rzuca.

Tym razem moja nerwowość nie ma nic wspólnego z jego niebieskimi oczyma i dołeczkami w policzkach.

Chwytam mocniej klamkę.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł...

– Oczywiście masz rację. Dlatego przyprowadziłem kolegę.

W szparze pojawia się twarz drugiego policjanta. Mężczyzna – Polak – jest cały w uśmiechach. Ja przeciwnie, tracę głowę.

– Pozwolisz? – Znajomy policjant robi krok do przodu i kładzie dłoń na futrynie. Mam teraz do wyboru: wpuścić go albo złamać mu rękę. Cóż robić, odsuwam się od drzwi, obaj wchodzą kolejno, po czym stoimy niezręcznie w pustym i zimnym korytarzu. Żaden nie ma podbitego oka ani sińców na twarzy, dzięki czemu mogę być pewna, że to nie ich zaatakował Maks. Blondyn swobodnym krokiem podchodzi do otwartych drzwi pokoju. – Tutaj mieszkasz? – pyta. I zaraz dodaje: – A to kto?

Podbiegam z bijącym sercem i ponad jego ramieniem zaglądam do środka, ale to tylko Helena, który patrzy na nas wielkimi oczyma. Nie lubi policjantów. Nie ufa im. Blondyn wkracza do pokoju, a moja siostra cofa się przed nim, wydymając usta. Gdy czuje za sobą łóżko, siada na nim energicznie, wyzywająco. Jakby zamierzała go bronić za cenę życia.

– To moja siostra Helena – mówię szybko. – Helu, ten pan... Poznaliśmy się wczoraj.

– Czego pan chce od mojej siostry? – rzuca zadziornie mała, wywołując swymi słowami śmiech drugiego policjanta. Tymczasem blondyn podchodzi do Heleny i kuca, aby mieć oczy na wysokości jej oczu. Stopy trzyma zaledwie centymetry od twarzy Maksa.

– Chcę z nią tylko porozmawiać – odpowiada. – Przekazać jej kilka rzeczy. Żeby nie wpadła w kłopoty... – Jak na złość przypominam sobie słowa pani Wójcik. – Nie masz nic przeciwko, żebym z nią porozmawiał, prawda?

Helena zagryza wargę i wykrzywia buzię, a ja nie mam pojęcia, co zaraz powie.

Zrób coś, napominam się w duchu. Zróbże coś.

– Usiądzie pan? – proponuję z uśmiechem i wysuwam mu krzesło. Blondyn skwapliwie korzysta z zaproszenia, ja zaś cieszę się, że nie stoi już

tak blisko Maksa, by słyszeć jego oddech. – Może herbaty? Albo coś do jedzenia?

– Nie, dziękuję. – Szczerzy zęby, przez co dołeczki w policzkach jeszcze mu się pogłębiają. Wskazując głową Helenę, pyta: – Gdzie wasi rodzice?

– Tata nie żyje, a mama została wywieziona na roboty do Salzburga. – Zerkam na list, który leży wciąż na blacie w otoczeniu okruszków.

Blondyn sięga po niego i zaczyna go czytać. Choć w środku aż się gotuję, zachowuję spokój, gdy pożera oczyma słowa skreślone przez mamę. Za kogo on się ma? Wprasza się do mojego domu, czyta moją korespondencję, mówi, co mi wolno, a czego nie wolno. Z tego, co widzę, Helena również jest zła. Czy ona zdążyła zamieść pod łóżkiem? Jeśli nie, Maks może kichnąć, a wtedy...

Blondyn odkłada list.

– Stefanio... Mogę tak do ciebie mówić?

Będziesz jedyny...

– To będzie niesprawiedliwe. – Uśmiecham się szeroko.

– Jak to?

– Pan zna moje imię i nazwisko, a ja nawet nie wiem, z kim mam przyjemność.

Rozpromienia się jeszcze bardziej. Chyba wie, że te dołki w policzkach dodają mu uroku.

– Wybacz. Jestem posterunkowy Berdecki, Marek Berdecki. Mów mi po imieniu, proszę. – Bębni palcami po blacie, podczas gdy jego kolega przygląda się kolażowi wiszącemu na ścianie przy łóżku. – Uciekłaś wczoraj ode mnie.

– Wydawało mi się, że to ty ode mnie uciekłeś.

– Uznajmy, że każde poszło w swoją stronę. – Obrzuca spojrzeniem skromne wnętrze. – Na pewno nie jest ci lekko. Rozumiem więc, skąd twoja pomysłowość i nietypowe sposoby zarabiania pieniędzy. Domyślam się, dlaczego jesteś skłonna ryzykować, dopuszczając się niewłaściwych czynów.

Czy on mnie uważa za prostytutkę?!

– Przyszedłem zabronić ci wracać do getta. Skoro nie macie rodziców, moim obowiązkiem jest cię przestrzec. Getto to nie miejsce dla młodych dziewcząt.

– To nie miejsce dla nikogo – kontruje słodkim głosem. – Nawet dla ciebie.

Posterunkowy Berdecki wymienia rozbawione spojrzenia z kolegą.

– Potrzebna ci pomoc? Finansowa? A może szukasz pracy? Mogę ci znaleźć dobrze płatną posadę, żebyś nie musiała więcej chodzić do getta.

– Mam pracę. – Jasne brwi unoszą się nad niebieskimi oczyma. – Pracuję w Fabryce Wyrobów Metalowych Minierwa. To znaczy zaczynam jutro...

– Miło mi to słyszeć. – Ton jego głosu nie wskazuje na specjalne zadowolenie. – Pozwolisz, że wpadnę, by zapytać, jak ci idzie w nowej pracy? – Dołączki, które zniknęły na moment, znów się pojawiają.

– To nie najlepszy pomysł – odpowiadam również z uśmiechem. – Moi sąsiedzi są bardzo ciekawscy, co sobie pomyślą, kiedy zauważą, że regularnie odwiedza mnie młody mężczyzna...

– W takim razie spotkajmy się na mieście po pracy. W jakiejś kawiarni.

– Och, Helena przepada za kawiarniami. Ją też mogę zabrać?

Z tymi słowami na ustach podnoszę się i czekam, aż blondyn zrobi to samo. Zaskakuje dopiero po kilku sekundach. Jego kolega ma twarz

czerwoną jak burak, sama nie wiem, czy z zażenowania, czy od powstrzymanego śmiechu.

– Zatem do zobaczenia wkrótce. Powodzenia w nowej pracy, Stefano.

– Dziękuję.

Powoli odprowadzam ich do drzwi frontowych, gdzie się żegnamy. Kiedy wracam do pokoju, Helena leży na łóżku w pozycji embrionalnej i cała się trzęsie.

– Już wszystko dobrze – mówię. Przysiadam obok i tulę ją do siebie. – Naprawdę, już po wszystkim...

Maks wystawia głowę spod łóżka. We włosach ma pajęczynę.

– To normalne, że przed obiadem odwiedzają cię policjanci, by z tobą flirtować?

– Chcesz wrócić pod łóżko? – ripostuję.

Ulga sprawiła, że stałam się przewrażliwiona.

Maks zostaje u nas dłużej, niż zamierzał, na wypadek gdyby posterunkowy Berdecki lub drugi policjant obserwował kamienicę. Siostrę wysyłam na podwórko, w nadziei że zabawa z koleżankami pomoże jej zapomnieć o strachu, sama zaś udaję się na spacer po najbliższej okolicy. Nie dostrzegam nic niepokojącego. Nigdzie nie ma patroli, nikt mnie nie zaczepia. Po powrocie do mieszkania mówię Maksowi, że czas na niego. On jednak się nie rusza. Siedzi na skraju łóżka, trzymając łokcie na kolanach.

– Nie wspomniałaś, że masz pracę, Fusi. – *Nie było czasu*, odpowiadam w myślach. – Tak się zastanawiam... Będziesz miała stały dochód. Mogłabyś wystąpić o więcej powierzchni mieszkalnej.

– Chodzi ci o resztę waszych pokoi? – W moim umyśle to mieszkanie zawsze będzie należeć do rodziny Diamantów.

– Nie, nie rozumiesz...

Widzę, jak się zмага. Z własną pamięcią, niezdecydowaniem, a może z samym sobą – nie wiem. W każdym razie martwi mnie ten widok. Siadam obok Maksa. Przeczesuje palcami włosy, po czym znów się odzywa:

– Nie wiem, jak to się odbędzie. Gestapo. Tyfus. Psy wartownicze, śmierć głodowa, obozy pracy... nie mam pojęcia. Ale nic ich nie zatrzyma, dopóki żyje choć jeden Żyd. Heniek mi nie wierzy. Ale ja słyszałem. Widziałem, co robią. Robią z nas mydło. Wyprawiają naszą skórę. Będą gotować z nas gulasz... – Całą siłą woli powstrzymuję się przed tym, by nie zatkać sobie uszu. Nie chcę tego słuchać. – A my siedzimy w zamknięciu jak zwierzęta w klatce. I czekamy. Mam dosyć czekania! Od dłuższego czasu zastanawiam się, kogo mógłbym poprosić. Kto mógłby mi pomóc, teraz, gdy jestem nikim...

– Nie jesteś nikim!

Maks potrząsa głową.

– Człowiek jest nikim, kiedy przygląda się, jak małe dzieci giną mordowane, a sam siedzi w ziemnej dziurze zbyt przestraszony, by wyleźć i zareagować. Kiedy całe państwa pragną jego śmierci, kiedy tysiące wiwatują, gdy inni nawołują do jego śmierci, kiedy psy wartownicze są lepiej traktowane od niego. Ja nie przesadzam, Fusi. Czuję się nikim.

Biegnę spojrzeniem do drzwi, ponieważ zbyt podniósł głos. Zauważyła to i krzywi się boleśnie.

– Przepraszam, Fusi. Ale stoję oko w oko ze śmiercią i nie podoba mi się to, co widzę.

Chcę powiedzieć, żeby przestał. Że to wszystko nieprawda. Żeby tak nie mówił. Że wojna się skończy, coś się zmieni... Ale przypominam sobie, jak kiedyś, po pierwszych bombardowaniach, nie wierzyłam w historie o Żydach mordowanych na cmentarzu. Nie chciałam w nie wierzyć. Pod tym względem chyba jestem podobna do Heńka.

– Zastanawiałem się więc – kontynuuje Maks – do kogo mógłbym się zwrócić. Do swego dawnego szefa? Do kolegi ze szkoły? On ma teraz rodzinę, żonę i małe dziecko. Do głowy przyszła mi Elżbieta i jej matka...

– Kim jest Elżbieta?

Podnosi na mnie wzrok.

– Była moją sympatią w Nizankowicach.

– Miałaś tam sympatię? Nigdy o niej nie wspominałaś. – W odpowiedzi wzrusza ramionami. – Ona jest Żydówką?

– Nie.

Nie mogę się nie zastanowić, co by na to powiedziała pani Diamant. Izio i Maks, obaj zakochani w gojkach. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Przyglądam się ukradkiem Maksowi. Ile on ma lat? Dwadzieścia trzy? Dwadzieścia cztery? Jest mniej więcej w wieku posterunkowego Berdeckiego. Zabawne, że nie wiem tego na pewno. Z łatwością przyszło mi zapomnieć, że Maks był dorosły już przed wojną, że miał swoje życie poza Przemyślem. Chociaż rok temu sama skończyłam siedemnaście lat i nie zwróciłam na to większej uwagi.

– Pomyślałem o niej – ciągnie Maks – mimo że nie dała znaku życia od powstania getta. Sądzę, że już się nie odezwie. Ja także nie zamierzam szukać z nią kontaktu. Nigdy by nie zaryzykowała, tak jak... – Znów przejeżdża palcami po włosach. – Nie mam prawa prosić, ale proszę. Nie o jedną noc. Proszę, abyś ukryła mnie, mojego brata, Dankę, Schillingera z córką i obu Hirschów, całą naszą siódmkę. Do końca wojny albo do naszej śmierci, zależy, co nastąpi szybciej. – Ujmuje mnie za rękę. – Wiem, że proszę o dużo. Wiem, że to wobec ciebie niesprawiedliwe, że musisz troszczyć się o Helę. Zrozumiem, jeśli odmówisz.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć. Jego pytanie, jego prośba mnie przytłacza.

– Musiałabyś się rozejrzeć za większym mieszkaniem. Takim, gdzie da się urządzić kryjówkę. Stary Hirsch ma wciąż trochę pieniędzy. Jest gotów za wszystko zapłacić. Dlatego dopuściłem go do sekretu, choć i tak trudno będzie wyżywić dziewięć osób z jego oszczędności i twojej płacy. Myślę sobie, że łatwiej byłoby wam we dwie... – Podrywam na niego spojrzeń. – Twoja przyjaciółka, Emilka...

– Emilka? No nie wiem.

– Sądzisz, że rozpoznała Żydówkę w Dance? Bo ja myślę, że to możliwe. I że właśnie dlatego rozpuściła te plotki o twojej ciężarnej kuzynce. Żeby chronić Dankę. Poza tym Emilka dobrze zarabia. – Tego akurat nie jestem pewna. – Sądzisz, że bezpiecznie będzie ją zapytać? Żeby zobaczyć, co powie? – *Nie wiem, nie wiem*, powtarzam gorączkowo w myślach. Maks ściska mnie za rękę. – Chcesz, żebym schował się pod łóżkiem? – Kręcę przecząco głową. – Mógłbym tam spędzić całą wojnę. – Zagryzam wargę. – A może będziesz potrzebowała siedmiu łóżek.

To wywołuje spodziewany przez niego efekt. Uśmiecham się. Ma taki tik, że jedna brew sięga nieco wyżej niż druga. Dzięki temu wiem, kiedy żartuje. Mówiąc ostatnie zdanie, żartował. Ale nie do końca.

– Potrzebuję czasu do namysłu – odpowiadam.

– Wiem.

Idziemy do getta pod ramię, gawędząc, jakbyśmy nie mieli żadnych trosk w tym jakże mrocznym świecie. Maks wypatruje policjantów, ponieważ jeden z nich na pewno nie zapomni nigdy jego twarzy. Ja rozglądam się za granatowymi mundurami z powodu posterunkowego Berdeckiego. Obchodzimy getto wzdłuż płotu, kierując się w nasze nowe miejsce, nieopodal piwnicznego okienka. Upewniamy się, że w pobliżu nikogo nie ma, Maks całuje mnie w policzek, prześlizguje się pod drutem kolczastym i znika w uchylonym okienku.

Mam wiele do przemyślenia.

Nocą przyglądam się twarzy śpiącej siostry, ale widzę pistolet tamtego esesmana wycelowany w pana Schwarzera, wycelowany w niebieskooką dziewczynę, która prawie niczym nie różniła się ode mnie. Wycelowany w dzieci. Widzę strumień ognia wylatujący z lufy.

Nie mam pojęcia, co zrobić. Nie mam pojęcia, jak wyważyć znaczenie życia Maksa – i sześciu pozostałych osób – wobec życia Heleny.

Zwracam się więc z pytaniem do Pana Boga.

Ale niebo nade mną milczy.

14

MARZEC 1943

Nazajutrz punktualnie o wpół do szóstej rano wychodzę do pracy. Otacza mnie głęboki, połyskliwy granat zimowych ciemności. Świat chyba zapomniał, że zbliża się wiosna. Nie zwracam jednak uwagi na śnieg, puste ulice ani pozabijane witryny pożydowskich sklepów. Martwię się o Helenę i o to, jak poradzi sobie beze mnie przez cały dzień. Niepokoję się również, czy ja poradzę sobie w nowej pracy w fabryce, o której nic nie wiem. Ale najbardziej ze wszystkiego moje myśli zaprzęta Maks.

Nie wiem, jak mogłabym spełnić jego prośbę.

Zarazem nie wiem, jak mogłabym jej nie spełnić.

Czuję zawiesinę w powietrzu, zanim widzę zabudowania fabryczne. Kominy wypuszczają kłęby dymu, który osiada nieciekawym posmakiem na języku. Przechodzę przez wiadukt przerzucony nad wąwozem torów kolejowych, odnajduję w wysokim na wiele pięter murze podwójną bramę wejściową i zanurzam się w jej paszczy.

Gdy zamieszkałam w Przemyślu, produkowano tutaj zabawki mechaniczne. Nakręcane samochodziki, pieski, a nawet klaunów. Moje wyobrażenia o tym miejscu były radosne. Tymczasem biuro, w którego progu stoję, jest obskurne i cuchnie rozgrzanym metalem. Znajduję się w otoczeniu kilkunastu osób, kobiet i mężczyzn, wyglądających na równie zagubionych jak ja. Tworzymy wianuszek wokół stołu, za którym siedzi – jakżeby inaczej – Niemiec z – jakżeby inaczej – stertą skoroszytów. Zanim przyjdzie moja kolej, zdejmuję z szyi szalik i składam go, aby ukryć wystrzępione końce. Następnie wręczam dokumenty urzędnikowi, który odhacza moje nazwisko na liście.

Tak rozpoczyna się dla mnie nowy rozdział – odtąd mogę śmiało mówić, że pracuję w fabryce.

Fabryka Wyrobów Metalowych Minierwa stoi zasadami, informuje nas *herr*^[23] Braun z nadzoru, pocąc się w eleganckim garniturze na podwyższeniu, za które robi jakaś skrzynka. Jako robotnicy będziemy tutaj cenieni, dodaje, pod warunkiem że zastosujemy się do obowiązujących zasad. Powinniśmy się cieszyć, że dostaliśmy pracę. Powinniśmy być wdzięczni, że dzięki tej pracy nie pomrzemy z głodu. Nikt nie jest niezastąpiony, a zwłaszcza my, na samym dole łańcucha pokarmowego. Dziesięciu chętnych czeka, aż się zwolni jedno miejsce. Dlatego każdy, kto będzie się spóźniał, lenił albo postępował głupio, zostanie natychmiast wyrzucony. Bez dania racji.

Herr Braun nie mógłby się wyrazić precyzyjniej.

Moje stanowisko pracy wymaga obsługi sześciu maszyn produkujących śruby. Mechanik pokazuje mi co i jak, bo choć zadanie jest proste, maszyny lubią odmawiać posłuszeństwa i psuć się, a on przecież nie może stać przy mnie cały czas, by mi pomagać. Tak przynajmniej mówi. Na jednej zmianie

mam wyprodukować 30 000 śrub. Jeśli będzie ich mniej, różnica zostanie potrącona z mojej płacy.

Na hali panuje ogłuszający huk. Nie do wiary, ile hałasu mogą narobić urządzenia, które – napędzane silnikami i za pomocą wielokrążków – przemykają pod sufitem. Moje maszyny są rozgrzane, szybkie i niebezpieczne, jeśli nie cofnę palców na czas. Biegając od jednej do drugiej, karmię je kolejnymi kawałkami metalu, a zanim minie południe, potrafię już naprawić pompę wodną. Podczas przerwy zza dymu papierosowego uśmiecha się do mnie jakiś gołowąs. Ma słomiane włosy i niebieskie oczy, ale w niczym nie przypomina posterunkowego Berdeckiego. To jeszcze niemal dziecko. Udaję, że go nie widzę. Jak na razie mam dosyć uśmiechających się mężczyzn. Dziewczyna imieniem Janka dzieli się ze mną swoją kanapką.

Kiedy idę do domu, ze zmęczenia ledwie ruszając nogami i rękoma i słysząc wciąż w głowie huk maszyn, znów jest ciemno. Słońce zdążyło wstać i zejść, kiedy ja pracowałam w pogrążonej w półmroku hali. Aczkolwiek teraz granat emanujący zimnem wydaje się rześki i świeży, miły dla płuc po godzinach spędzonych w zadymionym pomieszczeniu. Gdy wchodzę do kamienicy i zaczynam piąć się po stopniach, Emilka wygląda za drzwi.

– Tak myślałam, że to ty! Hela dopiero przed chwilą wróciła na piętro. Wypiła u mnie herbatę. Też wyglądasz, jakby przydała ci się herbata.

Otwieram usta, aby podziękować, wymawiając się zmęczeniem po pierwszym dniu pracy, ona jednak wyciąga przed siebie ręce, w których trzyma cukiernicę.

– Masz w domu cukier? – Kręcę przecząco głową. – W takim razie lepiej wejdź.

Emilce nie zamykają się usta, kiedy zalewa czajniczek przyszykowanym wrzątkiem i usadza mnie przy stole kuchennym. Opowiada mi o swoim chłopcu – nie tym co ostatnio, lecz nowym, jeszcze przystojniejszym – i o esesmanach, którzy przyszli do zakładu fotograficznego zrobić sobie zdjęcia – próżniacy!

Rozglądam się dookoła. Choć Emilka mieszka sama, ma całe mieszkanie do dyspozycji, z osobną sypialnią, kompletną zastawą, wersalką i lampą. W jej oknach, zamiast przybitych dywanów, wiszą grube kotary zatrzymujące zdradliwe światło wewnątrz.

– ...no i jeden wraca po odbitki – kontynuuje Emilka – a choć zdjęcia wyszły bardzo dobrze, nie chce zapłacić, bo portret zniekształca mu nos. Nie całą twarz, tylko nos. Fusi, powiedz, jak aparat fotograficzny może zmienić czyjś nos? Teraz pan Markowski ma do mnie pretensje, że wydałam zdjęcia za darmo, chociaż sam przecież nie odmówiłby esesmanowi, prawda? Jeśli chce, żebym walczyła z Niemcami, powinien mnie zaopatrzyć w amunicję, takie jest moje zdanie. – Odstawia filiżankę i wzdycha. – Wiesz, czego mi najbardziej brak? Muzyki. Pamiętasz, jak z restauracji naprzeciwko... latem, przy otwartych drzwiach... dolatywały do nas melodie? Miałam też zwyczaj wkręcać się na wesela w klubie, gdzie tańczyłam do upadłego...

Na moment przenoszę się do salonu na drugim piętrze, tańczę z Iziem przy otwartym oknie do melodii granej przez orkiestrę, ale zaraz wbijam w Emilkę uważne spojrzenie.

– Mieszkasz tu od zawsze? Nie pamiętam, żebym cię widywała.

– Och, nie... Jestem z Krakowa, ale latem przyjeżdżałam w odwiedziny do ciotecznej babci. Żyła w tym mieszkaniu całe swoje dorosłe życie. Ale teraz przebywa w jakimś obozie. Bo widzisz, miała męża Żyda.

Odkąd się znamy, Emilka nigdy nawet o tym nie wspomniała. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, że pobyt w obozie oznacza najpewniej, że jej cioteczna babcia nie żyje.

– To straszne – mówię ostrożnie. – To, co wyprawiają Niemcy.

– Tak. Przemyśl zmienił się do niepoznania i już nigdy nie będzie taki sam. A do Niemców czuję obrzydzenie.

Nachylam się do niej.

– Myślałaś o tym, by sprawić sobie większe mieszkanie?

– Większe? Po co?

– Żeby... na przykład żeby dzielić je z innymi...

Emilka unosi brwi.

– Co ci chodzi po głowie, Fusi? Mów!

Zagryzam wargę, nie wiedząc, jak wyrazić to, co chcę powiedzieć. Jak przeciągnąć na swoją stronę dziewczynę taką jak ona.

– Pamiętasz tego chłopca, którego chciałam zobaczyć? Wtedy, jak robiłaś mi zdjęcie? – Kiwa wolno głową. – Poprosił mnie o rękę. A Niemcy go zabili. We lwowskim obozie pracy. Bo był Żydem.

Emilka gwałtownie mruga. Potem wyciąga rękę nad blatem i ścisną moją dłoń.

– Tak sądziłam, że stało się coś okropnego. Bardzo mi przykro. Naprawdę.

– A teraz... jego bracia... – słowa wydostają się z moich ust z trudem, jakby sekret chciał pozostać we mnie – teraz jego braciom grozi ten sam los. W przemyskim getcie. Dlatego... Dlatego zamierzam coś z tym zrobić.

– Ale co?

– Chcę przenieść się do większego mieszkania z... z kimś takim jak ty, może... i ukryć ich wszystkich.

Wypuszczam powietrze. No proszę. Jakoś to z siebie wydusiłam.

Emilka prostuje się na krześle. Pomalowane na czerwono usta ma szeroko otwarte. Przez minutę, która ciągnie się w nieskończoność, tylko mi się przygląda.

– O czym ty mówisz? – rzuca krótko. – Zwariowałaś? Pilno ci umierać? Sądziś, że przeżyłaś już, co miałaś do przeżycia? Cóż, nawet jeśli tak, ja nie zamierzam ginąć. Mój plan jest taki, żeby dożyć starości, a nie ryzykować dla jakiegoś Żyda, o którym nigdy wcześniej nawet nie słyszałam! Równie dobrze mogłabyś mi zaproponować, żebym wyskoczyła przez okno. Równie dobrze sama mogłabyś przez nie wyskoczyć. To chyba szybsza śmierć niż od kuli...

W schludnej kuchni Emilki musi być gdzieś zegar. Słyszę bowiem miarowe tik-tak, tik-tak. Zaczynam drzeć. Zaufałam jej. Powierzyłam w jej ręce swoje życie.

Może właśnie podpisałam na nas wyrok śmierci.

Odsuwam krzesło, żeby wstać, a wtedy Emilka rzuca:

– Zaczekaj, Fusi, zaczekaj... – Nabiera tchu i zniżając głos, mówi: – Gestapo jest wszechobecne, wiesz o tym, prawda? Gestapowcy udają żebraków, sklepikarzy, robotników... Oferują pomoc Żydom albo obiecują, że pomogą komuś, kto chce uratować jakiegoś Żyda, a gdy taki ktoś przystaje na propozycję, aresztują go i wszystkich Żydów, którym starał się pomóc. Nikomu nie można ufać...

– Uważasz, że jestem niemieckim szpiegiem?

Emilka się uśmiecha.

Nieomal wybucha śmiechem.

– Nie, Fusi, nie mam cię za niemieckiego szpiega. Ale skąd wiesz, że ja nim nie jestem?

Racja, uzmysławiam sobie poniewczasie.

– A jesteś...?

– Nie. Co oznacza, że masz szczęście. – Nachyliła się ku mnie. – Powodzenie twojego planu to jedna szansa na milion. W pozostałych dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu tysiącach przypadków czeka nas śmierć.

– Jedna szansa na milion to i tak lepiej niż zero – wtrącam.

– Słucham?

– Nie powiedziałaś „zerowa szansa”. Czyli może się udać.

– Fusi, to samobójstwo. Poza tym co z Helą? – Wpatruje się we mnie. Pod jej spojrzeniem muszę spuścić wzrok. Na to pytanie nie mam odpowiedzi. – Ci wszyscy ludzie... Co się z nimi dzieje... To okropne. I bardzo smutne. Ale nie jesteś winna tej sytuacji. I nie możesz jej naprawić. Nie jesteś za nich odpowiedzialna, za to odpowiadasz za swoją siostrę. Skoro nie potrafisz myśleć o sobie, pomyśl o niej.

Tym razem pozwala mi wstać. Na blacie zostawiam tylko na wpół opróżnioną filiżankę herbaty.

– Wybacz. To był niemądry pomysł.

Macha ręką i posyła mi pokrzepiający uśmiech.

– Czujesz rozpacz po śmierci swojej sympatii. To zrozumiałe.

– Mam nadzieję, że nie... nie wspomnisz nikomu o naszej rozmowie?

– Proszę? O jakiej rozmowie mówisz? Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. To chyba początki sklerozy...

Wspinając się ociężale po schodach, słyszę, jak drzwi Emilki zamykają się z cichym szcęknięciem. Boli mnie coś w środku. Ten ból, uświadamiam sobie po chwili, to uczucie rozczarowania.

Emilka umyła ręce i poradziła mi, żebym zrobiła to samo. Ale skoro my nie pomożemy tym ludziom, kto to uczyni?

Helena ściska mnie i ściska, po czym przynosi mi kromkę chleba z masłem. Padam na łóżko, zanim przełknę ostatni kęs, a moja siostra ściąga mi buty i mości się koło mnie. Nie trzeba wiele czasu, żebym zasnęła.

Jestem w mrocznym lesie, gdzie drzewa są tak wysokie jak budynki. Pod stopami mam twarde niczym cement spadłe liście i mech, księżyc w całej swojej krasie wisi nisko nad horyzontem, opromieniając konary i wydobywając z ciemności pnie zupełnie jak reflektor. Przedzieram się przez gęstwinię, czując, jak gałęzie kaleczą mi ciało niczym odłamki szkła, ja jednak nie rezygnuję, prę przed siebie, ponieważ słyszę krzyk. Mężczyzny, staruszki, niemowlęcia, tylu różnych osób, setek, tysięcy. Mamrotane różne słowa, które tak naprawdę są jednym słowem, ponieważ oznaczają to samo. Litości. Litości.

Wtedy padają strzały. Pędzę naprzód, nie zważając na siekące mnie gałęzie, gdyż muszę zapobiec egzekucji. Ale im szybciej biegnę, tym odleglejszy jest klekot broni, aż w końcu otacza mnie cisza, nie ma już ludzi, nie ma drzew, a ja biegnę w pustce pośród czerni i czuję się tak, jakbym umarła...

Otwieram oczy, zdyszana, chwytając łapczywie powietrze, jakbym miała za sobą maraton. Oczywiście budzę się w swoim łóżku, obok Heleny, wciąż w sukience, w której byłam w pracy. W tle postukuje piecyk, który wydaje takie odgłosy, kiedy stygnie. Regularnie jak kuchenny zegar Emilki.

Helena klepie mnie po dłoni.

– Ktoś strzelał na ulicy – szepcze nie w pełni wybudzona. – Ale już przestał...

Opuszczam powieki i znów jestem w lesie. Towarzyszy mi Maks.

– Uciekaj – mówi. – Uciekaj!

Zwraca się nie do mnie, lecz do Heńka i do Danki. Łapie ich za ręce, zmusza do marszu, choć się opierają, klucząc, prowadzi między drzewami, które teraz są z cegieł i kamienia. Nad naszymi głowami przelatują z wizgiem samoloty zamiast ptaków. Przyśpieszam, by nie stracić całej trójki z oczu, w boku mnie kłuje i nagle pojawiają się wokół nas inni ludzie, właściwie cienie przemykające po mojej lewej i prawej, a także z przodu. Potykają się i padają, i nie wstają, a ja – spoglądając w dół – widzę, że kłucie w boku nie wynika z wysiłku. Przez palce przecieka mi krew.

– Dostałam! – wołam. Maks zwalnia i obraca się do mnie. Danka robi wielkie oczy. Cienie wyprzedzają nas, pozostawiając naszą czwórkę w tyle. – Nie zatrzymujcie się! – wrzeszczę. – Ratujcie siebie!

Tyle że z moich ust wydobywa się głos Izia. Nie mój. Maks zaczyna iść, ale w złą stronę. Oddala się od Heńka i Danuty. Zmierza ku mnie.

Właśnie wtedy Helena szarpie mnie za ramię, mówi, że były już dzwony katedralne. Jest po piątej rano.

W drodze do pracy dostrzegam dwa ciała, sztywne i zimne, zwieszające się z płotu getta. Napisana odręcznie tablica głosi, że ludzie ci zginęli za robienie interesów z Żydami. W fabryce produkuję 28 208 śrub. Majster, Polak, wpisuje w kajet 30 208. W drodze powrotnej zahaczam o targ i kupuję wystawione na sprzedaż resztki po całym dniu. Do domu przychodzę tylko po to, żeby spać. Dręczą mnie koszmary. Co noc przez cały tydzień.

– Był Maks – oznajmia Helena w piątkowy wieczór. – Zapukał umówionym sygnałem, więc go wpuściłam. Pytał, czy masz mu coś do powiedzenia, ale ja nie wiedziałam. Dałam mu wszystek chleb. Potem był ten policjant, ale jego nie wpuściłam. Kazałam mu, żeby sobie poszedł.

– To był ten sam policjant co poprzednio? – Helena potakuje skinieniem. – Pojawił się, zanim Maks odszedł? – Moja siostra kręci

przecząco głową.

A jeśli jednak? Wyobrażam sobie Maksa i posterunkowego Berdeckiego pod moimi drzwiami w tym samym czasie i czuję, jak ogarniają mnie mdłości. Maks nie powinien opuszczać getta. Nie wolno mu tak ryzykować. Może go rozpoznać drugi policjant, ten, którego poddusił, albo jakiś sąsiad... Nawet Emilka...

Przez głowę przemyka mi myśl, że Maks nie zdołał wrócić do getta. Że już nie żyje.

Być może nie muszę już podejmować żadnej decyzji.

– Fusi, co się stało? – pyta mnie Helena, ciągnąc za rąbek spódnicy.

Chcę się do niej uśmiechnąć, zamaskować swój strach, ale oblewają mnie fale gorąca, jedna za drugą.

– Nazwałaś mnie Fusią.

– Tak – potwierdza. – Poddałam się.

W sobotni rano z niewyspania zamykają mi się oczy. Jestem tak wyczerpana, że w pracy zapominam, by ignorować uśmiechającego się do mnie chłopca. Kiedy mnie wita, rozciągam machinalnie wargi, a potem odbębniam swoją zmianę, na nic nie zwracając uwagi, co jest najlepszym sposobem na stracenie ręki.

– Podgórska!

Podnoszę spojrzenie zaskoczona, że słyszę swoje nazwisko w ogólnym harmiderze. Woła mnie mechanik, pokazując, że z jednej z maszyn unosi się dym. Pompa wodna znów zaszwankowała.

– Co ty wyprawiasz?! – drze się na mnie mechanik, wyłączając przegrzaną maszynę. – Od rana chodzisz z głową w chmurach. Jesteś chora czy zakochana?

Gdyby ten człowiek wiedział, kogo wybrało moje serce, uciekłby gdzie pieprz rośnie.

– Nie wiem, co zrobić – szepczę, ale zaraz przypominam sobie, z kim rozmawiam. – Chciałam powiedzieć... Nie czuję się za dobrze. Kręci mi się w głowie...

– Czemu od razu nie mówiłaś? – Obrzuca mnie spojrzeniem. – No dobrze, chodź ze mną.

Prowadzi mnie do warsztatu naprawczego, gdzie na dużym drewnianym stole leżą narzędzia i ich części, kawałki metalu i plamy po smarze. Mechanik wskazuje pod stół, a gdy się schylam, aby tam zajrzeć, widzę, że stół ma swego rodzaju półkę zawieszoną kilkanaście centymetrów nad podłogą. Zmieści się na niej jedna osoba, która będzie miała do swej dyspozycji... poduszkę.

– Włóż tam i zdrzemnij się – rzuca. – Naprawię twoją maszynę i wrócę za pół godziny.

Chyba mu dziękuję, ale zmęczenie jest tak wszechogarniające, że nie mogę mieć pewności, czy wypowiedziałam magiczne słowa. Wpełzam na półkę i przykładam głowę do poduszki.

Pomimo ogłuszającego hałasu śnię.

Znowu jesteśmy w lesie, tyle że teraz drzewa przypominają sześciany, gałęzie wyrastają spomiędzy okien widocznych w pniach. Maks biegnie ramię w ramię z Heńkiem i Danką, a ja z jednej strony mam Helenę, z drugiej zaś Dziusię Schillinger. Liście, które rozkopujemy nogami, brzęczą jak blaszane puszki.

Wiem, że za nami coś jest. I że się zbliża. Czuję, jak się skrada, zupełnie jak tygrys, którego tata pokazał mi w jednej ze swoich książek, kiedy byłam mała.

– Już niedaleko – mówi Maks.

Wreszcie zauważam, ku czemu biegniemy. Do zagłębienia w ziemi. Podziemnego bunkra. Kryjówki przed Niemcami.

Tutaj nas nie znajdują.

– Idź, Dziusiu – szepczę, puszczając jej rączkę i popychając ją w stronę jamy.

Ześlizguje się na dół śladem Maksa, Heńka i Danuty. Helena ciągnie mnie za rękę. Obracam się i widzę, że za naszymi plecami stoją dwaj żołnierze. Czaszki znad ich daszków szczerzą się do nas. Zarówno czaszki, jak i mężczyźni mają wąsy.

– *Wu zenen zej gegangen?*^[24] – pyta jedna z trupich czaszek, a ja myślę sobie: *Jakie to dziwne, że czapka esesmana mówi w jidysz.* Następnie powtarza po polsku: – Dokąd oni poszli?

Tak lepiej, myślę.

– Dokąd poszli? – powtarza druga trupia czaszka. – Dokąd poszli Żydzi? Gdzie są?

Ogarnia mnie strach. Helena unosi rękę i wskazuje. W przeciwnym kierunku.

– Tam – mówi.

– Tak – dodaję – tyle że bardziej tutaj...

Pokazuję palcem rosnące w pewnym oddaleniu drzewo po naszej lewej, z dala od kryjówki. Trupie czaszki robią skonfundowaną minę. Nie mam pojęcia jak. Mężczyźni pod nimi nie wydają w najmniejszym stopniu skonfundowani. Jednemu drga wąs. Wiedzą, że kłamię.

Wiedzą, że kłamię, wiedzą, że kłamię, wiedzą, że kłamię...

Ten stojący bliżej mnie podnosi rękę. Zamiast dłoni ma pistolet. Celuje nim we mnie, po czym opuszcza go niżej, jeszcze niżej. Zamierza strzelić w głąb jamy. Zamierza zabić Maksa.

Krzyczę.

Momentalnie się budzę, wiem, że jestem w fabryce, wiem, że właśnie krzyknęłam, ale na szczęście nikt mnie nie mógł usłyszeć w tym rejwachu. Zwijam się pod stołem w kłębek i czekam na przyjście mechanika, który wróciwszy, oznajmia miłym głosem, że jestem do niczego, ale on nikomu nie powie, i mogę iść do domu.

Nie idę prosto do domu. Wędruję ulicami Przemyśla, aż moje nogi same zawędrują pod katedrę. Pcham ciężkie drzwi, robię znak krzyża, zapalam świecę i siadam w ławce, mając wysoko nad sobą umierającego Chrystusa.

Śmierć wcale nie jest taka straszna, myślę. Smutkiem napawa utrata szansy na życie. Tak jak było z Iziem. Izio zginął, ponieważ nie przyszedłam w porę go uratować. Co by jednak się stało, gdybym nie próbowała go ratować?

Jeśli dotrwam do końca wojny żywa, czy będę umiała żyć z myślą o zaniechanym działaniu, czy raczej moją egzystencję skazą wyrzuty sumienia?

Co powiem Helenie, jeśli odkryjemy, że Maks nie żyje?

Co powiem mamie, jeśli moja decyzja doprowadzi do śmierci Heleny?

W tym wypadku nie będę mogła nic powiedzieć, ponieważ też będę martwa.

Ale czy jest ktoś jeszcze, kto może im pomóc?

Och, dobry Boże. Ześlij mi jakiś znak.

Nic się nie dzieje.

Opuszczam katedrę i bezwiednie kieruję się do niedawnej żydowskiej dzielnicy, nie tak daleko od ulicy Mickiewicza. Kamienice stoją puste, z wybitymi oknami, z rozszabrowanymi drzwiami, które zapewne skończyły w ogniu; gdy zaglądam na jedną z klatek schodowych, widzę, że nie darowano nawet stopniom i balustradom. Mieszkania tutaj były chyba podobne do mieszkania państwa Diamantów. Typowe. Ze znanym wszem

wobec rozkładem. Każdy wiedział, ile sąsiad ma pokoi i jak duże. W takim lokum nie sposób nikogo ukryć. Wszyscy natychmiast by się poznali.

Musiałabym schować siedem osób pod jednym łóżkiem.

Słońce już prawie całkiem zaszło, niebo z jednej strony barwi się na krwistoczerwono, z drugiej jest błękitne. Stukam o bruk obcasami coraz szybciej. Otaczająca mnie pustka napawa niepokojem. W bramach hulają przeciągi. Dostaję gęziej skórki. Zaciskam wokół siebie poły płaszcz, myśląc, że kiedyś tak będzie wyglądało obecne getto. Wycie wiatru na pustkowiu. Zatrzymuję się, stukot obcasów i jego echo milkną. Zamieniam się w słuch.

Cisza. Jakbym była jedynym człowiekiem w Przemyślu.

Tyle że nie jestem.

Z tyłu coś się porusza.

Otwieram oczy, z trudem zachowując równowagę. Zza rogu wyszły dwie kobiety, każda z miotłą w dłoni. Zamiatają niczyj chodnik.

Może słyszały o wolnym mieszkaniu? Zapytaj je!

Nie bądź śmieszna, skąd miałyby wiedzieć o wolnym mieszkaniu?

Dwa głosy w mojej głowie próbują się nawzajem przegadać.

Kto pyta, nie błądzi.

Idź do biura kwaterunkowego.

Nie, zapytaj je!

Zaczynam znów poruszać stopami. Kobiety spoglądają na mnie znad zamiecionej kupy śmieci, kiedy się do nich zbliżam.

– Przepraszam – mówię. – Może któraś z pań słyszała o jakimś wolnym mieszkaniu tu w okolicy?

– Że co? – burczy jedna, przyglądając mi się podejrzliwie.

– Zastanawiam się, czy w pobliżu nie ma przypadkiem jakiegoś mieszkania do wzięcia.

Przestępuję z nogi na nogę. Wyglubiłam się, bez dwóch zdań.

– A jakże, jest! – odpowiada druga, opierając obie dłonie na kiju od miotły. Ma pomarszczoną bladą skórę, nos czerwony z zimna albo od alkoholu, niechlujne włosy wymykają się jej spod chustki na głowie. – Na Tatarskiej 3. Tyle że to nie mieszkanie, dom raczej...

– Domek – poprawia ją ta pierwsza.

Wpatrując się w obie umorusane pomarszczone twarze, pytam:

– Którędy na Tatarską?

[23] *Herr* (niem.) – pan.

[24] *Wu zenen zej gegangen?* (jid.) – Dokąd oni poszli?

15

MARZEC 1943

Obchodzę budynek przy Tatarskiej 3 dookoła. Kobiety miały rację. Trudno tu mówić o mieszkaniu, raczej o dwóch domkach połączonych ścianami szczytowymi. Zadarłszy głowę, widzę piętro i blaszany spadzisty dach. W drugiej kolejności zauważam, że Tatarska to raczej zaułek niż ulica, stoi przy niej tylko kilka zabudowań. Naprzeciwko interesującej mnie kamieniczki znajduje się zamknięta szkoła, w górze uliczki zaś mur, za którym leży klasztor. Wspinam się tam i dostrzegam obie katedralne wieże, a nawet światła latarni wzdłuż jezdni prowadzącej na plac targowy. Wracam na dół i poddaję domek dokładniejszej inspekcji. Jest zbudowany na planie litery L, przy czym jego wolna część mieści się jakby od podwórka, które stanowi skrawek zmarzniętej ziemi. Z jednej strony rozkraczyła się studnia, z drugiej cuchnąca komórka z wychodkiem.

Nie widzę ludzi, lecz czuję ich.

To sprawia, że ogarnia mnie przelotna tęsknota za domem na wsi.

Podchodzę bliżej i pukam do drzwi zamieszkannej części. Otwierają się niemal natychmiast. Ktoś musiał mnie obserwować zza firanki.

– Tak? – rzuca gospodyni, mrużąc oczy, aby mnie lepiej widzieć w ciemnościach.

– Ma pani klucze do sąsiedniego lokalu? Ponoć opiekuje się nim pani. – Kobieta kiwa głową dwukrotnie. – Mogłabym go zobaczyć? Teraz?

Stęka, ale potakuje, znika na moment, po czym znów się pojawia, tym razem z pękiem kluczy i zapaloną lampą.

– To żadne tam luksusy – uprzedza.

Jest niska, przy kości, ze schludnie uczesаныmi włosami. Na fartuchu ma jakieś ślady, chyba po burakach. Prowadzi mnie do drewnianych drzwi nieopodal sławojek i wkłada jeden z kluczy do zamka. Pewnie od dawna nie był oliwiony, bo trochę to trwa, ale w końcu wejście staje otworem. Gospodyni przyświeca mi lampą, wskazując wysoki próg.

Za nim znajduje się pomieszczenie łączące w sobie kuchnię i salon, ewidentnie ostatnio dobudowany do głównej bryły. Ściany są drewniane, tak samo podłoga. Poza tym w środku znajduje się piec, zlew z odpływem, ale bez kurków, i zaczepione na gwoździu wiadro do nabierania wody ze studni. Prądu nie ma. Sprawdzam jeszcze, co mieści się za dwójgiem zamkniętych drzwi. Pierwsze prowadzą do sypialni, za którą bezpośrednio znajduje się kolejna sypialnia. Drugie, umieszczone naprzeciw zlewu i pieca, wychodzą do sieni z klepiskiem i drabiną.

– Co jest na górze? – pytam.

– Stryzek – odpowiada gospodyni.

Wracam do kuchni, staję na środku i zataczam spojrzeniem szeroki krąg, świadoma, że kobieta mnie wciąż obserwuje.

– Żadne tam luksusy – powtarza. Obronnym tonem, jakbym miała do niej o coś pretensje.

Nie umiem powstrzymać się od uśmiechu. Nie pamiętam, kiedy tak się uśmiechałam. Na pewno nie w minionym tygodniu.

– Nie szukam luksusów – mówię. – Szukam dokładnie czegoś takiego.

* * *

Gospodyni – pani Krajewska – przekonuje się do mnie, ledwie stwierdzi, że niestraszne mi noszenie wody ze studni i korzystanie ze sławki. Doradza mi, abym odwiedziła biuro kwaterunkowe i wypełniła odpowiednie druczki, dodając, jak bardzo się cieszy, że będzie mieć za sąsiadkę tak miłą młodą dziewczynę. I jak dobrze jej dwóm małym synom zrobi możliwość zabawy z moją siostrą. Wracam na ulicę Mickiewicza jak na skrzydłach, jak gdybym nie szła, tylko ślizgała się na lodzie, i wpadam do mieszkania z takim impetem, że Helena piszczy ze strachu. Jest z nią Maks.

– Co się stało? – pyta, wstając.

– Chyba znalazłam nowe lokum.

– Znalazłaś miejsce do ukrycia Maksa? – upewnia się Helena. – Wiedziałam, że tak będzie!

Wiedziała, że tak będzie? Choć ja nie byłam niczego pewna? Choć nawet jej nie wspomniałam o pomyśle ukrywania kogokolwiek przed Niemcami?

– Skąd wiedziałaś? – pytam szczerze zaciekawiona.

– Stąd, że poprosiłam o to Pana Boga. Mama zawsze mówiła, że tak się robi, kiedy czegoś bardzo się pragnie.

To prawda, mama często to powtarzała. „Proście, a będzie wam dane”.

– Ale skąd wiedziałaś, że zamierzam ukrywać Maksa?

– Bo zawsze to robisz!

Nie mogę odmówić jej racji.

– Naprawdę tego chcesz, Helu? Naprawdę prosiłaś o to Pana Boga?

Przekrzywia główkę i wbija we mnie oczy.

– Oczywiście, że tak! A ty nie?

Maks stoi w milczeniu i tylko przysłuchuje się naszej rozmowie. Podnoszę wzrok, aby skrzyżować z nim spojrzenia. Wiem, że na mnie patrzy.

– Tak, ja też – odpowiadam. Maks mruga. – Tak, Helu – powtarzam dobitniej, spoglądając wciąż na niego. – Prosiłam Pana Boga o to samo.

Maks nadal milczy. Wpatrujemy się w siebie chyba przez całą minutę, zanim wreszcie kiwnie głową, a ja odpowiem podobnym gestem. Zupełnie jakbyśmy zawarli umowę.

– Która godzina? – pyta szeptem.

– Nie wiem... – Rozglądam się, jakby stał się cud i w pokoju pojawił się zegar. – Chyba nie ma jeszcze siódmej.

– W takim razie pokaż mi to nowe lokum.

– Teraz?

Uśmiecha się do mnie.

– Tak. Teraz.

* * *

Idziemy ulicą pod ramię, jakbyśmy byli małżeństwem albo parą narzeczonych na spacerze. Maks ma twarz owiniętą moją starą wełnianą chustą, rzekomo dla ochrony przed mrozem. Helena była rozczarowana, że nie może pójść z nami. Wytłumaczyłam jej, że na razie nie wiadomo, czy lokum nam przypadnie, a poza tym bezpieczniej będzie nie ściągać na Maksa większej uwagi. Te argumenty ją przekonały.

A ja, o dziwo, wcale się nie boję.

– Gdzie jest Tatarska? – szepcze przez chustę Maks. – Nigdy tam nie byłem.

- Bo i po co? Stoi tam szkoła, teraz zamknięta. I niewiele więcej.
- To dobrze, bardzo dobrze...
- Skręcamy – mamroczę pod nosem, kierując Maksa gwałtownie w lewo.

W pewnej odległości przed nami wyrósł niemiecki policjant na służbie. Idzie prosto na nas. Zagłębia się w zaułek między dwoma budynkami, zanim dotrze do przecznicy, w którą skręciliśmy, idziemy do końca, odczekujemy chwilę, po czym zawracamy i wyłaniamy się na tej samej ulicy, tyle że za plecami niemieckiego policjanta. Jakby nigdy nic. Maks pokazuje zęby w uśmiechu i obejmuje mnie ramieniem.

Wywodzenie Niemców w pole podoba mu się bardziej, niż sądziłam.

Gdy zbliżamy się do Tatarskiej 3, Maks rozgląda się bacznie wkoło, zadziera głowę, by przyjrzeć się dachowi, a potem daje się poprowadzić na podwórko.

- Zostań tutaj – przykazuję mu przed wejściem do nowego lokum.
- Truchtam do drzwi gospodyni i pukam delikatnie.
- A, to ty – wita mnie pani Krajewska. – Wróciłaś tak szybko?
 - Przepraszam, że przeszkadzam, ale była pani taka miła wcześniej, a teraz jest tu ze mną mój starszy brat. Chce obejrzeć mieszkanie, zanim złożę wniosek w kwaterunku. Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, żeby otworzyć nam drzwi jeszcze raz?

Kobieta wzdycha.

- Pójdę tylko po lampę.

Gdy po paru chwilach zatrzymujemy się obok Maksa, który stoi na tym zimnie sztywny jak kołek, pani Krajewska unosi lampę i lustruje go z góry na dół, co napędziłoby mi strachu, gdyby nie to, że przed godziną postąpiła podobnie ze mną.

– Dobry wieczór – wita ją Maks. Widzę, że ręce ma schowane w kieszeniach, i nagle się zastanawiam, czy nosi tam broń.

Pani Krajewska mruczy coś w odpowiedzi i otwiera drzwi.

– To żadne luksusy – powtarza swoje.

Pozwalam Maksowi się rozejrzeć. Odbiera lampę z rąk gospodyni i przechodzi do obu sypialni, po czym wspina się po drabinie na stryszek, a nawet zagląda do komórki z wychodkiem.

– Mówiłaś coś o siostrze – przypomina sobie pani Krajewska. – Czy twój brat także będzie tu mieszkał?

– Och, nie. On mieszka w Krakowie – kłamię jak z nut. – Po prostu jest bardzo troskliwy, może nawet za bardzo. Mam szczęście do rodzeństwa...

Maks wraca, podchodzi do pieca i stara się zajrzeć w komin. W tym czasie gospodyni mięknie jak masło.

– To wspaniale – cieszy się. – Może zostawię wam lampę, żebyście się mogli lepiej rozejrzeć, a wy mi ją oddacie, jak już skończycie, dobrze?

– Bardzo pani dziękujemy.

Po jej wyjściu Maks podchodzi blisko mnie. Ale i tak szepczemy, na wypadek gdyby pani Krajewska podsłuchiwała.

– Martwią mnie ci sąsiedzi – stwierdza Maks. – Ściany nie są grube, będzie słychać każdy szmer, a poza tym wszyscy będą paradować pod tylnymi oknami w drodze do sławojki. Trudno o zachowanie ciszy...

– A ty co, myślałeś, że znajdę mieszkanie na pustyni? Albo w Himalajach?

– Fusi, nie mędrkuj – upomina mnie, ale z uśmiechem. – To idealne miejsce dla nas. Goła ziemia jest parę centymetrów pod deskami podłogi. Będziemy mogli wykopać piwnicę, na wypadek gdyby ktoś się pojawił niespodziewanie.

Ponownie rozglądamy się po wnętrzu, a ja nagle uświadamiam sobie, ile tu będzie sprzątanego. Ile wiader wody do przyniesienia ze studni. Ile jedzenia do wtargania na to wzgórze. W dodatku stąd będę miała dwa razy dalej do pracy niż z ulicy Mickiewicza. *Dziewięć osób będzie się gnieździło w trzech pokojach, nie ma więc mowy choć o odrobinie prywatności...*

– Podjęłaś decyzję? – pyta w pewnym momencie Maks.

– Tak – odpowiadam. – Podjęłam.

Wracamy do Heleny znów pod rękę, udając zakochanych.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam Maksa tak żywego.

* * *

Maks zostaje na noc, ponieważ godzina policyjna jest tuż-tuż i głupotą byłoby wracać do getta o tej porze. Szczególnie że przechodzenie przez płot jest niebezpieczne – na ogrodzeniu zawisli dwaj inni mężczyźni, zabici za opuszczenie getta w poszukiwaniu jedzenia.

Martwi mnie, że Maks zdecydował się na tę eskapadę, wiedząc o tym.

Nazajutrz rano wciąga właśnie buty, gdy rozlega się pukanie do drzwi wejściowych. Energiczne. Urzędowe.

Zamieramy. Maks pada na podłogę i wślizguje się pod łóżko, zabierając ze sobą obuwie. Helena wykonuje ruch, by usunąć jego filiżankę, ale ja kręcę głową i przykładając palec do ust, bezgłośnie przemykam do korytarza. Czekam. Pukanie rozlega się jeszcze trzy razy. Pocę się z każdą chwilą bardziej, ale w końcu słyszę charakterystyczne skrzypnięcie, które oznacza, że niezapowiedziany gość postawił stopę na drugim stopniu od góry. *Schodzi na dół*, myślę. Nie zwlekając, przekradam się z powrotem do pokoju, ponownie daję Helenie znać, aby nic nie mówiła, i stanąwszy przy oknie, zamiast odciągnąć lekko przybity do ramy dywan, przykładam tylko oko do szpary.

Z bramy wychodzi posterunkowy Berdecki. Rzuca spojrzenie w okno, przy którym stoję, po czym rusza w dół ulicy.

– Możesz wyjść – szepczę, lecz Maks już gramoli się spod łóżka, stękając.

– To ten policjant? – pyta.

– Dlaczego tak uważasz?

– Chcesz powiedzieć, że masz innych konkurentów, którzy budzą cię pukaniem do drzwi o świcie?

– Nic takiego się nie dzieje – odpowiadam słodkim głosem. – Zazwyczaj dają im przenocować.

Widzę, jak unosi się jedna jego brew, a uśmiech zajmuje całą twarz. Nie przeszkadza mu, że się z nim droczę, ponieważ jest szczęśliwy. Szczęśliwy, że znaleźliśmy lokum przy Tatarskiej 3.

– Ależ Fusi! Nikt tu nigdy nie śpi poza Maksem! – napomina mnie Helena. – A tak w ogóle to chyba spóźnisz się do pracy.

– Dzisiaj wybieram się do biura kwaterunkowego – mówię. – Poprosiłam syna pana Szymczaka, żeby zaniósł wiadomość do fabryki.

Oczywiście wiem, że nadzór nie będzie zadowolony, ale co mam innego zrobić, skoro godziny urzędowania pokrywają się z godzinami mojej pracy?

– Też będę się zbierał – rzuca Maks, tracąc całą dotychczasową radość. – Muszę być w getcie, zanim pojawi się dzienna zmiana strażników. Póki ci nocni nadal są zmęczeni.

– Maks... – Ja również poważnieję. – Nie powinienes tu więcej przychodzić. Zostań w getcie, dopóki...

Dopóki nie będzie trzeba opuścić go na dobre, kończę w myślach.

– Muszę wiedzieć, czy kwaterunek przyzna ci ten lokal – odpowiada. – Nie mogę robić złudnych nadziei reszcie. Poza tym będziemy potrzebowali

czasu na przygotowania...

– Czy pocztę wciąż cenzurują?

– Te nieliczne listy, które przychodzą? Tak.

Namyślamy się przez chwilę. Milczenie przerywa Helena.

– Ja ci przyniosę list, Maks!

Oboje odwracamy się do stołu, z którego moja siostra zbiera talerze i kubki po śniadaniu. Odkąd pracuję, to jej zadanie. Tak samo jak mycie naczyń.

– Mogą zanieść list pod sam płot getta – uściśla.

Wkładam płaszcz.

– Nie, Helu.

– Ale ja mogę to zrobić! Bawiłam się tam już wcześniej. Strażnicy nie zwracają uwagi na dzieci. Nawet jeśli podchodzimy pod samo ogrodzenie.

– Bawiłaś się pod gettem? Kiedy?

– W ubiegłym tygodniu. Szukałam Maksa.

– Hela ma rację – popiera moją siostrę Maks. – Strażnicy zostawiają dzieci w spokoju.

– Wymyślimy inny sposób. Helu, zmyj naczynia i bądź ostrożna. To samo tyczy się ciebie – zwracam się do Maksa. – Z wyjątkiem mycia naczyń.

– Zrobimy tak – biegnąc do drzwi, słyszę głos Maksa – ty będziesz myć, ja będę wycierał.

* * *

W biurze kwaterunkowym nie ma niemieckich urzędników w drucianych okularach. Zamiast nich zastają w sekretariacie miłą Polkę, która podaje mi właściwe druczki do wypełnienia. Dziewczyna unosi brwi, widząc, że

zamiast wyjść, przycupnęłam w rogu, aby wypełnić je na miejscu. Nad niektórymi rubrykami muszę się dłużej zastanowić i wtedy żuję koniec ołówka kopiowego.

– Jak długo? – pytam ją, zwracając gotowe druczki.

– Dwa dni – odpowiada.

– I ma pani pewność, że to mieszkanie jest do wzięcia? Nikt przede mną nie złożył o nie wniosku?

Sekretarka się uśmiecha.

– Raczej nie, kwiatuszku. Dostaniesz zawiadomienie pocztą.

Wybiegam z urzędu i nie zatrzymuję się, dopóki nie dotrę do fabryki po drugiej stronie Przemyśla. Na miejscu od razu kieruję się na halę, gdzie czeka na mnie *herr* Braun. Każe zatrzymać maszyny i wydziera się na mnie po niemiecku i po polsku. Dowiaduję się, że na nic się nie zdadzą wiadomości i wymówki. Że jestem głupia i leniwa, ale go popamiętam i nigdy więcej nie spóźnię się do pracy. Odtąd mam się stawiać pięć minut przed rozpoczęciem zmiany i codziennie przekraczać normę. A jeśli jej nie przekroczę, z ochotą zostanę dłużej, żeby ją przekroczyć.

Życie nauczyło mnie, że w niektórych sytuacjach najlepiej tylko kiwać głową.

Nie przerywam pracy nawet podczas przerwy śniadaniowej, a gdy w pewnej chwili podnoszę spojrzenie znad maszyny, widzę naprzeciwko uśmiechniętą twarz chłopca. Ma na imię Lubek, tak przynajmniej twierdzi Janka, dziewczyna, która czasem dzieli się ze mną kanapką.

– Powiedz, jeśli będziesz potrzebowała pomocy – rzuca chłopak i oddala się wolnym krokiem.

Nazajutrz pomoc jest mi potrzebna. Lubek znosi mi kawałki metalu, żebym nie musiała tracić czasu na chodzenie po nie. Przekraczam normę. Ledwo, ledwo, ale zawsze. Następnego dnia sytuacja się powtarza. Nie

musząc obawiać się gniewu *herr* Brauna, wypadam z hali, w biegu narzucam na siebie płaszcz, chustkę dzierżąc w dłoni, zamiast owinać nią głowę. Mój pośpiech wynika z tego, że nie chcę czekać na urzędowy list. Do zamknięcia biura kwaterunkowego zostały dwadzieścia trzy minuty. Z impetem wkraczam do środka. W poczekalni roi się od ludzi, cuchnie w niej zaduchem, szczególnie że przed chwilą pędziłam z otwartymi ustami przez czyste powietrze. Widoczna przez otwarte drzwi sekretarka podnosi głowę znad maszyny do pisania. Dostrzegłszy mnie w tłumie, unosi nieznacznie brwi. Następnie bierze skoroszyt z kupki i macha nim w moją stronę.

– Dostałam je? – wołam ponad ciżbą.

Odpowiada skinieniem.

Przepycham się przez gąszcz ludzkich ciał, ujmuję twarz sekretarki obiema dłońmi i składam na jej policzku siarczystego całusa.

– Przestań! – Opędza się przede mną ze śmiechem. Następnie wręcza mi dokumenty i klucz.

– Jeśli panią pocałuję, też otrzymam przydział? – krzyczy jakiś mężczyzna.

– Mnie możesz pocałować! – odkrzykuje inny. Wkrótce wszyscy się śmieją.

Do domu wracam pod kobiercem gwiazd. Przekazuję Helenie nowinę, a ona z radości aż podskakuje. Tej nocy zasypiam, zastanawiając się, jak przewieziemy łóżko.

Nie dręczą mnie żadne koszmary.

* * *

Nazajutrz rano wychodzę wcześniej niż zwykle i udaję się pod getto, na wypadek gdyby Maks akurat był przy ogrodzeniu. Nie chcę go tam

zobaczyć, ponieważ obawiam się tego, co mogłoby go spotkać, jeśliby ściągnął na siebie uwagę niemieckich strażników. Albo polskich. A jednak muszę się z Makssem zobaczyć, muszę mu powiedzieć o nowym lokum. Plac za płotem, zazwyczaj pełen pogrążonych w rozpacz, kręcących się w kółko ludzi, dziś jest pusty. Nie słychać nic poza miarowym stuk, stuk, stuk podkutych obcasów esesmana. Zachowując ostrożność, zbliżam się do miejsca, w którym drut kolczasty jest poluzowany... tyle że wcale taki nie jest. Felerne miejsce zastąpiły grube sztachety, a gdy spoglądam przez szparę między nimi, widzę, że w okienku piwnicznym, w którym ostatnio zniknął Maks, także nikogo nie widać. Nie mogę dłużej mitrężyć, muszę pędzić do pracy. W fabryce dowiaduję się, że dzięki uprzejmości *herr* Brauna zostałam przeniesiona na nocną zmianę, która rozpocznie się nie wcześniej niż za dwanaście godzin.

Wróciwszy do domu, zastaję Helenę bliską płaczu. Moja siostra myśli, że straciłam pracę. Stoi przy zlewie, owinięta moim fartuchem, i zmywa naczynia w wodzie, którą samodzielnie zagrzała na piecyku. Całuję ją w czubek głowy i pomagam przy zmywaniu.

– Popatrz, co znalazłam – mówi i pokazuje mi drewniane pudełko, które kiedyś dostałam od pani Diamant. Używa go teraz do przechowywania swoich rzeczy, wycinków z czasopism, kawałków sznurka oraz kamyków i guzików, jakie znajduje na ulicy. Na dnie leży sflaczała piłka. – Pan Szymczak powiedział mi wczoraj, że ma pompkę do pompowania opon i że może mi napełnić piłkę powietrzem.

– Nie pomyślałaś, że musi być dziurawa i dlatego sflaczała?

– To nic. Wystarczy, że będzie napompowana przez krótki czas. Bylebym zdążyła ją wkopnąć za ogrodzenie getta.

Kucam przy niej.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o tym, że będę się bawić piłką pod płotem i wykrzykiwać: „Maksifusiapapier”. Strażnik nie zrozumie, o co mi chodzi, ale Maks tak i wtedy wyjdzie, a ja wkopnę piłkę za ogrodzenie, a kiedy Maks będzie mi ją oddawał, przekażę mu list. Bawiłam się już tak dwa razy ze strażnikami, żeby sprawdzić, czy to działa. Nic trudnego.

Przyglądam się siostrze. Która gra w piłkę z esesmanami.

– Dam radę – zapewnia mnie.

Dobijamy targu. Pozwalam Helenie spróbować pod warunkiem, że będę jej pilnować z za węgła. I że przestanie, jeśli Maks nie pojawi się po pięciu minutach. I że mogę w każdej chwili przerwać akcję, jeśli uznam, że zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Zajmuję miejsce za budką nieopodal torów, z której niegdyś sprzedawano lody, a Helena w tym samym czasie zaczyna kopać piłkę napompowaną przez pana Szymczaka. W kieszeni ma skrawek papieru, na którym napisałam: TAK. OKNO. JUTRO. PO. Co oznacza, że dostaliśmy mieszkanie na Tatarskiej 3 i że Maks ma się ze mną spotkać za dwa dni przy okienku piwnicznym, które wydaje mi się najbezpieczniejszym wyborem.

Serce wali mi w piersi tak mocno, że zaczyna mi się robić niedobrze.

Jestem złą siostrą, najgorszą...

Helena uderza piłką w ścianę budynku i łapiąc ją, woła: „Maksifusiapapier!”. Powtarza to na tyle często, iż może się wydawać, że to taka zabawa. W pewnym momencie dostrzegam strażnika zmierzającego wzdłuż płotu na terenie getta. Helena odwraca się i niespodzianie kopie piłkę w jego stronę. Strażnik schyla się, łapie piłkę i odrzuca w jej stronę. Moja siostra wybucha śmiechem i powtarza manewr.

Och, jest w tym naprawdę dobra.

Strażnik uśmiecha się i ponownie odrzuca piłkę w jej stronę, tym razem wskazując ścianę budynku. Helena woła: „Maksifusiapapier!”, posyła piłkę

na mur, łapie. Woła, posyła, łapie.

Wtem z bramy na terenie getta wyłania się Maks.

Helena chyba go nie widzi. Dalej zawzięcie kopie piłkę, podczas gdy on się zbliża do płotu. Kiedy strażnik jest zwrócony do nich plecami, kilka metrów od końca patrolowanego odcinka i parę chwil przed zawróceniem, Helena trafia piłką prosto w ogrodzenie.

Piłka przetacza się na drugą stronę. Maks ją goni, podczas gdy Helena stoi z nosem przy siatce i czeka. Kiedy Maks turla piłkę z powrotem na ulicę, z ręki do ręki przechodzi skrawek papieru. I równocześnie drugi, podany jej przez niego drugą ręką.

Tego się nie spodziewałam.

W ciągu paru sekund jest po wszystkim. Maks znika, a Helena kopie piłkę w stronę muru i biegnie za nią. Strażnik zawraca i rozpoczyna wędrówkę w przeciwnym kierunku. Moja siostra bawi się jeszcze przez minutę czy dwie, po czym łapie piłkę i gna za róg. Szczercząc się od ucha do ucha.

– Proszę – mówi, podając mi zwitek.

Ujmuję ją za rączkę, po czym szybko się oddalamy. Przystajemy dopiero dwie przecznice dalej, na końcu formującej się dopiero kolejki do piekarni.

– Kupimy świeże bułki? – pyta Helena.

– Dostaniesz ciastko – odpowiadam. – Ponieważ jesteś najsprytniejszą dziewczynką na świecie.

Teraz uśmiecha się już tak szeroko, że jeszcze chwila, a będzie miała uśmiech dookoła głowy. Moment później rozwijam wiadomość od Maksa.

TYFUS.

JEDZENIE I LEKI.

Nie wiem nawet, kto umiera.

Kimkolwiek jest ta osoba, będzie musiała poczekać do mojej pierwszej wypłaty.

* * *

Zabieram Helenę na Tatarską. Jedna z nas niesie miotłę, druga szczotkę i stary ręcznik. Moja siostra urządza gonitwę po wszystkich pokojach, trzaska drzwiami, zagląda na stryszek, po czym staje w kuchni z rozpostartymi szeroko na boki ramionami.

– Ile tu miejsca! – woła.

Najwyraźniej zdążyła całkiem zapomnieć o domu na wsi.

Znalazłszy nieco suchego drewna za drabiną w sieni, rozpalam pod piecem i zabieramy się do pracy. Helena uczy się nabierać wodę ze studni, wyciąga wiadro za wiadrem, nie dając się zjeść w kaszy synom pani Krajewskiej. Szorujemy ściany i podłogi, płosząc więcej myszy, niżbym życzyła sobie widzieć w całym życiu. W końcu nasze nowe lokum lśni, ale my jesteśmy brudne jak nieboskie stworzenia.

Wracamy do domu, zanim się całkiem ściemni. Na miejscu doprowadzam się do porządku, przebieram i pędzę do fabryki, gdzie udaje mi się dotrzeć tuż przed czasem. Na nocnej zmianie nie ma nikogo, kto by mnie znał i mógł mi pomóc w wyrobieniu normy. Po godzinach stania na nogach nie mam wymaganych 30 000 śrub, ale majster znów się nade mną lituje. Kiedy wychodzę z hali, Niemiec siedzący za biurkiem wyciąga do mnie rękę z kopertą. Moja pierwsza tygodniówka. Odwracam się i utykam kopertę w staniku.

Choć dopiero świta, w pierwszej kolejności kieruję się do apteki. Jestem w środku zaraz po otwarciu drzwi. Aspiryna pochłania połowę mojej wypłaty, co trochę mnie przeraża, ale pocieszam się myślą, że wypłatę będę

dostawać regularnie co tydzień. Nie rezygnuję więc z wizyty na targu. Przekupka, u której zazwyczaj robiłam sprawunki, dopiero rozkłada swój stragan, a widząc mnie, utyskuje, że zaczęłam kupować u kogoś innego. Odpowiadam, że to nie tak, dostałam pracę i muszę być w fabryce wcześniej rano. Tym razem biorę od niej jajka, ser, masło i pół kury. Chorych karmi się rosołem. To znaczy mama przynajmniej tak mówiła o położnicach, a to prawie to samo.

Ledwie przytomna wtaczam się do mieszkania, mówię Helenie, że może sobie zrobić na śniadanie chleb z jajkiem, po czym przesypiam ciurkiem trzy godziny. Po wstaniu przygotowuję paczkę żywnościową dla Maksa. Nie minęły jeszcze dwa dni, ale kiedy pisałam wiadomość, nie wiedziałam o tyfusie. Liczę, że Maks się domyśli. Gdy tobolek, zawinięty w szary papier i mój fartuch, jest już gotowy, przemykam zaułkami w umówione miejsce, szerokim łukiem omijając główną bramę getta.

Uliczka jest pusta, jeśli nie liczyć stert odpadków i na wpół zamarzniętej kałuży. Okna kamienic nade mną wydają się oczyma. Rozpłaszczam się na ścianie najbliższego budynku, mocno trzymając zawiniątko przed sobą. Jest bardzo zimno. Myślę sobie, że na miejscu gestapo kazałabym jednemu ze strażników stać w oknie któregoś mieszkania i obserwować ogrodzenie, nie będąc widzianym. Taka perspektywa sprawia, że zaczynam się trząść. Gdy przez dłuższy czas nic się nie dzieje, ciskam kamyk w szybę piwnicznego okienka.

Za pierwszym razem chybiam. Za drugim jednak trafiam i robię trochę hałasu. Po paru sekundach okienko się otwiera i wystawia przez nie głowę Maks. Nagle moich uszu dolatuje odgłos kroków w podkutych butach. Maks znika, zamykając bezgłośnie okienko, a ja chowam się w przedsionku zamkniętego na głucho sklepu. Popatrując przez rozbitą witrynę, widzę, jak

pod moim nosem przechodzi granatowy policjant z czapką nasuniętą głęboko na czoło.

Żałuję, że nie znam częstotliwości patroli na tym odcinku ogrodzenia. Zakradam się znów pod płot, a Maks wystawia ponownie głowę. Na dany znak schylam się i przeciskam pakunek przez drut kolczasty. Maks przyciąga go do siebie.

– Kto zachorował? – pytam szeptem.

– Heniek i doktor Schillinger.

Panie Boże, nie pozwól, by umarł kolejny brat Maksa.

– W środku jest aspiryna...

– Opowiedziałem im o domu – rewanżuje się Maks. – Chcę...

Patrol wraca. Maks cofa głowę i bezszelestnie zamyka okienko piwniczne, podczas gdy ja zrywam się na równe nogi. Podkute buty miażdżą żwir wypełniający szpary między płytami chodnika. Tupot przyśpiesza z każdą chwilą, jakby policjant zaczął truchtać, a potem biec. Przemykam na przeciwną stronę uliczki, ale braknie mi czasu, żeby schować się w przedsionku sklepu. Opieram się o ścianę, jakbym się nudziła. Przed oczyma miga mi granatowy mundur. Policjant zatrzymuje się jak wryty, cofa się kilka kroków i zagląda w moją uliczkę.

To nie kto inny tylko posterunkowy Berdecki.

Mruga niebieskimi oczyma, po czym wpatrujemy się w siebie dłuższą chwilę.

Policzki ma rumiane i jest naprawdę przystojny, mógłby pozować do zdjęć zamieszczanych w czasopiśmie.

A ja wyglądam jak ktoś, kto wystaje pod płotem getta, czekając na czyjeś pojawienie się.

Powinien mnie aresztować.

Ale on odchodzi. Kręcąc przy tym głową.

Zastanawiam się, czym też sobie zasłużyłam, aby ten człowiek puścił mnie ot tak. Ponownie.

Oraz jak słono przyjdzie mi za to zapłacić. Przecież wie, gdzie mieszkam.

Gnam do domu na złamanie karku, wpadam za drzwi i wołam do siostry:

– Hela, przeprowadzamy się. Jeszcze dziś.

* * *

Spakowanie całego dobytku zajmuje trzy godziny, ale tylko dlatego, że przez pierwsze sześćdziesiąt minut szukam kogoś, kto by mi pożyczył wózek. Dwa pudła zanosimy na Tatarską same, zostawiam z nimi Helenę, a sama wracam po naczynia, ramę łóżka i materac. Uwijam się jak w ukropie, ponieważ chcę zniknąć z ulicy Mickiewicza, zanim posterunkowy Berdecki zakończy służbę i zanim Emilka wróci z pracy. Obawiam się, że gdyby spojrzała mi w oczy, domyśliłaby się, co knuję. Lepiej niech się zastanawia.

Ściągam materac niezdarnie po schodach i ładuję go na wierzch wypakowanego po szczyty burt wózka, płacę synowi pana Szymczaka, by popilnował wszystkiego, po czym wracam jeszcze na górę, aby się upewnić, że niczego nie zapomniałam.

Patrzę na pusty pokój, na walający się po gołej podłodze kurz i pył, których – mogłabym przysiąc – nie było, dopóki tu mieszkaliśmy, a następnie robię obchód całego mieszkania. Wspomnienie, czym było kiedyś, i widok, czym jest teraz, tworzą dysonans jak dwie niepodobne do siebie melodie. *Powinnam zamieść, myślę. Pani Diamant by tego chciała. Zawsze dbała o czystość podłóg, zwłaszcza w sklepie.*

E, nie, podpowiada mi drugi głos w głowie. Pani Diamant pragnęłaby, abyś uratowała jej synów.

Zostawiam klucz na obramowaniu kominka, zamykam drzwi i już po chwili pcham wózek ulicami Przemyśla, w kierunku Tatarskiej 3.

16

MARZEC 1943

Tej nocy jestem w pracy tak zmęczona, że gdy wybija północ, chyba tylko cudem mam jeszcze wszystkie palce. W pewnym momencie klepie mnie w ramię mechanik z nocnej zmiany. Ruchem głowy wskazuje warsztat ze stołem naprawczym, pod którym tym razem przesypiam godzinę, zanim wrócę na swoje stanowisko.

W domu na Tatarskiej moja siostra śpi na materacu rozłożonym na gołej podłodze, drżąc przez sen, ponieważ zabroniłam jej rozpalać ognia, a na zewnątrz wciąż panuje chłód. Zanim udała się na spoczynek, porozwieszała nasze ubrania na haczykach w sypialni, porozkładała paskudne dywany, które do tej pory zasłaniały okna na ulicy Mickiewicza, a nawet ustawiła naczynia na półce nad zlewem. Okrywam Helenę swoim płaszczem, rozpalam ogień i zabieram się do składania ramy łóżka. Na śniadanie mamy dwa jajka i pół kubka mleka. Będę musiała znowu pójść na targ. I przekazać wiadomość Maksowi. Gdyby szukał schronienia w mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza, nie zastałby tam nikogo, kto mógłby mu pomóc.

Na kawałku szarego papieru kreślę kilka słów. NOWE MIEJSCE. CHORZY? KIEDY? Ledwie Helena otworzy oczy, pytam ją:

– Pamiętałaś, żeby zabrać swoją piłkę?

Godzinę później Helena gra w piłkę naprzeciw bramy getta, z wiadomością w kieszeni, a ja stoję przyczajona na swoim zwykłym miejscu za budką z lodami. Tym razem jej zabawa musi potrwać dłużej, ponieważ kiedy już przekaże wiadomość Maksowi, będziemy czekać na odpowiedź. Mam nadzieję, że dowiem się w paru słowach, kto przeżył, kto wciąż jest chory i ile czasu jeszcze trzeba, by przeprowadzili się na Tatarską. Moja siostra z niesłabnącym entuzjazmem kopie piłkę o ślepa ścianę kamienicy.

– Maksifusiapapier! – woła raz po raz.

Tego dnia przy ogrodzeniu getta kręcą się też inne dzieci. Niektóre z nich chcą przyłączyć się do Heleny, ale ona je ignoruje. Obok wyschniętej fontanny na zapuszczonym placu nieopodal czterej nastolatki z wąsem sypiącym się pod nosem stoją zbici w ciasną grupkę. Podają sobie z rąk do rąk jednego papierosa. Helena kopie piłkę w stronę esesmana, innego niż ostatnio, a on krzyczy na nią coś nieprzyjaznym tonem. Nie jestem w stanie rozpoznać słów, ponieważ akurat trąbi przejeżdżający samochód. Po tej reprimendzie moja siostra nie zaprzestaje zabawy, ale trzyma się z dala od esesmana.

Mądra dziewczynka, chwale ją w duchu.

Nagle zauważam Maksa, który idzie spacerowym krokiem po drugiej stronie ogrodzenia, z dala od drutów. Helena kopie mocno piłkę i nie łapie jej, pozwalając, aby potoczyła się pod płotem. Esesman stoi odwrócony plecami. Maks zatrzymuje piłkę i podbiega truchtem, aby podać ją dziewczynce. Nie widzę jednak, czy Helenie udało się przekazać mu wiadomość.

– Czemu tu sterczysz?

Podskakuję, jakby ktoś mnie uszczypnął. Za mną stoi pani Wójcik z nieodłącznym psem. Robię, co mogę, aby się uśmiechnąć.

– Czekam na kogoś...

– Na kogo?

Och, jak ja nie lubię tej kobiety! Poza tym co ona robi po tej stronie torów? Zerkam na Helenę. Bawi się bardzo blisko ogrodzenia. Nigdzie nie widzę Maksa.

– Chodzi o tego twojego policjanta? – dopytuje pani Wójcik. – Zgadłam, prawda? Naprzykrza ci się? Mnie nie oszukasz. Byłam mężatką przez trzydzieści dwa lata, wychowałam dwóch synów i mam zamiar znów wyjść za mąż. Wkrótce. – Urywa, najwyraźniej w nadziei, że okażę zainteresowanie. – Dlatego znam się na tych sprawach. Znam mężczyzn...

Jestem na to zbyt zmęczona.

– Proszę pani, mam do powiedzenia tylko jedno. – Kobieta nachyla się ku mnie wyczekująco. – Mianowicie: *gejn in drerd!*

Założę się, iż pani Wójcik nawet się nie domyśla, że właśnie kazałam jej w jidysz iść do diabła, ale sądząc po wyrazie jej twarzy, mój stosunek do niej chyba jest jasny.

Pies jazgocze, gdy jego właścicielka okręca się gwałtownie na pięcie i odmaszerowuje. Kiedy się odwracam, widzę bawiące się dzieci i stojącego na wprost bramy strażnika, który rozmawia z jednym z popalających chłopców. Piłka Heleny toczy się wzdłuż płotu.

Tylko mojej siostry nigdzie nie ma.

Wychodzę z za budki.

– Helu? – wołam. – Heleno?

Staję na pustym chodniku.

– Helena! – krzyczę, obracając się wkoło.

Kątem oka dostrzegam Maksa za ogrodzeniem. Wykonując energiczne ruchy, pokazuje moją prawą stronę. Esesman przerywa rozmowę, żeby na mnie spojrzeć. Wyciągam palec we wskazanym kierunku, samym ruchem warg pytając:

– Tam?

Strażnik sięga po broń, lecz ja – uzyskawszy od Maksa potwierdzenie – puszczam się sprintem, zanim esesman zdąży do mnie zawołać.

– Helena!

Ludzie odwracają się i otwarcie gapią na mnie, gdy wypadam za róg, hamuję ostro i rozglądam się w obie strony. Nadal nie widzę siostry. Przez tory kolejowe mogła skręcić tylko w jednym kierunku. Ale którą przecnicę wybrała?

– Widział pan może przebiegającą tędy małą dziewczynkę? – pytam mężczyzny, który stoi oparty o latarnię. Chrząka w odpowiedzi i wskazuje w lewo. Pędzę tam, kawałek wzdłuż płotu getta, aż wypadnę na ulicę obstawioną kamienicami. Jakieś dzieci rysują na chodniku klasy. – Widziałyście dziewczynkę, która tędy przebiegła? – pytam je, zdyszana.

Jedno z dzieci, dziewczuszka mniej więcej w wieku Heleny, spogląda na mnie i potrząsa kucykami.

– Ale biegli tędy chłopcy – mówi. – I jakiś pan w mundurze.

Przypominam sobie palących nastolatków. I esesmana rozmawiającego z jednym z nich. *O, nie...*

Nie, nie, nie.

Co dał jej Maks?

– Dokąd pobiegli? – pytam dziewczuszkę. Rodzi się we mnie panika. – Dokąd?! I jaki mundur miał na sobie ten mężczyzna?

Dziewczynka oczywiście tego nie wie.

Wiodę spojrzeniem w dół ulicy. Widzę co najmniej cztery przecznice, w które mogła skręcić moja siostra. Lecz gdyby chciała dotrzeć do kładki nad torami, gdyby chciała zgubić pościg i wrócić na Tatarską, najlepszym wyborem byłaby ta uliczka, od której odchodzą liczne zaułki...

Przemierzam ją biegiem, zaglądam w każdy kąt, ale nikogo nie widzę. Zawracam więc w stronę domu, pokonuję kładkę, mijam plac targowy i zaczynam biec pod górę, aż w końcu stawiam nogi na zmrożonym gruncie Tatarskiej. Otwieram drzwi. Może Helena wdrapała się do środka przez okno.

– Hela? – wrzeszczę od progu. Wspinam się nawet do połowy drabiny i wołam w stronę stryżku. Ale już czuję, że w domu nikogo nie ma. Wybiegam więc na podwórko. – Hela!

Pani Krajewska wystawia głowę na zewnątrz.

– Co się dzieje?

– Widziała pani moją siostrę?

– A nie idzie o, tam?

Okręcam się na pięcie i od razu dostrzegam Helenę, która pokonuje wzgórze nie od strony ulicy, lecz działek. Wargę ma rozciętą, po policzkach płyną jej łzy.

– Przepraszam za kłopot! – wołam przez ramię do pani Krajewskiej i prowadzę siostrę do domu.

Ledwie przekroczę próg, padam na klęczki i mocno przytulam Helenę. Jej pierś podnosi się i opada gwałtownie przy każdym szlochu.

– Ci chłopcy... – mówi urywanie. – Oni pomagali złapać ludzi, którzy pomagają Żydom. Obserwowali mnie... i widzieli... widzieli, jak... jak Maks przekazuje mi wiadomość.

Patrzę siostrze prosto w oczy, ocieram jej rękawem krew z ust, starając się przy tym nie pokazać, jak bardzo jestem przestraszona. Ponieważ zdążyłam już sprawdzić kieszenie jej płaszcza. Są puste, tak samo jak ręce Heleny.

Chyba będziemy musiały uciekać. Niezwłocznie.

– Ten największy – kontynuuje przez łzy moja siostra – kazał mi sobie oddać to, co dostałam od Żyda, a kiedy uciekłam, zawołał do żołnierza w czarnej czapce i wszyscy rzucili się za mną w pogoń. Biegłam i biegłam, ale w końcu zabrakło mi tchu i... i... i wtedy oni mnie złapali...

Wyglądam przez okno, ale przed domem nadal nikogo nie ma.

– Helu, co Maks do mnie napisał?

– Nie wiem! Nie spojrzałam! Nie znam jeszcze wszystkich liter!...

Jeżeli Maks użył mojego imienia albo adresu, jeżeli napisał cokolwiek, co nas mogło zdradzić, nie ma już dla nich bezpiecznego schronienia. Ani dla nas.

– Co zrobili chłopcy, gdy już odebrali ci karteczkę? – Zamiast odpowiedzieć, Helena marszczy czoło. – Kto ci ją odebrał? Chłopcy czy esesman? Przeczytali ją?

– Nie... – Helena ociera łzy wierzchem dłoni. – Nie mogli.

– Dlaczego?

– Zjadłam ją.

Z wrażenia aż przysiadam na piętach.

– Zjadłaś wiadomość od Maksa?

– Nie chciałam, Fusi! Ale bałam się, że jest w niej coś ważnego, więc podarłam ją i... i włożyłam do buzi, tyle że to było w biegu, a ja miałam mało śliny i... i zaczęłam się krztusić... wtedy mnie dopadli i tamten chłopak mnie uderzył... No i ją połknęłam!

Przyglądam się siostrze przez kolejną sekundę, po czym przytulam ją ponownie. Jeszcze mocniej.

– A potem przyszedł pan w czarnej czapce... – Odchylam się, aby na nią spojrzeć. – I... i... chciał mnie zabrać, ale... – Teraz trzymam jej twarz w obu rękach. – Ale ja go kopnęłam, no to on mnie przewrócił, a wtedy ja go ugryzłam!

– Ugryzłaś esesmana?

– W nogę! Gniewasz się na mnie? – pyta, a kiedy nie reaguję, powtarza: – Gniewasz się?... – Głos ma przytłumiony przez otaczające ją moje włosy. Kręcę przecząco głową. – Ale ta wiadomość... ona mogła być ważna...

– I właśnie dlatego ją zjadłaś, moja mądra, mądra siostruniu. Jesteś dzielniejsza od całej polskiej armii, bo nie sądzę, żeby któryś nasz żołnierz ugryzł Niemca w nogę. Nie, na pewno tego nie zrobił.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Całuję Helę w czoło, potem w oba policzki i znowu w czoło. Zanim skończę, jej łyzy zdążyły na wpół wyschnąć, a na jej skaleczone wargi wypełza nieśmiały uśmiech. Rozpiera mnie duma.

I poprzysięgam sobie, że moja siostra już nigdy, przenigdy nie będzie musiała wykazać się taką odwagą.

Co oznacza, że jutro to ja wśliznę się do getta.

* * *

Postanawiam, że pójdę wcześniej rano, zaraz po pracy. Maks preferuje tę porę, ponieważ – jak mówi – nocni strażnicy śpią na stojąco. Uznaję też, że najłatwiejsza droga prowadzi przez okienko piwniczne. O ile nie jest

zamknięte od wewnątrz. I pod warunkiem, że w pobliżu nie będzie żadnego granatowego policjanta, który by mnie obserwował.

Nie wiem, co zrobię, jeśli jakiś się jednak pojawi.

Zmierzam do celu okrężną drogą, klucząc zaułkami i przekradając się przez podwórka, aż wreszcie przystaję w znanym mi już przedsiionku sklepu. Robię to samo co zawsze w tym miejscu: przyglądam się wszystkiemu uważnie przez rozbitą witrynę. Długo. Przez cały ten czas nie widzę patrolu, co może oznaczać dwie rzeczy. Albo dziś granatowa policja nie wystawiła żadnego, albo polski policjant pokaże się lada chwila. Czekam jeszcze trochę, aż w końcu podchodzę do wylotu uliczki i schylam się, jakbym zawiązywała sznurówkę. Zarazem wiodę spojrzeniem wzdłuż ogrodzenia, w lewo i w prawo. Nikogo.

Rzucam się biegiem naprzód i przepelzam pod drutem kolczastym. Okienko znajduje się tak blisko, że muszę je zacząć otwierać, zanim cała się przeczołgam na drugą stronę. Na szczęście otwiera się bez oporu. Wciskam się w nie, robiąc wygibasy, aby mieć nogi z przodu, potem zsuwam się po piwnicznej ścianie, dopóki mogę, a wreszcie spadam z łomotem, czując, jak pieką mnie stopy. Nie miałam pojęcia, że tu jest tak wysoko. Staralam się zamknąć za sobą okienko, ale poszło trudniej, niż myślałam, i teraz w rogu szyby widać lekkie pęknięcie, co jednak nie powinno być problemem, ponieważ okienko jest tak brudne, że prawie nie przepuszcza światła.

Otoczają mnie ciemności.

Wtem coś się porusza. Coś większego od szczura, czuję to, chociaż widzę tylko czarniejszą od mroku plamę prostującej się sylwetki. Muszę użyć całej swojej siły woli, aby nie wrzasnąć.

– Fusia?

– Maks? – szepczę z ulgą. – To ty?

– Masz, podeprzyj tym okienko...

Wpycha mi w dłoń kijek, którym robię, co mi kazał, i nareszcie widzę coś więcej, nawet jeśli są to tylko błyszczące oczy Maksa.

– Co ty tutaj robisz? – pytam.

– Czekam, aż przyjdiesz pod płot, żeby ci powiedzieć, abyś tego nie robiła. Sądziłem, że rzucisz kamykiem jak zwykle. Dostałaś moją wiadomość?

– Hela zjadła ją w biegu, nie mając pojęcia, co zawiera. Jak się czuje Heniek? I doktor Schillinger?

– Obaj będą żyć. W getcie panuje epidemia tyfusu. Musisz być bardzo ostrożna. Doktor Schillinger był tak słaby, że omal nie zginął zastrzelony.

– Jak to?

– Esesmani strzelali do każdego, kto był zbyt słaby, żeby wstać z łóżka. Heńka ukryliśmy w piwnicy, ale doktora musiałem wtoczyć pod łóżko. Dziusia usiadła w nogach materaca, machając nogami... – Chyba wiem, skąd wziął ten pomysł. Ale zaraz... Jak to możliwe, że z takim spokojem rozmawiamy o mordowaniu chorych z zimną krwią? – Naprawdę nie powinnaś była tu przychodzić – podejmuje Maks. – W getcie jest niebezpiecznie. Opuszczenie go graniczy z nieprawdopodobieństwem.

Coś mi jednak mówi, że Maks spodziewał się mojego przyjścia.

– Mam pomysł, jak nas stąd wyciągnąć, ale potrzebuję kilku dni na zorganizowanie odpowiednich ubrań i innych potrzebnych rzeczy. Pierwszy wyjdę ja z Siuńkiem. Równo za tydzień. Przyjdź po nas na dworzec, na peron, tak żebyśmy mogli udawać podróżnych czekających na pociąg, w razie gdybyś się spóźniła. Później ruszysz przodem, a my za tobą. Jeśli stanie nam na drodze policja, ty odwrócisz uwagę mundurowych, a ja poprowadzę Siuńka na Tatarską.

– O której?

– O szóstej rano, kiedy kończy się nocna zmiana.

– Jeśli sama będę pracować na nocną zmianę, mogę się pojawić najwcześniej o wpół do siódmej. Jeśli wypadnie mi dzienna zmiana, będę mogła być o piątej.

– Dzień wcześniej przemaszeruj przed bramą, pokazując pięć albo sześć palców.

– Tak zrobię.

Znienacka Maks obejmuje mnie ramionami i przytula mocno. Jest rozgrzany i bardzo chudy. Ubranie ma utyłane kurzem i drobnymi kamykami z podłogi.

– Dziękuję, Fusiu – mówi. Po chwili wypuszcza mnie z objęć. – Musisz się pośpieszyć. Oni wszystko obserwują. To okienko także. Naprawdę nie wiem, jak ci się u...

Sama jestem ciekawa, czy to dlatego, że nasze okienko ma na oku posterunkowy Berdecki.

– Getto opuść normalną drogą. To tylko jedna przecznica, jeśli zaraz za drzwiami skręcisz w lewo i pójdziesz na skróty przez zaułek. Poluzowałem na powrót druty, chyba się nie zorientowali... I jeszcze jedno. Weź to. – Schyla się i po omacku bada podłogę u swych stóp. Moment później podaje mi zawiniątko. – Chciałbym móc pójść z tobą, ale we dwoje... Jeśli zobaczysz, że strażnicy się zmieniają, albo zauważysz coś podejrzanego, ukryj się. Albo usiądź na ziemi. Możesz się nawet położyć. Jakbyś była zmęczona. Kiedy usłyszysz, że ktoś woła: „Schwammberger!”, zacznij uciekać. Co sił w nogach. Obiecuj mi to.

– Kim jest Schwammberger?

– To komendant getta. Lubi strzelać do ludzi na spacerze. Jak usłyszysz jego nazwisko, nie zastanawiaj się, tylko uciekaj. Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Za pięć dni przejdź przed bramą. Za sześć dni będę na ciebie czekał na dworcu.

A potem znajdzie się na Tatarskiej. Na dobre. Lub złe.

Prowadzi mnie do wiodących na powierzchnię schodków, które kończą się dwuskrzydłowymi drzwiami otwierającymi się wprost na ulicę. Właśnie je popycham, gdy Maks mnie woła.

Odwracam się do niego.

– Kup mi łopatę!

Wymykam się na zewnątrz przygarbiona, jakby miały mi spaść na głowę bomby.

W getcie jest znacznie gorzej niż ostatnim razem. Widzę ludzi zbitych w grupki, czasem pojedyncze osoby, które siedzą bez ruchu na zimnie. Dopiero po chwili dociera do mnie, że większość z nich nie żyje albo właśnie umiera, co na jedno wychodzi. Tyfus. I głód. I kto wie, co jeszcze. Przemykam skrótem, jak doradził mi Maks, tuląc do piersi pakunek od niego, starając się nie patrzeć.

Nagle słyszę warknięcie:

– Stać!

Głos dobiega zza moich pleców. Rzucam spojrzenie przez ramię.

– Ty tam, stój!

Z naprzeciwka idzie mężczyzna w brudnym ubraniu roboczym, z czapką nisko naciągniętą na oczy. Jego buty łomoczą o bruk.

– Co tutaj robisz? – pyta mnie. – Co tam masz?

Ma zbyt czyste dłonie jak na robotnika. Tak samo jak ja jestem zbyt czysta jak na to miejsce.

Czas jakby spowalnia. Mój umysł zaczyna pracować na pełnych obrotach. Zerkam w dół i odkrywam, że tobolek zawiera dwie koszule i coś,

co przypomina zasłony.

– Byłam po zasłony – odpowiadam. – To wszystko.

– Wiesz, że w getcie nie wolno niczego kupować. Ani sprzedawać.

Próbuję uśmiechu.

– Mam młodszą siostrę na utrzymaniu i muszę...

– Chodź ze mną! – mówi mężczyzna, chwytając mnie za ramię. – Ale to już! – dodaje, gdy się opieram. – A może wolisz, żebym wezwał esesmanów?

Prowadzi mnie zaułkiem, a potem ulicą. Mijamy żywych i umarłych, wchodzimy do budynku, w którym są chyba biura, aczkolwiek i tutaj leżą śpiący – albo martwi – ludzie. Prycze ustawione są pod jedną ścianą. Wyrywam się z uścisku mężczyzny i robię krok do tyłu.

– Kim pan jest?

– Należę do Judenratu.

– Tej żydowskiej policji? Gdzie pana mundur?

Nie odpowiada. Wpycha mnie do pomieszczenia z biurkiem i usadza przed nim. Do środka wchodzi jeszcze dwaj inni mężczyźni, porządkowi, obaj w mundurach. Przez długą chwilę wszyscy toczą szeptem rozmowę, której sens mi umyka. Następnie odbierają mi tobołek i przetrząsają go, odkrywając dwie koszule i komplet zasłon. Nie mam pojęcia, skąd Maks wytrzasnął te ostatnie, w każdym razie tkanina jest ciemna i mięsista, z wzorkiem w białe lilijki. Natychmiast się domyślam, jakie jest ich przeznaczenie. Mają chronić Żydów ukrywających się w domu przy Tatarskiej 3 przed niepowołanymi oczyma.

Rzucają zmiętą tkaninę na biurko. Ten, który mnie aresztował, wychodzi, a jego miejsce zajmuje inny mężczyzna, również nie w mundurze. Zasiada za biurkiem, porządkowi stają na baczność za jego plecami. Siedzący wydaje się dobrze odżywiony, lecz znużony. I zacięty.

– Dokumenty poproszę – rzuca.

Podaję mu kenkartę, nie komentując, że właśnie zmieniłam adres.

– Podgórska – mówi, lustrując spojrzeniem moje zdjęcie. Podniósłszy na mnie wzrok, dodaje: – Wiemy, ktoś ty.

– Moje nazwisko stoi w dokumentach.

Mężczyzna się uśmiecha.

– Źle się wyraziłem. Wiemy, coś ty za jedna. I co tu robisz.

– Wiecie, że kupiłam w getcie zasłony?

Uśmiech staje się szerszy, ale nie ma w nim cienia wesołości.

– Wiemy, że chcesz dać kryjówkę Żydom.

Gdybym nagle zobaczyła siedzącego za tym biurkiem Hitlera, nie byłabym bardziej zdumiona. *Jak się domyślili? Dlaczego teraz? Zanim cokolwiek zrobiłam?* Prostuję się na krześle.

– Nie ukrywam Żydów. Po prostu kupiłam tanie zasłony od kogoś, kto ich już nie potrzebuje.

Mężczyzna odkłada moją kenkartę i sięga po złoty skoroszyt.

– Mamy cię na oku, Podgórska. Wiemy, że zakradasz się do getta. Wiemy, że przekazujesz rzeczy przez płot. Widzieliśmy nawet twoją siostrę... – Wzmianka o Helenie razi mnie niczym błyskawica. Mężczyzna siedzący za biurkiem nie zwraca na to uwagi, dalej przegląda skoroszyt. – Wiemy też, że zamierzasz ukryć... doktora Schillingera i jego córkę. Siuńka Hirscha i jego ojca, Leona Hirscha. A także Heńka Diamanta i Danke Karfiol.

Zapomniałeś o Maksie, myślę.

– Widzisz więc, Podgórska, że nas nie okłamiesz.

Nie zamierzam z tym dyskutować. Interesuje mnie jedno: skąd wiedzą? I czy mam szansę się z tego wywinąć?

Uśmiecham się blado.

– Te informacje mają jeden feler. Są nieprawdziwe.

– Ukrywasz Żydów, Podgórska. Lub będziesz to robić niebawem.

Jeden z porządkowych szczerzy się do siebie, wyraźnie zadowolony. Wszyscy trzej myślą chyba, że mają mnie z głowy. Towar sprzedany, zapakowany... Siedzący za biurkiem równiutko układa dokumenty w skoroszybie, po czym odkłada go na bok.

– Jak nakazuje prawo, zostaniesz przekazana w ręce gestapo, które cię przesłucha i odpowiednio ukarze. Tymczasem...

– Jakie prawo? – przerywam mu.

Spogląda na mnie zdziwiony.

– Niemieckie oczywiście.

– Jesteście Żydami – mówię – i mimo to zamierzacie oddać mnie w ręce Niemców... za ratowanie Żydów?

Grymas wykrzywia twarz mężczyzny za biurkiem.

– My także staramy się ratować Żydów. Zrozum, Podgórska. Stosując się do reguł, zapobiegamy akcjom odwetowym. Ale wystarczy, że jeden Żyd zostanie przyłapany na przestępstwie, a wtedy zginą nas setki. Tak grożą Niemcy. Ty, Podgórska, dopomogłaś w przestępstwie siódemce Żydów. To może kosztować życie tysiąca osób. Jeśli chcemy, by ktokolwiek przeżył to piekło, musimy pilnować porządku. Musimy chronić niewinnych...

Nie pozwalam mu dokończyć.

– Ależ to właśnie Niemcy zabijają niewinnych! Waszych współrodaków! A wy pilnujecie „porządku”, dzięki czemu te bestie mają pełne getto łatwych ofiar! – Członek Judenratu mruga, jakby oślepiło go światło. – Wiecie, że tak jest. – Mierzę spojrzeniem dwóch pozostałych Żydów w pomieszczeniu. Już się nie uśmiechają. – Może nie? Może nie?!

No chyba że nikt nigdy nie odważył się wam powiedzieć prosto w twarz tego, co ja powiedziałam przed chwilą.

– Ocalimy tylu Żydów, ilu tylko się da – oznajmia mężczyzna za biurkiem.

– W jaki sposób? Siedząc z założonymi rękoma, podczas gdy są głodzeni na śmierć i mordowani? Ładując ich do bydłowych wagonów, które powiozą ich do... – Nagle dociera do mnie, że wszyscy trzej patrzą na mnie, jakbym postradała rozum. – Obyście zabrali mnie na gestapo. Powiem tam to samo, co mówię tutaj. Że jesteście tchórzami. I durniami. Oczywiście, że chcę dać schronienie Żydom. Przyznaję się. Taka jest prawda. Chcę ich ukrywać, chcę ratować im życie, dopóki ktoś nie pójdzie po rozum do głowy i wreszcie nie zakończy tej wojny. Do tego czasu będę walczyć o każdego Żyda, jakiego mogę ocalić, nawet jeśli wy tego zaniechacie. A w ogóle to nie zamierzam się wam tłumaczyć.

Wstaję, gotowa do wyjścia.

Nogi mam miękkie jak z waty.

– No już, prowadźcie mnie na gestapo. Mam tylko nadzieję, że Pan Bóg wam wybaczy, kiedy mnie zabiją, mnie i wszystkich, których mogłam uratować. Aczkolwiek nie sądzę, aby był w stanie to zrobić.

– Wynocha – rzuca mężczyzna za biurkiem. Tyle że mówi nie do mnie, lecz do porządkowych. Wychodzą obaj, niechętnie, i zamykają za sobą cicho drzwi. – A ty, Podgórska, siadaj.

Dalej stoję.

– Powiedziałem: siadaj!

Siadam.

– Myślisz, że podoba mi się moja praca? Co? Ciekaw jestem, jaki twoim zdaniem miałem wybór. Uważasz, że trafiłem tu z własnej woli? Że esesmani nie mogą wkroczyć do mojego domu w każdej chwili, by

wystrzelać moją rodzinę? – Otwiera szufladę i zaczyna pisać coś na skrawku papieru, który wyrwał z notesu. – Staramy się ich ratować... Naprawdę. Podsuwamy złe listy. Opóźniamy wywózki. Ograniczamy akcje odwetowe wywołane przez osoby takie jak ty. Dzięki temu ktoś gdzieś przeżywa. Jeśli masz jakieś sugestie, co powinienem zrobić, by więcej Żydów ocalało, proszę bardzo, zdradź mi je. – Odkłada pióro i czeka na moją odpowiedź. – Nie? W takim razie zbierz swoje rzeczy i chodź ze mną.

Robię, co mi każe, składam koszule i zasłony, czując, że moja odwaga – czy raczej bezczelność – wycieka ze mnie jak woda z durszlaka. *Jeśli mnie zabiją, co będzie z Maksem? Co będzie z nimi wszystkimi?*

Co będzie z Heleną?

Powinnam była lepiej opiekować się siostrą.

Chowam swoją kenkartę i przyciskając tobolek do piersi, opuszczam pomieszczenie za członkiem Judenratu. Idziemy pogrążonym w półmroku długim korytarzem, w stronę przeciwną niż główne wejście, mijając dalsze rzędy pryczy, z których część jest zajęta, a część nie.

Zastanawiam się, co robić.

Walczyć? Czym? Dysponuję tylko miękkim tobołkiem i paznokciami.

Płakać? Niewykluczone, że rozpłaczę się i tak.

Popchnąć tego mężczyznę, kopnąć go z całych sił tam, gdzie boli najbardziej, i wziąć nogi za pas?

Nie miałabym najmniejszych szans na wydostanie się z getta.

Wchodzimy do klitki na końcu korytarza, czegoś w rodzaju komórki zaadaptowanej na kuchnię, w której unosi się miłe ciepło i zapach gotowanej kapusty. Mężczyzna otwiera tylne drzwi.

– Weź to. – Wręcza mi świstek wyrwany z notesu. – Idź prosto do głównej bramy i daj to strażnikowi.

Podnoszę wzrok.

– A potem?

– Potem idź do domu, Podgórska.

Zerkam ponownie na skrawek papieru. Nic nie rozumiem.

– Idź do domu – powtarza. – I nie wracaj tutaj. Ja... – Muszę się wysilić, żeby usłyszeć jego następne słowa. – Jeśli coś ma się wydarzyć, lepiej, żeby wydarzyło się jak najszybciej. Pojmujesz?

Kiwam głową – raz, drugi. Prędko przestępuję przez próg.

– Proszę zaczekać – rzucam, obracając się. – Skąd pan wiedział?

– Poczta pantoflowa.

– Słucham?

– Ludzie mają to do siebie, że gadają.

– A kto słucha?

Wzrusza ramieniem i równocześnie unosi brwi.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Bądź ostrożna, Podgórska. I niech Pan Bóg wybaczy nam wszystkim.

Cofa się za próg i zamyka drzwi, a ja stoję tam jak ogłuszona, ledwie czując ulgę, która mnie zalewa, nasłuchując odgłosów pogrążonego w niedoli getta.

Rozmyślam o tym, co ten człowiek powiedział o swojej rodzinie. Rozmyślam o Iziu, który zginął w obozie janowskim, ponieważ Judenrat sporządził taką, a nie inną listę. Rozmyślam o porządkowym, który zagroził, że wrzuci granat do kryjówki Maksa i innych, a potem ich wszystkich wydał.

Powinni organizować armię, a nie pociągi deportacyjne. Powinni walczyć.

Mężczyźni tacy jak Maks złapałoby za broń.

To powinnam była powiedzieć członkowi Judenratu. Tak powinni postąpić Żydzi.

A może... może podobnie jak większość z nas zwyczajnie nie zna prawdy. Może nie wie o niczym i nie dowie się, dopóki nie będzie za późno.

Nie podał mi nawet swojego imienia...

Biegnę do bramy, daję świstek strażnikowi, który ku mojemu zdumieniu wypuszcza mnie z getta. A kiedy drzwi na Tatarskiej są już zatrzaśnięte i zamknięte na klucz, kiedy lampa płonie, a Helena robi mi herbatę, jedyne, o czym potrafię myśleć, to ludzkie gadanie. I ile czasu upłynie, zanim gestapo je usłyszy.

KWIECIEŃ 1943

Następne trzy dni spędzam w ciągłym strachu – zarówno w fabryce, jak i w domu. Wcześniej nawet nie pomyślałam o poczcie pantoflowej, a tu proszę! Ktoś gadał o nas. Kto, dlaczego, z kim – tego nie wiem. Boję się jednak denuncjacji. Boję się, że w środku nocy pojawi się gestapo i odciągnie mnie od maszyny. Boję się, że w środku dnia esesmani wyłamią drzwi i wpadną do mojego domu. A może na razie tylko się przyczaili...

...i czekają, aż na Tatarskiej pojawi się Heniek z Siuńkiem.

Gdybym tylko miała jak ostrzec jednego z drugim!

Nie mogę spać. Nie mogę jeść. Wmawiam sobie, że Niemcy nic nie wiedzą, ponieważ gdyby wiedzieli, toby już dawno zareagowali. Znając nazwiska Żydów planujących ucieczkę z getta, aresztowaliby ich od razu, zamiast potem uganiać się za nimi na mieście. Gestapo rzadko przejmuje się takim drobiazgiem jak dowody, skąd by więc nagle pojawiła się u nich taka skrupulatność?

Powtarzam sobie, że gdyby Niemcy wiedzieli, już dawno złożyliby mi wizytę. Łatwiej jednak takie rzeczy mówić sobie w duchu, niż w nie wierzyć.

Trudno o spokój, gdy człowiek w każdej chwili obawia się aresztowania.

W piąty dzień, w drodze z pracy, wybieram trasę wzdłuż ogrodzenia getta. Maks siedzi na stopniu, poza zasięgiem wzroku strażnika. Czuję taką ulgę na jego widok, że rzucam mu szeroki uśmiech. Jakby tego samego dnia wypadło Boże Narodzenie i moje urodziny.

Maks odpowiada uśmiechem.

Ja pokazuję mu dyskretnie sześć palców.

Potakuje skinieniem.

Wracam do domu, aby zawiesić zasłony.

Nazajutrz po nocnej zmianie, punktualnie o szóstej dwadzieścia, przechodzę obok dworca kolejowego. Widzę dwóch mężczyzn, którzy siedzą na peronowej ławce. Mają czapki naciągnięte nisko na oczy, smar na twarzach, na plecach sakwy wypchane czymś, co może być narzędziami. Jeden z nich trzyma w ręku termos. To Maks. Ten drugi to Siuniek, chociaż nie mam pojęcia, jakiego rodzaju robotników udają. Nieważne. Grunt, że mnie dostrzegają, podnoszą się ociężale i zaczynają iść w moją stronę.

Opatulam się ciaśniej połami płaszcz, aby ukryć drżenie rąk, mimo że wcale nie jest zimno, po czym spacerowym krokiem kieruję się ku Tatarskiej. W pewnym momencie muszę przyśpieszyć. W połowie przecznicy po lewej znajduje się policjant. Zanim zdąży dojść do skrzyżowania, ja skręcam już za róg.

Nie mam śmiałości się obejrzeć. Moim zadaniem jest odwrócić jego uwagę. Po to tu jestem. Żeby policjant zainteresował się mną zamiast fałszywymi robotnikami deptającymi mi po piętach.

Niestety strach mnie paraliżuje. Nie potrafię rozpocząć dystrakcji.

Wtem słyszę znajomy głos.

– Stefania Podgórska?

Staję jak wryta. To on. Posterunkowy Berdecki. Polski policjant z niebieskimi oczyma, dołeczkami w policzkach i mocno zarysowaną szczęką. Człowiek, który zjawia się zawsze tam, gdzie nie powinno go być.

To tyle na temat dystrakcji...

Posterunkowy zdejmuje czapkę.

– Szukałem cię – mówi. – Wracasz z pracy?

– Tak – odpowiadam, nakazując nogom ruch. – Nie mam czasu. Moja siostra jest w domu sama i...

Berdecki dotrzymuje mi kroku.

– Mówisz o swoim nowym domu?

Wpatruję się w jego twarz. Dwaj robotnicy z wybrudzonymi smarem twarzami mijają nas i kierują się w dół ulicy.

– Jak widzisz, jestem na bieżąco – dodaje posterunkowy. – Domyśliłem się, że się przeprowadziłaś, ale twoi sąsiedzi, pytani, nie umieli powiedzieć dokąd. Gdzie teraz mieszkasz? Mogę cię odprowadzić?

– Nie, dziękuję – rzucam oschle.

– Stefanio – mówi, ciągnąc mnie za rękaw, abym przystanęła. Jego głos nie ocieka już syropem. – Dlaczego tak źle mnie traktujesz, choć robię wszystko, by się z tobą zaprzyjaźnić?

Otwieram usta, ale w głowie czuję pustkę. Cóż ten człowiek kiedykolwiek mi uczynił? Wypuścił mnie, zamiast aresztować, zaprosił do kawiarni i nieustająco obnosi się ze swoją urodą. Nie jego wina, że ilekroć próbuje się do mnie zbliżyć, akurat mam Żyda pod łóżkiem albo za plecami, ani że wiecznie jestem zbyt przerażona, zbyt zatroskana, aby

cieszyć się życiem choć przez chwilę. W dodatku dziś powstrzymał się od komentarza, że natknął się na mnie nieopodal getta. Znowu.

– Proszę wybaczyć – bąkam. Berdecki wydaje się zaskoczony. – Naprawdę mi przykro. Po prostu bardzo się boję o siostrę...

– Helenę? – Zapamiętał jej imię. – W takim razie wezwę taksówkę i podrzucę cię do domu raz-dwa.

– Nie! – Robi jeszcze bardziej zdziwioną minę. Rozglądam się na boki, nabierając w ten sposób pewności, że Maks i Siuniek są już tylko niewyraźnymi sylwetkami w wylocie ulicy. – Chciałam powiedzieć: nie, dziękuję. To by tylko pogorszyło sprawę. Bo widzi pan... moja siostra bardzo się boi mężczyzn w mundurze. Ostatnim razem długo trwało, zanim się uspokoiła po pańskiej wizycie. Jestem pewna, że z tego wyrośnie, ale...

– Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Zatem nie odprowadzę cię pod sam dom, tylko kawałek. Ty zdecydujesz, kiedy mam zawrócić.

Nie umiem wymyślić żadnego pretekstu, którym mogłabym go zbyć. Ruszamy więc.

– Wiesz, Stefano, nie bez powodu szukałem cię w starym mieszkaniu.

– Naprawdę?

– Tak.

W tej chwili nie widzę już ani Maksa, ani Siuńka. Są zdani tylko na siebie. Żołądek zaciska mi się w supeł. Berdecki i ja minęliśmy plac targowy i właśnie zaczynamy się wspinać pod górę. Aczkolwiek nie jest to droga prowadząca na Tatarską.

– Chcę z tobą o czymś poważnie porozmawiać. Chociaż wolałbym nie robić tego na środku ulicy.

Mam nadzieję, że Maks pamięta drogę. I że Helena nie zapomniała przekręcić klucza w zamku...

Co będzie, jeśli zapomniała to zrobić?!

Co będzie, jeśli pani Krajewska, która lubi przesiadywać w oknie, zajmie miejsce na swoim posterunku i zobaczy, jak mężczyzna, przedstawiony jej jako mój brat, zakrada się chyłkiem do mojego domu niczym jakiś złodziej? Widząc to, może wezwać policję. A nawet gestapo.

– Widzisz, Stefano... Znam twój sekret.

Zatrzymuję się i spoglądam mu w niebieskie oczy.

– Nie mam żadnych sekretów – odpowiadam szeptem.

Berdecki uśmiecha się do mnie.

– Nieprawda. Masz tajemnicę nie lada.

Gapię się na niego pustym wzrokiem. *On wie...*

On wie. On wie. On wie.

– Jak już powiedziałem – kontynuuje, obrzucając spojrzeniem pustą ulicę – to nie najlepsze miejsce na poważną rozmowę. Przyjdź do mnie w niedzielę, kiedy nie musisz być w pracy. Tam porozmawiamy. Proszę, to mój adres...

Wyciąga z kieszeni kartkę i pióro i wykorzystując równą elewację kościoła prawosławnego, zaczyna pisać.

Sięgam wzrokiem nad wzgórzem w kierunku Tatarskiej. Gdyby wszczęła się tam strzelanina, czy jej odgłosy dotarłyby do moich uszu tutaj? A może zostaniemy zgarnięci dopiero w niedzielę?

Czuję mdłości.

– O czwartej? – pyta jakby nigdy nic Berdecki. Odbieram od niego kartkę z adresem i kiwam głową. – Pamiętasz, jak mówiłem, że chcę ci pomóc? W każdy możliwy sposób? – Ponownie kiwam głową. – Taki mam właśnie zamiar. Wierzysz mi? – Potakuję skinieniem po raz trzeci. Jest jak aktor na wielkim ekranie. Ideał, z którym żaden śmiertelnik nie może się równać. – Poważna z ciebie dziewczyna, Stefano. – Sięga ręką, by poprawić wyłóg mojego płaszcza. – Zatem do czwartej w niedzielę.

Cofa się o kilka kroków, prezentując dołki w obu policzkach i zamiatając czapką chodnik. Trochę trwa, zanim zejdzie w dół ulicy; co rusz się ogląda i macha mi ręką. Ja także unoszę dłoń. Wreszcie Berdecki skręca za róg, w stronę targu.

Może jednak nie doniesie na mnie, myślę. Może najpierw chce mnie szantażować. Odbierze mi wszystko, co mam, a potem i tak odda w ręce gestapo. Mnie, Helenę, Maksa i Siuńka.

Chyba że Maks i Siuniek nie dotarli bezpiecznie na miejsce.

Chyba że czeka tam na nich SS.

Odwracam się i spoglądam ku wieżom katedralnym, za którymi majaczy wzgórze z Tatarską. A potem puszczam się pędem.

Kiedy wyłaniam się zza zakrętu i spoglądam w stronę domu, który z tej perspektywy przycupnął na samym szczycie, słońce już wschodzi. Pani Krajewska na pewno zdążyła wstać i szykuje sobie śniadanie. Popatrując zza firanki na zewnątrz.

Co zdążyła zobaczyć?

Ufff... Przynajmniej pod domem nie ma esesmanów.

Chyba że już tu byli i sobie poszli. Zabierając Maksa i Siuńka.

Helena!

Brakuje mi tchu. W nogach i w ramionach mnie kłuje, na skroni pulsuje mi żyłka, czuję tępy ból za lewym okiem i mam takie wrażenie, jakby moja pierś miała eksplodować. Z trudem powstrzymuję się od krzyku. Zmuszam się do tego, by zwolnić, mijam studnię, powłóczę stopami, zgarbiona, jakbym wracała po długiej, ciężkiej zmianie w fabryce. Powoli skręcam za róg, a gdy już mam pewność, że pani Krajewska nie może mnie zobaczyć ze swojego okna, dopadam drzwi i grzmocę w nie pięścią.

Zamek szczęka i drzwi otwierają się tak szybko, że przelatuję przez próg głową naprzód, zatrzymując się dopiero na środku kuchni. Cała

zdyszana.

Przysadzisty młody mężczyzna o krzaczastych ciemnych brwiach i ze smarem na twarzy stoi przy stole ubrany w mój fartuch i kroi chleb, podczas gdy Helena uderza piętami o nogi krzesła, mając przed sobą szklanekę mleka. Moja siostra na kolanach trzyma piłkę. Tę samą, którą straciła, rzucając ją przez płot. Nie mam pojęcia, jak Maks położył na niej rękę. Nie chce mi się wierzyć, że niósł ją przez cały Przemyśl. Cała trójka patrzy na mnie zaskoczona. Ciszę przerywa dopiero trzaśnięcie drzwi wejściowych za moimi plecami.

Przekręcając klucz w zamku, Maks pyta:

– Kłopoty? Fusię?

Wybucham płaczem.

Obejmuje mnie i pozwala mi się wypłakać w ramię.

– Co się stało? Czy tamten policjant coś ci zrobił?

Policjant... Posterunkowy Berdecki ze swoimi uroczymi dołeczkami...

Który zna nasz sekret...

Ponieważ ludzie mają to do siebie, że gadają.

Jeśli zaraz nie wezmę się w garść, wszyscy zginiemy.

– Maks. – Odstępuję od niego o krok, ocierając twarz z łez. – Możemy porozmawiać?

Kiwa głową twierdząco.

– Siuniek, popilnuj okna.

Młodzieniec wyciera dłonie w mój fartuch, po czym przechodzi do sypialni, skąd jest doskonały widok na ulicę i podwórko. Nikt nie przeszedłby tamtędy niezauważony. Maks wysuwa mi krzesło, jakbyśmy byli w restauracji.

– Helu – odzywa się. – Przynieś wody ze studni. Myślę, że twoja siostra chętnie napije się herbaty. – Zerka na mnie. – Macie herbatę?

Potakuję skinieniem, wciąż walcząc ze łzami, a Helena łapie wiadro i wychodzi na zewnątrz bez protestów. Zachowuje się cicho jak myszka. Myślę, że jest szczęśliwa, mając znów Maksa. Któremu w końcu wszystko opowiadam. Co wydarzyło się w siedzibie Judenratu, co powiedział członek rady żydowskiej i jak mnie puścił. Mówię też o posterunkowym Berdeckim. Gdy milknę, jestem już spokojniejsza, za to Maks pociera głowę tak energicznie, iż boję się, że straci włosy.

– Nie wierzę – powtarza. – Nie wierzę... Stanęliśmy wszyscy w kręgu, ja, Heniek z Danką, doktor Schillinger, stary Hirsch i młody, i przysięgliśmy przed Bogiem, że słowem się nie zdradzimy przed nikim spoza naszego grona. Wszyscy zdawaliśmy sobie przecież sprawę, co oznaczałoby dla nas przeciek.

– A Dziusia?

Maks potrząsa głową.

– Dziusi wtedy nie było.

– Gdzieście złożyli tę przysięgę? – dopytuję.

– W bunkrze. Tym starym. Był pusty. Wszyscy inni... wszyscy, którzy o nim wiedzieli, nie żyją. Poza tym mieści się pod ziemią.

Zniżam głos do szeptu.

– Masz pewność co do Siuńka?

– Zaryzykowałbym dla niego własne życie.

Już to zrobiłeś, myślę.

Maks marszczy brew.

– Ale co z nami? – zastanawia się półgłosem. – Wtedy w piwnicy? Czy mógł być tam ktoś jeszcze?

Kręcę głową. Nawet czyjaś obecność przy naszej rozmowie nie wyjaśnia, w jaki sposób wróg poznał nazwiska. Figuruje już wcześniej w żółtym skoroszycie.

Wraca Helena, dźwigając wiadro pełne wody. Choć nikt jej o to nie prosi, z własnej inicjatywy zamyka drzwi na klucz.

– Do głowy przychodzi mi tylko jedno – odzywa się znów Maks. – Judenrat ma swoich ludzi w całym getcie, przykładem ten człowiek, który cię aresztował. Może ktoś z naszego kręgu powiedział coś do drugiego i przypadkiem został podsłuchany? Nie sądzę jednak, aby nazwiska dotarły do gestapo. Gdyby tak było, nigdy byśmy nie zaszli tak daleko. – W pełni się z tym zgadzam. – Powstrzymaliby nas. Zastrzeliliby w trakcie snu. A ty już dawno siedziałabyś w więzieniu. Tymczasem po drodze nie zauważyliśmy nic niepokojącego, jeśli nie liczyć tego twojego posterunkowego. Nikt na nas nie zwrócił uwagi. A tu dostaliśmy się przez działki, tak że nie przemaszerowaliśmy pod oknami sąsiadów.

To dla mnie wielka ulga.

– Ale co z tym policjantem? – pytam. – On coś wie.

Maks wzrusza ramionami.

– Diabła tam wie. Fusi, naprawdę nie znasz się na mężczyznach?

Czuję się urażona. Traktuje mnie jak małą dziewczynkę...

– Nie słyszałeś, co dzisiaj wygadywał.

– Wystarczy, że słyszałem poprzednim razem. Nie zażąda od ciebie pieniędzy. Wie, że ich nie masz. I na pewno nie zna naszej tajemnicy. Gdyby ją znał, już dawno bylibyśmy martwi albo siedzielibyśmy na gestapo. Niemcy reagują błyskawicznie, zwłaszcza gdy mają cynk od granatowego policjanta, takiego jak ten twój...

Sposób, w jaki mówi o Berdeckim, nie uchodzi mojej uwagi.

– Nie sądzisz, że w takim razie tym bardziej powinnam pójść na to spotkanie i sprawdzić, ile o nas wie?

Maks mruży lekko oczy.

– A chcesz pójść i sprawdzić, ile wie?

– Nie. – Nawet jeśli jakaś część mnie chce tego, Maks nie musi o tym wiedzieć. – Ale jeśli nie pójde i nie sprawdzę, wiele ryzykujemy. Tymczasem to sprawa życia i... – W tym momencie Helena stawia przede mną kubek z herbatą. – To sprawa wielkiej wagi – dokańczam, nie chcąc nazywać rzeczy po imieniu w obecności Heli.

– Dziusia ucieknie w poniedziałek – rzuca nieoczekiwanie Maks. To dla mnie zaskoczenie. – Doktor Schillinger i Leon Hirsch tydzień później. Nie jesteśmy w stanie ich powstrzymać. Chyba żeby któreś z nas wróciło do getta. Czego tobie nie pozwolę zrobić.

Powrót do getta byłby niebezpieczny dla nas obojga.

Upijam łyk i czuję, jak gorący napar rozgrzewa mnie od środka.

– Fusi, to ostatnia okazja. Jeśli nie chcesz nas tutaj, powiedz słowo.

Wyobrażam sobie życie bez strachu, który ostatnio towarzyszy mi non stop, i przez jeden okropny moment mam ochotę ulec pokusie.

– Nie mów tak, Maks! – woła Helena. Oboje na chwilę o niej zapomnieliśmy.

Przenoszę spojrzenie na Maksa, doskonale wiedząc, jaka jest alternatywa.

– Nie, Maks – powtarzam jak echo po siostrze.

Maks uśmiecha się, ale smutno. A potem pyta:

– Czy ten policjant wie, gdzie teraz mieszkasz? – W odpowiedzi potrząsam głową. – To dobrze. Bo gdyby się tu pojawił, chyba musiałbym go zabić.

Porusza brwiami, jakby żartował, lecz może jego brwi tym razem kłamią?

Nie wydaje mi się, aby Maks Diamant myślał trzeźwo tam, gdzie w grę wchodzi posterunkowy Berdecki.

Ostatnie, czego pragnę, to rozmowa z Maksem o Berdeckim.

– Jestem zmęczona – mrużę. Mówię prawdę, oczy same mi się zamykają.

– Idź spać – rzuca Maks.

– Możesz wypić moją herbatę.

– Obudzę cię w porę, żebyś zdążyła do pracy.

Podnoszę się na nogi, przechodzę do sypialni i padam na łóżko w ubraniu.

Całkiem zapomniałam, że w pokoju znajduje się obcy mężczyzna, który przez szparę w zasłonach obserwuje ulicę i podwórko.

– Mówią na mnie Siuniek – przedstawia się. Wciąż ma na sobie mój fartuch.

– Ja jestem Stefania – mamrocze – ale możesz mówić do mnie Fusia.

– Już to robię. Czy twoja siostra naprawdę ugryzła w nogę esesmana?

Zasypiam, zanim zdążę mu odpowiedzieć.

Moment później Maks potrząsa mnie za ramię. Słońce zgasło, jakby ktoś zdmuchnął świecę.

– Fusi... – szepcze Maks. – Fusi!

Otwieram jedno oko. Powieka ciąży mi niczym ołów.

– Kupiłaś tę łopatę?

Dostaje ją ode mnie, zanim wyjdę do pracy. Później, przy maszynie, gwintując kolejne kawałki metalu, zastanawiam się, co porabia Maks. I Helena. I Siuniek. Czy wszyscy troje są bezpieczni. Czy już zostali

złapani i po powrocie do domu znajdę ich ciała. Wyrabiam normę, po czym wkładając klucz do zamka drzwi przy Tatarskiej 3, ze strachu dostaję skurczów brzucha. W kuchni nikogo nie ma.

– Halo? – wołam.

Cisza.

Wpadam do sypialni, gdzie zastaję Siuńka znów przy oknie, z palcem na ustach, i Maksa, który tkwi po kolana w dole wykopanym na miejscu mojego łóżka, nagi od pasa w górę, cały spocony i pokryty cienką warstwą ziemi. Deski podłogowe stoją równo oparte o ścianę. Maks wbija łopatę w ziemię i wyskakuje z zagłębienia zwinnie jak kot.

– Co ty wyprawiasz? – pytam. I dodaję: – Gdzie Hela?

Spoglądam na drzwi wiodące do kolejnego pokoju.

– Nie wchodziłbym tam – powstrzymuje mnie Maks. – Zrobiliśmy tam wygodkę. W wiadrze! – dodaje na widok wyrazu obrzydzenia na mojej twarzy. – Nie tym od czerpania wody! Za kogo mnie masz?

– Ciii... – napomina Siuniek.

Maks pociąga mnie w stronę kuchni.

– Wszystko tam słychać – zaczyna mówić cichym głosem Maks. – Także tę sąsiadkę, którą spotkałem przy oględzinach. Jej piętterko mieści się dokładnie nad nami, z czego wynika, że ona też może nas słyszeć. Staramy się więc, aby się nie zorientowała, że są u ciebie mężczyźni. – Zabiera się do usuwania potu i brudu kuchenną ścierką. Widząc, że biegnę spojrzeniem do wiadra na wodę, dodaje: – Cóżes sobie myślała, Fusiū? Że będziemy wszystko trzymać do końca wojny? Przecież nie możemy skorzystać ze sławojki.

Nie zaprzętałam sobie nigdy głowy tą kwestią, sama nie wiem dlaczego.

– Gdzie Hela? – pytam ponownie.

– Pozwoliłem jej iść się pobawić na dworze. Dobrze zrobiłem?

– A wy? Czym się zajmujecie w mojej sypialni?

– Budujemy bunkier. Żebyśmy mieli gdzie się schować, kiedy ktoś cię odwiedzi. Stryzek nie do końca się nadaje, prowadzi tam drabina, a gdy ktoś się na nią wespnie i zobaczy nas...

O tym także nie pomyślałam.

– Jesteś śpiąca – zauważa Maks.

Owszem. Lecę z nóg. A on tryska energią niczym ptak, który buduje gniazdo.

– Ale... Co robicie z tą całą ziemią?

Maks pokazuje zęby w uśmiechu.

– Chodź zobaczyć.

Otwiera drzwi do sieni, z której można się dostać na stryszek. W pomieszczeniu tym nigdy nie było podłogi z prawdziwego zdarzenia, tylko klepisko. Teraz ubitej ziemi jest kilka centymetrów więcej niż przedtem. Za drabiną może nawet kilkanaście centymetrów.

Jakim prawem to zrobili? Kiedy pani Krajewska tutaj wejdzie, natychmiast pozna, że coś jest nie tak. Może się na mnie poskarżyć. Kwaterunek cofnie mi przydział...

– Hela ubijała ją cały dzień, żeby była równa i gładka – wyjaśnia Maks, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Dobrze by było, gdybyś znalazła jakieś rupiecie, którymi można by zasłonić to wzniesienie... – Pokazuje ręką.

A więc teraz jestem im potrzebna do zbierania rupieci! A potem łaskawie wyślą mnie na targ, gdzie przepuszczę połowę tygodniówki, by przez resztę popołudnia taszczyć jedzenie na tę sakramencką górę! Później jeszcze zamiotę podłogi, doczyszczę piec z warstwy brudu, który osiadł na fajerkach przy tym całym kopaniu, ugotuję obiad i pozmywam naczynia. Na koniec będę mogła złapać parę godzin snu, o wiele za mało, niż potrzebuję, a do tego w domu cuchnącym męskim potem i otwartym

grobem, w domu, w którym nawet uchylenie okna jest niebezpieczne! Nie wspominając już, że po tych wszystkich atrakcjach czeka mnie z niedzieli na poniedziałek dwunastogodzinne stanie przy maszynie i produkowanie śrub!

To wiadro w drugim pokoju pewnie aż się prosi, żeby je opróżnić, nachodzi mnie nagła myśl. I czara goryczy się przelewa.

– Jesteś zła – stwierdza Maks, marszcząc czoło.

– Nie jestem zła – kłamię.

Przede wszystkim jestem przerażona.

Punkt po punkcie robię kolejne rzeczy z listy. Tyle że gdy wracam z targu zmachana, podłogi są już zamiecione, piec wyczyszczony, a Siuniek odbiera ode mnie torby i oznajmia, że coś ugotuje.

Mnie pozostaje tylko opróżnić wiadro robiące za ustęp.

Kiedy w końcu się kładę, wszystko mnie boli. Śpię na łóżku ustawionym po niewłaściwej stronie pokoju, aczkolwiek zawsze z Maksem albo Siuńkiem na posterunku przy oknie. Zamiast jednak spać jak kamień, śnię o Iziu, a konkretnie o wszystkim, co zdaniem tamtego strażnika mu zrobili. Rzucam się w pościeli, a gdy mdłości podchodzą mi do gardła, budzę się nagle, spocona na całym ciele. Popołudniowe słońce wlewa się do środka przez szczeliny w zasłonach, wydobywając z półmroku zwałistą postać Siuńka.

Pierwsza myśl, która mnie dopada, jest taka, że nie wiem, co z Heleną, a skoro tego nie wiem, równie dobrze może być martwa. Następnie myślę o tym, że Siuniek i Maks mają swój bunkier, ale ja nie wiem, gdzie mogłabym się schować, jeśli przyjdzie gestapo. *Kiedy przyjdzie gestapo,* poprawiam się.

„*Śmierć Żydom!*”, słyszę w głowie męski obłąkany głos. Liczę kolejne strzały. *Raz, dwa, trzy...*

Przestań, Fusi.

Po prostu skończ z tym.

Siadam na łóżku, a Siuniek macha mi, jakbyśmy przypadkiem wpadli na siebie w parku.

Wreszcie przypominam sobie, że jest niedziela. Opuszczam nogi na podłogę.

Maks nie ma racji w sprawie posterunkowego Berdeckiego. To znaczy nawet jeśli ją ma, to się myli, ponieważ ja nie mogę żyć w ciągłej niepewności.

Wstaję, proszę Siuńka, aby dał mi parę chwil na osobności, po czym zamykam za nim drzwi. Zdejmuję wymiętą sukienkę, zanurzam ściereczkę w utłuczonej misce, której używamy do mycia, i szoruję się wszędzie, gdzie jestem w stanie dosięgnąć. Potem czeszę włosy i zaplatam warkocz – nie ma czasu na kręcenie loków – starannie odgarniając kosmyki z twarzy, dzięki czemu wyglądam korzystniej. Czysta i uczesana podchodzę do łóżka i wsuwam dłoń pod materac, skąd wyciągam niemal idealnie wyprasowaną bluzkę. Jest śliska w dotyku, błękitna, z nadprutym dołem, którego jednak nie będzie widać, gdy schowam go za paskiem spódnicy.

Bluzkę kupiłam wczoraj na targu za pieniądze odłożone na jajka.

Zawsze mogę ją sprzedać w niedalekiej przyszłości.

Do kompletu wkładam brązową wełnianą spódnicę, jedyną przyzwoitą część garderoby, jaką posiadam, po czym z kosmetyczki wyciągam szminkę i lusterko, niegdyś należące do Marysi. Ze sztyftu została marna reszтка, waham się więc, czy powinnam go zużyć. Ale kiedy wychodzę z pokoju, wargi mam krwistoczerwone.

Siuniek siedzi przy stole, wykręcając sobie szyję, aby widzieć coś przez okno. Maks trzyma Helenę na kolanach. Opowiada jej historyjkę, chyba tę

o morzu, ponieważ słyszę, jak pada słowo „rekin”. Podnosi na mnie spojrzenie i rozchyła lekko usta.

– Fusi! Jak ty ładnie wyglądasz! – chwali Helena. – Masz nową bluzkę...

– Wcale nie – zaprzeczam. – To jedna ze starych. Tylko rzadko ją noszę. Moja siostra ma dość oleju w głowie, aby na tym zakończyć dyskusję.

– Dokąd się wybierasz? – pyta Maks cicho.

– Dziewczęta z pracy urządzają przyjęcie.

Idiotycznie to brzmi. Zarazem niebezpiecznie i nieodpowiedzialnie.

Szczególnie że to kłamstwo.

– Baw się dobrze – rzuca w odpowiedzi Maks. Nie odrywa jednak ode mnie spojrzenia.

Helena obejmuje go za szyję.

Wychodzę za drzwi, pozwalając, aby ktoś zamknął je za mną na klucz.

Mam wyrzuty sumienia. Wielkie, ogromne wyrzuty sumienia. Ale muszę się dowiedzieć, ile wie posterunkowy Berdecki.

Ruszam w dół ulicą w stronę rynku.

18

KWIECIEŃ 1943

Posterunkowy Berdecki mieszka na drugim brzegu Sanu, w tej części Przemyśla, która była niemiecka, podczas gdy my należeliśmy do Rosjan. Jest mi oszczędzone szukanie jego adresu, ponieważ czeka na mnie przy moście – na wypadek gdybym się zgubiła albo rozmyśliła, nie wiem.

– Stefanio – mówi, podchodząc szybko i całując mnie w dłoń. – Ślicznie wyglądasz.

On także prezentuje się niczego sobie. Nigdy jeszcze nie widziałam go w cywilnym ubraniu. Wydaje się silny i zdrowy, na pewno świeżo się ogolił... Nagle uzmysławiam sobie, że gapię się na niego jak pensjonarka.

– Chodź – dodaje – porozmawiamy.

Bierze mnie pod rękę, po czym prowadzi ulicą i za róg, gdzie ciągną się szeregi nie tyle kamienic, ile domków podobnych do tych na Tatarskiej, ale bardziej zadbanych, z lśniącymi dachami, nowymi szybami w oknach i pomalowanymi na wesołe barwy ścianami. Przyglądam się im oszołomiona.

– Te budynki ucierpiały od bombardowań nie mniej niż reszta miasta – wyjaśnia posterunkowy Berdecki – ale zostały doprowadzone do porządku. Mieszka tu wielu polskich policjantów.

Uśmiecha się i otwiera przede mną drzwi frontowe, a ja nie mogę powstrzymać się od myśli, że wywiódł mnie w pole i zaraz aresztuje. W środku nie ma jednak więcej policjantów. Wnętrze nie jest luksusowe, ale przytulne. W powietrzu unosi się przyjemny zapach.

I dźwięcząca cisza.

– Mieszka pan sam? – pytam zdziwiona.

– Oczywiście.

Nie mam pojęcia, czemu wyobrażałam go sobie z matką, siostrą i co najmniej piątką braci. W głowie mi się nie mieści, jak jeden człowiek może mieszkać w takim dużym domu.

Berdecki na pewno czuje się samotny...

– Pozwól, że wezmę twój płaszcz – mówi. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale zaproszę cię do stołu. Normalnie o tej porze jadamy posiłki i...

– Panie posterunkowy – zaczynam.

– Mów mi po imieniu, proszę.

– Powiedział pan, że coś pan o mnie wie.

– Tak – potwierdza. Jego przystojna twarz poważnieje w momencie. – Musimy porozmawiać. Usiądź, proszę.

Znajduję się obok stołu nakrytego obrusem, z ustawionymi na blacie kieliszkami z rżniętego szkła i porcelanową zastawą. Marek wysuwa mi krzesło. Niegrzecznie byłoby w takiej sytuacji odmówić.

– Rozumiem, że chcesz przejść od razu do sedna – zagaja, pocierając zapałkę o draskę i zapalając świecę, mimo że słońce stoi wciąż wysoko. –

Ale jak już wspomniałem, o tej porze jadam posiłki, wszystko jest ciepłe...
Pozwolisz więc...?

– Powiedziałeś, że coś wie... – próbuję znowu.

– Najpierw zjedzmy. – Blask świecy wydobywa jego dołeczki i brylantynę na włosach.

Składam ręce na podolku, czując się jak mała dziewczynka w gościach.

Marek przynosi dwa talerze, na których leżą glazurowane miodem plastry schabu – prawdziwego schabu, nie z puszki – i ziemniaki usmażone na oleju, sałatkę z marynowanej marchwi, krakersy z serem, a do tego wszystkiego jeszcze... salaterkę, w której pływają połówki gruszek w syropie. *Gdzie on znalazł gruszki w syropie?* Tymczasem już nalewa mi czerwonego wina, które okazuje się słodkie i pyszne. Niemożliwe, żeby jadał tak codziennie. Musiał przygotować to wszystko specjalnie dla mnie.

Czuję się tak, jakby były święta Bożego Narodzenia. Przed wojną.

Marek opowiada o błahostkach i rzuca żarty, które wcale mnie nie śmieszą, ale i tak wybucham śmiechem. Nie wiem, z czego się śmieję. Czuję, że twarz mam rozplómięną.

Nalewa mi więcej wina. Zjadam wszystek schab, w ogóle niemal wylizuję talerz do czysta, a gdy Marek spostrzega, z jakim zapałem pałaszuję gruszki, oddaje mi swoją porcję. Jest naprawdę bardzo miły.

Przygląda mi się przez cały czas. Prawi mi komplementy. I nie żąda, abym zrobiła coś trudnego, groźnego albo nieprzyjemnego. Jest mi ciepło. Jest mi dobrze. Lekko kręci mi się w głowie. Pamiętam, że było coś, czego chciałam się od niego dowiedzieć...

– Jesteśmy po obiedzie – mówię. Wypowiadanie słów przychodzi mi z niejakim trudem. – A ty powiedziałeś... powiedziałeś, że znasz mój sekret...

W głębi ducha wiem, że to ważne.

Marek się uśmiecha.

– Tak, wiem coś o tobie. Jeszcze wina?

Kręcę głową. Mimo to dolewa mi, przechylając mocno butelkę. To prawda, mam sekret.

– Przesiadźmy się na wersalkę – proponuje w pewnej chwili Marek.

Czy Marek zna mój sekret? Tego mam się od niego dowiedzieć.

– Usiądź tu obok mnie – kontynuuje Marek – to będziemy mogli porozmawiać o tym, co wiem. – Jedną ręką ujmuje mnie za dłoń, drugą podaje mi wciąż pełen kieliszek.

Słońce zdążyło już zejść, kontury mebli wydobywa z mroku tylko blask świecy. Wersalka jest mięciutka. Zapadam się w nią. Odchylam leniwie głowę na oparcie.

– Powiedz mi, co wiesz.

Mam świadomość, że powinnam się obawiać, ale nie czuję strachu.

– Jeden całus – szepcze Marek – i wszystko ci powiem.

Całuje mnie, a gdy kończy, myślę sobie, że nie miałabym nic przeciwko temu, aby zrobił to ponownie. Czuję się piękna. On jest pięknym mężczyzną. Przygniata mnie całym ciężarem do wersalki, ale mnie nie chce się wykonać żadnego ruchu. Marek rozpuszcza mój warkocz. W tym samym momencie coś mi się przypomina.

– Ale co... co z naszą sprawą? – udaje mi się wymruczeć, kiedy obsypuje pocałunkami moją szyję. – Co to za tajemnica, którą posiadasz?

– Tajemnica? – powtarza cicho. Nasze twarze dzielą milimetry. – Twoja tajemnica, Stefano, polega na tym, że jeszcze nikt cię nie całował.

I całuje mnie ponownie. A ja staram się zebrać myśli, staram się sobie przypomnieć przez rubinową mgiełkę... Posterunkowy Berdecki uważa, że jeszcze nikt mnie nie całował. To jego zdaniem jest mój sekret.

Nie wie o Maksie. Ani o pozostałych. Nigdy o nich nie wiedział.

Zachowywał się tak, abym pomyślała, że mnie przejrzał. Chciał, abym się bała.

Chciał tego, abym znalazła się na jego wersalce!

Zginam kolano i pcham z całych sił, aż spadnie na ziemię z głuchym łoskotem.

– Ej... Ej! – Gramoli się na nogi, podczas gdy ja robię to samo. – Co to ma znaczyć?

– Pytasz mnie, co to ma znaczyć? Śmiesz mnie o to pytać? Powinnam cię pociąć na tysiąc kawałeczków, ty padalcu! Ty... ty śmierdzielu! – Utykam dół bluzki za paskiem od spódnicy, wzrokiem już szukając trzewików. – Śmierdzielu! – powtarzam.

– Co ci odbiło, przekłeta wariatko? – Te słowa mnie ranią, tym bardziej że zniknął gdzieś jego wcześniejszy słodki głos. – Stefanio, przestań się zachowywać jak dziecko. Bo nie jesteś dzieckiem...

Nie jestem?

– Ty i twoja kuzynka...

Moja kuzynka? A, chodzi mu o Dankę. Zhańbioną kuzynkę z Birczy. Co mu naopowiadała pani Wójcik?

– Nie zgrywaj niewiniątka. Doskonale wiedziałaś, po co tu przychodzisz!

Nieprawda. Nie wiedziałam. Choć powinnam. Maks mnie ostrzegł. Niemal. Tak czy owak, wyszłam na największą idiotkę w Przemyślu.

– Przyszłam, ponieważ mówiłeś, że coś o mnie wiesz. A ty zwyczajnie kłamałeś!

– To była tylko taka gra.

– Nie dla mnie!

Chwytam butelkę po winie i ciskam nią, chybiając o włos. Szkło rozpryskuje się o ścianę na dziesiątki zielonych odłamków, tuż za głową Marka, znacząc biel tynku kroplami czerwieni.

– Jesteś szalona! – stwierdza Marek. Już nie wydaje mi się przystojny. Włosy ma rozczochrane, ubranie wymięte, a twarz całą w szmince. Nie to jednak zohydza go w moich oczach. Prawdziwa ohyda czai się w jego zimnych jak stal niebieskich oczach. – Wciąż mogę utrudnić ci życie. Tobie i twojej siostrze. Mogę cię aresztować. Tego chcesz? – Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. W końcu Marek się uśmiecha. Nie jest to ładny uśmiech. – Tak właśnie myślałem... Wracaj tu teraz i bądź grzeczna, a ty i twoja siostra będziecie mogły spać spokojnie w swoim łóżku. – Dołeczki w jego policzkach się pogłębiają. – Sama też coś z tego będziesz miała, może nie?

Czuję taki gniew, że pokój wokół mnie wiruje.

Robię dwa kroki i zrywam płaszcz z oparcia krzesła.

– Aresztuj mnie, panie posterunkowy! No już! Chętnie opowiem pańskiemu przełożonemu, jak przymyka pan oko na przestępstwa, w nadziei że zwabi pan ofiarę do swojego domu na... na obiad! – wypluwam ostatnie słowo.

Moja groźba działa.

– Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj – rzucam. Nie krzyczę już. Mówię głosem cichym i aksamitnym. – Nigdy więcej do mnie nie zagaduj. Jeśli mnie zobaczysz na ulicy, zawróćisz i pójdiesz w przeciwną stronę. Rozpłyniesz się w powietrzu. W przeciwnym razie doniosę na ciebie przełożonemu. Zresztą może i tak to zrobię. – Cofam się do wyjścia i z progu jeszcze dodaję: – A jeśli choćby spojrzysz na moją siostrę, skończysz jako karma dla świń.

Zatrząskuję za sobą drzwi.

Idę ulicą najszybciej, jak potrafię. Choć jest mi chłodno, nie zatrzymuję się, by włożyć płaszcz. Muszę jednak przystanąć, aby zawiązać sznurówki. Gdy się schylam, w głowie zaczyna mi się bardziej kręcić. Mijająca mnie kobieta z torbami w obu rękach rzuca mi krzywe spojrzenie.

Zastanawiam się, czy tak jak on mam rozsmarowaną szminkę na całej twarzy.

Nie, to tylko łzy.

Czemu w ogóle tu przyszłam? Czy na pewno dlatego, że się bałam?

Tak. W głównej mierze.

Ale też czułam się mile połączona. Że przystojny policjant zwrócił na mnie uwagę. Że po Iziu, po wszystkich okropieństwach, które mnie spotkały, wciąż mam jakieś perspektywy – nawet jeśli nie są one wymarzone. Tak, przez krótką chwilę było mi z tym dobrze.

Fatalnie się czuję z tą świadomością.

Zatrzymuję się w drodze na wzgórzu i stojąc przed witryną zamkniętego sklepu, w świetle ulicznej latarni zaplatam schludnie warkocz. Z warg nie mam nawet czego ścierać. Upewniam się, że wszystkie guziki są zapięte i że spódnica leży na mnie prosto. Wiem, że jeden z nich będzie mnie obserwował... Znikąd pojawia się uczucie strachu, że w domu nie ma nikogo, kto mógłby wyglądać ukradkiem na ulicę. Skwaśniałe wino podchodzi mi do gardła. Boję się, że je zaraz zwrócę.

Nic takiego się nie dzieje. Wchodzę na podwórko.

Będę ich ukrywać. Dopóki się da.

Otwierając drzwi, słyszę dolatujący z sypialni chrobot łopaty. Ktoś uparcie kopie. W kuchni świeci się lampa. Rzadko widuję to pomieszczenie w blasku lampy. Za dnia sprawia wrażenie obskurnego, tymczasem teraz ma swój urok: kąty nie są takie ostre, ściany nie takie wyblakłe. Postanawiam, że dokupię trochę sprzętów. Niedrogich. Coś, co można by

odmalować i naprawić. Może jakieś półki w miejsce spiżarki i kredensu, może szafę do sypialni. Porządny stół i wersalkę.

Nie, nie wersalkę. Przepastny fotel. Albo ławę do siedzenia.

Chrobot łopaty ustaje i Maks wyłania się z sypialni. Znów jest nagi od pasa w górę, zroszony potem, utyłany brudem. Dźwiga dwa wiadra ziemi.

– Wróciłaś – mówi. – Jak udało się przyjęcie?

Jestem przekonana, że nie uwierzył w bajeczkę o przyjęciu.

– Dobrze – odpowiadam.

– Nie zostałaś do końca?

– Przyjęcie nie było aż tak udane.

– Aha. – Coś przemyka po jego twarzy, ale nie wiem co.

– Hela śpi?

– Tak.

– Wszyscy zjedli?

– To, co ugotował Siuniek.

– Jak tam bunkier?

– Gotowy. Trzeba tylko zasłonić go deskami.

Musiał kopać przez cały czas, jak mnie nie było. Uchylam drzwi do sieni i widzę, że kopczyk mierzy teraz ponad pół metra. Rzeczywiście będę musiała wymyślić, czym go zamaskować.

– Kilka wiader wyniosła Hela, już po ciemku. Wysypała ziemię obok komórki. Nikt jej nie widział.

Obchodzi się ze mną ostrożnie. Nie dziwię mu się.

– Przebierz się i daj mi brudne ubranie – mówię. – Wypiorę ci je.

– Nie musisz tego robić.

– To nic wielkiego. I tak nie mogę spać. Wszystko mi się poplątało.

Ustawiam sagan na piecu i zaczynam nalewać do niego wody z wiadra.

– Naprawdę nie trzeba – powtarza swoje Maks.

– Ale twoje ubranie jest brudne.

– Fusi... Nie mam innego.

Nadal stoi w drzwiach sypialni, obok odstawionych wiader z ziemią. Brudny jak nieboskie stworzenie, nieogolony, zarośnięty.

– Tam są prześcieradła. A może boisz się, że zobaczę twoją skórę?

Omam wybucham śmiechem. Przecież i tak jest na wpół nagi. Poza tym gdy mieszkaliśmy przy ulicy Mickiewicza, żaden z chłopców nie okazywał specjalnej skromności. Traktowali mnie jak młodszą siostrę. Z wyjątkiem Izia...

Maks jednak się nie śmieje.

– Masz ładną bluzkę – zauważa.

– Zamierzam ją sprzedać.

– Nie powinnaś tego robić. Ładnie ci w tym kolorze.

Sama nie wiem dlaczego, ale zbiera mi się na płacz.

Dorzucam bryłkę węgla do pieca, odlewam Maksowi nieco ciepłej wody, aby miał się w czym umyć, po czym zabieram się do prania jego rzeczy. Zapada w sen na podłodze, zawinięty w prześcieradło, podczas gdy ja wrzucam do sagana rzeczy Siuńka. *Nie zaszkodzi rozejrzeć się za męskimi ubraniami, myślę, trąc zaciekle kolejne sztuki garderoby. Lepszy nieoczekiwany wydatek niż oglądanie zmarzniętych golasów, ilekroć będę robić pranie.* Wiem, że oprócz tego potrzebujemy kolejnego łóżka, więcej mydła...

Dociera do mnie, że Helena zjadła wszystko masło.

Może jakoś to zniosę. Ciągłe problemy i brak własnego życia.

Pora jest późna, lecz ja – zamiast się położyć – suszę czyste ubrania przy piecu i zszywam rozdarcie w spódnicy Heleny, którego nie

naprawiłam jak należy za pierwszym razem. Siuniek siedzi przy oknie, ale jest zatopiony w myślach. Tak jak ja.

Zastanawiam się, co stracił przez wojnę.

Zapewne więcej ode mnie.

Budzę Maksa przed wyjściem do pracy, żeby zwolnił przy oknie Siuńka, który też potrzebuje snu. Maks przespał niemal cały dzień. Podnosi się do pozycji siedzącej, trąc oczy, a potem ramiona. Wyobrażam sobie, że machanie łopatą i późniejsze spanie na podłodze sprawiły, że wszystkie mięśnie go bolą.

– Nie zapomnij, że jutro ucieka Dziusia – mówi cicho.

Nie zapomniałam.

– Którędy?

– Doktor Schillinger wydłubał parę cegieł na tyłach getta, tam gdzie nie ma ogrodzenia, tylko budynki z zamurowanymi oknami. Przepchną ją przez powstały otwór o piątej. Spotkacie się na wiadukcie, zanim pójdziesz do pracy. Gdy już ją przyprowadzisz do domu, wróć pod getto i jak zobaczysz doktora Schillingera, kichnij głośno. Dzięki temu będzie wiedział, że jego córka jest bezpieczna.

Czarnowłosa Dziusia, z masą loków spływających jej po plecach.

Nie mogę uwierzyć, że zdecydowali się ją wysłać samą.

– Niemcy nie zwrócą na dziecko uwagi – rzuca Maks, jakby czytał mi w myślach.

Czy nie tak samo mówiliśmy o Helenie?

Idąc w dół ulicy Tatarskiej, czuję na sobie spojrzenie Maksa.

Pracuję bite dwanaście godzin, ledwie wyrabiając normę. Przez cały ten czas oczy kleją mi się z niewyspania. Za kwadrans szósta, gdy moje stopy krzyczą, a ramiona palą mnie żywym ogniem od maszyny i prania, na halę

wchodzi *herr* Braun, który oznajmia, że zostałam przeniesiona na dzienną zmianę.

Ze skutkiem natychmiastowym.

Mogę dalej pracować. Albo stracić posadę.

Ten człowiek naprawdę mnie nie lubi.

Wracam do swoich maszyn i podejmuję przerwane zajęcie, które polega na szybkim karmieniu ich kolejnymi kawałkami metalu i pilnowaniu, żeby pompa wodna nie nawaliła. Po dwu godzinach jestem nieprzytomna i bliska utraty dłoni. Ostrza jęczą, a silniki terkocą jednostajnym rytmem:

Dziusia. Dziusia. Dziusia.

Znajdzie się na ulicy o piątej. Ja mogę opuścić fabrykę najwcześniej o szóstej. *Herr* Braun przechadza się po hali, obserwując mnie uważnie. Może powinnam rzucić tę posadę?

Ale wtedy zginiemy z głodu.

Herr Braun nie spuszcza mnie z oka przez cały dzień. Podczas przerwy na drugie śniadanie wychodzę na zewnątrz i policzkuję się na zimnie, aby się dobudzić. Mdli mnie z niepokoju, jestem tak zmęczona, że myśli mi się mącą, a na Tatarskiej nikt nie wie, gdzie się podziewam. Janka częstuje mnie kubkiem mocnej kawy.

– Od mechanika – wyjaśnia, podając mi połowę swojej kanapki.

Blondas o słomianych włosach i niebieskich oczach dołącza do nas i zapala papierosa. Pomijając drażniącą woń dymu, w powietrzu czuje się nadchodzącą wiosnę.

– Braun cię nie lubi – rzuca gołowąs.

– Co ty nie powiesz! – Janka wybucha śmiechem.

Trę oczy.

– O której on zazwyczaj wychodzi? *Herr* Braun? – pytam.

– Zwykle o piątej – odpowiada Janka.

Piąta, myślę. Może to wystarczy...

– Potrzebuję przysługi. Przejmiecie na spółkę moje stanowisko do końca zmiany? – Patrzę na nich wyczekująco. Janka marszczy czoło. – Mam umówione spotkanie – dodaję tytułem wyjaśnienia.

– A nie możesz go przełożyć na inny dzień? – podrzuca Janka.

Blondas wypuszcza z ust obłok dymu.

– Co to za spotkanie?

– Ja... – Mój otumaniony umysł zaskakuje i wchodzi na wyższe obroty. – Policja ma do mnie sprawę. Muszę stawić się na gestapo. Jak wiecie, nikogo tam nie obchodzą godziny pracy.

– Masz jakieś kłopoty? – Janka wyraźnie się niepokoi.

– Chodzi o moje dokumenty. Nic poważnego. Nie mogę jednak się nie stawić na wezwanie.

– No nie wiem...

– Zrobimy to – wpada jej w słowo blondas. – Jeśli tylko *herr* Braun wyjdzie. Majstrowi nie będzie to przeszkadzać. Wie, że zostałam na drugiej zmianie.

– Naprawdę? – ozywiam się.

Blondas wzrusza ramionami, a ja czuję, jak wszystkie mięśnie mi się rozluźniają.

Dopijam kawę do końca.

– Dziękuję. Odwdzięczę się, kiedy tylko będę mogła.

– A tak przy okazji, mam na imię Lubek – rzuca gołowąs. – Na wypadek, gdybyś się zastanawiała.

– Wiem! – odpowiadam, choć tak naprawdę zdążyłam zapomnieć.

Janka parska śmiechem. W ogóle często się śmieje. A potem całuje chłopaka w usta i wraca do swojej maszyny.

Nie miałam pojęcia, że Lubek jest jej sympatią.

Chłopak wyrzuca niedopałek, po czym podaje mi ramię i prowadzi mnie na halę, przepuszczając w drzwiach. Włosy ma matowe, nie błyszczące jak posterunkowy Berdecki. Przypominają raczej dojrzałe zboże niż złoto. Ale uśmiech, którym mnie obdarza, jest zbyt szeroki jak na mój gust.

Nie mam zaufania do uśmiechających się do mnie mężczyzn...

Tak że wracam do kieratu. Jeśli wyjdę punkt piąta i jeśli całą drogę pokonam biegiem, może znajdę się na wiadukcie tuż przed Dziusią.

Mój plan spala na panewce. *Herr Braun* dalej krąży po hali. Jest kwadrans po piątej, a on jeszcze nie wyszedł.

Ogarnia mnie nienawiść do niego.

Opuszcza halę dopiero dwadzieścia po piątej. Lubek obejmuje moje stanowisko, a ja gnam, jakby gonilo mnie stado niemieckich psów wartowniczych.

Do wiaduktu docieram dziesięć minut później. I na miejscu zastaję... psy wartownicze. Oraz esesmanów. Blokują oba końce mostu. Nikt nie ma dostępu do getta, nikt nie może z niego wyjść.

O, nie.

Nie. Nie. Nie.

Opieram się o latarnię, jakbym na kogoś czekała. Nie przestaję obserwować wiaduktu. Po kilkunastu minutach pojawia się Dziusia Schillinger. Z daleka widzę jej czarną czuprynę. Jest przebrana za Ukrainkę, turla po ulicy pustą puszkę.

Na widok żołnierzy przystaje, schyla się po swoją puszkę i zawraca.

Czekam ze ściśniętą piersią, ledwie ważąc się oddychać.

Dziusia pojawia się znowu.

I znowu odchodzi.

Za trzecim razem niechętnie, powoli wspina się po stopniach na wiadukt.

A ja nie jestem w stanie uczynić nic, aby jej pomóc.

Dziusia kopie puszkę, która turla się za pierwszego esesmana. Pies reaguje, odwracając głowę, ale Niemiec stoi bez ruchu. Dziusia posyła puszkę za drugiego esesmana. W tym momencie pod wiaduktem przejeżdża pociąg, zasnuwając wszystko obłokami pary. Gdy widoczność robi się lepsza, Dziusia zdążyła porzucić puszkę i właśnie schodzi z wiaduktu po mojej stronie. Rozgląda się na boki, ignorując huk przetaczających się wagonów. Robię parę kroków w jej kierunku, po czym zaczynam się oddalać, mając nadzieję, że pójdzie za mną.

Najwyraźniej nie poznała mnie.

Idzie na placyk w pobliżu torów, gdzie zwyczajowo rozłożył się targ rybny, a ja usiłuję iść za nią, sprawiając wrażenie, że interesuje mnie tylko wyłożony towar. Tak naprawdę nie spuszczam oka z małej. Ciągłe otaczają ją jacyś ludzie. Kobieta, od której kupuję używane ubrania. Gospodyni ze wsi, sprzedająca mi mleko w korzystnej cenie. W pewnym momencie widzę, że Dziusia ciągnie za rękaw nieznajomą przekupkę, która oczywiście ją ignoruje. Dziewczynka ma taką minę, jakby zbierało się jej na płacz. Nadal na mnie nie patrzy. Nie wiem, jak zwrócić jej uwagę.

Ostrożnie, Dziusiu. Ostrożnie.

Teraz jest już na wprost katedry, tej, w której zazwyczaj się modłę. Dwie kobiety w chustkach na głowie wyłaniają się z wrót świątyni i Dziusia, dostrzegłszy je, kieruje się w ich stronę.

Brawo, Dziusiu. To może się udać.

Obserwuję, jak je zatrzymuje, i nieomal widzę, jak jej usta się układają, by wypowiedzieć nazwę „Tatarska”. Jedna z kobiet schyla się i pokazuje właściwy kierunek. Podążam śladem Dziusi, lawirując między straganami na rynku. Potem wspinam się za nią pod górę. Im wyżej jesteśmy, tym mniej osób nas otacza. W końcu, gdy ulica robi się całkiem pusta, przyśpieszam i wymijam małą.

– Dziusiu – szepczę. – Chodź za mną.

Z jej piersi wyrywa się coś jakby szloch.

Słońce jest już nisko, nie tak nisko jednak, by pani Krajewska zrezygnowała z wyglądania przez okno. Trzymam kciuki, aby sąsiadka pomyślała, że przyprowadziłam Helenie koleżankę do zabawy. Przecinamy podwórko i skręcamy za róg, gdzie wita nas skrzypnięcie drzwi. Wpycham Dziusię do środka i sama szybko wchodzę. Maks przekręca za nami klucz w zamku.

– Co się stało? – pyta. – Myśleliśmy, że nie żyjesz!

– *Herr Braun* kazał mi zostać na dziennej zmianie.

– Przepracowałam dwadzieścia cztery godziny z rzędu?!

Dziusia podbiega do Siuńka i oplata go rękoma. Oczy ma suche, ale oddycha urywanie, jakby łkała. Siuniek gładzi ją po włosach.

– Zmoczyła się – szepcze, pokazując.

Opuszczam spojrzenie i widzę, że to prawda. Spódnicę i buty ma mokre.

– Tam były psy... – Gdy się odzywa, ledwie ją słyhać.

– Wiadukt jest pilnie strzeżony – wyjaśniam. – Na obu końcach. Przez esesmanów z psami. – Dostrzegłszy czającą się w rogu Helenę, dodaję: – Helu. Poznaj Dziusię.

Czy ktoś w ogóle wspomniał mojej siostrze, że pojawi się inna dziewczynka? Mam szczerą nadzieję, że Maks to zrobił.

– Pokażesz jej miednicę do mycia i pożyczysz swoją sukienkę na zmianę, dopóki jej ubranie nie wyschnie?

Helena potakuje, aczkolwiek minę ma niepewną. Dziusia jest od niej dwa, może trzy lata starsza. Moja siostra bierze ją jednak za rękę i prowadzi do sypialni.

– Naszykuję ciepłej wody... – zaczynam mówić, ale Maks mi przerywa.

– Ja zrobię pranie. Ty musisz wrócić pod getto. Proszę. Ojciec Dziusi... Doktor Schillinger czeka na wiadomość.

Spoglądam w jego duże brązowe oczy. W bladą twarz. A potem wkładam z powrotem płaszcz i kieruję się do drzwi wyjściowych.

Bardzo się martwił.

Ja jestem bardzo zmęczona.

Obecnie na drugą stronę torów da się przedostać, wyłącznie unikając esesmanów i wybierając właściwy moment. Dokładnie to robię, po czym okrążam getto, dzięki czemu przy bramie można odnieść wrażenie, że nadchodzę z przeciwnej strony, od Fabryki Wyrobów Metalowych Minerwa. Za ogrodzeniem, w cieniu kamienicy na rogu, stoi nieruchomo jakiś mężczyzna. Chroni się przed wzrokiem strażników. Czeka.

Myślę, że to doktor Schillinger. Jeśli tak, wyraźnie schudł od naszego ostatniego spotkania. Zapewne wycieńczył go tyfus. A może stracił na wadze przez to, że od ucieczki Maksa i Siuńka nie dostarczyłam do getta żadnego jedzenia.

Zbliżam się do bramy jeszcze trochę, po czym podrywam wzrok, jakbym w zamyśleniu zgubiła drogę. Strażnik rzuca mi kose spojrzenie. Okręcam się na pięcie, by zawrócić – ku doktorowi Schillingerowi – i nagle spostrzegam, że trzy metry ode mnie stoi, sztywny i nieruchomy jak egipska mumia, nie kto inny, tylko posterunkowy Berdecki.

Wpatrujemy się w siebie. Jestem wyczerpana. Wykończona. Nie spałam od naszego niefortunnego spotkania. W tym czasie zrobiłam pranie, wysprzątałam dom, byłam na zakupach, przepracowałam dwie zmiany z rzędu i pomogłam w ucieczce dziewczynki z getta. Jeżeli natychmiast nie zejdzie mi z drogi, podejde do niego i kopne go prosto w klejnoty rodzinne.

Chyba domysla się tego po moim wyrazie twarzy. Odwraca się i czyni to, co mu kazalam w jego własnym salonie. Rozplywa się w powietrzu. Pozwalam sobie na dwie sekundy poczucia tryumfu. A potem zginam się wpół i kicham. Potężnie.

Cień człowieka w getcie przysiada na stopniu i wybucha płaczem.

19

MAJ 1943

Potrzebny jest tydzień, abym doszła do ładu z rytmem dobowym i przestała zasypiać na stojąco podczas dziennej zmiany. Na domiar złego, gdy wracam do domu w sobotni wieczór, ciesząc się na wolny dzień, zastaję w środku stado kur.

Maks robi skruszoną minę.

Naskakuję na niego, ale szybko mi wyjaśnia, że pani Krajewska zapytała Helenę, czy mamy może kota, bo słyszała jakieś hałasy pod moją i Heli nieobecność. Moja siostra, cała w uśmiechach, odpowiedziała, że ależ tak, jak najbardziej mamy kota, Maks jednak uznał, że nie sposób będzie zachowywać się wystarczająco cicho, ponieważ ściany zwyczajnie są za cienkie. Akurat tak się zdarzyło, że Helena dopiero co usłyszała o przekupce z targu, która wyzbywa się całego swego stada kur. A ponieważ Siuniek nadal miał trochę pieniędzy, jedno doprowadziło do drugiego i teraz muszę mieszkać z kurami.

Znowu.

Zasypiam do wtóru gdakania. Budzę się do wtóru gdakania. Jest to denerwujące, nic dziwnego więc, że chodzę ciągle poirytowana. Na szczęście Helena wykazała się rozsądkiem i nie kupiła koguta.

Gdkanie kur dekoncentruje mnie na tyle, że nie myślę o wiszącym nad nami dzisiaj widmie śmierci. Znów jest niedziela, a my czekamy na Leona Hirscha i doktora Schillingera.

Kupiłam jednak tę wersalkę. I szafę. Przehandlowałam za nie bluzkę z błękitnego jedwabiu. Wersalka jest obrzydliwa. Wolę nie myśleć, czym jest pokryta – zwłaszcza teraz, po pierwszej nocy spędzonej z kurami. Szafa natomiast wygląda tak, jakby przeżyła bombardowanie. Ale Maks dokręca zawiasy, a odłupana dziura jest w tylnej ścianie, tak że jej nie widać, kiedy drzwiczki są zamknięte.

A musimy je trzymać zamknięte, w przeciwnym razie kury zaczną zakładać w środku gniazda.

Żeby ptaki miały gdzie składać jajka, zaprzęgam Helenę i Dziusię do roboty, kazać im wymościć sianem sień, a zwłaszcza podejrzany wzniesienie na klepisku za drabiną. W tym czasie Maks i ja zdieramy ciemnozielone obicie z wersalki i pierzemy je trzy razy w gorącej wodzie z mydłem. W efekcie otrzymujemy materiał koloru limonki, w dodatku skurczony. Zaśmiewając się, ciągniemy każde w swoją stronę cztery rogi, starając się przywrócić obiciu pierwotne rozmiary. Maks posuwa się nawet do tego, że staje na krześle, bierze Helę na barana i każe jej ciągnąć jeden róg z całych sił. O dziwo, daje to lepszy rezultat, niż mogłabym przypuszczać.

To także pomaga nam zapomnieć o grożącym naszej piątce niebezpieczeństwie.

Nie powiedzieliśmy Dziusi, że jej ojciec dzisiaj się pojawi. Na wypadek, gdyby jednak się nie pojawił. Utrzymuję to w sekrecie również przed Heleną, która przecież mogłaby się wygadać przyjaciółce.

Zdenerwowanie widać najbardziej po Siuńku, który nie opuszcza swego posterunku przy oknie i ogryza paznokcie do żywego mięsa. Powzięty dawno temu plan zakładał, że doktor Schillinger przekupi poczciarza, którego dobrze znał przed wojną. Leon Hirsch zgoli brodę, obaj przebiorą się w robocze stroje, po czym wyjadą z getta na wozie pocztowym, między workami pełnymi listów, zeskoczą gdzieś po drodze, najlepiej w okolicach rynku, a następnie pieszo ruszą sami na Tatarską.

Maks zapewnia mnie, że poczciarz nie poznał ani mojego nazwiska, ani adresu. Wie tylko, że dwaj Żydzi wyjadą z getta na jego wozie. Zwracam Maksowi uwagę, że poczta nie działa w niedzielę, ale w odpowiedzi słyszę, że w getcie owszem, działa. Całotygodniowa korespondencja trafia wtedy w ręce Niemców do cenzury. Oponuję, że w niedzielę nie działają fabryki, zatem przebranie się za robotników nie ma większego sensu. Maks studzi moje obawy, twierdząc, że ludzie pracują siedem dni w tygodniu w niemieckich lokalach gastronomicznych, pensjonatach i hotelach i że Hirsch i Schillinger będą właśnie ich przypominali.

Nie podoba mi się ten plan. Zwłaszcza że poczta pantoflowa nigdy nie przestaje działać.

Cokolwiek sobie myślę, nic już nie mogę zrobić.

Powinni dotrzeć na Tatarską zaraz po trzeciej. Dwadzieścia po drugiej Siuniek wbiega do kuchni, podekscytowany.

– Policja! – szepcze. Gapimy się tylko na niego. – Policja tu jest!

Maks upuszcza młotek i gwoźdźdiki. Ja stoję jak wmurowana, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, w których trzymam obicie, aby było mu je wygodniej umocować.

– Bunkier! – syczy Maks. – Szybko!

Moment później odsuwa deski podłogowe, kładzie się na brzuchu i wślizguje pod łóżko, a raczej do wykopanej przez siebie jamy. Siuniek jest

drugi w kolejce, choć zajmuje mu to nieco dłużej. Dziusia, którą przywołałam gestem z drugiego pokoju, gdzie z Heleną bawiły się w klasy, chowa się ostatnia. Podaję Maksowi kolejne deski, aby nakrył nimi otwór. Rozglądam się dookoła. Na parapecie leży pędzel do golenia i brzytwa. Wkładam oba przedmioty pod swoją poduszkę. Helena bez słowa podaje mi buty Siuńka, które chowam do szafy, starannie zamykając drzwiczki.

– Umyj naczynia – instruuję siostrę. Kiwa głową bez protestów. W całym domu stoi za dużo brudnych kubków.

W końcu zbliżam się do okna i ostrożnie zerkam zza zasłony. Serce mi staje na widok dwóch policjantów pod domem. Obaj dzierżą pałki i spoglądają to w jedną stronę, to w drugą, lustrując ulicę i kołysząc się na piętach. Dlaczego tu przyszli? Właśnie teraz?

Powód może być tylko jeden.

Wiedzą.

Ponieważ ludzie mają to do siebie, że gadają.

A Hirsch i Schillinger pewnie pną się już pod górę.

Wygląda na to, że jednak dzisiaj wszyscy umrzemy.

Uświadamiam sobie, jak bardzo tego nie chcę. Nie chcę tego tak bardzo, że doprowadza mnie to do szału.

Ktoś powinien się dowiedzieć, czego chcą ci policjanci.

Przysiadam na łóżku, żeby zawiązać trzewiki.

– Co się dzieje? – szepcze Maks spod spodu.

– Na razie nic.

Chyba widzi moje buty.

– Fusi, nie wychodź tam...

– Daj spokój – odpowiadam. A potem wołam: – Helu, zaraz wracam!

Zabrawszy wiadro na wodę, przestępuję przez próg.

No dobrze, Panie Boże. Zaraz się dowiem, czy jesteś po mojej stronie czy nie.

Może powinnam była zabrać ze sobą różaniec.

Może powinnam przestać rzucać wyzwania Panu Bogu.

Zatrzymuję się przy studni.

– Dzień dobry! – Słyszając mój głos, policjanci się odwracają. – Chyba nie grozi nam porwanie przez Rosjan, co?

Obaj wybuchają gromkim śmiechem, a ja rozciągam wargi w grymasie, który jest zarazem radosny i fałszywy.

– W takim razie przez Amerykanów?

– Z Amerykanami poradzimy sobie bez trudu – zapewnia jeden.

– W porządku, zatem kogo napadnięto? Albo zamordowano? – Zbliżam się do nich, nie odstawiając wiadra. – No, panowie. Nie mam więcej pomysłów. Co tu robicie?

Zerkają na siebie nawzajem. Są młodzi, ale nieprzesadnie. To Polacy.

Tyle dobrego, że nie przylazł tu posterunkowy Berdecki.

– Mieszkaś tutaj? – pyta drugi.

– Tak. Na tyłach. Dlaczego pytacie?

– Mamy informacje, że ktoś tu ukrywa Żydów.

Robię zdziwioną minę. W środku wściekam się na Pana Boga.

– Żydów? A gdzie?

– Na Tatarskiej, gdzieś pomiędzy numerem pierwszym i piątym.

A, to dlatego zacumowali pod trójką.

Sprytne bestie.

– Dziś po południu ma tu przyjść dwójka bogatych Żydów. Ponoć. Ale może to nieprawda, może to tylko czcze gadanie.

– Pewno tak – mówię szybko. – Mieszkam tu już od jakiegoś czasu i ani razu nie widziałam Żyda. Byłam za to we wszystkich domach po sąsiedzku. Nie ma w nich miejsca na kryjówki.

Nie odwiedziłam żadnego sąsiada, ale policjanci nie mogą tego wiedzieć.

Uśmiecham się niewinnie, za co jestem nagrodzona szerokim uśmiechem.

– Nie przejmuj się – odzywa się znów pierwszy policjant. – Jeśli ich złapiemy, wykażemy się przed komendantem. Z tobą to nie ma nic wspólnego.

Wręcz przeciwnie, poprawiam go w duchu. Ponieważ w górę Tatarskiej właśnie pnie się doktor Schillinger.

W tym momencie z domu wychodzi pani Krajewska.

– Co tu się dzieje?

– Przyszli panowie policjanci – odpowiadam jej. – Szukają Żydów.

– Żydów? – Pani Krajewska marszczy brew.

– Ej! – rozlega się głos za moimi plecami. – Ej, ty! Podgórska!

Obracam się w zwolnionym tempie. Woła do mnie doktor Schillinger, zmachany ostrym podejściem.

Mam serce w gardle.

– Czemu nie było cię dzisiaj w pracy? – rzuca. Otwieram bezwiednie usta. – Pytam, czemu nie byłaś dzisiaj w pracy! Musieliśmy cię kryć!

Jeden z policjantów coś mamrocze. Po chwili obaj chichocą.

– Ejże! Dość tego! – krzyczy pani Krajewska, wychodząc na ulicę i mierząc palcem w nadchodzącego mężczyznę. – Stefania to dobre dziecko. Grzeczne, usługne...

– Skoro tak, czemu nie było jej dzisiaj w pracy? – powtarza doktor Schillinger.

Maszeruje zawzięcie, czerwony na twarzy, wymachując rękoma. Naprawdę wygląda, jakby dopiero co skończył zmianę w fabryce.

Biorę się w garść.

– Przepraszam... Moja siostra źle się czuła...

– Słyszysz pan? Jej siostra źle się czuła! – podchwytuje pani Krajewska i zaczyna mu grozić palcem. – Chorego rodzeństwa się nie zostawia!

– Powinna przynajmniej przysłać wiadomość! – upiera się doktor Schillinger wciąż podniesionym głosem.

– Niech pan się uspokoi... – zaczyna moja sąsiadka.

Drugi policjant mamrocze do kolegi:

– Zmywajmy się stąd.

– Ależ ja wysłałam wiadomość! – wpadam w błagalne tony. – Wyrostek na targu wziął ode mnie pieniądze. Nie dostarczył jej?

Pani Krajewska nabiera tchu, aby wygłosić tyradę w mojej obronie.

– Zapraszam na herbatę – mówię szybko. – Postaram się wszystko wyjaśnić.

Doktor Schillinger przystaje naprzeciw nas w tej samej chwili, gdy policjanci ruszają w górę ulicy. Nigdzie nie widać ani śladu starego Hirscha.

– Oczywiście wysłucham, co masz do powiedzenia – oznajmia doktor Schillinger. – Nie chcę potraktować cię niesprawiedliwie. Ale przysporzyłaś nam kłopotu...

Ujmuję go pod łokieć i kieruję do drzwi frontowych, oglądając się na panią Krajewską, by podziękować jej samym ruchem warg. W odpowiedzi moja sąsiadka przesyła mi całusa. Kiedy skręcamy za róg, doktor

Schillinger dalej mnie ruga, ale moment później jego głos cichnie, gdy wchodzimy za próg.

Przekręcam klucz w zamku. Maks musiał wyjść z kryjówki chwilę wcześniej, ponieważ już jest koło nas, już całuje mnie w policzek... Potem długo ściska dłoń doktora Schillingera. I słusznie. Ten człowiek właśnie nas ocalił. Opieram się o ścianę i zjeżdżam po niej plecami, aż w końcu klapnię na podłogę. Jedna z kur podchodzi bliżej i wskakuje mi na kolana. Moment później rozlega się pisk Dziusi, która wpadła ojcu w ramiona. Wszyscy staramy się ją jak najszybciej uciszyć.

Byłam bliska śmierci, myślę. Tym razem naprawdę byłam bliska śmierci.

– Uspokój się, Dziusiu – upomina córkę doktor Schillinger, sadzając ją obok siebie na nieobitej do końca wersalce. Dziewczynka wydaje się rozczarowana. On zaś ewidentnie musi ochłonać.

Wtem Siuniek pyta:

– Gdzie mój ojciec?

Doktor Schillinger zdejmuje czapkę, mnie ją w dłoniach i raz po raz potrząsa głową.

– Wszystko przez poczciarza – zaczyna opowiadać. – Na bramie przeszukano wóz, ale zgodnie z umową powiedział, że pomagamy mu nosić worki z listami, że ma na to pozwolenie. Znikąd pojawił się porządkowy, który potwierdził jego słowa... pewnie za łapówkę... i powiedział strażnikowi, że wszystko to szczerą prawdą. Esesman nas puścił. Tylko że potem... Poczciarz całkiem stracił głowę. Objechał cały Przemyśl, jakby był śledzony, i wysadził nas w innym miejscu. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie się znajdujemy, zwłaszcza Leon...

Przypominam sobie, że Hirsch nie pochodzi z Przemyśla, lecz z Dobromila.

– Miał się trzymać parę kroków za mną, aby nie wyglądało, że jesteśmy razem – opowiada dalej doktor Schillinger, zakładając nogę na nogę, co dziwnie wygląda w kontraście z jego strojem. Dziusia nie puszcza jego ręki ani na chwilę. – Ale kiedy w pewnej chwili się obejrzałem, jego nie było. – Przenosi wzrok na Siuńka. – Myślisz, że mógł wrócić do getta?

Siuniek kręci stanowczo głową.

– Czy Leon znał ten adres? – dopytuje Maks.

Doktor Schillinger potakuje skinieniem. Maks patrzy na mnie, ja na niego. Z jednej strony to dobrze, ponieważ Hirsch powinien tu trafić sam. Z drugiej strony źle, bo grozi nam demaskacja.

Dostrzegam pytanie w oczach Maksa.

– Policjanci mieli informację, że ktoś ukrywa Żydów na Tatarskiej – relacjonuję, czego się dowiedziałam. – Gdzieś pomiędzy numerem pierwszym i piątym. Tak słyszeli, ale nie byli pewni, czy to prawda.

Maks kiwa głową, lecz ja widzę, że jest zagniewany. Wpatruje się w obu mężczyzn takim wzrokiem, jakby zaraz chciał ich zapytać, który z nich zdradził. W tym właśnie momencie do kuchni wpada Helena.

– Na podwórku jest jakiś starszy pan!

Ona jedna miała na tyle przytomności umysłu, aby pełnić wartę przy oknie.

Wszczyna się zamieszanie. Ojciec Dziusi nie ma pojęcia o bunkrze. Ale to nic, i tak zabrakłoby czasu, aby się tam wszyscy schowali. Wciąż dopiero podnoszę się na nogi, gdy Siuniek, który pierwszy dopadł okna, woła:

– To mój ojciec! Mój ojciec...

Otwiera drzwi na oścież, a ja sobie myślę, jak to dobrze, że nikt akurat nie idzie skorzystać ze sławki, bez trudu bowiem wypatrzyłby mnie i grupkę otaczających mnie Żydów.

Bezbrody Hirsch wtacza się za próg, gdzie Siuniek próbuje go objąć.

– Już po nas! Już po nas! – mamrocze staruszek. – Już po nas!

Zamykam drzwi, przekręcam klucz w zamku, a kiedy się odwracam, widzę, że mężczyzna biega w tę i we w tę po kuchni.

– Odkryli nas! Odkryli! Już tu idą! Już po nas... – wrzeszczy.

A potem wymiotuje na podłogę.

* * *

Mija dużo czasu, zanim udaje się Hirscha uspokoić na tyle, by był w stanie mówić, jeszcze więcej zaś, zanim w domu zrobi się wystarczająco cicho, aby nikt nas nie usłyszał – ani przez ścianę, ani z zewnątrz. Wysłałam Helenę po dwa wiadra wody do zmycia podłogi, mając nadzieję, że pani Krajewska pomyśli, że mój gość i ja pijemy tyle herbaty. Kiedy podłoga jest już czysta, pozwalam Helenie i Dziusi wziąć po jednej kurze i zamknąć się w drugim pokoju, gdzie mogą bawić się w swoją – ostatnio ulubioną – zabawę: kurze klasy aż do upojenia.

Albo przynajmniej do czasu, gdy ktoś będzie musiał skorzystać z ustępu.

Wyganiem resztę kur do sieni, po czym myję ręce, a w tym czasie wszyscy mężczyźni otaczają Hirscha. Nie zgubił się. Nie stracił z oczu doktora Schillingera. Został napadnięty!

– Rabuś wciągnął mnie do zaułka i powiedział: „Ha! Wiem, żeś bogaty Żyd z getta, to teraz poproszę wszystkie twoje pieniądze”. Odparłem mu na to: „Jakie pieniądze?”. A on wtedy przyłożył mi brzytwę do szyi i zaczął obmacywać moje kieszenie. Tak położył łapy na dziesięciu tysiącach marek.

– Dziesięć tysięcy marek? – Siuniek gwizdże przez zęby. – Po co miałeś przy sobie aż tyle?

– Na tyle się przygotowałem.

Siuniek marszczy brwi.

– Przygotowałeś? W jakim sensie?

– Tyle byłem gotowy oddać rabusiom.

– Wiedziałeś, że zostaniesz napadnięty i obrabowany? – wtrąca Maks.

– Nie wiedziałem. Byłem przygotowany. Na takim świecie żyjemy...

Wycieram ręce, kręcąc głową. Gdyby Leon Hirsch przed chwilą nie wymiotował, mogłabym pomyśleć, że świetnie się bawi.

Zastanawia mnie jedno: czy rabusiowi nie wystarczyłyby tysiąc marek? Próbuję sobie wyobrazić, ile chleba można by kupić za dziewięć tysięcy marek...

– No więc – wraca do swojej opowieści Hirsch – rabuś znalazł pieniądze, z którymi byłem gotów się rozstać, ale nie te, którymi nie byłem gotów z nikim się dzielić. Naraz naszła mnie jednak myśl, że i tak jestem trupem, bo co gałgana powstrzyma przed doniesieniem na mnie gestapo? Jak nic połasi się na nagrodę... Tymczasem on zwrócił się do mnie w te słowa: „Złodziej ze mnie, panie Żydzie, ale uczciwy złodziej. Żaden tam zabójca. Chodź pan ze mną, to stanę na straży i powiem, kiedy droga wolna”.

– Zatem on wiedział, dokąd pan idzie? – upewnia się Maks.

– Tak! Właśnie dlatego mówię, że już po nas!

Maks potrząsa głową, od nowa zagniewany. Równie dobrze ktoś mógłby wydrukować plakat i rozwiesić go w getcie. NA TATARSKIEJ UKRYWA SIĘ ŻYDÓW.

– Na Kopernika – zaczyna cicho – stanęliśmy w kręgu i złożyliśmy przysięgę przed Panem Bogiem. Że nikt z nas nie wymieni nazwiska Stefanii, że nikt nie poda jej adresu i w ogóle nie wyjawি nikomu naszego planu. Połączył nas głęboki sekret. Najgłębszy. Ponieważ ceną za zdradę było nasze życie. Nasze i jej, i jej siostry. Jeśli ktokolwiek z tu obecnych

złamał przysięgę, niech się do tego przyzna. Bez względu na to, czy zrobił to niechcący czy celowo. Wzywam tę osobę do wystąpienia tu i teraz. Abyśmy wiedzieli, co nas czeka, i mogli się ratować. Jeśli ratunek okaże się nierealny, naszym obowiązkiem jest zapewnić Stefanii i Helenie możliwość ucieczki.

Maks patrzy na mnie. Pozostali trzej mężczyźni także to robią. Następnie wodzą spojrzeniem nawzajem po swoich twarzach. W kuchni panuje niczym niezmacona cisza. I właśnie pośród niej ktoś puka do drzwi, co sprawia, że omal nie wyskakuję ze skóry.

Dlaczego ciągle zapominamy o warcie przy oknie?!

Stary Hirsch unosi ręce i napełnia płuca powietrzem, by krzyknąć, Siuniek jednak zakrywa mu usta. Maks wstaje powoli, bezgłośnie, po czym gestem nakazuje reszcie przejść za nim do sypialni. Gdy już przemknęli na palcach do pokoju i zamknęli za sobą drzwi, pukanie się ponawia. Wyglądam na zewnątrz przez małe okienko przy drzwiach.

To nie granatowa policja ani nie gestapo. Tylko dwaj mali chłopcy.

Uchylam drzwi.

– Czego chcecie?

– Jedna pani kazała nam to pani dać – mówi wyższy. Ma najwyżej dziesięć lat.

– Co za pani?

– Jakaś – odpowiada niższy. – Powiedziała, żebyśmy po godzinie przyszli po odpowiedź.

– Do zobaczenia – rzuca wyższy i obaj odbiegają w podskokach.

Zamykam drzwi na klucz i przechodzę do pokoju.

– Możecie wyjść – szepczę.

Wysypują się kolejno do kuchni. Nie zdążyli nawet zdjąć desek zasłaniających kryjówkę. Myślę, że Dziusia i Helena dalej grają w klasy.

Rozkładam karteczkę i czytam wiadomość. Raz i drugi. A potem trzeci.

– Co tam jest napisane? – pyta Maks.

– Ktoś nas szantażuje. – Przysiadam na krześle.

– Szantażuje?

– Jakaś kobieta grozi, że jeśli nie ukryję jej i jej dwojga dzieci, za trzy dni doniesie na nas Niemcom.

– Co takiego? – Maks wyrywa mi kartkę z dłoni. – Pani Bessermann? Kto to w ogóle jest?

– Nie mam pojęcia! Nigdy nawet o niej nie sły...

– Bessermann? – podchwytuje Siuniek. – Malwina Bessermann? – Okręca się na pięcie w stronę ojca, który właśnie się przymierza, by usiąść z powrotem na rozparcelowanej wersalce. Na twarzy młodego Hirscha maluje się szok, kiedy pyta: – Czy to przypadkiem nie twoja przyjaciółka?

– Przyjaciółka? – dziwi się Maks.

Doktor Schillinger tylko kręci głową.

Leon Hirsch sprawia wrażenie człowieka zapędzonego w kozi róg.

Przyjaciółka.

I proszę, potakuję głową w duchu, nagle wyjaśniło się wiele, wiele spraw.

* * *

– Każcie mi się wynosić – mówi Hirsch. – Przykro mi, że zachowałem się jak stary głupiec...

Kiedy na niego patrzę, jak siedzi na wersalce i zapala papierosa, wcale nie wygląda na kogoś, komu jest przykro. Nie sądzę też, aby wierzył, że

moglibyśmy kazać mu się wynosić.

Pan doktor Hirsch, jak się okazuje, jest pełen niespodzianek.

Wskazuje mnie papierosem i mówi:

– Gdy mężczyźni rozmawiają, nie ma tam miejsca dla kobiety.

No pięknie.

– Jest pan w jej domu – przypomina Maks. Ma taką minę, jakby chciał uderzyć Hirscha.

Ja jednak przejrzałam starca; w rzeczywistości chce tylko odwrócić uwagę od sedna.

– Tato – odzywa się Siuniek. – Zdajesz sobie sprawę, że Fusia z twojego powodu trafiła do aresztu?

– Na moje oko wcale nie siedzi w areszcie.

– Powinieneś był nam powiedzieć!

– Niby co?

– Że złamałeś przysięgę i zdradziłeś Malwinie Bessermann, gdzie mieści się nasza kryjówka.

– I niby komu miałem to powiedzieć?

– Mnie! Swojemu synowi! – krzyczy Siuniek.

– Leonie... – włącza się do rozmowy doktor Schillinger. Głos ma władczy w porównaniu z głosem młodego Hirscha. – Przestań nas zwodzić. Stawką jest życie siedmiu osób. Przed kim jeszcze się zdradziłeś?

Stary Hirsch wzdycha i wydmuchuje dym. Co dziwne, bez brody wygląda starzej.

– Mogę przysiąc przed wami teraz, że nie powiedziałem nic nikomu innemu. Tylko Malwinie. Przez wzgląd na jej dzieci. Nie mam jednak pojęcia, czy ona nie powiedziała komuś jeszcze.

Każdy może wiedzieć, co dzieje się pod tym dachem, myślę. Każdy.

Ponownie odczytuję wiadomość od Malwiny Bessermann – wiadomość napisaną otwartym tekstem i przesłaną przez przypadkowe dzieci. W dodatku ja mam teraz na tę wiadomość odpowiedzieć, przyznając, że ją otrzymałam, po czym w ciągu dwóch dni podjąć decyzję. Jeśli trzeciego dnia po nią nie przyjdę, gestapo dowie się o wszystkim.

Cóż za okropny sposób na to, by poprosić obcą osobę o uratowanie życia z narażeniem własnego. Podły sposób. Obrzydliwy. Pełen egoizmu. Z każdą chwilą ogarnia mnie coraz większy gniew. Oraz pewność. Pewność, że nie wyjdziemy z tego cało. A przynajmniej nie wszyscy. Pamiętam, że coś podobnego powiedział mi Izio tamtej nocy, zanim został wywieziony do obozu.

Chociaż... Gdybym była samotną matką w getcie, gdybym straciła męża, rodzeństwo i rodziców, których pociągami wysłano na śmierć – a Siuniek twierdzi, że to właśnie przytrafiło się pani Bessermann – do czego byłabym zdolna w imię ratowania swoich dzieci? Do czego byłabym zdolna w imię ratowania Heleny?

Do wszystkiego.

Oszukiwałamby i kłamała, zachowywałam się tak podle i egoistycznie, jak byłoby trzeba dla jej dobra.

Odrywam kawałek szarego papieru, sięgam po ołówek kopiowy, a kiedy już skończę pisać, składam świstek na dwoje i wychodzę z domu. Jak gdybym udawała się do sławojki. Tak naprawdę czekam na podwórku, wypatrując tamtych dwóch chłopców. Gdy się pojawiają, podaję starszemu wiadomość i wracam do środka.

Mężczyźni dalej się kłócą.

Znacznie później, gdy dziewczynki już śpią w moim łóżku, a stary Hirsch odpokutowuje swoje winy, trzymając pierwszą wartę przy oknie, przekradam się do kuchni po wodę, lawirując między zawiniętymi w koce

postaciami, które pomimo sytuacji oddychają miarowo, spokojnie. W istocie nie chce mi się pić. Przeszukuję kieszenie marynarki Hirscha, którą zostawił na oparciu krzesła. W którejś z kolei znajduję jego opaskę z gwiazdą Dawida.

Sądziłam, że już nigdy nie będę musiała wrócić do getta...

Podskakuję w miejscu, słysząc za plecami szept:

– Fusi, co ty robisz?

20

MAJ 1943

Zasady obowiązujące w getcie zdają się płynne. Co rusz się zmieniają. Raz są ostrzejsze, kiedy indziej znów łagodniejsze. Zakaz handlowania przez płot. Podział na strefę dla tych, którzy mają pracę, i dla bezrobotnych. Można chodzić, gdzie się chce. Trzeba się trzymać tylko swojej ulicy. Skręć nie tam gdzie trzeba, a cię zastrzelimy. Handlujcie sobie przez płot, będziemy udawać, że nic nie widzimy... Nie sposób wiedzieć, na czym się stoi. Dziś najwyraźniej wiadukt znów jest pilnowany, a przy bramie stoją wzmocnione warty. Ale gdy komuś uda się przedostać za ogrodzenie, nikt nie będzie zwracał na tę osobę uwagi.

Zachowuję wielką ostrożność. Rozczochrałam sobie włosy, utyłałam twarz, schowałam torebkę, a na ramieniu mam prawdziwą opaskę, nie taką, co nie przejdzie bliższej inspekcji. Minionej nocy Maks błagał mnie, abym zrezygnowała, i nawet rozumiem dlaczego. Jeśli coś mi się stanie, cała ich szóstka zginie. Ja jednak uznałam, że muszę stanąć oko w oko z panią Bessermann.

To może być pułapka. Ale nie musi.

Przemykam do naszego stałego miejsca w płocie, tego, gdzie Maks regularnie luzował drut kolczasty. Od ostatniego razu nic się nie zmieniło. Stąd na ulicę Kopernika jest tylko kilka kroków. Wślizguję się do znajomej kamienicy, nie przyciągając niczyjej uwagi, następnie przemierzam korytarz i zatrzymuję się dopiero na jego końcu, gdzie z piwnicy biegnie komin ogrzewający część mieszkań. Obok niego znajdują się drzwi do schowka pod schodami. Tyle że tak naprawdę nie jest to schowek. Tylna ścianka nie jest ścianką, wystarczy ją usunąć, aby odsłonić wejście do piwnicy.

Maks sprytnie to wykombinował. W ogóle jest zmyślny.

Schodzę po stopniach, kierując się do światła. Po obu stronach lampy siedzą naprzeciwko siebie na jakichś skrzynkach Heniek i kobieta o lśniących czarnych włosach. Dokładnie jak poprosiłam w swojej wiadomości. Nie miałam tylko pojęcia, jak ja się poczuję w tym miejscu. Piwnica jest ciemna i wilgotna, do tego unosi się w niej niezidentyfikowany nieprzyjemny zapach.

A może moje odczucia mają więcej wspólnego z Makssem, który – pozwalając łzom płynąć po zadrapanych policzkach – opowiadał mi, co tu się wydarzyło.

Heniek wstaje, żeby pocałować mnie na powitanie, ale nie uśmiecha się. Siadamy oboje i wbijamy wzrok w panią Bessermann.

To urocza kobieta, przed czterdziestką albo tuż po. O wiele za młoda dla Leona Hirscha. Zastanawiam się przelotnie, co takiego jej naobiecował. Albo co ona mu naobiecowała. Siedzi przede mną opanowana, prosta, jakby kij połknęła.

– Dlaczego – zwracam się do niej – zamiast poprosić mnie o pomoc, naraziła pani na utratę życia mnie, moją niespełna ośmioletnią siostrę i pięć innych osób?

– Bo gdyby nieznajoma poprosiła panią ładnie, oczywiście w te pędy by pani pomogła. – Jej głos ocieka żrącym sarkazmem.

– Tak postąpili pozostali, pani Malwino.

Zaciska wargi w wąską kreskę. Nie daje po sobie poznać żadnych uczuć. Ona splata i rozplata dłonie. Gdzieś kapie woda. W końcu moja rozmówczyni prostuje się jeszcze bardziej, jakimś cudem wyglądając elegancko, siedząc na skrzynce w zapuszczonej piwnicy, gdzie ileś osób straciło życie.

– W takim razie proszę panią, pani Stefanio. Błagam panią o pomoc. Dla mnie i moich dwojga dzieci.

Heniek unosi brwi. Ja opuszczam wzrok na własne ręce.

– Już teraz muszę wykarmić siedmioro ludzi ściśniętych na bardzo małej powierzchni. Będzie ich dziewięcioro, gdy dołączy Heniek z Danką. – Słyszę, jak w mroku wciąga powietrze. – Sądzę więc, że w tej sytuacji jeszcze troje nie uczyni większej różnicy.

Pani Bessermann zamiera z wrażenia, jakie wywarły na niej moje słowa. Moment później jej gładka twarz się marszczy, a ona sama wybucha płaczem.

Heniek i ja siedzimy, milcząc, i pozwalamy się jej wypłakać.

Kto inny, jeśli nie ja?... Taka myśl tłucze mi się w głowie.

Zanim opuszczę piwnicę, Heniek odciąga mnie na bok. Rzucając spojrzenie na panią Bessermann, pyta:

– Jesteś pewna, Fusi?u?

– Smutek rodzi czasem okrucieństwo – szepczę, wspominając panią Diamant.

Heniek kręci głową.

– To błąd – mówi.

– Nie sędzę, aby to był bład.

– Ale czy jesteś pewna? Bo jeden bład wystarczy, abyś zginęła. I aby zginął mój brat.

Przypatruję mu się uważniej. Przed chwilą pierwszy raz przyznał, że grozi nam niebezpieczeństwo. Naturalnie, że jest wychudzony. Ale wydaje się silny, nawet pomimo tyfusu. Przystrzygł ostatnio wasy.

– Kiedy możemy się spodziewać ciebie i Danki?

– Jeszcze nie jesteśmy gotowi. Mamy pracę. Nie dzieje nam się krzywda.

Typowy Heniek, jakiego znam.

– Nie powinniście zwlekać. Pewien człowiek z Judenratu powiedział mi, że jeśli coś ma się wydarzyć, powinno się wydarzyć jak najszybciej. – Widzę po jego oczach, że nie rozumie, ale nie mamy czasu na opowieści, o czym on doskonale wie.

– Jeszcze nasiedzimy się w twojej kryjówce, Fusi. W razie zagrożenia mieszkańcy getta będą o nim wiedzieć pierwsi.

– Obiecujesz, że się pośpieszycie? – pytam.

– Obiecuję – odpowiada.

* * *

– To bład – oznajmia szeptem Maks, gdy mówię mu, gdzie byłam. – Nie ufam tej kobiecie.

– Ona twierdzi, że ma na koncie bład. I że nie wie, co robić. Jest zrozpaczona. Ma dwoje dzieci.

– Och, Fusi... – wzdycha Maks.

Daję mu kromkę chleba, a on – myśląc, że nie widzę – odrywa kawałek i sypie okruszki kurom na podłogę. Uderzam go w ramię, a stary Hirsch przygląda nam się z wersalki, paląc papierosa.

Nazajutrz po pracy udaję się na niewielki targ przy torach, zwany targiem rybnym, gdzie piętnastoletnia Cesia Bessermann i jej dziesięcioletni brat Janek czekają na młodą kobietę w czerwonej chustce na głowie, która będzie kupować ziemniaki. Z targu prowadzę ich na Tatarską.

I mam pewność, że to nie błąd.

Dwa dni później Maks wzywa mnie gestem do okna, gdzie trzyma wartę. Wyglądam i zakrywam dłonią usta, aby powstrzymać okrzyk przerażenia. Na podwórku stoi Malwina Bessermann, elegancko ubrana i z torbą przerzuconą przez ramię, i w najlepsze rozmawia z panią Krajewską.

– Miała się pojawić dopiero w przyszłym tygodniu! – szepczę.

Maks kręci głową, podczas gdy sąsiadka macha ręką na pożegnanie, a Malwina Bessermann różnym krokiem kieruje się ku naszym drzwiom.

Nikt nie musi mi tego mówić. Teraz też uważam, że chyba był to błąd.

W niedzielę dwa tygodnie później, właśnie gdy wlewam wodę do sagana, aby mieć w czym umyć naczynia, doktor Schillinger schodzi z posterunku przy oknie i szeptem melduje:

– Jacyś ludzie na podwórku.

Zapada kompletna cisza. Wszyscy kierują się do bunkra pod łóżkiem – bezszelestnie, ponieważ nie wolno im nosić butów, a poza tym przećwiczyli to ze sto razy. Każdy jest odpowiedzialny za własne rzeczy. Na widoku nie mogą pozostać niedopałki, marynarki ani męskie grzebienie. Zaczęte jedzenie trzeba zabrać ze sobą. Maks usuwa deski, po czym najpierw dzieci – Cesia, Janek i Dziusia – a potem dorośli – obaj lekarze i na końcu Maks – kolejno znikają w kryjówce. Gdy deski trafiają z powrotem na swoje miejsce, Malwina Bessermann wślizguje się pod łóżko, a Siuniek wpełza pod drugie, które pięć dni temu kupiłam od rupieciarza. Zważywszy na gabaryty młodego Hirscha, nie jest to łatwa sztuka. Upewniam się, że nigdzie nie ma resztek jedzenia, Helena obiega dom w poszukiwaniu

czegokolwiek, co mogłoby nas zdradzić. Nie minęła minuta, a po moich Żydach nie został nawet ślad.

Nie mam czasu sprawdzić, kto jest na podwórku. Rozlega się pukanie do drzwi i z zewnątrz dolatuje tubalne:

– Podgórska!

Głos nie brzmi naturalnie.

– Jesteś z mężczyzną?

Uchylam lekko drzwi.

– Buuu! – krzyczy Janka. – Nabraliśmy cię!

Pokazuje mi butelkę wódki i karton papierosów, dodatkową rację, którą otrzymujemy za pracę w fabryce.

– Nie wpuścisz nas?

Otwieram drzwi szerzej i widzę, że stoi za nimi Lubek oraz trzy dziewczęta, których nie znam osobiście, ale w których rozpoznaję pracownice Fabryki Wyrobów Metalowych Minerwa. Oprócz nich są jeszcze dwie pary, których na pewno nigdy nie widziałam. Wlewają się wszyscy do mojej kuchni robiącej też za salon.

– Co wy... co wy tu robicie? – pytam, odzyskawszy głos.

– Przecież wiesz, że w każdą niedzielę po wydaniu racji wyprawiamy przyjęcie!

Ktoś włącza gramofon, który stoi na połówce stołu obok talerza z herbatnikami.

– Ale jak...?

– Szliśmy do Anny – zaczyna Lubek. Nie mam pojęcia, która to Anna. – Ale Janka wypatrzyła cię koło studni!

– Czy to nie cudownie? – pyta Janka, zaglądając do sypialni. – O, jakie ładne zasłonki!

Wiem, że wszyscy się schowali, ale i tak mam ochotę do niej podbiec i zatrzaskać jej drzwi przed nosem.

Janka jest w świetnym nastroju. Zaróżowiona na twarzy. Myślę, że zdążyli po drodze otworzyć butelkę wódki.

– Ach! – piszczy Janka, zajrzawszy do sieni. – Patrzcie tutaj! Kury!

Ptaki wzbudzają wielkie zainteresowanie. Jakbym miała taką fanaberię i trzymała kury w domu dla rozrywki. Helena tak uważa... Odruchowo rozglądam się za siostrą. Siedzi w rogu, ma wielkie oczy i cała drży.

– To twoja młodsza siostra? – pyta nieznana mi kobieta. Usta ma karminowe.

– Hela – mówię i wyciągam rękę. Podchodzi do mnie posłusznie, a ja nachylam się do niej, szepcząc. Wtem ktoś puszcza płytę i muszę podnieść nieco głos. – Może wyjdiesz na dwór się pobawić? Nie musisz tu być... – Mam na myśli: „Lepiej, żeby cię tu nie było, gdy stanie się coś złego”. Znowu zniżając głos do szeptu, dodaję: – Postaram się ich jak najszybciej pozbyć.

– Naprawdę? – upewnia się, zerkając na drzwi do pokoju.

– Tak. Ale to może potrwać kilka minut. Poradzisz sobie?

Helena kiwa głową, kiedy się prostuję, po czym leci do drzwi, jakby ją wystrzelono z procy.

– Taka nieśmiała?

Podnoszę wzrok i widzę blondasa z papierosem.

– Bardzo – potakuję i nie rozwijam tematu. Ale uwiera mnie sposób, w jaki na nas patrzył.

Ktoś zmienia płytę i obie pary zaczynają tańczyć przed wersalką. Janka wręcza mi jeden z moich kieliszków napełniony po brzegi wódką.

– Sprawiliśmy ci miłą niespodziankę? – dopytuje. – Wspaniale musi być mieszkać samej, bez rodziców...

Tak, wspaniale, mówię w duchu. Zwłaszcza gdy na twoje barki spadnie wszystka odpowiedzialność. Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

Lecz na jej miejscu, gdybym miała pracę, była jedynaczką i mieszkała na swoim, zapewne uznałabym takie najście za miłą niespodziankę. Popijałabym wódkę i pogryzała herbatniki, popalała papierosy i tańczyła, gdyby poprosił mnie jakiś chłopiec.

Ucinam te marzenia. Nie jestem Janką. I muszę wymyślić sposób, jak pozbyć się nieproszonych gości.

Odnajduję butelkę, idę z nią do zlewu i przelewam z powrotem zawartość swojego kieliszka. Nie chcę marnotrawić czyichś racji. Własne zawsze sprzedaję.

– Wódki też nie lubisz? – pyta mnie Lubek, który nieoczekiwanie wyrósł za mną. Wiem, że powinnam porozmawiać z Janką, ale blondas blokuje mi drogę. Ostrożnie myję opróżniony kieliszek. – Jak długo tu mieszkasz? – dopytuje.

– Kilka tygodni.

– Fajne miejsce. Ale sąsiadów masz kiepskich.

Podnoszę na niego spojrzenie. Jest bardzo wysoki, gdy tak stoi blisko mnie.

– O co ci chodzi?

– Do mieszkania od frontu wszedł na naszych oczach esesman. Nie chciałbym żyć drzwi w drzwi z kimś takim.

Esesman? U pani Krajewskiej? Co on może tam robić?

– Jest u niej teraz?

– Tak.

Dopada mnie tępy ból za lewym okiem, aż się krzywię.

– Byłem w getcie – przechwała się Lubek. – Z wujem. Chciał się ożenić i znał tam pewnego złotnika. Liczył, że zrobi dla niego pierścionek. Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, co esesmani tam wyprawiają.

Uwierzyłamby.

Za ścianą jest esesman. Za ścianą jest esesman...

– Słyszałem, że getto ma zostać zamknięte.

– Kto tak mówi?

– Policjanci przy bramie.

– Całkiem zamknięte? – Nie wierzę własnym uszom.

– Całkowicie. Wiesz, polityka *Judenfrei*^[25]. Ponoć mają ich dokądś wywieźć, ale moim zdaniem to nieprawda.

– A co twoim zdaniem z nimi robią?

– Zamkną bramy i wszystko spalą. Niemcy to skurwysyny.

Kręcę głową.

– Nie. Nie użyją ognia. Wystrzelają ich. Do ostatniego.

Heniek, Danko, musicie uciekać!

– Tak czy owak, Żydzi zginą – zgadza się ze mną Lubek. – A potem Niemcy wezmą się za nas. – Brwi ma ściągnięte. Jakby się namyślał. Znienacka jednak rzuca: – Ten kieliszek jest już chyba czysty? – Patrę w dół na swoje ręce. Przez cały czas poleruję szkło szmatką. – Może mnie oprowadzisz?

– Nie ma po czym. Oprócz tego pomieszczenia są tylko dwie sypialnie.

– Zawsze możesz mi je pokazać...

Omam się nie uśmiecham. *Nie, Lubek, nie chcesz widzieć mojej sypialni ani tego, co w niej chowam. A w drugiej urządziliśmy ustęp.*

Wielka szkoda, że nie mogę mówić na głos wszystkiego, co pomyślę.

Rzucam więc:

– Nie pokazuję nikomu swojej sypialni.

– Naprawdę? – Blondas szczerzy wszystkie zęby. – A im?

Obracam się gwałtownie i widzę, że jedna z par tanecznym krokiem, z gramofonem w rękach, zmierza właśnie ku sypialni.

– Chwileczkę! – wołam. – Chwileczkę! Tam nie wo...

Wbiegam do pokoju. Muzyka rozdziera mi bębrenki w uszach. Jedna para wciąż tańczy, druga zaś siedzi na łóżku nad bunkrem i całuje się namiętnie. A spod łóżka dobiega jakiś hałas, coś jakby prychnięcie, stłumione oczywiście, a potem huk. Odgłos taki, jaki wydaje kawałek spadającego drewna.

Co tam się dzieje?

Płuca zaciskają mi się w maleńką pulsującą kulkę.

– Stefi! – dyszy dziewczyna, przestając się całować z chłopcem. Nie mam pojęcia, co to za jedna. Huk upadającego drewna znowu się powtarza. – Co to? Masz tam kota? Uwielbiam koty. – Wyrzywa się z chłopięcych objęć, po czym opada na klęczki. – Kici, kici...

– Przestań! – wrzeszczę. – Nie zaglądam tam!

Tańcząca para zamiera, dziewczyna na czworakach i jej amant patrzają na mnie szeroko otwartymi oczyma. Nie wiem, gdzie jest Janka i pozostałe dziewczęta, ale za sobą czuję obecność blondasa. Padam na kolana, gotowa stoczyć walkę z klęczącą dziewczyną. Czuję, że wszyscy czekają w napięciu, co będzie dalej.

– To podlec – tłumaczę. – Podrapie ci twarz.

– Och! – Dziewczyna przykładła dłoń do policzka.

– Pozwól, że ja tam zajrzę.

Zaglądam pod łóżko i widzę zmierzwiłone włosy Malwiny Bessermann i jej przerażone oczy. Może mi się wydaje, ale ktoś chyba kaszle pod deskami.

– Tak, to tylko kot. Prycha i syczy. Lepiej zostawić go w spokoju.

– Stefano! Co tutaj się wyprawia?

Prostuję plecy i mój wzrok pada na panią Krajewską, która wparowała do sypialni i rozgląda się wokół. Za nią stoi Janka, która samym ruchem warg mnie przeprosza – pewnie za to, że ją wpuściła.

Czemu wszyscy tłoczą się w tym pokoju?

– Masz pojęcie, jaki tu jest rumor? – Pani Krajewska musi przekrzykiwać muzykę. – A mamy niedzielne popołudnie...

W ręku trzyma różaniec, który wymyka się z jej zaciśniętej pięści, sięgając do biodra ukrytego pod sukienką w kwiatowy wzór. Ten widok chyba robi wrażenie na moich gościach. Ktoś podrywa igłę znad płyty i zapada rozdzierająca uszy cisza. Którą przerywa kasłanie spod podłogi. Och, jakżebym chciała dalej słyszeć tę przeklętą muzykę...

– Bardzo panią przeproszam – mówię głośno, pomagając dziewczynie obok podnieść się z klęczek. – To się już nigdy nie powtórzy. Pora się pożegnać, moi drodzy!

– Ależ ja...

Pani Krajewska chciała zapewne tylko poprosić moich przyjaciół, aby zachowywali się ciszej, lecz ja nie przepuszczę takiej okazji.

– Zdaję sobie sprawę, że złamałam zasady najmu, i bardzo za to przeproszam.

Pani Krajewska wydaje się z jednej strony zadowolona, z drugiej zaś nieco zdziwiona. Przeważa w niej jednak ulga, że goście zaczynają się zbierać, by przenieść imprezę gdzie indziej. Czekam, aż ostatnia osoba znajdzie się w kuchni, zamykam drzwi do sypialni, a po paru minutach

każdy trzyma już swoją torebkę lub butelkę i potulnie daje się wypchnąć za próg.

– Do widzenia, Stefanio! – żegna mnie ze smutkiem Janka, machając słabo ręką. Lubek posyła mi uśmiech, po czym zamyka za sobą drzwi. Pani Krajewska rozgląda się po pobojuwisku.

– Bardzo ładnie się tu urządziłaś, Stefanio. Oczywiście nie ma żadnych zasad dotyczących przyjmowania gości, niemniej...

– Sami się wprosilili tym razem. Cieszę się, że sobie już poszli.

Pani Krajewska się uśmiecha.

– Rozsądna z ciebie osóbką. Masz może herbatę?

Z tym pytaniem na ustach wysuwa sobie krzesło i siada przy połówce stołu. Stawiam czajnik z ciepłą wodą z powrotem na płycie i szukam dwóch czystych kubków. Tępy ból za lewym okiem znowu daje o sobie znać.

– Wiesz, martwiłam się o ciebie ostatnio – zagaja moja sąsiadka. – Takie młode dziewczę, samo na świecie, tylko z młodszą siostrą. W dodatku zaczęłaś opuszczać pracę...

– To był tylko ten jeden raz, przysięgam! Pomieszały mi się zmiany. Ale wszystko udało mi się wyjaśnić.

– Uważam, że twój majster zachował się bardzo niegrzecznie. Jak on się nazywał?

– Zdążył już stracić posadę – odpowiadam nie na temat. – Właśnie przez swoją zapalczywość.

Pani Krajewska kiwa głową.

– Wcale się nie dziwię. Żeby nachodzić biedną dziewczynę w jej własnym domu... Jak się ma twoja matka?

– Słucham?

– Dostałaś list od matki. Jakże się ona miewa?

Malwina Bessermann powiedziała pani Krajewskiej, że jest znajomą mojej matki i że przynosi mi list od niej, ponieważ zmieniłam adres.

– Pisze, że wszystko u niej dobrze. Wciąż jest w Salzburgu, ale udało jej się spotkać z jedną z moich sióstr.

Kłamanie idzie mi coraz lepiej.

Chociaż... może zawsze byłam w tym dobra?

Nalewam wrzątku do czajniczka. Z sypialni dobiega łomot, jakby odpadła jedna z desek podłogowych – albo została włożona z powrotem na miejsce. Pani Krajewska biegnie oczyma do drzwi oddzielających kuchnię od pokoju.

– Kot wciąż tam jest – mówię.

Kobieta koncentruje uwagę na czajniczku, unosi wieczko, aby sprawdzić, czy herbata już naciągnęła. Lewe oko boli mnie tak bardzo, że muszę je potrzeć. Chwilę później wypalam:

– Ma pani sublokatora?

– Właśnie, byłabym zapomniała! Przyjechał mój siostrzeniec, syn siostry mego pierwszego męża. Jest w armii, co bez wątpienia zauważyłaś.

– W niemieckiej armii.

– Tak, ale to dobry chłopak – zapewnia pani Krajewska, przybierając ten sam ton, którym broniła mnie przed doktorem Schillingerem. – Nie taki jak reszta esesmanów.

– Oczywiście – potakuję i nalewam jej herbaty. *Za ścianą jest esesman. Za ścianą jest esesman...* – Jak długo się u pani zatrzyma?

– Jeszcze nie wiem. – Milczy przez chwilę. – Jest bardzo przystojny.

– Z pewnością.

– Właściwie... Gdybyś chciała, mogę was sobie przedstawić. Przydałby ci się mąż.

– Dziękuję za propozycję, ale wydaje mi się, że wojna to nie najlepszy czas, by wychodzić za mąż. Wolę zaczekać, aż zrobi się spokojniej.

– Mądrze powiedziane. Tylko nie czekaj zbyt długo, bo przegapisz wszystkie okazje.

Będę o tym pamiętać, pani Krajewska. Nie musi pani przypadkiem zmówić już paciorka?

Muszę się ugryźć w język, aby nie wypowiedzieć tych słów na głos.

Popijamy herbatę – ona się delektuje, ja piję haustami. Chyba wciąż słyhać czyjeś kasłanie, ale pani Krajewska zbytnio jest zajęta rozmową, aby zwracać na to uwagę.

– Stefanio, jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. Coś, co ma związek z tobą i co niepokoi mnie od pewnego czasu...

Ból zza oka przenosi się na całe czoło.

Może to już dziś. Umrę nareszcie. Nie przez Jankę ani przez panią Krajewską, ani jej siostrzeńca esesmana, ale dlatego, że zaraz pęknie mi żyłka!

– Bardzo się martwię tym, co widzę, bo to oznacza, że nie chodzisz do kościoła.

Dopijam herbatę. Pani Krajewska sączy swoją małymi łyżkami, podczas gdy ja się tłumaczę, że modlę się w katedrze dwa razy w tygodniu. Gdyby wiedziała, jak często naprawdę się modlę – jak często modliłam się w ostatnich pięciu minutach – byłaby zdumiona.

Później przechodzi do tego, że martwi się o moje kury z powodu kota. I o Helenę, która większość czasu bawi się sama i nie chce się zadawać z jej synami. Akurat o to nie mogę winić mojej siostry, ponieważ synowie pani Krajewskiej to dwa małe potwory, młodsze od niej odpowiednio o rok i trzy lata, a poza tym Helena bynajmniej nie jest taka samotna, jak myśli nasza sąsiadka. Zanim pani Krajewska opróżni drugą połowę kubka, dowiaduję

się jeszcze, co powinnam, a czego nie powinnam robić z domem, pieniędzmi, przyszłym mężem, religią i wieloma innymi rzeczami, które od razu wylatują mi z głowy.

Ponieważ nie słyszę już kasłania, nie przerywam jej; niech sobie mówi.

Wreszcie kończą jej się rady, wstaje od stołu i żegna się ze mną. Po jej wyjściu pędzę do okna, aby się upewnić, że wróciła do siebie bez przygód.

– Poszła – szepczę.

Siuniek i Malwina Bessermann wytaczają się spod łóżek. Ta druga jest wyraźnie poruszona. Odrzuca na bok deski, które podaje jej Maks.

– Cesia! Janek!

Ale z kryjówki pierwszy wyłania się Leon Hirsch. Jest brudny jak nieboskie stworzenie i przemoczony na wskroś, zupełnie jakby wyszedł z rzeki. Twarz ma popielatą. Wypluwa na podłogę chusteczkę, którą jak się domyślam, zapchał sobie usta, aby stłumić odgłosy kaszlu, po czym rozkasłuje się na dobre. Leżąc wciąż na brzuchu, krztusi się i dławi, jakby już nigdy nie miał złapać oddechu. Idę po wodę dla niego, a kiedy wracam, Maks umieszcza na swoim miejscu deski podłogowe. Malwina wyczesuje ziemię z włosów Cesi. Dziusia i Janek rwą się do bitki, podczas gdy doktor Schillinger i Siuniek starają się pomóc staremu Hirschowi wstać.

– Zaprowadźcie go do drugiego pokoju – szepczę. – Szybko!

Nie ma mowy, by pani Krajewska i jej siostrzeniec pomyśleli, że to ja tak charczę.

Widząc, że przy oknie znów nikogo nie ma, dodaję:

– Czyja kolej na wartę?

Wszyscy zaczynają się ruszać jak muchy w smole. Potrzebny mi Maks, ale jego akurat tu nie ma.

– Posłuchajcie mnie... – Wskazuję ścianę i niemal samym ruchem warg mówię: – Po drugiej stronie mieszka esesman!

To sprawia, że ich ruchy nabierają tempa. Stary Hirsch znika w drugim pokoju. Cesia zajmuje miejsce przy oknie. Malwina godzi Dziusię i Janka. Kiedy wracam do kuchni, kury są wszędzie. Ktoś musiał otworzyć drzwi do sieni, a skoro są nadal otwarte, a sień pusta, ów ktoś najwyraźniej wspiął się po drabinie.

Idę w jego ślady i już po chwili widzę Maksa stojącego w bladym świetle wpadającym przez zakurzone okienko. Ramiona ma skrzyżowane na piersi i przygląda się stryszkowi, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Musimy być bardzo cicho. U pani Krajewskiej są pokoje na piętrze, a ściana oddzielająca nas od niej jest tutaj jeszcze cieńsza niż na dole. Zbliżam się do Maksa.

– Nasz system nie działa – szepcze. Tyle to wiem. – Już jest nas za dużo na jeden bunkier, a raczej nie zdołam go powiększyć, przynajmniej nie naruszając fundamentów ani nie przebijając się do piwnicy. – *Która należy do pani Krajewskiej*, dodaję w myślach. – A co zrobimy, gdy dołączy do nas Heniek z Danką?

– Może kupimy więcej łóżek? – podsuwam.

Uśmiecha się do mnie. Jego brew drga, a on szepcze:

– Och, Fusi... Kot.

– Uważaj, bo podrapie ci twarz.

Wybuchamy śmiechem, najcichszym jak się da. Choć właściwie nie mamy powodów do śmiechu. Pewnie zwyczajnie się cieszymy, że żyjemy.

Byliśmy tak bliscy śmierci...

– Słyszałeś o tym esesmanie? – pytam.

– Mniej więcej. W przerwach między atakami kaszlu. Chyba nie pójdiesz z nim też na randkę?

Potrząsam głową. Ułożenie jego brwi mówi mi, że Maks żartuje. Ale nie podoba mi się, że użył słowa „też”. Czyżby dalej się gniewał

o posterunkowego Berdeckiego?

– Musisz uważać. Na Lubka.

– Skąd znasz jego imię?

– Zdziwiłabyś się, gdybym ci powiedział, co słyhać pod podłogą.

Lubek zadawał ci mnóstwo pytań.

Nie umiem rozstrzygnąć, czy jego zdaniem blondas interesuje się mną czy moim procederem. Teraz Maks przechadza się po stryszku w samych skarpetkach. Po pewnej chwili wraca do mnie, abyśmy mogli dalej rozmawiać.

– Myślałem o tym, żeby postawić ścianę o tu. – Robi parę kroków do przodu i macha rękoma, pokazując mi, gdzie by stanęła ściana, dzięki której stryszek stałby się krótszy. – Jeśli uda nam się zdobyć drewno, stare drewno, nic nowego, postawię fałszywą ścianę w tym miejscu, dzięki czemu za nią powstanie przestrzeń dla nas. Będzie ciasno, szczególnie w dwanaścioro, ale lepsze to, niż gnieździć się w ziemnym dole. Nie masz pojęcia, jak tam jest zimno i jakiego wysiłku woli trzeba, aby zachować tę samą pozycję. Dzieci się boją, a obaj starsi panowie mają kłopoty z wgramoleniem się pod łóżko. Z drabiną powinni sobie poradzić lepiej.

Zadzieram głowę, próbując sobie wyobrazić jego projekt.

– Dasz radę – wyrażam opinię.

Spogląda na mnie.

– Naprawdę tak uważasz?

– Schowek, który stworzyłeś na Kopernika, był niczego sobie.

Maks marszczy czoło, niezadowolony.

– Co tam robiłaś?

– Spotkaliśmy się we dwoje z Heńkiem z panią Bessermann.

– Nie powinnaś była tam chodzić – upiera się.

– Wiem. Przepraszam.

Przyglądamy się ścianie. Tej, którą Maks chce dopiero postawić.

– Tutaj tak nie będzie – mówię mu. Wie, że mam na myśli piwnicę na Kopernika. – Nie pozwolimy, aby tutaj tak było.

Maks kiwa głową.

– Znajdę sposób, żeby nam się udało.

Sięgam do jego włosów i strzepuję z nich odrobinę ziemi.

Wierzę, że to zrobi.

[25] *Judenfrei* (niem.) – wolny od Żydów.

21

LIPIEC 1943

Przez trzy tygodnie nie znajduję na targu ani kawałka drewna, które mogłoby się przydać Maksowi na stryszku. Aż tu nagle pewnego dnia, idąc skoro świt do pracy, spotykam mężczyznę pchającego przed sobą wózek po brzegi wypełniony starymi dechami. Zapytany, wyjaśnia, że rozebrał dom zniszczony podczas walk Niemców z Rosjanami, ale część desek udało się uratować. Jest zdziwiony moim zainteresowaniem. Tłumaczę, że szukam drewna na opał, po czym biegiem wracam na Tatarską po pieniądze, ostrzegając przy okazji wszystkich, że dostawca zaraz zrzuci drewno na podwórku.

Helena ma wszystkiego dopilnować. Zaciekawionej pani Krajewskiej mówię, że drewno dostałam, nie kupiłam, aby nie zaczęła czegoś podejrzewać, po czym gnam w dół ulicą, nie chcąc się spóźnić do pracy. Oczywiście i tak się spóźniam. Na szczęście *herr* Braun tego nie zauważa, ponieważ Lubek uruchomił moje maszyny.

Od pewnego czasu spędzamy przerwy śniadaniowe razem: Janka, Lubek i ja. Jak dotąd nie rozgryżłam, co tak naprawdę łączy tych dwoje. W każdym razie przestali mi robić niespodzianki. Założyli chyba, że nie przepadam za nieproszonymi gośćmi i głośnymi przyjęciami, tak samo jak gospodyni mieszkająca obok.

Siostrzeniec pani Krajewskiej ma na imię Ernst. Służy w SS, ale jest na jakiegoś rodzaju urlopie. Z miejsca zapałam do niego niechęcią. Większość czasu spędza, przesiadując w domu i pijąc – tak sędzę, ponieważ ilekroć go widzę, zawsze jest pijany. Przez niego moja ósemka Żydów musi szeptać i chodzić na paluszkach pomimo kur, co sprawia, że wszyscy są rozdrażnieni. A już szczególnie dzieci. Helena wymyka się na zewnątrz przy każdej okazji. Na ogół nie wiem nawet, dokąd chodzi. Zmiana warty przy oknie następuje co trzy godziny, na okrągło przez całą dobę.

Gdy wieczorem wracam do domu, zastaję Maksa w kuchni nad kilkoma deskami, które na jego prośbę Helena wciągnęła do środka. Powyjmował z nich zardzewiałe gwoździe, które mogą się jeszcze przydać, i ostrożnie manewrując, poukładał deski na podłodze, planując ściankę. Na mój widok się uśmiecha i przejeżdża dłonią po szorstkim, steranym drewnie.

– Jest doskonale – szepcze. – O coś takiego właśnie mi chodziło!

Ponieważ musi być cicho, zamiast coś dodać, chwyta moją twarz i całuje mnie w oba policzki. Jak uczyniłby pan Diamant. A może nie... Malwina sarka, ale Maks nie zwraca na nią uwagi. Przepełnia go szczęście.

Trzy dni później, w niedzielę, udaję się do pani Krajewskiej z pytaniem, czy ma może młotek. Mówię jej, że piorę pościel i chcę zamontować sznur na stryszku, by ją tam rozwiesić do suszenia, boję się bowiem, że na dworze mogłaby się zabrudzić albo zmoknąć od deszczu. Sąsiadka nie tylko pożycza mi młotek i daje gwoździe, ale też ma dla mnie kawałek sznura, na wypadek gdyby mojego nie wystarczyło. Potem muszę faktycznie nanosić

wody i zrobić pranie... Helena wygania kury na podwórko, młodszy syn pani Krajewskiej zaczyna je ganiać, a wtedy Maks organizuje łańcuch rąk, dzięki któremu deski kolejno znikają na stryżku.

Maks zachowuje ostrożność. Stara się używać młotka jak najmniej, a gdy kończy, nie jestem w stanie poznać, że ścianka, na którą patrzę, jest nowym elementem stryżku. Wtedy Maks odsuwa na bok dwie deski i pokazuje mi przestrzeń za nimi. Przy okazji prac rozwiesił też dla mnie sznur do prania.

– Przenieś tu trochę niepotrzebnych rzeczy z drugiego pokoju – proponuję. – Żeby to miejsce wyglądało jak prawdziwa komórka.

– Potrzebne będzie także wiadro – dorzuca Maks. – Na wypadek sama wiesz czego...

Raz jeszcze zaglądam do urządzonej kryjówki. Dach opada skośnie do dwóch umieszczonych nisko okienek, przez które wpada nieco światła. W większości jest tu za nisko, aby dorosły człowiek mógł stanąć wyprostowany, o prywatności w ogóle nie ma mowy, a latem blaszany dach nagrzewa się do tego stopnia, że robi się tu gorąco jak w piekle. Co jednak znaczą takie niedogodności, gdy stawką jest życie?

– Trzeba też będzie zasłonić czymś okna – mówi po chwili milczenia Maks. – Pewnie nie wiesz, ale synowie pani Krajewskiej chodzą po dachu.

Helena musiała o tym wiedzieć, myślę. Głośno pytam:

– Widzieli cię?

– Prawie.

– Skombinuję zasłonki – obiecuję, choć nie mam pojęcia, skąd je wezmę.

Chyba będę musiała znów zacząć przetrząsać śmietniki. Mam do wykarmienia dziesięć osób, a dysponuję tylko kartkami swoimi i Heleny, zarobionymi w fabryce pieniędzmi i tym, co wydzielili mi stary Hirsch. To za

mało. Malwina się oburza, że nie kupuję lepszego chleba. Hirsch ciągle pyta, gdzie jego papierosy.

Nie mam odwagi mu powiedzieć, że comiesięczny przydział papierosów sprzedaję po cichu, aby wystarczyło na jedzenie.

– Heniek i Danka się odezwali? – pyta Maks.

Kręcę głową. Umówiliśmy się, że zostawią czystą kartkę papieru pod kamieniem w naszym stałym miejscu, przy poluzowanym drucie kolczastym, kiedy będą już gotowi do ucieczki. Ja z kolei mam zostawić spinkę do włosów jako odpowiedź, że dostałam wiadomość i że jestem gotowa na ich przyjęcie.

– Będzie zwlekał, aż zrobi się za późno – utyskuje Maks. – To mój ostatni brat, a będzie zwlekał, aż zrobi się za późno...

Przez cały sierpień codziennie sprawdzam, czy pod kamieniem pojawił się znak. Również od początku sierpnia zaczął mnie nachodzić Lubek.

– Ukochany Fusi! – szepcze ten, kto akurat trzyma wartę przy oknie.

Irytuje mnie to nie mniej od niechcianych wizyt. Cała ósemka musi zniknąć na stryszku i leżeć nieruchomo na podłodze w absolutnej ciszy, cierpiąc niewygodę i pocąc się, podczas gdy Lubek na dole pali jednego papierosa za drugim i napawa się własnym głosem.

Coś takiego nie przyczynia się do harmonijnego współżycia pod moim dachem.

Ale przynajmniej część z tego, co mówi Lubek, jest interesująca. Ma on kuzyna, który dostarcza mu ryby owinięte w zagraniczne gazety, dzięki czemu blondas wie, że Niemcy nie najlepiej sobie radzą na wschodnim froncie i że Brytyjczycy stawiają zacięty opór przy pomocy Amerykanów, mimo że ci ostatni równocześnie walczą z Japonią. Niemcy muszą prowadzić walki na dwóch frontach.

Lubek twierdzi, że przegrywają na obu. I że może dojdzie do ich kapitulacji, zanim wszystkich zabiją, a wtedy Przemyśl znów znajdzie się w Polsce.

Nie tylko urodziwy, ale też myślący. Lubek okazuje się dojrzały, niż sądziłam. Nigdy nie widziałam, aby stracił panowanie nad sobą. Nigdy nie odczułam, aby zachował się niemilo. Choć chyba postępuje nieładnie wobec Janki, która nie wie, że blondas do mnie przychodzi.

Lubek doprowadza Maksa do szału, co bawi Malwinę. Proponuję, że będę się spotykać z blondasem poza domem, co jednak nie podoba się Maksowi. To także wywołuje uśmiech na twarzy Malwiny.

Pani Bessermann irytuje się z kolei tym, że Siuniek poświęca dużo uwagi jej córce. Cesia ma piętnaście lat, ale nie jest rozwinięta jak na swój wiek. Wszyscy siedzimy sobie na głowie. Dziusia regularnie bije się z Jankiem, który ją nęka, a doktor Schillinger tylko patrzy w przestrzeń, zamiast bronić własnego dziecka, co oznacza, że ta rola przypada nam, mnie albo Maksowi. Leon Hirsch tylko siedzi i narzeka, upajając się resztkami dymu po papierosach wypalonych przez mojego gościa.

Nie mogę winić Heleny, że znika dzień w dzień. Może tak jest bezpieczniej. Może tak jest zdrowiej.

Ale i tak martwię się o siostrę.

Dlatego po kolejnym dniu, w który Lubek mnie odwiedził, a Dziusia – po tym jak załatwiła się do wiadra na stryszku – zaczęła tłuc Janka, bo ten powiedział, że ją podglądał, co kazało mi się tłumaczyć, że kot poluje na strychu na szczury, przed snem moszczę się w łóżku obok Heleny. Księżyc jasno świeci, zapuszczając srebrzyste promienie za zasłony w lilijki. Nakrywam nas obie razem z głową, Helena kładzie mi głowę na piersi. Szepczę do niej:

– Helu, czym się zajmujesz, kiedy jestem w pracy?

– Przecież wiesz... Karmię kury, noszę wodę ze studni i opróżniam wiadro.

– No tak. Ale co robisz poza tym?

Moja siostra się namyśla.

– Biję się z synami pani Krajewskiej. Kiedy nie chcą mi dać wody.

Żałuję, że nie widzę w tej chwili jej twarzy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zawsze powtarzają, że studnia jest ich. A ja wiem, że jeśli nie przyniosę wody do domu, naszym będzie chciało się pić, bo nie mogą wyjść na zewnątrz. Dlatego muszę się z nimi bić. A czasami oni chcą wejść do środka. I wtedy też muszę się z nimi bić.

– Rozumiem. – Będę musiała porozmawiać o tej sprawie z panią Krajewską. – A kiedy nie robisz nic z tego, o czym mi przed chwilą opowiedziałaś, to dokąd chodzisz?

– W różne miejsca.

– Na przykład?

Ponownie się zamyśla.

– Na szczycie wzgórza jest opuszczony kamienny dom. Taki jakby zamek. Czasami tam się bawię. W dom. A czasami chodzę do klasztoru, bo siostry zakonne mają ciasteczka. I jeszcze chodzę do katedry...

– Naprawdę?

Helena porusza głową na mojej piersi.

– Ładnie w niej pachnie.

– A bawisz się z kimś jeszcze? Z jakimiś dziewczynkami albo chłopcami?

– Oczywiście, że nie!

Trudno by jej było dochować tajemnicy w otoczeniu innych dzieci. To już nie jest sekret na jedną czy dwie noce. Sytuacja jest inna niż na ulicy Mickiewicza.

– Czasami – wyznaje moja siostra – wyobrażam sobie, że mama wróciła i że szyje dla mnie nową sukienkę, a robotnicy polowi znoszą do naszego domu plony... – zdumiewa mnie, że Helena pamięta ludzi, którzy pracowali u nas w polu – ...a w dzień, kiedy mama pracuje, ja chodzę do szkoły, żeby się nauczyć wszystkich liter i odczytywać napisy na szyldach sklepów. Znam ich już dużo, ale nie wszystkie.

– Mogę nauczyć cię czytać, Helu.

Ten głos nie rozlega się pod przykryciem. Wystawiam głowę, burząc sobie włosy, i widzę, że Maks, który pełni wartę przy oknie, odchylił się na oparcie krzesła.

– Chciałabyś? – dodaje.

Helena uśmiecha się szeroko, potem jeszcze szerzej, a gdy nazajutrz wracam z pracy, oboje siedzą pochyleni nad podręcznikiem stomatologii – jedna głowa brązowa, a druga czarna. Temat jest Helenie obojętny. Pochłania słowa jak leci.

Nie zdawałam sobie sprawy, że czuje się tak samotna.

Moment później do kuchni wpada Cesia, krzyząc:

– Ukochany Fusi!

Poruszając się z precyzją i w ciszy, chwytają po drodze swoje rzeczy i znikają na stryszku, nie płosząc nawet kur. Helena wzdycha, gdy Maks odkłada podręcznik. Tymczasem on, zamiast udać się za resztą, wyraźnie się waha. I w ostatniej chwili kieruje się nie do sieni, lecz do sypialni.

Do drugiej kryjówki. Gdzie będzie słyssał, o czym rozmawiam z blondasem.

Czuję gniew.

Lubek puka i pcha drzwi, chcąc wejść od razu do środka. Hamuje go klucz przekreślony w zamku.

To naprawdę niedobrze, że czuje się tutaj jak u siebie.

Otwieram drzwi, a on posyła mi uśmiech, odsuwa z drogi kury i podchodzi prosto do pieca, by zrobić sobie herbatę.

Opowiada o pożarze w fabryce, niewielkim, który jednak spowodował wyłączenie wszystkich maszyn, aczkolwiek nie na długo, i o tym, jak okropny był dym. W odpowiedzi mówię, iż to zabawne, że dym mu tak przeszkadzał, zważywszy, ile go wciąga do płuc na co dzień.

– To co innego – rzuca.

Nieomal widzę, jak Maks wytęża słuch, leżąc pod łóżkiem.

Dlatego mówię na cały głos:

– Jakie masz zdanie na temat podsłuchiwania?

Lubek unosi brwi.

– Myślę to samo co wszyscy. Nikomu się nie podoba, kiedy ktoś przysłuchuje się jego prywatnej rozmowie. Kto... Chwileczkę. Gdzie cukier?

– Słucham? A, cukier. Zabrakło.

– Jak to? Przedwczoraj widziałem u ciebie pół kilo...

Tak, tylko że Malwina i Cesia wpadły na pomysł, żeby upiec ciasto, co rozgniewało Maksa, bo co niby miałabym powiedzieć pani Krajewskiej albo Ernstowi, gdyby zauważyli dym unoszący się z komina i poczuli zapach? Że Helena bawi się w cukiernika i piecze babeczki?

– Coś ci się chyba pomyliło – odpowiadam.

– Wcale nie – upiera się przy swoim Lubek. – Widziałem na własne oczy.

– Zjadłam wszystko – odzywa się Helena ze swojego miejsca na wersalce.

Odwracam się do niej. Całkiem zapomniałam o jej obecności.

– Zjadłaś pół kilo cukru? – oburza się Lubek. – Masz pojęcie, ile to pieniędzy? – Moja siostra robi wyzywającą minę, a blondas kręci głową. – Musisz ją jakoś ukarać, Stefi.

Nie mów mi, jak mam traktować rodzoną siostrę, obruszam się w duchu. Zwłaszcza że jest pomocna na każdym kroku.

– Wygoń tę kurę na zewnątrz – zwracam się do niej stanowczym tonem. – Wyjaśnimy to sobie później.

Kiedy łapie kurę, pokazuję blondasowi plecy, a sama posyłam jej całusa. Odpowiada szerokim uśmiechem i takim samym całusem, który w oczach mojego gościa musi wyglądać jak kolejna impertynencja. Moment później już jej nie ma.

– Nie chciałbym mieć młodszej siostry na wychowaniu – komentuje Lubek. – Co jeszcze ci wyjada?

Zgoda, Helena ma słabość do masła, ale do czego pije Lubek?

– Zuzywacie straszne ilości jedzenia. Ilekroć przychodzę, widzę, że kończycie właśnie worek kaszy. Niemożliwe, żebyście dały radę workowi kaszy w parę dni. Co z nią robicie?

Blondas jest zbyt spostrzegawczy jak na mój gust.

– Sprzedajemy – rzucam krótko. – Dla zysku. Zarobione pieniądze wysyłam mamie.

Kiwa głową i zapala papierosa.

– Tak, to do ciebie podobne... – Milczy przez jakiś czas, a ja liczę, że Maksowi ścierpły już nogi. – Zastanawiałem się, jakie masz wyobrażenia – podejmuje znienacka Lubek. – Na temat swojego życia po wojnie.

Przede wszystkim muszę odnaleźć rodzinę. A potem? Sama nie wiem.

Wzruszam ramionami.

– Chciałbym, abyś to sobie przemyślała.

– Dlaczego?

– Mogłabyś mnie uwzględnić w swoich planach. Moglibyśmy snuć je razem. Tego właśnie chcę. Snuć plany i marzenia z tobą. Na razie tylko niezobowiązująco...

Na tym kończy. Dopija herbatę, radzi, abym była bardziej stanowcza w postępowaniu z Heleną, i zostawia mnie sam na sam z kłębiącymi się myślami.

Bardzo, bardzo żałuję, że Maks wszystko słyszał.

On chyba też. Gdy wychodzi z kryjówki, z ziemią we włosach, unika mojego spojrzenia. Rzuca tylko:

– Jeśli on nie przestanie tu przychodzić, wpadniemy.

Wiem o tym. Lecz nocą, przytulona do Heleny, jakąś częścią siebie zastanawiam się, czy Lubek dotrzymałby tajemnicy. Czyby mi pomógł. Nagle przypominam sobie słowa Emilki na temat niemieckich szpiegów. Sposób zachowania blondasa idealnie by się nadał do węszenia za ukrytymi Żydami.

Nazajutrz w pracy unikam go jak mogę, a później, po skończonej zmianie, zagaduję się z Janką, czekając, aż Lubek sobie pójdzie. Następnie obie kierujemy się wolno w stronę centrum. Specjalnie zwłóczę, ponieważ nie chcę być na miejscu, w razie gdyby Lubek złożył mi wizytę.

Wiem, że Helena – będąc sama w domu – nie otworzy mu.

Nie dzielę się swoimi myślami z Janką. Ale wspominam, że muszę zatrzymać się u węglarza, by kupić parę kilogramów orzecha pod piec. Janka odpowiada, że im też węgiel się kończy i że właściwie może pójść ze mną, bo wiele nie zboczy.

Każda z nas kupuje pięć kilogramów średniej grubości węgla, który trafia do worków zaciąganych sznurkiem. Podczas gdy węglarz pakuje nam towar, Janka z nim flirtuje, tak sprawnie grając na jego emocjach, że jestem pod wrażeniem. Dzięki temu przestaję mieć wyrzuty sumienia z powodu blondasa. W pewnym momencie spostrzegam na przegubie węglarza zegarek.

– Już jest dwadzieścia po ósmej? – pytam.

Janka przechyliła głowę, aby odczytać godzinę z tarczy zegarka na umorusanym nadgarstku swojej nowej ofiary.

– Och! – sapie.

Godzina policyjna rozpoczyna się dopiero o dziewiątej, ale mnie czeka jeszcze półgodzinny spacer do domu, podczas gdy Janka mieszka dalej. Musimy się śpieszyć.

Wypadamy na ulicę praktycznie bez pożegnania i ruszamy szybko chodnikiem. Słońce ukryło się za wzgórzami, powoli zaczyna zmierzchać i na mieście robi się pusto. Tłum, w którym zawsze czuję się bezpiecznie, zniknął. Im raźniej maszerujemy, tym bardziej ciężą nam worki z węglem, aż w końcu docieramy do krzyżówki, gdzie Janka ma skręcić, ja zaś muszę iść dalej prosto. Przystajemy, żegnamy się pośpiesznie i właśnie mamy udać się każda w swoją stronę, gdy pojawiają się dwaj niemieccy żołnierze. Jeden z nich macha ręką. W naszym kierunku.

– *Halt! Wer ist da?*

Janka i ja spoglądamy po sobie nawzajem. *Przecież jeszcze nie ma dziewiątej...*

Niemiec jest młody. Może nawet w moim wieku, ale ma karabin przerzucony przez plecy i pistolet w kaburze. Wyciąga rękę i prosi Jankę o dokumenty. Janka kładzie worek na ziemi, zaczyna przetrząsać torebkę w poszukiwaniu kenkarty. Tymczasem do mnie zbliża się drugi żołnierz.

Ma ciemnobrązowe włosy i wąsik. Taki, jak nosi Hitler. Wręczam mu papiery, niepytana.

Obaj przebiegają wzrokiem nasze kenkarty, po czym zaczynają ze sobą rozmawiać. Po niemiecku. Polskiego chyba nie znają. Nie oddają nam też dokumentów.

Zegarek młodego Niemca wskazuje, że jest już tylko trzynaście minut do dziewiątej. Czekam niecierpliwie, przytupując nogą i gapiąc się w puste miejsce, gdzie kiedyś stała synagoga. Żołnierze wybuchają śmiechem w reakcji na żart zrozumiały tylko dla nich. Wychwytyję jednak pewne słowo. *Neun*.

Dziewiąta. Będą nas tu trzymać do dziewiątej, a potem nas aresztują.

Zerkam na Jankę, która odpowiada takim samym zaniepokojonym spojrzeniem.

Wpadłyśmy w tarapaty.

Niemcy dalej ze sobą rozmawiają, teraz już ewidentnie o nas. Ten młodszy muska palcami włosy Janki, a kiedy rzucam, że jest już prawie dziewiąta, musimy już iść i do widzenia, a także próbuję się oddalić bez dokumentów, ten z wąsikiem jak Hitler chwyta mnie za ramię, wrzeszcząc coś. Janka kamienieje ze strachu. A potem zaczynają bić dzwony katedralne.

Młodszy Niemiec wybucha śmiechem i oddaje nam papiery. Uznają, że pozwolą nam odejść. Schylamy się po worki z węglem, ale oni ujmują każdą z nas pod łokieć i prowadzą w dół ulicy. Tam, skąd przyszłyśmy.

Teraz naprawdę mamy poważne kłopoty.

Moje zmysły się wyostrzają.

Znam tę ulicę. Niemcy kroczą środkiem jezdni, ponieważ chodniki po obu stronach są pełne lejów po bombach. Na końcu stoi pensjonat, w którym mieszkają niemieccy żołnierze, zwłaszcza ci afiliowani przy

policji. Przed pensjonatem ciągnie się szereg domków. Po jednej i drugiej stronie ulicy.

Ten, który mnie trzyma, stracił gdzieś całą wesołość. Nie zwraca na mnie uwagi, idzie przed siebie, zaciskając mocno wargi. Nie obchodzi go, że jego palce siniaczą mi ramię. Niemiec Janki znów dotyka jej włosów, zbliża twarz do jej szyi i obwąchuje ją. Janka się wzdryga, a wtedy mój Niemiec warczy coś do tego drugiego, zapewne każąc mu przestać.

Albo się wstrzymać.

– Chyba nie znają polskiego – rzucam do Janki cichym głosem. Czekamy na reakcję, ale nie ma żadnej. Niemcy tylko nam się przyglądają. – Uśmiechnij się – mówię. Uśmiechamy się obie. – Wybuchnij śmiechem. – I znów obie wybuchamy śmiechem. Niemożliwe, aby nawet głupi Szkop pomyślał, że jest nam wesoło. Oni jednak najwyraźniej dają się na to nabrać. Chwył na moim ramieniu traci nieznacznie moc. – Niedługo zacznie się ciąg domków – kontynuuję lekkim głosem. – Każdy ma drzwi frontowe i tylne, z długim korytarzem pomiędzy. Rozumiesz? Śmieję się, Janka. – Moja przyjaciółka posłusznie wybuchła śmiechem, kręcąc przy tym głową przecząco. – Na trzy uderzymy ich w twarze workami z węglem – instruuję. – Ty biegniesz w lewo, ja w prawo, dopadamy pierwszego domku z brzegu, pokonujemy korytarz i wypadamy tylnymi drzwiami. Potem pędzimy, jakby nas goniło stado diabłów. Dasz radę? Śmiech...

Janka parska śmiechem. Kiwa głową na tak. Śmieję się razem z nią. Mój Niemiec wydaje się bardzo z siebie zadowolony.

Janka musi się postarać, w przeciwnym razie plan nie zadziała.

– Pamiętaj, biegniesz ile sił w nogach.

Kiwa głową, ale tym razem nie towarzyszy temu wybuch śmiechu. Oczy ma wielkie i przerażone.

Spoglądam w przód, wybierając domki. Odszukuję wzrokiem dwa, które powinny się nadać. Na ulicy rozlega się tylko echo naszych kroków. Z każdą sekundą jesteśmy bliżej celu...

– Raz – zaczynam odliczać, patrząc z uśmiechem na Jankę. Potem kieruję wzrok przed siebie. Dwa. I... trzy!

Chwytam worek obiema rękami, żeby zaraz poderwać go w górę. Bryły węgla grzmocą mojego Niemca prosto w nos z wąsikiem pod spodem, a on sam zwała się tyłem na bruk. Zamieram na mgnienie oka, zaskoczona, że się udało, i słyszę, jak Janka krzyczy:

– W nogi!

Jej Niemiec wylądował na ziemi moment przed moim.

Puszczam się pędem. Jak zajac. Jak wiatr. Jak nigdy przedtem. Dzięki wyostrzonym zmysłom widzę urwany skobel, zanim muszę go odciągnąć, żeby otworzyć drzwi. Trzaskam nimi, nie zwalniając ani na moment, nie tracąc ani sekundy. Pokonuję cały korytarz i równie szybko mierzę się z zasuwką. Tylne drzwi otwierają się i zamykają, nie spowalniając mnie ani trochę. Zeskakuję ze schodków i skręcam za róg. Najpierw w prawo, potem w lewo. Mam tylko nadzieję, że to nie ślepy zaułek. Za moimi plecami rozlegają się strzały. Z pistoletu. I słowa wyrzaskiwane po niemiecku.

Och, Janka. Proszę, nie daj się złapać!

Nie mogę się zatrzymać. Nie ma mowy o tym, abym zawróciła. Trzymam się bocznych uliczek, klucząc i lawirując, aż w końcu rozpoczynam wspinaczkę na Tatarską. Pozostaję w cieniu. Nie wiem, czy ktoś za mną idzie. W każdym razie nie słyszę niczyich kroków.

Zresztą gdyby ktoś mnie śledził, myślę, już dawno strzeliłby mi w plecy.

Szybkim krokiem przecinam podwórko i mijam sławojkę. Nawet jeśli pani Krajewska mnie zauważy, widzi co najwyżej rozmazaną plamę. Walę

w drzwi, które otwiera Maks. Wciąga mnie do środka i przekręca klucz w zamku. Pewnie pełnił wartę przy oknie.

– Coś nie tak? Co się dzieje?

Opieram się o futrynę i staram się odzyskać oddech. Nie mam ani grama sił. Ale mam worek z węglem. Rzucam go na podłogę.

– Był twój ukochany – informuje Malwina.

– Dajcie jej wody – rzuca doktor Schillinger, na co Dziusia spełnia polecenie ojca.

Siuniek i Cesia wychodzą z pokoju, stary Hirsch siedzi na wersalce i patrzy na mnie jawnie zaciekawiony. Moja siostra, która ukrywa się w rogu, robi się jeszcze mniejsza, jakby chciała zniknąć. Gdy wyciągam do niej rękę, podchodzi i obejmuje mnie ramionami w pasie.

Musieli być przerażeni, kiedy nie zjawiłam się przed godziną policyjną.

Gdy wraca mi zdolność mówienia, opowiadam Maksowi o niemieckich żołnierzach i o Jance, która równie dobrze może już nie żyć. Ta myśl sprawia, że zaczynam drżeć. I płakać.

Maks zaciska szczęki. Drapie się po głowie. Uderza pięścią o otwartą dłoń. Helena trzęsie się w moim uścisku.

– No dobra – rzuca Maks. – Dostyc tego. Jeszcze dziś zacznę cię uczyć sztuki boksowania.

* * *

Wydaje mi się ciekawe, że to właśnie Maks wyrósł na przywódcę całej grupy. Doktor Schillinger jest starszy od niego, a w Nizankowicach, w swoim gabinecie dentystycznym, był jego szefem. Leon Hirsch jest jeszcze starszy niż doktor Schillinger. Malwina jest matką, a więc nawykła do wydawania poleceń. Siuniek z kolei jest dwa razy większy od Maksa. A jednak, kiedy przychodzi do podjęcia decyzji, wszyscy spoglądają

w stronę Diamanta. Tak więc gdy Diamant oświadcza, że powinnam się nauczyć, jak bić Niemców – i każdego, kto na to zasługuje – ustępują pola, zakładając, że nauka boksowania jest tym, czego najbardziej w danej chwili potrzebuję.

Dlatego teraz stoimy oboje w kręgu rozochoconych ludzi; nawet Helena wyciąga szyję w oczekiwaniu. Pomijając codzienny dreszczyk niepewności, czy Ernst nas odkryje czy nie, ta walka będzie najciekawszą rzeczą, jaką moja siostra widziała, odkąd pies pogonił dwie kury.

Niewykluczone też, że Hela ma nadzieję się czegoś nauczyć i wykorzystać nowe umiejętności w kontaktach z synami pani Krajewskiej.

Czuję się zarazem zmęczona i pobudzona adrenaliną, a przy tym jak wystawiona na pośmiewisko. To nieprzyjemna kombinacja. Ale zaraz uświadamiam sobie, jak bezradna bym była, nie mając na podorędziu worka z węglem, i uznaję, że ta nauka może być naprawdę przydatna. Poza tym chyba mam ochotę coś uderzyć. Unoszę pięści.

– Pierwsze, co musisz zapamiętać – szepcze do mnie Maks, tak aby sąsiedzi nie usłyszeli – to że powinnaś myśleć o obronie, zanim pomyślisz o ataku.

– Gdzie nauczyłeś się boksować? – pytam.

– W gimnazjum – odpowiada. – Ominął cię widok moich podkrążonych bez przerwy oczu. A teraz ugnij nogi w kolanach i przygotuj się na zrobienie uniku...

– Nikogo nie uderzysz, jak sama dasz się powalić na deski, dziewczyno! – zagrzewa mnie do walki Hirsch. Najwyraźniej jest w świetnym humorze.

– Dalej, Fusi! – zachęca mnie Maks. – Zaczynaj podskakiwać.

Podskakuję. I znów czuję się jak głupia.

– Nie, nie tak. Na samych palcach. Żebyś była gotowa do akcji.

Robię, co mi każe, a po chwili już ćwiczę unikanie jego ciosów. Nieźle mi to wychodzi. Helena bije brawo. Sądzę, że Jankowi walka bardziej by się podobała, gdyby Maks mnie uderzył, ale nie wydaje mi się, aby mój instruktor miał taki zamiar. W końcu pokazuje mi, jak wyprowadzić cios.

– Kciuk, o tak... – Poprawia ułożenie mojej dłoni. – W cios musisz włożyć siłę całego ciała. Usta trzymaj zamknięte. Wykorzystaj swoją masę...

Wiem, o czym mówi. Tak samo postąpiłam, podrywając do góry worek z węglem. Odchylam się, zbieram w sobie i walę Maksa prosto w nos.

Nie chciałam tego zrobić. Po prostu zbyt wczułam się w rolę.

Na jego twarzy maluje się szok. Na mojej chyba też. Helena zakryła usta dłonią. Ciszę przerywa dopiero stłumiony okrzyk Malwiny:

– Brawo!

Janek klaszcze, a Hirsch śmieje się na całe gardło, zapomniawszy o ostrożności, podczas gdy Maks usiłuje zatamować lejącą mu się z nosa krew.

* * *

Staję za nim, jedną rękę kładę mu na karku, a drugą przykładam do jego nosa szmatkę zwilżoną zimną wodą. Czekam, aż krwawienie ustanie. A także aż Siuniek przestanie się znęcać nad Maksem. Na szczęście poszkodowany znosi przycinki z godnością i humorem. Generalnie. Gdy młody Hirsch w końcu się uspokaja, doprowadzam twarz Maksa do porządku i sadzam go przy stole. Dotyka ostrożnie nosa, który jest lekko opuchnięty, i unosi brwi.

– Chyba jednak nie potrzebujesz lekcji.

– Wybacz. Straciłam głowę.

– To moja kara za podsłuchiwanie. Przyjmuję ją z pokorą. – Wzmianka o blondasie sprawia, że rozmowa się urywa. – Lubisz go, Fusi? – pyta po dłuższej chwili Maks.

– Lubię... – Maks marszczy czoło – ...jak przyjaciela.

– Nie powiedziałaś mu tego, kiedy poprosił cię o rękę.

– On tego nie zro...

– Właśnie że tak.

Nie zamierzam tego przyznać przed sobą samą, a co dopiero przed nim.

– Jeśli masz co do niego poważne zamiary... Jeśli będzie cię dalej odwiedzał... Prędzej czy później będziesz zmuszona zdradzić mu nasz sekret. Myślisz, że możesz mu zaufać?

Nie mam pojęcia.

– A czego ty byś chciał, Maks?

– Och, Fusi – wzdycha, dotykając nosa. – Niedobłą wybrałaś sobie porę na takie pytania. Zresztą nie wydaje mi się, aby odpowiedź ci się spodobała. Po prostu... po prostu pamiętaj, co jest stawką w tej grze.

O tym akurat nie musi mi przypominać. Ale i tak leżę bezsennie obok Heleny, zastanawiając się nad wszystkim, co usłyszałam. Wciąż nie śpię, gdy doktor Schillinger zmienia Malwinę przy oknie.

Nazajutrz rano w drodze do pracy jestem świadkiem, jak wieszają człowieka. Na rynku, w obecności esesmanów i niemieckich żołnierzy, i połowy mieszkańców Przemyśla.

Mężczyzna ginie powieszony, ponieważ ukrywał Żydów.

Ze spuszczoną głową truchtam do fabryki. Janka wychodzi mi naprzeciw. Strzelali do niej, ale im uciekła; biegła tak szybko, że zamiast wypaść tylnymi drzwiami, wyrznęła w ścianę. Mimo to udało jej się zniknąć im z oczu.

Szeptem pyta, co zrobimy, w razie gdy kiedyś znów spotkamy tych żołnierzy.

Ja mam wciąż przed oczyma dyndające nogi wisielca.

Wiem już, że nigdy nie mogę zdradzić się przed blondasem.

Przy maszynie ledwie jestem w stanie skupić uwagę. Pozwalam, żeby pompa wodna się przegrzała. Do końca tygodnia nie udaje mi się ani razu wyrobić normy.

W dalszym ciągu spotykamy się we trójkę na przerwie śniadaniowej, jakby nic się nie zmieniło. Tyle że teraz Lubek patrzy na mnie z jeszcze większym natężeniem. W piątek, kiedy Janka znika na hali, blondas mnie pyta:

– Myślałaś nad tym, co chcesz robić po wojnie?

Zagryzam wargę.

– To nie jest najlepsza pora, aby snuć plany.

– Każda pora jest dobra. Pod warunkiem, że człowiek chce.

– Słuchaj... – zaczynam. – Ja nie chcę na razie nic planować. Nie teraz. Nie z tobą.

Kiwa głową i zapala papierosa.

– Przemyśl to jeszcze raz – mówi. – Ja podjąłem decyzję. I nie zamierzam jej zmieniać...

Przerywają nam odgłosy palby w oddali. Od strony getta. Oboje zwracamy się w tamtym kierunku. Mimo sapiących i zgrzytających pociągów nieopodal słychać krzyki, które niosą się echem między zabudowaniami. Kilka minut później strzały się powtarzają. Raz po raz.

– Miałaś rację – stwierdza Lubek. Zaciąga się dymem, sprawiając, że koniuszek jego papierosa się rozżarza. – Jednak ich zabijają.

Słuchamy strzałów, które rozlegają się seriami w odstępach paru minut.

Och, Heniek, myślę. Przepraszam, że miałam cię za głupca. Nie chcę, żebyś zginął. Danko, dlaczego pozwoliłaś mu zwlekać bez końca? Dlaczego nie zmusiłaś go do ucieczki? Dlaczego sama nie uciekłaś?

Przerwa się kończy, lecz strzały nie. Wracamy do swoich maszyn, których szum zagłusza krzyki umierających.

Nie pozwalam, aby Lubek zobaczył moje łzy.

WRZESIEŃ 1943

Dwa dni po strzelaninie czarny dym zasnuwa niebo nad miastem. Niemcy palą ciała. Sterty ciał. Odór jest porażający. Wszędzie unosi się sadza, która osiada na budynkach, skórze... Ale bramy getta nadal pilnują strażnicy, co oznacza, że w środku musi być jeszcze ktoś żywy. Na wszelki wypadek sprawdzam umówione miejsce z poluzowanym drutem kolczastym, ale pod kamieniem nic nie ma.

Maks chodzi chmurny. Milczący. Z zaczerwienionymi oczyma.

Z całej rodziny Diamantów został tylko on.

Lubek składa mi wizytę dwa wieczory z rzędu. Próbuję go odprawić. Próbuję się tłumaczyć, że muszę iść na targ. Ale on tylko się odwraca i towarzyszy mi przez całą drogę. Na miejscu nie mogę nic kupić, gdyż ilość sprawunków zwróciłaby jego uwagę. Trzeciego dnia proszę majstra, aby na koniec zmiany podszedł najpierw na moje stanowisko. Gdy już zanotował liczbę wyprodukowanych przeze mnie śrub, nie czekam na nic, tylko wyslizguję się na zewnątrz, zanim Lubek i Janka są gotowi do

wyjścia. Zakładam chustkę na głowę w obronie przed lodowatym deszczem i biegnę zalanymi ulicami, dopóki nie znajdę się przed pożądanymi drzwiami. Waham się, ale tylko przez moment, nabieram głęboko powietrza i wchodzę do zakładu fotograficznego.

Emilka stoi za ladą, obsługując mężczyznę w przemoczonym kapeluszu. Oczy jej się rozszerzają na mój widok, ale nie przestaje się zajmować klientem. Czekam. Z każdą chwilą bardziej się denerwuję. Nie pasuję tu – taka zaniedbana i brudna na tle portretów uśmiechniętych osób i lśniących rolek filmu. W końcu mężczyzna stawia kołnierz i wciągnąwszy głowę w ramiona, wychodzi na ulicę. Wtedy Emilka opiera się łokciami o ladę.

– No, no. Stefania Podgórska. A ja myślałam, że zbiegłaś do Rosji czy coś.

– Nie, przeprowadziłam się tylko. Nadarzyła się okazja...

– Nawet się nie pożegnałaś.

Zamierzałam nakarmić ją jakąś wymówką, nad którą łamałam sobie głowę całe popołudnie w pracy, lecz gdy przychodzi co do czego, mówię prawdę.

– Przepraszam cię. Nie powinnam była tak się zachować. Ja tylko... Sądziłam, że jesteś na mnie zła z powodu... z powodu tamtej rozmowy.

– Jakiej rozmowy? – rzuca lekkim tonem. – Nic nie pamiętam.

Uśmiecham się do niej. Zanim zdążę coś powiedzieć, Emilka pyta:

– Co u Heli? Jak wam się mieszka w nowym lokum? Gdzie w ogóle...

– U Heli wszystko dobrze – odpowiadam szybko, chcąc uniknąć pytania o adres. – Mam jednak mały problem.

– Tak?

– Spotykam się z pewnym chłopcem.

– Naprawdę? – Moje wyznanie przykuwa jej uwagę, tak jak się spodziewałam.

– Spotykam się z pewnym chłopcem... – zawieszam głos. – Ale wolałabym tego nie robić. Jest zbyt...

– Namolny?

– Zbyt natarczywy.

– Aluzje nie przynoszą skutku? – Kręcę przecząco głową. – A głośne „nie”? – Wzruszam bezradnie ramionami. – No to jak ja mam ci pomóc?

– Zastanawiałam się, czybyś nie mogła mi użyczyć dodatkowej odbitki zdjęcia jakiegoś esesmana.

Emilka robi szelmowską minę. Pomimo wszystkich jej wad tęskniłam za nią.

– Mam coś, co się idealnie nada! – Wślizguje się za kotarę, która oddziela zaplecze od sklepu. – Z dzisiejszego ranka! – woła. – Istne cudo z niego! A ty masz szczęście, że pana Markowskiego akurat nie ma... – wyłania się zza kotary – a mnie przytrafiła się pęknięta klisza. Coraz trudniej o materiały dobrej jakości. Wszystkim się wydaje, że naboje są najważniejsze. Myślę jednak, że do twoich celów idealnie się nada. Jak sądzisz? – Kładzie odbitkę na kontuarze i obraca ją w moją stronę.

Patrzy na mnie urodziwy mężczyzna. O jasnych włosach i jasnych oczach i z takim profilem, że pozazdrościłby mu go każdy Aryjczyk. Nawet zęby ma doskonałe. Wprawdzie pozował bez czapki, ale na kołnierzyku widać dwie błyskawice.

Biorę fotografię do ręki.

– O, tak – zapewniam Emilkę. – Nada się idealnie.

Przekrzywiam głowę, nie odrywając oczu od zdjęcia. Właściwie chyba wolałabym bruneta...

Ależ Lubek mnie znienawidzi!

Wciąż trzymam fotografię w ręku, gdy drzwi zakładu się otwierają. Dopiero po chwili podnoszę wzrok i dostrzegam minę Emilki.

– *Guten Abend*^[26], *Fräulein*.

Oglądam się i widzę przed sobą przystojnego esesmana. Tego ze zdjęcia. On też mnie widzi. Jak również to, że trzymam jego zdjęcie.

Rozchyła wargi ze zdziwienia.

Może i jest przystojny, ale z rozdziawionymi ustami wygląda głupio.

Za nim wchodzi dwaj inni oficerowie, tak że w środku robi się przyciasno. Obydwaj parskają śmiechem, dostrzegłszy, że nie rozstają się ze zdjęciem ich kolegi, i żartobliwie sprzedają mu kuksańce. Esesman marszczy brwi i zwraca się do Emilki po niemiecku, następnie zaś przechodzi na łamany polski.

– Pani... sprzedaje... *Fotografieren?*^[27]

– Ależ nie! – zaprzecza Emilka żywiłowo. – Tylko pokazuję. – Uśmiecha się do niego promiennie. – Urodziwy – dodaje, dyskretnie szczypiąc mnie w rękę.

– Urodziwy – powtarzam za nią jak automat.

– *Gut aussehend*^[28] – tłumaczy jeden z oficerów, ponownie dając mu kuksańca.

Twarz esesmana się rozpromienia.

– Podobać... się...?

Kiwam głową, gdyż nie wiem, co innego mogłabym zrobić.

Pewne rzeczy są wszędzie takie same – mimo że rozmawiają po niemiecku, nietrudno mi się domyślić, że koledzy pastwią się nad nieszczęsnym esesmanem. Chichocą, rzucają mi spojrzenia i przepychają się między sobą. Emilka znów szczypie mnie w rękę. Samym ruchem warg ponagla:

– Uciekaj! Już!

Odkładam fotografię na ladę.

– Do widzenia – mówię i ruszam do drzwi, ale esesman zatrzymuje mnie ramieniem.

– *Nein, nein, Fräulein.* – Wysiła pamięć, aby odnaleźć słowo, po czym unosząc wyprostowany palec wskazujący, rzuca: – Czekać!

Znowu szwargot. W końcu esesman zostaje popchnięty w moją stronę. Ujmuje fotografię, dotyka nią mojej piersi i nadstawia policzek.

Całus. Mogę zatrzymać zdjęcie za całusa.

Cmokam go, ponieważ naprawdę potrzebuję tej fotografii.

Równocześnie zastanawiam się, czy zastrzelił Heńka. Albo Dankę.

Po chwili cmokam także jego drugi policzek, co bowiem by się stało, gdybym tego nie zrobiła? Równocześnie zastanawiam się, czy ten człowiek jest odpowiedzialny za czarny dym nad Przemyślem.

Pozostali dwaj oficerowie gwizdzą i biją brawo, klepiąc kolegę po plecach. Emilka sięga pod ladę.

– Proszę – mówi, wręczając mi dużą żółtą kopertę.

Wsuwam do niej zdjęcie i chowam za pazuchę.

– Dziękuję – szepczę.

– *Auf Wiedersehen, Fräulein!* – woła za mną przystojniak, machając mi na pożegnanie.

Zamykam drzwi i przez chwilę stoję między dwiema witrynami, próbując odzyskać oddech. Dopiero później wychodzę na deszcz. To już drugi niemiecki żołnierz, którego musiałam pocałować. Z każdym razem coraz mniej mi się to podoba.

Nie sądzę, abym kiedykolwiek opowiedziała o tym Maksowi.

* * *

Pnąc się ulicą Tatarską do domu, otoczona przez mroczną wilgoć, czuję w piersi znajome trzepotanie strachu. Jakby jakiś ptaszek zerwał się do lotu między moimi żebrami. Zastanę wyłamane drzwi. Zastanę pusty bunkier i kryjówkę na stryszku. Zastanę wszystkich nieżywych.

Gdy kładę dłoń na klamce, drzwi okazują się niezamknięte na klucz.

Spodziewam się strzału w głowę w momencie przestąpienia przez próg.

Dlatego stoję w deszczu, chroniąc przed wilgocią kopertę ze zdjęciem.

Trzepotanie zamienia się w bolesny ucisk.

Delikatnie otwieram drzwi i widzę Helenę siedzącą na krześle. Uderza piętami o jego nogi. Oczy ma wielkie jak spodki. Kątem oka dostrzegam kobietę, która rozsiadła się na wersalce. Jest elegancko ubrana, w ciemnobrązowy płaszcz i futrzane nakrycie głowy. Nigdy wcześniej jej nie widziałam. Czuję taką ulgę, iż to nie gestapo, że wchodzę lekkim krokiem do kuchni. Wokół panuje cisza, którą przerywa tylko miarowe kapanie wody z mojego okrycia.

Wszyscy chyba są na stryszku.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

Nieznajoma wstaje.

– Stefania Podgórska?

– Słucham.

– Nazywam się Krawiecka.

Wyjmuję zza pazuchy kopertę, odkładam ją obok puszek na cukier, po czym odwieszam ciężki od wilgoci płaszcz koło drzwi.

– Mogę coś dla pani zrobić? – pytam.

– Tak, możesz. Chcę, abyś dała schronienie Żydowi.

Gapię się na nią z ręką znieruchomiałą w pół ruchu. Nie zdążyłam zdjąć chustki z głowy, zanim mnie zaskoczyła.

– Co pani powiedziała?

– Chcę, abyś dała schronienie Żydowi. Chyba nie da się tego wyrazić jaśniej.

Zarzucam chustkę na górę płaszcza, wysuwam sobie krzesło i siadam na nim. Pani Krawiecka ponownie zajmuje miejsce na wersalce. Helena wodzi wzrokiem między nami dwiema.

– Co też pani wpadło do głowy?

– Proszę. Jestem z tobą szczerą. Też bądź ze mną szczerą. Ukrywam Żyda, który wolałby się ukrywać tutaj. Nazywa się Jan Dorlich.

– Nie znam żadnego Jana Dorlicha.

– Naprawdę? Dobrze ci idzie odgrywanie niewinnej dziewczyny. Widzisz, on zna ciebie. Otóż pan Dorlich uciekł z getta, zanim wczoraj przyjechały pociągi. Wiedziałaś, że znowu był transport? Ogrodzenie jest rozbierane. Getto stoi puste.

Nie, nie wiem nic o żadnym transporcie. Ucisk w piersi staje się silniejszy.

– Pan Dorlich dotarł do mojego domu, ale ja nie mogę pozwolić mu zostać. To zbyt niebezpieczne. On wie, że ukrywasz Żydów. Obu Hirschów, Diamantów i panią Bessermann z dziećmi. Dlatego myślę, że najlepiej dla wszystkich będzie, jeśli przyjmiesz pod swój dach jeszcze jednego.

Najlepiej dla wszystkich? Czy to znaczy, że jest gotowa nas zadenuncjować? A może posunie się do szantażu? No pięknie, jeszcze jedna szantażystka...

Chyba uduszę starego Hirscha.

– Proszę pani, pomyliła pani adresy. Nie znam pani. Nie znam Jana Dorlicha. I nie ukrywam żadnych Żydów. Ciężko pracuję, opiekuję się młodszą siostrą i zajmuję domem. Skąd miałabym mieć czas na

zajmowanie się obcymi ludźmi? Nigdy nawet nie słyszałam nazwisk, które pani wymieniła.

– Przestań udawać, dziewczyno. Twoje położenie... Nie możesz mi odmówić.

– Bo co? Doniesie pani gestapowcom na mnie i na moją siostrę? Pozwoli pani, żeby nas torturowali, aż przyznamy się do wszystkiego? Tego pani chce?

Ponieważ dopiero co dałam całusa oficerowi gestapo, nie jestem w nastroju do podobnych przepychanek. Ta kobieta wybrała zły dzień.

– Powinna pani lepiej sprawdzać fakty, zanim wlezie pani do czyjegós domu, mając na ustach same oskarżenia. Ja ukrywam Żydów? Dlaczego miałabym to robić? Nienawidzę ich!

Helena się krzywi.

– Ale... – Kobieta sięga dłonią do gardła.

– Może to ja powinnam pójść na gestapo i zeznać, że niejaka pani Krawiecka ukrywa Żyda w swoim domu?

– Nie! To znaczy... On wydawał się pewien...

– Widzi pani tu jakichś Żydów? Proszę, niech się pani rozejrzy! Zagłębnie w każdy kąt!

O dziwo, wstaje i przemierza całą kuchnię wzdłuż. Wchodzi do sypialni, patrzy przez okno, a nawet pod łóżko. Przenosi się do drugiego pokoju. Moment później wraca do kuchni, otwiera drugie drzwi i wkłada głowę do sieni, gdzie wita ją gdańskie niosących się kur. Stawia stopę na pierwszym szczeblu drabiny.

– Tak! – mówię głośno. – Stryzek też niech pani koniecznie sprawdzi!

Wspina się dostatecznie wysoko, aby spojrzeć ponad poziomem podłogi i zobaczyć graciarnię, którą tam urządziłam. Pośpiesznie schodzi na dół,

przestępuje ponad gdaczącymi wciąż kurami, maszeruje prosto do puszki na cukier i ujmuje kopertę.

W środku znajduje zdjęcie oficera SS.

Helena zakrywa usta. Najwyraźniej bawi ją frustracja pani Krawieckiej. Albo moje opanowanie.

– Cóż – mówi pani Krawiecka, upuszczając fotografię na stół. – Otrzymałam błędne informacje. Wiem, co należy zrobić. Przepraszam za zabranie czasu.

Zamykam za nią drzwi na klucz i wracam do kuchni. Helena biegnie do okna i po około minucie woła:

– Poszła sobie!

Otwieram drzwi do sieni, uwalniając kury, po czym przyglądam się, jak kolejno po drabinie schodzą moi Żydzi. Słyszeli większość rozmowy. I są wstrząśnięci.

– Przepraszam! Przepraszam! – powtarza Leon Hirsch. Broda mu powoli odrasta. – Po tysiąckroć przepraszam!

Maks opada na krzesło obok mnie, przeczesując włosy ręką.

– Fusi! Ty znasz Jana Dorlicha.

Podnoszę spojrzenie. Do tej pory trzymałam twarz ukrytą w dłoniach.

– Proszę?

– To był nasz listonosz. Jeszcze na ulicy Mickiewicza.

Pan Dorlich! Kompletnie wyleciało mi z głowy. Trudno uwierzyć, że go zapomniałam, choć nie sądzę, abym kiedykolwiek poznała jego imię. Nic dziwnego, że pan Dorlich wie o wszystkim. Z pewnością znał tego drugiego listonosza, któremu doktor Schillinger i stary Hirsch zapłacili za umożliwienie ucieczki z getta. Wbijam spojrzenie w Maksa.

– Co mam zrobić?

– Nie wiem. Oby tylko nic mu się nie stało.

Wcześniejsze przerażenie ustępuje wyrzutom sumienia.

Wtem wzrok Maksa pada na zdjęcie esesmana.

– O – mówi Maks. – Tak, to powinno zadziałać.

Domyślił się, po co mi ta fotografia. I jest zadowolony. A ja się złościę.

– Lubek idzie! – woła Helena.

Ośmioro ludzi wraca na stryszek. Nie, tylko siedmioro. Maks spogląda na drabinę, potem patrzy mi prosto w oczy. I chowa się w sypialni. Żeby niczego nie uronić. Zamyka się w pokoju z Heleną, która pod poduszką trzyma podręcznik stomatologii.

Nie chciałam robić tego dzisiaj.

Blondas próbuje wejść do środka, ale drzwi są zamknięte na klucz.

– Chwileczkę! – wołam.

Obrzucam kuchnię spojrzeniem, szukając śladów obecności kogokolwiek poza mną i siostrą. Zamykam drzwi do sieni i opieram fotografię o bok puszki na cukier.

– Wcześniej dziś wyszłaś z pracy – rzuca Lubek, przestępując przez próg, aby jak najszybciej schować się przed deszczem. Nie zaszczyca mnie ani słowem powitania.

– Miałam coś do załatwienia.

– Wiecznie masz coś do załatwienia. – Strzepuje płaszcz na zewnątrz, odwiesza go i zatrzaskuje drzwi. – Chyba mnie nie unikasz, co?

– Nie – odpowiadam, siadając przy stole. Lada moment Lubek zrobi sobie herbatę i sięgnie po cukier.

Wiem, że postępuję właściwie. W miejsce swojego życia po wojnie wybrałam życie siedmiu osób na stryszku i jednej pod łóżkiem w pokoju

obok. Mimo wszystko drzę przed chwilą, w której mój gość dostrzeże zdjęcie.

Lubek szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Coś mi się wydaje, że nie chcesz rozmawiać o tym, o czym ja chcę.

Jedno, co mi się w nim podoba, to że zawsze przechodzi od razu do sedna, bez owijania w bawełnę. Teraz też siedzi tak, aby spoglądać mi prosto w twarz. Tyłem do zdjęcia. Postanawiam, że również będę szczerą.

– Lubek, jesteś dobrym przyjacielem. Ale nie pasujemy do siebie.

– Dlaczego?

Dlatego, że na okrągło wszystkich okłamuję. Nawet ciebie. Dlatego, że w każdej chwili mogę zostać rozstrzelana. Dlatego, że byłam raz zakochana w chłopcu, ale zginął zamordowany, a ja obawiam się, że to się powtórzy.

Z tego ostatniego nie zdawałam sobie sprawy aż do tej pory.

– Dlatego, że cię lubię – mówię na głos – ale cię nie kocham.

Zadowolony, Maks?

Lubek marszczy czoło. Dziwię się, że do tej pory nie sięgnął po papierosa.

– To mogłoby się jeszcze zmienić.

Mogłoby. Ale nie może.

Kręcę głową. Lubek wstaje i odwraca się, żeby zrobić sobie herbatę.

I wtedy zauważa zdjęcie.

Na moich oczach kamienieje.

Krzyżuję ręce na piersi. Wiem, co należy zrobić.

– Kto to? – pyta Lubek zduszonym głosem.

– Ktoś, z kim się widuję.

– Widujesz się z... jednym z nich?

– Jest bardzo miły – mówię, mając w pamięci, jaką głupią minę zrobił w zakładzie fotograficznym. – Jest... jest z Salzburga.

Lubek wpatruje się w portret przystojnego esesmana jak sparaliżowany.

– To do niego chodzisz po pracy?

– Czasami.

– A potem siedzisz ze mną przy tym stole i pijesz herbatę?

Gwoli uczciwości, nigdy go do siebie nie zapraszałam na herbatę. Ale też nie przeszkadzało mi zbytnio, kiedy się pojawiał. Na ogół.

Wreszcie Lubek przenosi wzrok na mnie. Jest wściekły.

– Domyślam się, że jest bogaty.

– Dość – szepczę.

– Nie miałem pojęcia, że jesteś taka cyniczna! – Na te słowa mrugam, ale powstrzymuję się od grymasu. – Myślałem, że jest w tobie coś wyjątkowego! Że jesteś lepsza niż Janka i reszta dziewcząt. Myślałem, że masz głowę na karku. Ale teraz widzę, że łatwo cię kupić, tak jak was wszystkie. – Podchodzi do drzwi i łapie swój płaszcz. – Powiedziałem ci, że nie zmienię zdania. Myliłem się. Właśnie je zmieniłem. – W progu jeszcze się obraca. – Brzydzę się tobą.

Trzaska drzwiami tak mocno, że aż ściany drżą.

Wstaję, idę do drzwi, zamykam je na klucz. A potem całym ciężarem opieram się o drewniane skrzydło plecami.

Zranił mnie. Bardzo.

Co za okropny dzień!

Gdy otwieram oczy, naprzeciw mnie stoi Maks w rozchełstanej koszuli i boso. Bez wątplenia słyszał, jak Lubek wychodzi. Na razie nie dałam znaku reszcie, że mogą zejść na dół. On także się do tego nie kwapi. Po prostu podchodzi do mnie i obejmuje mnie ramionami. Płaczę mu w szyję.

– Przepraszam – mruczy. – Przepraszam.

– Powiedział, że się mną brzydzi – szepczę.

– Wiem. – Głaszcz mnie po włosach. – Ale tak naprawdę jesteś najwspanialszą osobą, jaką znam.

Jak dobrze mi w jego objęciach... Maks ujmuje moją twarz w obie dłonie i całuje mnie w czoło. Jak uczyniłby pan Diamant.

A może nie...

Dotyk jego ust na mojej skórze sprawia, że przestaję oddychać.

Nagle wszystko się zmienia.

Nieruchomiejemy; on z palcami w moich włosach. Czuję, że mnie pocałuje. W usta.

Tylko że nie może tego zrobić, ponieważ omijam go, wycieram twarz i odstawiam czajnik na miejsce. Maks stoi naprzeciwko drzwi, tam gdzie go zostawiłam.

A mnie serce wali, jakbym przebiegła maraton.

– Dam im znać, że mogą już zejść – mówi Maks.

– Czekaj... – Zastyga. – Masz trochę ziemi we włosach.

Przeczesuje się ręką, a ja niepotrzebnie przestawiam czajniczek. Moment później na dole robi się tłoczno i gwarno. Maks napomina wszystkich, aby zachowali ciszę, chyba po raz milionowy.

Zanoszę fotografię do sypialni i chowam ją pod materac.

Tej nocy, leżąc w łóżku, przywołuję we wspomnieniach każdą chwilę spędzoną z Maksem sam na sam. Czy naprawdę chciał mnie pocałować? A może tylko to sobie wyobraziłam? Czy ja chciałam go pocałować? I co powiedziałby Izio, gdyby Maks mnie pocałował...

Nie chcę nikogo kochać. Nie w trakcie wojny.

Miłość oznacza cierpienie...

Siuniek budzi mnie z głębokiego snu, w który nawet nie wiedziałam, że zapadłam. Boli mnie kark. Spałam z głową na podręczniku stomatologii. Strach wraca natychmiast, trzepocze mi w piersi, zaciska mocarną pięść na moim sercu, dławi mnie w gardle. Siadam prosto na łóżku.

– Co się dzieje?

– Są przy drzwiach – szepcze Siuniek. – Heniek i Danka!

– Zawołaj Maksa – mówię i odrzucam przykrycie.

* * *

Całuję Heńka w policzek i tulę Dankę, po czym oboje przejmuje Maks. Trzyma brata za obie ręce, z pochyloną głową, poszeptując coś.

I płacząc.

Wciąż chcę wyjąć mu te grudki ziemi z włosów.

Heniek zwlekał zbyt długo. Co niemal skończyło się dla niego i Danki tragicznie. Ukrywali się, dopóki nie odjechał ostatni pociąg. A potem SS przeprowadziło czystkę. Esesmani strzelali do każdego, kto się ostał. Ale Danuta była na to przygotowana. Odłożyła trochę jedzenia. I zorganizowała ubranie, które miało szansę przejść niezauważone poza gettem.

A potem wymknęli się za ogrodzenie już po rozpoczęciu godziny policyjnej, ryzykując, że Niemcy ich złapią.

Czuję wielką ulgę, że tu są. Szczególnie przez wzgląd na Maksa.

Jest nas teraz dwanaścioro. Ktoś spoza naszego grona zna naszą tajemnicę.

Nie mogę się nie zastanawiać, jak długo jeszcze to potrwa.

Ból za lewym okiem doskwiera mi przez cały dzień. W pracy Lubek traktuje mnie jak powietrze, gorzej nawet – jakbym dla niego umarła.

Po skończonej zmianie udaję się prosto na targ, gdzie kupuję to, co pozostało po całym dniu. Pięć kilo ziemniaków, parę marchewek i cztery

cebule. Dźwigam wszystko pod górę na Tatarską, po drodze starając się zapanować nad towarzyszącym mi stale strachem. Może to dziś jest ten dzień, kiedy pani Krawiecka pójdzie na gestapo. Albo członkowie Judenratu zdradzą to, co wiedzą – zakładając, że w ogóle przeżyli zamknięcie getta. Albo Ernst wreszcie zrobi sobie przerwę w picciu i zorientuje się, co się dzieje za ścianą.

Zastanawiam się też, czy powinnam dziś ugotować zupę.

Zamykam za sobą drzwi – zmęczona, obolała, zmartwiona i przerażona. Maks i Siuniek krążą wokół stołu. Poprawiają naczynia w zlewie. Popatrują na mnie. Szurają stopami.

Wyglądają tak, jakbym ich przyłapała na gorącym uczynku.

Upuszczam siatkę z ziemniakami.

– No dobrze. Kto zjadł wszystko masło? Bo dotąd winiłam za to zawsze Helenę. – Cisza. – Nie masło? To może cukier?

Siadam na krześle.

– Napijesz się herbaty? – proponuje Siuniek.

Przyjmuję propozycję. Głowa mi pęka, a on zdążył już nastawić wodę.

– Coś nie tak z Heńkiem? – pytam. – Albo z Danutą?

Maks siada naprzeciwko mnie, kręcąc głową.

– Chodzi o Dziusię? – drażę.

– Nie, o...

– Coś stało się Helenie? – Zrywam się na równe nogi.

– Nie, nie! – Maks przeczesuje włosy palcami. – Chcę cię o coś zapytać.

Nareszcie.

– Chciałbym wiedzieć, co sądzisz o tym, abyśmy ukryli jeszcze kogoś.

– Kogo?

– Jana Dorlicha.

Wracam na krzesło. Siuniek, który robi mi herbatę, nie spuszcza mnie z oka. Przyciskam palce do tętniących skroni i wzdycham.

– Skoro trzeba mu pomóc... to trzeba mu pomóc. Nie wydaje mi się, aby tamta kobieta chciała go ukrywać przez dłuższy czas.

– Zatem... – Siuniek się waha. – Jesteś gotowa przyjąć go pod swój dach?

– Na szubienicy dynda się tak samo, czy ukrywało się dziesięć osób czy jedenaście. – Przenoszę spojrzenie na Maksa. – Mam pójść do tej kobiety?

– Nie ma takiej konieczności.

– Jak to?

– Tak to – odpowiada Maks – że Dorlich już jest na strychu.

Przyglądam mu się dłuższą chwilę, po czym patrzę na Siuńka.

– Jak Dorlich jest na strychu?

Obaj kiwają głowami. Siuniek stawia przede mną kubek z herbatą. Dmucham na nią i upijam z wdzięcznością łyk.

– W takim razie powiedzcie mu, że kolacja będzie gotowa, jak tylko skończę pić herbatę.

Maks wyraźnie się odpręża.

– Miałeś rację – rzuca Siuniek, jakby Maks właśnie wygrał zakład.

Maks zerka na mnie. Przez moment patrzymy sobie w oczy. Uśmiecha się nieśmiało. A potem przechodzi razem z Siuńkiem do pokoju.

Chyba nie chce zostać ze mną sam na sam.

* * *

Nazajutrz po pracy znów idę na targ, ponieważ skończyło nam się jedzenie. Wydaję ostatnie pieniądze Hirscha przeznaczone na ten tydzień i kupuję to,

co zostało po całym dniu. Brukiew i trochę kaszy. Wędrując w górę Tatarskiej, zastanawiam się, czy to dziś. Czy to dziś otworzę drzwi i zastanę w środku mogiłę.

Może dodam brukiew do resztek zupy, zrobi się jej więcej.

Zamykam drzwi na klucz, opieram się o nie plecami, żeby się nie przewrócić ze zmęczenia. Dłoń mnie piecze w miejscu, w które się skaleczyłam, karmiąc maszyny kawałkami metalu. Maks i Siuniek znowu stoją w kuchni. Przeszują z nogi na nogę. Miny mają takie jak synowie pani Krajewskiej, gdy ich przyłapać z papierosem.

Zdejmuję płaszcz i siadam przy stole. Maks siada naprzeciwko. Siuniek zaczyna przygotowywać herbatę.

– Kto jest na strychu? – pytam.

– Moniek i Salcia – odpowiada Maks.

Zupełnie jakby zamiast żabami padało z nieba Żydami.

– Ukrywali się w piwnicy bez jedzenia, odkąd zlikwidowano getto – wyjaśnia Siuniek. – Nie mieli dokąd pójść...

– Ale skąd wiedzieli, że mogą przyjść tutaj?

Oczy obydwóch przepełnione są winą.

– Chwila. Jak oni mają na nazwisko?

Maks się waha, ale w końcu mówi:

– Hirsch.

– Przepraszam! – woła z drabiny stary Hirsch.

Dmucham na herbatę i upijam łyk.

Trzynaścioro, myślę. Trzynaścioro Żydów na moim strychu.

Cóż, nawet Niemcy mogą zabić człowieka tylko raz.

[26] *Guten Abend* (niem.) – dzień dobry.

[27] *Fotografieren* (niem.) – fotografia.

[28] *Gut aussehend* (niem.) – przystojny, urodziwy.

23

GRUDZIEŃ 1943

W domu przy Tatarskiej 3 jest pełno. Zaczynamy nawet używać drugiego pokoju jako sypialni, prześcieradłem oddzielając ustęp. Ale jedno wiadro to za mało; Helena musi je opróżniać kilka razy dziennie, aby zapanować nad smrodem. W dodatku wszystko teraz zabiera więcej czasu. Przejście z ostatniego pokoju do sieni, wspięcie się po drabinie trzynastu osób. Coraz częściej muszę prosić panią Krajewską bądź koleżanki z pracy, aby zaczekały pod drzwiami – że niby się przebieram, podczas gdy w rzeczywistości trzynaście osób zbiera swoje rzeczy, ustawia się w rzędzie i jedna po drugiej wchodzi na strych. Jeżeli dany gość zagląda do mnie po raz wtóry tego samego dnia, faktycznie muszę się przebrać, aby mieć na sobie coś innego niż to, w czym mnie widział ostatnio. Pani Krajewska myśli, że stałam się próżna. Najtrudniejsze jednak ze wszystkiego jest utrzymanie ciszy, skoro wszyscy się bez przerwy kłócimy.

Moniek Hirsch to bratanek starego Hirscha, a przy tym kuzyn Siuńka, ale nie oznacza to bynajmniej, że ci trzej się lubią. Najwyraźniej niesnaski

sięgają jeszcze czasów przedwojennych. Salcia jest żoną Mońka i w parze z Danką trzyma wspólny front przeciwko Malwinie, ta zaś popiera swojego syna Janka w sporach z Dziusią. Jan Dorlich zawsze zgadza się z doktorem Schillingerem, a Cesia po prostu trzyma się Siuńka. Natomiast Maks wiecznie bierze stronę brata, nawet gdy Heniek zachowuje się głupio, pod warunkiem że akurat nie sprzecza się gorąco z Siuńkiem – za nic mając obecność Ernsta za ścianą – jak powinno się kroić marchewkę do zupy.

Helena dalej ucieka, kiedy tylko może.

Jest jeszcze kwestia prania. Zarówno ubranie, jak i pościel trzeba prać co tydzień, w przeciwnym razie jest jeszcze więcej kręcenia nosem niż z powodu wiadra. Niełatwo jednak nanieść odpowiednio dużo wody bez zwracania uwagi pani Krajewskiej, pod której oknami przycupnęła studnia. Zakładając, że codziennie zrobimy dwa prania, w tydzień uporamy się ze wszystkim, po czym cykl zacznie się znów od nowa. Ósmego dnia, ledwie wróciłam z pracy, zwraca się do mnie Maks.

– No więc... Leon zaproponował, że zapłaci Malwinie za zrobienie prania za niego, i teraz Malwina jest zła, bo nie dostała pieniędzy, mimo że zagoniła Cesię do pracy. Cesia nie chce więcej prać, nawet swoich rzeczy, a Siuniek ją popiera. Heniek zaś twierdzi, że Danka jest za delikatna na pranie, chociaż wypada jej kolej. I sam nie ma zamiaru jej wyręczyć.

Odkładam torby, które dopiero co wniosłam na wzgórze.

– Maks – mówię. – Wyprodukowałam trzydzieści jeden tysięcy śrub na dwunastogodzinnej zmianie i przeszłam prawie pięć kilometrów w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Musisz sam rozwiązać ten problem.

Ja mam na głowie sprawunki. Przekupka, od której biorę mleko, interesuje się, jakim cudem dwie młode dziewczyny wypijają go aż tyle. Podobnie zagaduje mnie gospodyni, która na targu sprzedaje jajka. A pytania dotyczą tylko zakupów z tej połowy tygodnia, bo w zeszłym

zaopatrywałam się na innym targu właśnie z tego powodu. Pani Krajewska komentuje, że dzień w dzień dźwigam do domu ciężary, i nawet Lubek wypatrzył worek kaszy.

Dlatego otwieram firmę. Na niby. Rzekomo odkupuję produkty od rolników i wysyłam Helenę na targ, aby sprzedawała je z zyskiem, podczas gdy ja jestem w pracy. Ponieważ nasza mama potrzebuje pieniędzy. Mniej więcej to samo usłyszał ode mnie Lubek.

Helena wieczorami dźwiga do domu dwie pełne torby zakupów, które jej zleciłam, po czym co rano idzie w stronę miasta z workami, które wyglądają na pełne, ale wcale takie nie są. Maks je zrobił specjalnie dla niej – przyszył dwa kawałki drewna u dołu i u góry, po czym na tych ostatnich zamontował deseczkę, na której zmieści się na przykład chleb. Dzięki temu worki wydają się pełne. Helena ćwiczy chodzenie z nimi, garbiąc się bez potrzeby, jakby naprawdę dźwigała duży ciężar. Jeśli pani Krajewska pyta ją, czemu wraca z towarem, moja siostra odpowiada, że nie udało jej się wiele sprzedać i będzie musiała spróbować ponownie jutro.

Wieczorne torby naprawdę są dla niej za ciężkie. W dodatku zerwał się siarczasty wiatr, mimo że nie ma śniegu, a węgiel nam się kończy. Na domiar złego stary Hirsch przestał mi wydzielać pieniądze na tygodniowe zapasy jedzenia, ponieważ nie daję mu papierosów.

Przez dwa dni z rzędu jemy kapustę i ziemniaki, a trzeciego nawet tego nie mamy. Na kury pada blady strach. W końcu – zupełnie jakby za ścianą nie było Ernsta – wybucha awantura. Maks, doktor Schillinger, Heniek i Danką kontra stary Hirsch, Moniek, Salcia i Malwina. Na szczęście Siuniek znajduje schowane przez ojca pieniądze. Były w sęku jednej ze szczytowych belek na strychu. Prowadzenie buchalterii przejmuje Maks: wypisuje liczby na ścianie za otwartymi drzwiami, żeby Hirsch mógł je w każdej chwili zobaczyć. Ja przynoszę do domu wędzoną rybę i suszone

jabłka, a kury ratują się dzięki złożeniu czterech jajek. Wojna na Tatarskiej 3 dobiega końca.

Wciąż jednak potrzebujemy więcej pieniędzy na jedzenie.

Dlatego kolejną tygodniówkę inwestuję. Wracam z targu z czterema starymi swetrami, paskudnymi i dziurawymi, oraz z pięcioma parami drutów dziewiarskich. Dzieci ostrożnie prują dzianinę. Danka odlewa wodę z gotowania buraków i farbuje odzyskaną wełnę. A gdy ta jest już sucha, wszyscy uczą się robić na drutach. Te kobiety, które posiadały tę sztukę przed wojną, instruują mężczyzn niemających o tym pojęcia. Moi podopieczni mają co robić, a bryluje wśród nich Siuniek, któremu udaje się wydziergać rękaw w zaledwie kilka godzin. Sprzedaję sweter koleżance z pracy i w ciągu paru dni zbieram zamówienia na pięć kolejnych.

Nawet stary Hirsch zapomina o nałogu, kiedy liczy oczka.

Jedną czwartą pieniędzy uzyskanych za nowy sweter przeznaczam na kupno kilku starych. Drugą jedną czwartą wydaję na jakiś rarytas: kurczaka, ser albo nawet pikle, które na długo zachowały się w pamięci wszystkich. Pozostałe dwie czwarte odkładam. W tajemnicy. Ponieważ zbliżają się święta. A ponieważ Boże Narodzenie wypada w sobotę, nie będę musiała iść do fabryki już w piątek, co da mi trzy wolne dni z rzędu. To nic, że moi podopieczni są Żydami. Oni także potrzebują świąt.

Wszyscy ich potrzebujemy.

Dlatego zamierzam zrobić im niespodziankę.

W niedzielę poprzedzającą Boże Narodzenie wstaję bardzo wcześnie. Cesia pełni wartę przy oknie – aczkolwiek nie mam pewności, czy nie przysnęła, bo kiedy opuszczam nogi na podłogę, wzdryga się jak wyrwana ze snu. Opatulam Helenę, wzuwam buty i wkładam płaszcz, zachowując się tak, jakbym wybierała się do sławojki. Zamykam jednak drzwi na klucz, narzucam chustkę na głowę i ruszam w dół ulicą do wtóru dzwonów

katedralnych. Godzina policyjna już się skończyła, a ja mam w staniku ukryte wszystkie zaoszczędzone pieniądze.

Od jednej z kobiet w fabryce usłyszałam o pewnym człowieku. Żyje pod Przemyślem, z dala od drogi, w domu pośrodku lasu, i handluje różnościami. Takimi, jakich nie można spotkać na miejskim targu. I o których pochodzenie lepiej nie pytać. Przy odrobinie szczęścia można ponoć wytargować u niego dobrą cenę.

Liczę na swoje szczęście.

Pomimo otaczających mnie ciemności idę dziarskim krokiem, wydychając obłoczki pary. Wreszcie, gdy znajduję ścieżkę odchodzącą od drogi, słońce zaczyna wychylać się zza horyzontu. Ciało mam rozgrzane od szybkiego marszu. Nawet trochę się pocę. Za to moje palce u rąk i nóg są zdrętwiałe, a nos mnie swędzi, jakby się lekko odmroził. Pomiędzy drzewami widzę jakieś zabudowania. Szopę właściwie. W jej oknach jest ciemno, ale obok stoi niewielka stodoła, nad której wejściem wisi zapalona lampa. W pewnym momencie drzwi stodoły się otwierają i na zewnątrz wystawia głowę mężczyzna.

– Czego? – pyta.

Staję jak wryta.

– Przyszłam... coś kupić – bąkam, nie wiedząc, czy nie pomyliłam domów.

Mężczyzna obrzuca mnie spojrzeniem, naciąga czarną wełnianą czapkę niżej na uszy i uchyla nieco szerzej drzwi.

– Szybko! – ponagla mnie. – Zanim całe ciepło ucieknie.

Błyskawicznie przestępuję przez próg. Stodoła okazuje się magazynem. Wzdłuż ścian biegną półki, a na nich stoją butelki, puszki i pudła. Końskie boksy przypominają kramy z ułożonym starannie towarem. Muczące cicho krowy zapewniają ciepło, a może też są na sprzedaż...

Przyglądam się temu, co mężczyzna oferuje. Pięć tuzinów skarpet z demobilu. Skrzynka fasoli w puszkach. Pończochy. Perfumy. Jedna szminka. Wódka. Aspiryna. Papier toaletowy, z demobilu. Mnóstwo puszek z gruszkami w zalewie. Zastanawiam się, czy posterunkowy Berdecki też tutaj się zaopatruje.

W kwadrans znajduję wszystko, czego potrzebuję. Wiem, ile mogę za to zapłacić. Nie wiem, czy mężczyzna zgodzi się na taką cenę. Wtem mój wzrok pada na karton w rogu. Znajdują się w nim różności – zapewne z czyjś domu. Obok zaś leży... lalka. Nie lalka niemowlę, tylko podrośnięta dziewczynka, z blond warkoczami, niebieskimi oczyma i rubinowymi ustami. Z jednej jej nogi wyłazi słoma i ma plamy na sukience. Waham się tylko przez moment. Kładę lalkę na wierzchu swoich skarbów i zanoszę wszystko do mężczyzny w czarnej czapce.

Przegląda rzeczy, dokonuje obliczeń w głowie i wymienia kwotę. W odpowiedzi podaję swoją cenę. Mężczyzna kręci przecząco głową.

– To nie Armia Zbawienia, aniele.

– Gdybym była czyimś aniołem – rewanżuję się – tobym miała więcej pieniędzy.

Mężczyzna pokazuje zęby w uśmiechu i schodzi z ceny. Dla mnie jednak to nadal za drogo. Rezygnuję z połowy cukru. Tu wprawdzie jest tańszy niż w mieście, ale tam też mogę go dostać. Mężczyzna wzrusza ramionami. Wyjmuję dwie puszkę gruszek w zalewie. Ponowne wzruszenie ramion. Z wahaniem usuwam jeszcze kilogram mąki pszennej – tego rodzaju nie widziałam poza piekarnią od czterdziestego pierwszego roku – oraz buteleczkę aspiryny. Po chwili zmieniam zdanie, wyjmuję lalkę i wkładam aspirynę z powrotem. Gdy Heniek miał tyfus, za aspirynę zapłaciłam w aptece połowę tygodniówki. Mężczyzna obserwuje mnie uważnie.

– Święty Mikołaj już był – mówi.

– Wiem.

Powiedziałam Helenie, że w tym roku Święty Mikołaj miałby kłopoty z dotarciem do Przemyśla. Musiałyby jechać saniami przez zawieruchę wojenną. Moje tłumaczenia nie na wiele się zdały, ponieważ synowie pani Krajewskiej jednak dostali od niego prezenty.

– W porządku – decyduje mężczyzna. – Znajdę ci jakiś worek.

Nie rozumiem, czemu czuję taką gorycz z powodu lalki. To zbędna rzecz. Mogłaby spowodować waśnie między dziećmi. Które oczywiście w ogóle nie spodziewają się prezentów od Świętego Mikołaja. Niemniej chyba powinny pamiętać podarki z okazji Chanuki.

Płacę właścicielowi magazynu, a on pakuje towary do worka, który będę mogła przytroczyć do pleców. Pod jego ciężarem aż się garbię. Po ponownym przejściu tylu kilometrów bolą mnie wszystkie mięśnie i stawy. Ale czuję satysfakcję. Moja trzynastka dostanie swoją niespodziankę. Po drodze zahaczam jeszcze o targ, mimo że w niedzielę czynnych jest tylko kilka straganów. Kupuję trochę kapusty i nieco ziemniaków, aby wytłumaczyć jakoś swoją nieobecność. A potem dźwigam wszystko na Tatarską, coraz bardziej współczując Helenie codziennych wypraw.

Nie mam pojęcia, kto pełni wartę przy oknie, ale i tak staram się iść prosto, trzymając torbę z kapustą i ziemniakami przed sobą, aby nikt nie zwrócił uwagi na worek na moich plecach. Tuż przed domem wita mnie pani Krajewska.

– Stefanio! Widzę, że dzisiaj zastępujesz swoją siostrę. Ale nie powinnaś handlować przy niedzieli. Rozumiem jednak sytuację twojej matki... – Zatrzymuję się obok studni. – Pukałam do was, ale nikt mi nie otworzył. – Biegnę spojrzeniem do zasłoniętego okna, za którym jak wiem,

ktoś się czai. Helena najwyraźniej gdzieś znów sobie poszła. – Chciałam cię ostrzec, że ten kot jest niebezpieczny...

– Proszę? A, kot. Tak. Dlaczego?

– Ma chrapkę na twoje kury! Słyszałam, jak się tłucze, a potem te biedne ptaki tak się rozgdakały... – Oczyma wyobraźni widzę, jak Siuniek, schodząc po drabinie w samych skarpetkach, ześlizguje się ze stopnia i wpada między kurze gniazda. Pani Krajewska byłaby zdziwiona, gdyby wiedziała, że mój kot ma metr osiemdziesiąt wzrostu, potrafi robić na drutach i wymaga golenia. – Chciałam też powiedzieć, że na święta wyjeżdżamy do mojej siostry. Mogłabyś nam popilnować domu?

– A pani siostrzeniec?

– Ernst? Jedzie z nami, a potem wraca do swojej jednostki w Berlinie. Wielka szkoda, że nie było okazji, byście spędzili ze sobą trochę czasu...

Głędzi jeszcze jakiś czas, aż wreszcie jej mówię, że ręce odmawiają mi posłuszeństwa, a ona wtedy podaje terminy i dopiero się żegna. Przekradam się do sławojki, chowam worek ze skarbami za komórką, by później, jeszcze tej samej nocy, gdy wszyscy śpią, wnieść go do domu nakryty kocem. Kiedy Malwina wygląda tępo przez okno, ja wsuwam toból pod łóżko, na którym śpi Helena.

– Co robisz? – pyta pani Bessermann, odwracając głowę.

– Wydawało mi się, że słyszę mysz.

Wpycham worek głębiej i wtedy coś z niego wypada.

Lalka.

Na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

* * *

Cały najbliższy tydzień w pracy jestem radosna, podśpiewuję sobie i codziennie wyrabiam normę. Podczas przerw naprawiam lalkę. Zaszycam

dziury, piorę sukienkę, a Janka zaplata jej nowe warkocze i daje mi nawet ogryzki wstążki, żebym mogła przewiązać nimi końce. Za pomocą ołówka kopiowego poprawiam lalce brwi i rzęsy w miejscach, gdzie zeszła farba. W czwartek lalka jest jak nowa. Albo prawie jak nowa. W każdym razie prezentuje się bardzo ładnie.

– Twoja siostrzyczka będzie zachwycona! – ocenia Janka. – Szkoda, że nie mam młodszej siostry...

Lubek obserwuje nas w milczeniu, paląc i czekając, aż Janka będzie wolna. Ostatnimi czasy wychodzą z fabryki zawsze razem.

Owijam lalkę w szary papier i ukrywam ją na poprzecznej belce komórki obok sławojki. Nocą mam kłopot z zaśnięciem. Rzucam się w łóżku. Maks, który pełni wartę przy oknie, odwraca się do mnie.

– Co ty knujesz? – pyta szeptem.

Od tamtego wieczoru, gdy pocałował mnie w czoło, jest to pierwszy raz, kiedy inicjuje rozmowę ze mną w cztery oczy. Dotąd mnie unikał, a ja się zamartwiałam, co to może oznaczać. Sama nie wiem, co bym chciała, żeby to oznaczało. Ale dzisiaj jest mi to obojętne. Przechodzę na paluszkach w samej koszuli nocnej i siadam na podłodze.

– Wracam do pilnowania – szepcze i znów wygląda przez szparę między zasłonkami na płamę światła rzucanego przez pobliską latarnię uliczną. W pewnym momencie odchyła się na tylne nogi krzesła i rzuca mi spojrzenie.

– Powiesz mi wreszcie, co knujesz?

Kręcę głową. Ukrywam uśmiech.

– Nic nie knuję.

– Marna z ciebie kłamczucha.

– Przeciwnie. Umiem świetnie kłamać, ale odpowiednim osobom.

– Chcesz powiedzieć, że ja jestem nieodpowiedni?

– Do okłamywania przeze mnie? Tak.

Wydaje się urażony moimi słowami, choć nie mam pojęcia dlaczego.

– Myślałem, że jesteś taka radosna, bo się zakochałaś.

– W kim?

– A bo ja wiem? Zmieniasz ukochanych jak rękawiczki... – W jego głosie pobrzmiwa gniew. To mnie rani. Jestem pewna, że tylko wyobraziłam sobie to wszystko wtedy, gdy pocałował mnie w czoło... Z zamyślenia wyrywa mnie szept Maksa. – Przepraszam, Fusiu.

Przyglądam się jego ciemnym włosom, ciemnym oczom, gdy tak patrzy na blask latarni za oknem. Ryzykował życie, byle wyrwać się z zamknięcia w getcie. Teraz nie może opuścić tych trzech pomieszczeń i strychu.

Bez wątpienia zaczyna wariować...

– Wspominałem mamę – wyznaje cicho. – I zapalenie świec. I chałę. I to, jak wiecznie stała przy piecu, pichcąc coś, a w ostatniej chwili wysyłała mnie po jakiś drobiazg, którego zapomniała. Pędziłem chodnikiem ile sił w nogach, ponieważ mówiła, że jeśli nie kupię marmolady, nie będzie pączków z nadzieniem. Ale tak naprawdę lubiłem uczucie wiatru we włosach.

Potrafię to sobie wyobrazić. Mały Maks śmigający niczym ryba w prądzie ludzi podążających ulicą Mickiewicza.

– Który dzień Chanuki dzisiaj mamy? – pytam go.

– Trzeci.

Z rodziną Diamantów zazwyczaj spędzałam tylko pierwszy dzień Chanuki, ponieważ zwykle wracałam do domu na wsi na okres adwentu i świąt. Ale do dziś pamiętam pączki z marmoladą. I świece.

– A ja nie mogę się opędzić przed wspomnieniami o pierniku – mówię. – Przez cały tydzień. Mama zawczasu piekła piernik i inne ciasta na Wigilię.

– Mieliście więcej niż jedno ciasto?

– Dań w sumie było dwanaście, dla uczczenia dwunastu apostołów, zatem zwykle połowę stanowiły desery. Ja przepadałam za piernikiem. Mama co roku piekła po jednym w kształcie gwiazdy dla każdego z nas.

Maks spogląda za okno.

– Już nigdy nic nie będzie takie samo – szepcze. – Nawet po zakończeniu wojny. Nie miałem wtedy pojęcia, że żyję w czasie, który już nigdy nie wróci...

Chciałabym móc mu go podarować. Owinąć w ozdobny papier i przewiązać wstążeczką.

– Wszyscy żyjemy w czasie, który już nigdy nie wróci – odpowiadam. – Ale z każdym dniem tworzymy nowy czas. Tak to działa.

– Wolno rozmawiać? – mamrocze Dziusia ze swojego posłania. Jej ojciec, chcąc, by nie robiła hałasu przez sen, wytłumaczył jej, że ludzie nocą nie rozmawiają.

Maks uśmiecha się do dziewczynki zwiniętej w kłębek w ciemnościach i uśmiecha się do mnie. Nie wiem, kto pierwszy wyciąga rękę. Może robimy to oboje naraz. W każdym razie nagle Maks trzyma moją dłoń w swoich.

– Będziesz mi towarzyszyć, Fusi? Podczas warty?

Spełniam jego prośbę. Siedzimy razem, dopóki księżyc nie zajdzie, powieki nie zaczną mi ciążyć i doktor Schillinger nie zmieni Maksa przy oknie.

Rano, gdy doktor wciąż pełni wartę, a pozostali śpią, budzę delikatnie Helenę. Musi minąć kilka sekund, zanim moja siostra skupi wzrok. Wtedy pochylam się do jej ucha i szepczę, zasłaniając usta ręką. Hela kiwa głową i po cichutku wstaje z łóżka. Jakby szła do sławojki. Zauważam jednak

moment, w którym doktor Schillinger ją widzi, jak przecina podwórko ściętą szronem. Jego plecy prostują się mimowolnie.

– Co ona robi? – mruczy.

Staję za nim i wyglądam na zewnątrz. Łaję się w duchu, ponieważ Helena nie włożyła ani płaszcza, ani butów. Na moich oczach puka do drzwi pani Krajewskiej. Potem zagląda w okna. A później wraca szalonym pędem.

– Nie ma jej! – krzyczy na cały głos.

Siuniek, Janek i Dorlich gramolą się z podłogi w kuchni. Stary Hirsch, który zajmuje wersalkę, usiłuje się podnieść, ale ma kłopoty z wyplątaniem się z pościeli. W drzwiach drugiego pokoju pojawia się Malwina z Cesią, za nimi stoi Dziusia, a w głębi widać Mońka i Salcię, a nawet budzących się Heńka i Dankę. Maks jest na nogach, odkąd Helena wybiegła z domu. Wargi ma zacięte w wąską kreskę. Wyraźnie się boi.

– Chcesz im powiedzieć? – pytam.

Moja siostra kiwa głową. Z podekscytowania aż podskakuje w miejscu. Jeszcze chwila, a pęknie.

– Pani Krajewska – obwieszcza – wyjechała!

Otoczają mnie puste twarze. Stary Hirsch pada z powrotem na poduszki.

– Razem z mężem, synami i paskudnym esesmanem! – dodaje Hela. – Paskudny esesman już tu nie wróci!

Hirsch znowu podnosi się do pozycji siedzącej.

– Przez cały tydzień – kontynuuje Helena – możemy być tak głośno, jak chcemy. Nawet tak! – Skacze w górę i w dół, machając rękoma i piszcząc.

Przez moment moja trzynastka nie wie, jak się zachować.

Pierwszy przerywa ciszę Janek.

– Chcę hałasować!

Łapie Hełę za rękę i szybko – zanim ktokolwiek zdąży go powstrzymać – w podskokach biegnie do pokoju, po drodze wiwatując i pohukując. Malwina wybucha piskliwym śmiechem. Dorlich także, bardziej gromko, a Danka łapie Dziusię za dłonie i zaczyna się z nią kręcić w kółko, wykrzykując słowa:

*Hej, kto Polak, na bagnety!
Lub zwyciężym – lub gotowi
z trupów naszych tamę wznieść,
by krok spóźnić olbrzymowi,
co chce światu pęta nieść.
Hej, kto Polak, na bagnety!*

Trochę to zbyt gwałtowne jak na Boże Narodzenie, ale dzieciom się podoba. Moniek i Salcia, którzy pobrali się ledwie tydzień przed ucieczką z getta, tańczą walca, a Siuniek prosi na parkiet Cesię, przy czym muszą przestąpić nad Heleną i Jankiem turlającymi się właśnie po podłodze. Maks ociera łzy śmiechu z oczu.

Czuję się tak, jakbym wyszła w pochmurny dzień w góry i zobaczyła jezioro o nieruchomej stalowej tafli. Wtem słońce wychodzi zza chmur i wszystko się rozpromienia...

Jeszcze chwila, a z mebli zaczną lecieć wióry.

Starając się unikać łokci i kolan, przepycham się do sypialni, gdzie wydaję spod łóżka worek ze skarbami i ciągnę go do kuchni, póki wszyscy są zajęci. Podsycam ogień w piecu, nastawiam czajnik z wodą, a potem sięgam do worka po puszkę.

Malwina, która zawsze wszystko bacznie obserwuje, podchodzi prosto do mnie.

– To chyba nie... – zaczyna, wyjmując mi puszkę z dłoni. – Kawa!

– Ta-dam! – mówię.

To jedno słowo sprawia, że stary Hirsch zwleka się z wersalki, by nadzorować jej parzenie. Zapach, który się unosi, jest obezwładniający, a przy tym przywołuje wspomnienia domu. W kuchni wszczyna się gwar podnieconych rozmów. Kroję resztę chleba i smaruję kromki tym masłem, które zostało, po czym wołam kobiety. Maks także się zbliża, wyraźnie ciekaw, co się szykuje. Ja tymczasem zamasyście wysypuję zawartość worka na stół. Łupieżca ze swoimi łupami. Salcia wyciąga rękę i bada palcami mąkę, jakby nie wierzyła, że jest prawdziwa. Maks porusza brwiami.

– No więc – zaczynam. – Kto potrafi upiec chałę?

Gotujemy i pieczemy wspólnie, z pomocą Siuńka, Maksa, a nawet doktora Schillingera, którego obowiązkiem w domu przed wojną było obieranie ziemniaków. Tylko Malwina nie dopuszcza nikogo do robienia chały. Zostawiam moich zaaferowanych podopiecznych – Maks właśnie kroi zawzięcie buraki – sama zaś udaję się z Heleną do komórki na zewnątrz, uważając, aby nikt nas nie śledził. W środku odwijam lalkę z szarego papieru.

– Och – sapie moja siostra. – Ooooh!

– Święty Mikołaj trochę się spóźnił...

– Nic nie szkodzi – odpowiada szeptem Hela.

– Pomyślałam, że potrzebne ci towarzystwo, kiedy jestem w pracy.

Helena kiwa głową. Dotyka warkoczy i rubinowych ust, porusza rękoma lalki. A potem podnosi na mnie zafrasowane spojrzenie.

– A co z Dziusią i Jankiem?

– Oni nie wierzą w Świętego Mikołaja tak jak ty – mówię, czując lekkie wyrzuty sumienia. – Ale może lepiej będzie, jeśli... przynajmniej na

razie... nie pokażesz im swojego prezentu.

Hela potakuje, całuje lalkę i na powrót owija ją w papier. Wróciwszy do domu, zabieram się do wałkowania ciasta na wypieki, podczas gdy Moniek Hirsch opowiada głośno o rybie, którą raz złowił – poprawiany co chwila przez wuja. Nagle w sypialni rozlega się rumor. Helena pokazała Dziusi i Jankowi piłkę, tę, którą naprawił jej pan Szymczak i którą Maks przyniósł na Tatarską, mimo że po drodze groziła mu śmierć. We troje wymyślają grę, która polega na kopaniu piłki do jednych lub drugich drzwi, tak więc mamy wiele szczęścia, że nie ląduje ona ani w ustępie, ani w saganie z zupą.

Od rana do wieczora w domu pachnie świętami.

O zachodzie słońca stawiam na stole wszystkie cztery nasze lampy reprezentujące czwarty dzień Chanuki, stary Hirsch posypuje chałę solą, a po niej jemy barszcz i plindze, i gruszki w zalewie, i kurę, która postradała życie pod nieobecność Heleny grającej wciąż w piłkę. Na deser są ciasta i ciasteczka, w tym te powycinane w niezgrabne gwiazdy, ponieważ nie mamy foremek. A kiedy wszyscy najedliśmy się już do syta, kiedy naczynia czekają w zlewie na umycie, dzieci zaś zaczynają się robić śpiące, zbieram wszystkich przy stole i wyciągam największą niespodziankę, którą jest...

Wódka!

A także karton papierosów – z ostatniej przedświątecznej racji, której nie sprzedałam. Stary Hirsch całuje mnie w oba policzki, Moniek szykuje szklanki. Atmosfera staje się jeszcze radośniejsza.

Zaczynamy grać w botticellego. Dorlich okazuje się czarnym koniem o niespotykanych zdolnościach aktorskich. Lecz kiedy butelka wódki okrążyła stół wystarczającą liczbę razy, wszystko sprowadza się do Maksa, który chodzi z pustym garnkiem na głowie, gada, choć powinien milczeć, i szydzi z Hitlera – w swoim mniemaniu z angielskim akcentem, który mu

średnio wychodzi. Ewidentnie odgrywa Churchilla, tyle że nikt tego nie powie głośno, tak dobrze się bawimy. Łzy leją mi się ciurkiem po policzkach, a gdy Heniek, który nie ma za grosz poczucia humoru, wrzeszczy: „Churchill! Churchill, na Boga!”, zanoszę się jeszcze bardziej wariackim śmiechem. Siuniek, zgięty wpół i trzymający się za brzuch, pada w pewnym momencie na podłogę.

Maks zdejmuje garnek z głowy, siada obok mnie na wersalce i rzuca:

– Byłem dobry, tak?

– Byłeś dobry, nie!

Chichoczę, a on obejmuje mnie ramieniem.

Tak mi miło i przytulnie na tej wersalce, tacy wszyscy wokół kochani...

Dobra atmosfera zostaje z nami na długo. Trwa, gdy dzieci grają w piłkę w sypialni, gdy Helena śpi ze swoją lalką i gdy przesiaduję z Makssem przy oknie podczas jego wart. Nawet gdy pani Krajewska wraca i znów musimy zachowywać się cicho. Gdy kończą się papierosy, gdy trzeba dziergać swetry i robić pranie, gdy do jedzenia jest tylko kapusta. Gdy zima rozgaszcza się na dobre i muszę brnąć do pracy w śniegu, a Helena ślizga się, dźwigając ciężkie torby z zakupami pod górę. I gdy nie mamy pieniędzy na ani jedną bryłkę węgla więcej.

Do chwili, w której Salcia pełniąca wartę przy oknie rzuca ostrzeżenie i moja trzynastka znika na strychu. W której otwieram drzwi i zastaję w progu gestapo.

W której gestapowiec spogląda na trzymaną w rękę kartkę i obwieszcza:

– *Fräulein*, rekwirujemy ten budynek.

24

STYCZEŃ 1944

Wpatruję się w gestapowca. Są z nim dwaj esesmani. Wyglądają na poirytowanych. I znudzonych. Potrafię z siebie wydusić tylko:

– Co?

Gestapowiec marszczy brwi pod daszkiem czapki.

– Rekwirujemy ten budynek – powtarza, wolno wymawiając słowa. Po polsku, z silnym niemieckim akcentem. Jak gdybym była niedorozwinięta. A następnie wpycha się do środka, za nim zaś esesmani.

Lustrują puste pomieszczenia. Zaglądają we wszystkie kąty. Gestapowiec odhacza coś na swojej kartce. A ja mam nerwy napięte jak postronki, jeszcze chwila i całkiem się pozrywają.

Chcą zarekwirować mój dom. Niemcy chcą zarekwirować mój dom.

Helu, błagam, nie wracaj na razie.

W pewnym momencie gestapowiec otwiera drzwi do sieni, po czym cofa się gwałtownie, cmokając z niezadowoleniem. Wpija we mnie wzrok.

– Dokąd prowadzi ta drabina?

Gardło mam zaciśnięte. Usta suche jak wiór.

– Dokąd prowadzi ta drabina?! – krzyczy.

– Na stryszek – szepczę.

I przyglądam się, jak stawia obute w lśniące oficerki stopy na kolejnych szczeblach, pnąc się w górę. W końcu znika w otworze. Esesmani obserwują mnie bacznie, za plecami mając święty obrazek. Gestapowiec chodzi po strychu, następując na skrzypiące deski.

Proszę, Panie Boże. Proszę, Panie Boże. Proszę, Panie Boże.

Kroki na strychu cichną. Niebo milczy. Gestapowiec schodzi po drabinie i znów zaznacza coś na kartce.

– Opuszczony budynek naprzeciwko zostanie zaadaptowany na szpital... – Widziałam już robotników, którzy wchodzili na teren dawnej szkoły i wykonywali pomniejsze naprawy. Nie miałam pojęcia, co to może oznaczać. – Jego personel musi gdzieś mieszkać. Nowi mieszkańcy pojawią się za dwie godziny. Możesz zabrać swoje osobiste rzeczy, zostawiając wszystkie meble.

Dwie godziny. Niemcy potrzebują mojego domu już za dwie godziny.

– Ale ja... Nie zdołam się spakować w tak kró...

Nie zdołam znaleźć zastępczego schronienia dla moich trzynaściorga Żydów.

– Wybór jest prosty: albo się wyniesiesz, albo cię zastrzelimy.

Gapię się na niego.

– Jeżeli za dwie godziny wciąż tu będziesz, zostaniesz zastrzelona. Rozumiesz?

Rozumiem. Bardzo dobrze rozumiem.

– Wrócimy za sto dwadzieścia minut – ogłasza, stawiając na kartce ostatni krzyżyk.

Kieruje się do wyjścia, a dwaj esesmani depczą mu po piętach.

Kładę ręce na oparciu krzesła i biorę długi, choć płytki wdech. A potem przeskakuję nad kurami i wspinam się po drabinie, przesuwam deski i wpełzam za fałszywą ścianę.

Danka wydaje pisk, ale poza tym panuje spokój. Nawet dzieci płaczą bezgłośnie. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co ci ludzie czuli, gdy gestapowiec wchodził po drabinie.

A może jednak potrafię.

Maks klęczy, trzymając w rękach dechę. Chyba chciał mi nią przywalić w głowę.

– Fusia! – syczy. – Uprzedź nas następnym razem. Co...

– Requirują ten budynek – przerywam mu. – Niemcy przyjdą tu za dwie godziny i odbiorą mi dom. Zostańcie tutaj. Znajdę dla nas jakąś inną kryjówkę.

Ale dokąd mogłabym zabrać trzynaścioro Żydów? I to natychmiast?

Nie wiem.

Maks łapie mnie za ramię.

– Kiedy przyjdą, będziemy się z nimi bić. To już postanowione.

– Znajdę coś...

– Zabierz Helę – rzuca Maks. – I nie wracajcie tutaj.

– Jeśli przyjdzie, powiedz jej, żeby się schowała w ruinach zamku.

– Fusia! Zabierze Helę i nie wracajcie tutaj!

– Powiedz, że ją tam odnajdę – dodaję i zaczynam schodzić po drabinie, jakbym go w ogóle nie słyszała.

Puszczam się pędem w dół ulicy Tatarskiej, strzelając oczyma na wszystkie strony. Dokąd ich zabrać? Do piwnicy? Do garażu? Ale jak ich

przeprowadzę w świetle dnia? Są obdarci, zarośnięci, bladzi. Wyglądają, jakby całe tygodnie spędzili w zamknięciu. Dokąd możemy pójść?

Wpadam do biura kwaterunkowego, wzbudzając niezadowolone pomruki stojących w kolejce petentów, gdy ich roztrącam na boki. Przy maszynie do pisania siedzi ta sama kobieta, która pomogła mi załatwić lokum na Tatarskiej.

– Potrzebne mi mieszkanie – rzucam. – Natychmiast. Niemcy rekwirują mój dom, a moja siostra i ja nie mamy dokąd się u...

– Załatwienie przydziału trwa co najmniej pięć dni – odpowiada kobieta. Tym razem nie nazywa mnie kwiatuszkiem ani kotkiem. Pewnie dlatego, że jestem niegrzeczna.

– Raczej dwa tygodnie! – krzyczy mężczyzna z końca kolejki.

– Nie ma pani nic na już? – pytam.

– Oczywiście, że nie!

Odprawiona z kwitkiem, biegam bez celu po ulicach, ponieważ nie mam pojęcia, co innego mogłabym zrobić. Szukam jakiegokolwiek lokum, w którym zmieściłoby się piętnaście osób. Chociaż na dzień, na dwa... Na nowy przydział będę czekać dwa tygodnie, ale kto mi zagwarantuje, że znajdzie się tam miejsce na kryjówkę? Pukam najpierw w jedne, potem w drugie drzwi, tam gdzie w oknach widzę ogłoszenia, ale nikt nie chce się zgodzić na wprowadzkę, dopóki nie dopełnię formalności. Idę do katedry, zamaczam palce, klękam i robię znak krzyża, wszystko tak szybko, że dwie parafianki przerywają modlitwę i odwracają głowy, żeby na mnie spojrzeć.

Proszę. Błagam. Żebrowane sklepienie ponad moją głową milczy.

Biją dzwony.

Zostało mi pół godziny.

Muszę podjąć jakąś decyzję.

Wybiegam z katedry, pozwalając, by ciężkie dębowe wrota zatrzęsnęły się za mną, i nie przestaję biec, dopóki nie znajdę się pod drzwiami domu przy Tatarskiej 3.

W środku jest Helena. I Maks. Cała moja trzynastka zgromadzona w kuchni. Maks dzierży dechę. Malwina trzyma w ręku nóż kuchenny. Siuniek ma młotek.

Pozostało piętnaście minut.

Drzwi wejściowe nie są nawet zamknięte na klucz.

Maks odkłada deskę i podchodzi do mnie. Ujmuje moją twarz w obie dłonie i spogląda mi prosto w oczy.

– Posłuchaj mnie – mówi. – Dość dla nas zrobiłaś. Zabierz Helenę i uciekajcie. Rozumiesz?

Spojrzenie ma mroczne, gniewne, pełne rozpacz.

– Uciekaj, Fusi – popiera go Siuniek.

– Uciekaj – mówi Dorlich, a po nim to samo powtarza Salcia i Malwina. Wszyscy dotykają mnie tam, gdzie mogą.

– Nie zwlekaj, dziewczyno – dodaje stary Hirsch.

– Ucieczka to twoja jedyna szansa – potakuje doktor Schillinger.

Dziusia obejmuje mnie w pasie. Patrzę na Maksa i czuję, że po policzkach płyną mi łzy.

Wiem, że nie mogę uciec.

– Helu – szepczę. – Idź do Emilki. Zamieszka z nią do czasu, aż mama wróci do domu.

Moja młodsza siostra potrząsa głową. Obejmuje mnie ramionami, jak Dziusia przed chwilą, i tak stoimy we trzy.

Pozostało dziesięć minut.

– Stefano – odzywa się Maks. Sam też płacze. – Musisz zabrać Helę i uciekać! Natychmiast!

Gdybym uciekła, nie mogłabym ze sobą żyć. Pragnę żyć, ale nie tak.

Potrząsam głową.

– Zmuszę cię! – grozi Maks.

– Fusi! – popiera brata Heniek. – Nie rób głupstw.

Płacząca wciąż Dank! kładzie mi dłoń na ramieniu.

Tracę jasność myśli. *Co można zrobić w takiej sytuacji?... Helena musi być bezpieczna...* Serce mi wali, łomocze o żebra. Nie jestem w stanie patrzeć dłużej na płaczącego Maksa. Zaciskam wilgotne powieki.

Ogarnia mnie dziwny spokój. Jest mi ciepło, miękko. Jak tamtej nocy, gdy znalazłam futra. Gdy odkryłam Tatarską. I tak samo jak wtedy zaczynam toczyć w duchu rozmowę z inną częścią siebie.

Wyślij ich na strych. Otwórz okna. Zachowuj się tak, jakbyś się nie bała. Posprzątaj drugi pokój.

Nie bądź śmieszna. Po co miałabym to robić, skoro zaraz zginę zastrzelona?

Nie zastrzelą cię.

Ale ten gestapowiec powiedział, że mnie zastrzeli. A potem odkryje resztę i...

Nikt cię nie zastrzeli. Potrzebny im pokój. Tylko jeden pokój.

Zastrzelą Helenę...

Nie. Potrzebują tylko pokoju. Zachowuj się tak, jakbyś się nie bała. Zaoferuj im pokój.

Ale...

Pokój. Teraz. Już tu idę.

Otwieram oczy. Maks mną potrząsa. Chyba nawet spoliczkował mnie kilka razy.

Pomyślą, że zwariowałam. Ryzykuję życie Heleny. To nie może się udać. Rozsądek mi podpowiada, że to się nie uda.

Ale w głębi ducha czuję spokój. Nie jestem sama. Wiem, że będzie dobrze.

– Idźcie na strych! – rzucam. – Wszyscy!

– Fusi! – szepcze Maks. – Proszę, nie...

– Idźcie! – Zostawiam ich pośrodku kuchni i idę zamknąć drzwi wejściowe na klucz.

– Róbcie, co mówi – poleca im Maks. – Tylko ani mru-mru.

Posłusznie przechodzą do sieni i niczym duchy zaczynają się wspinać po drabinie. Byliby walczyli, gdyby było trzeba. Ale nie będzie trzeba. Maks podnosi deskę, rzuca mi jeszcze jedno spojrzenie i znika na strychu. Nie jest już zagniewany. Jest smutny. I jakby zagubiony.

Myśli, że już nigdy mnie nie zobaczy.

– Helu – zwracam się do siostry. – Szybko. Opróżnij wiadro z nieczystościami i zostaw je na dworze. Potem wyprowadź kury na zewnątrz i zostań z nimi. Zamknę za tobą drzwi na klucz.

Nie mówi ani słowa. Wkłada po prostu płaszcz i robi, co jej kazałam, podczas gdy ja ściągam prześcieradło oddzielające ustęp i chowam je pod swoim łóżkiem. Odciągam zasłonki i otwieram okno. Wdycham czyste powietrze. Zdążyłam zapomnieć, jak wygląda ten pokój, gdy wlewa się do niego światło. Zaczynam zamiatać. Podśpiewując pod nosem. Schowek na strychu jest dokładnie nad moją głową.

Maks na pewno uważa, że postradałam rozum.

Możliwe, że tak jest.

Jeśli nawet, dobrze mi z tym.

Zaczynają bić dzwony. W drzwi uderza czyjaś pięść.

Nie śpieszę się z otwieraniem. Ani nie ociągam. Ruszam, nie odkładając miotły. Drzwi otworzę, jak do nich dojdę.

Wtedy przekonam się, czy jest mi dane żyć.

Czy umrzeć.

Otwieram drzwi.

Naprzeciwko stoi gestapowiec. Inny gestapowiec. Poważny. Z nosem zaczerwienionym z zimna i pistoletem. Nie ma z nim żadnym esesmanów.

– Stefania Podgórska? – pyta, zerkając na trzymaną w rękę kartkę. – Ja w sprawie kwatery.

Ten mówi po polsku znacznie lepiej. Biorę głęboki oddech.

– Tak, zostałam uprzedzona. Właśnie zamiatałam pokój.

– Zobaczyć mogę?

Nie wiedziałam, że gestapowcy umieją prosić o pozwolenie. Otwieram drzwi szerzej i uśmiecham się do Heleny, która drżąc w swoim płaszczyku, wygląda zła sławojki. Gestapowiec myśli, że uśmiecham się do niego.

Przechodzi do ostatniego pomieszczenia, robi notatki, a potem – mijając moje łóżko – zatrzymuje się i podnosi kopertę. List od mamy. Helena znów go czytała przed zaśnięciem. Nagle rysy gestapowca łagodnieją.

– Salzburg? Ja jestem z Salzburga!

– Moja matka i brat są tam na robotach. Dlatego wychowuję sama młodszą siostrę.

– Ta dziewczuszka na zewnątrz to twoja siostra? Ładniutka. I nieśmiała. – Gestapowiec się uśmiecha.

Nie wygląda na to, aby miał mnie zastrzelić.

Siada ze mną przy stole. Mówi, że zostały mu tylko dwie pielęgniarki do zakwaterowania i że nie rozumie, czemu miałyby mieć osobne pokoje. Mogą przecież spać w jednym, podczas gdy ja i moja siostra zatrzymamy nasz. Czy to by mi odpowiadało? Jak to dobrze, że nie wyniosłyśmy się od razu, skoro jednak możemy zostać. Za parę chwil pojawią się żołnierze z dwoma łózkami. Może mógłby zabrać list do mojej mamy, kiedy będzie jechał do Salzburga?

Dziękuję mu i zamykam za nim drzwi.

Miał pistolet, ale go nie użył.

Żyję. Helena żyje.

Wszyscy żyjemy.

Wkrótce muszę otworzyć drzwi ponownie, gdyż pojawili się żołnierze niosący dwie żelazne ramy. Wstawiają je do tylnego pokoju, robiąc przy tym wiele hałasu. Nie mam pojęcia, co myślą sobie moi Żydzi. Pośród tego rozgardiaszu pojawiają się dwie niemieckie pielęgniarki. Karin i Ilse. Obie młode, po dwudziestce, z pomalowanymi lakierem paznokciami i świeżo zakręconymi włosami. Nie wydają się zachwycone warunkami. Nie zamierzały dzielić pokoju. I jak będą żyły bez prądu? I kuchni z prawdziwego zdarzenia? A łazienka jest gdzie?

Wszystkiego domyślam się z reakcji niemieckich żołnierzy, ponieważ kobiety nie mówią po polsku.

Może będą chciały zmienić lokum tak bardzo, że znajdą na to sposób.

Kiedy się rozpakowują, informuję je, że zabiorę parę rzeczy. Robię to, pokazując palcem wybrane przedmioty, co konfunduje pielęgniarki jeszcze bardziej. Są równie wstrząśnięte moją osobą, jak swoim nowym otoczeniem. Helena siada przy stole, gotowa w każdej chwili zagwizdać, gdyby pojawiły się problemy – gdyby kobiety zaczęły się pchać na górę albo gdyby pojawiło się więcej Niemców – a ja w tym czasie zakradam się

na strych z pustym brudnym wiadrem i drugim, pełnym wody do picia. Obawiam się, że nowe lokatorki nie opuszczą tak szybko naszych podwojów.

Maks już otwiera przejście. Nogi ma w schowku, a tułów i głowę po drugiej stronie, tak że gdy klękam, aby przepelznąć do nich, może mnie złapać za głowę, przytknąć swoje czoło do mojego i szepnąć:

– Wariatka z ciebie, wiesz?

Kiwam głową, pocierając czołem o jego czoło. *Wiem.*

Zostawiam im wiadra i wracam na dół.

Późnym popołudniem Ilse przybiega do mnie i woła:

– *Ratte! Ratten!*^[29]

Wskazuje przy tym sufit. Domyślam się, że chodzi jej o dobiegające z góry chroboty.

Pewnie ma na myśli gryzonie.

– Och. – Wzruszam ramionami. – Szczury, tak. Bardzo mi przykro.

Ilse krzywi się z obrzydzeniem.

Muszę ostrzec Maksa, ale nie mam jak.

Pielęgniarki bezwstydnie sięgają do mojej spiżarni. Jakby moje jedzenie też zostało zarekwirowane na potrzeby niemieckiej armii. Zjadają wszystek chleb. Masło przewidziane na cały tydzień i połowę zapasu jajek. Nie zostaje nic, co bym mogła przemycić na górę na surowo. Potem rozsiadają się na wersalce i szwargocą. Zdaje się, że humory im się poprawiły. Ilse pomaga Karin nałożyć sobie równo szminkę. Następnie otwiera drzwi, gdy rozlega się pukanie. Jakbym była powietrzem.

Do środka wchodzi dwaj niemieccy żołnierze. Jeden jest w mundurze SS. Cała czwórka się wita, wymieniając cmoknięcia.

I wreszcie wszyscy znikają w tylnym pokoju.

Zdają się nie przejmować, że w tym domu jest dziecko.

Tej nocy Helena i ja śpimy na wersalce. A przynajmniej moja siostra śpi. Ja leżę w bezruchu i z otwartymi oczyma, wyczekując sposobnej chwili, by zakraść się na strych. Gdy w końcu udaje mi się wymknąć, Maks odsuwa deski tylko nieznacznie, aby nie narobić hałasu. Wcześniej wydlubał niewielkie dziury w deskach, aby widzieć, kto się zbliża.

– Słyszają was – szepczę.

– My je też – odpowiada Maks.

Wiem.

– Musicie zachowywać się ciszej.

– Dzieci są głodne.

– Helena przyniesie wam śniadanie, jak tylko wyjdą do pracy. Ale teraz wszyscy musicie być cicho.

Maks kiwa głową potakująco, lecz nie sędzę, by czuł pewność, że zdoła utrzymać dwunastkę współrodaków w ryzach.

Ja też nie mam złudzeń. Niektórzy z nich są trudni. A niektórzy mali.

Gdy kładę się na wersalce obok Heleny i w domu wreszcie zapada cisza, nawiedzają mnie dawne strachy. Tak naprawdę nigdy mnie nie opuściły. Przez cały czas bulgotały pod przykrywką fałszywego poczucia bezpieczeństwa, którą je nakryłam. Nie czuję się już bezpieczna. Mam kłopoty z oddychaniem, z myśleniem, a ciągły ból za oczami sprawia, że widzę gwiazdy nawet w biały dzień. Chcę zabrać stąd Helenę i uciec. Tak jak mi radzili.

Ależ byłam głupia, nie słuchając tych rad. Co osiągnęłam? Tylko odwlekłam dzień, w którym przyjdzie nam umrzeć. Tylko wydłużyłam ich cierpienia.

Nagle przypominam sobie wcześniejszą pewność.

Musi być jakiś powód.

Musi być szansa, że to przetrwamy. Czepiam się tej nadziei jak swojej wiary w Pana Boga.

W moim domu śpi czworo Niemców.

I trzynaścioro Żydów nad ich głowami.

Pomiędzy nimi jesteśmy my dwie, moja siostra i ja.

Coś mi mówi, że wszyscy na nowo poznamy na własnej skórze, co znaczy piekło.

[29] *Ratte! Ratten!* (niem) – Szczur! Szczury!

25

LUTY 1944

Nie jestem w stanie ich wykarmić.

Wychodzę do pracy, zanim pielęgniarki udadzą się do szpitala. Wracam do domu mniej więcej o tej samej porze co one. Niedługo później zwalają się nam na głowę ich „narzeczeni”. Ponieważ szpital mieści się naprzeciwko, moje lokatorki mogą bez przeszkód wyskakiwać z pracy, aby na przykład zmienić obuwie, zabrać sweter, którego zapomniały, czy podgrzać sobie parówki z fasolką na szybki obiad, podczas gdy moi podopieczni siedzą na górze stłoczeni i przełykają ślinę z głodu. Wolne dni obu kobiet wypadają różnie, a wyglądają tak, że obie wylegują się do późna, a potem gdzieś wychodzą, choć nigdy nie wiem, na jak długo. Bywa też, że spędzają cały dzień w czterech ścianach.

Nocami leżę bezsennie, nasłuchując.

Helena stara się, jak może. Codziennie rano, zaraz po tym, jak Karin i Ilse wyjdą do pracy, znosi ze strychu wiadro z nieczystościami i taszczy tam wodę pitną. Później udaje się na targ, odstawiając cyrk z dźwiganiem

pustych worków. W tym czasie dwie osoby z mojej trzynastki schodzą na dół, aby się umyć, rozprostować nogi i przygotować posiłek dla reszty. Gdy wypada pierwszy dyżur Danki, gotuje ona trzynaście jajek na twardo i jeszcze gorące zanoszą na strych, kiedy Heniek rzuca od okna ostrzeżenie, że Karin nadciąga tanecznym krokiem po – jak się okaże – czapkę swego esesmana. A Helena, która właśnie wraca z targu, dostaje od Karin w twarz za to, że rozpałała pod piecem i wyszła.

Odbywamy potem rozmowę na ten temat, Karin i ja. Bardzo łamaną rozmowę na wpół po niemiecku, na wpół po polsku. Myślę jednak, że przekaz jest dla niej czytelny. „Spróbuj uderzyć znowu moją siostrę, a tak cię zdzielię, że popamiętasz, i w nosie mam, kto jest twoim narzeczonym”.

Nazajutrz w pracy błagam *herr* Brauna, aby przeniósł mnie na nocną zmianę. Prawię mu komplementy. Wiercę mu dziurę w brzuchu. A on i tak odpowiada, że tego nie robi. Stoję więc przy maszynie, walcząc z mdłościami, tak się boję, co wyprawia się w domu pod moją nieobecność. Karin spogląda na nas niczym głodna orlica, zwłaszcza gdy jemy.

Muszę teraz chować jedzenie, ponieważ Niemki zjadają wszystko, co zobaczą.

Prowadzę pensjonat dla niemieckich pielęgniarek już drugi tydzień, gdy przychodzi mi do głowy pewien pomysł. W drodze powrotnej z pracy kupuję buraki, obieram je, kroję i wrzucam do sagana. Ilse, która piłuje sobie paznokcie na mojej wersalce, pociąga nosem i uśmiecha się szeroko. Oczekuje wizyty narzeczonego. Wkrótce dołącza do niej Karin, po czym obie przyglądają się, jak mieszam w garnku. Nieustannie trajkoczą, ale udaje mi się wychwycić tylko tyle, że wspominają o barszczu. W końcu Karin robi się taka niecierpliwa, że łapie łyżkę, podchodzi do pieca i unosi pokrywkę. Cofa się jak oparzona, upuszcza pokrywkę i skarży się głośno Ilse.

Kiedy przychodzą esesmani i cała czwórka znika w tylnym pokoju, podnoszę pokrywkę i wyławiam motek wełny z barszczu, który przecież nie różni się znacznie od farbki. Następnie przekradam się z garnkiem pełnym zupy na strych. Wełnę wcześniej uprałam, a Maks powie potem, że włókienka nadały potrawie sytości.

Gdybym wierzyła, że są w stanie jeść wełnę, karmiłabym ich nią. Maks jest bardzo chudy. A w którąś niedzielę, gdy obie pielęgniarzki mają dyżur i wypada jego dzień, by zejść na dół, odkrywam, że ma pchły. Informuje mnie, że na strychu naprawdę pojawiły się szczury – z powodu jedzenia, które tam przynoszę. A szczury, jak wiadomo, mają pchły. Wszyscy cierpią od ugryzień. Na całym ciele. Każę mu się umyć w sypialni, podczas gdy Siuniek pełni wartę przy oknie. W pamięci wciąż mam ostatnie Boże Narodzenie i to, jak Maks objął mnie ramieniem. A także wcześniejszą noc, gdy przyglądałam mu się siedzącemu przy oknie i myślałam o tym, jak bardzo musi mu doskwierać zamknięcie.

Teraz znalazł się w jeszcze ciaśniejszej klatce.

Chcę, by Maks przeżył. Uświadamiam sobie nawet, że bardziej chcę tego, niż boję się zginąć.

Poświęcam kolejną kurę i zużywając resztkę ziemniaków, gotuję gęstą zupę, którą będą mogli zabrać ze sobą na górę. Gdy strawa wciąż pyrka na piecu, staram się wyczesać pchły z włosów Maksa. Nie wiem, czy coś to da, ale Maks wyraźnie się rozluźnia. Ma długie włosy. I długą brodę. Powinnam go ostrzyć, lecz zdaję sobie sprawę, że przy swoich umiejętnościach zrobiłabym mu beznadziejną fryzurę. Bawię się czarnymi kosmykami.

– Jesteśmy w strasznym stanie, prawda, Fusiu? – pyta z zamkniętymi oczyma.

Jesteśmy żywi, odpowiadam w duchu.

Gdy Siuniek kieruje się z garnkiem zupy do sieni, daje Maksowi trochę łągu, przykazując, aby polał nim podłogę i w miarę możliwości opryskał szczurzą sierść.

– Dobrze. – Potakuje skinieniem.

Chce mi się płakać, kiedy z takim trudem pnie się po drabinie.

Zostawił mi prezent obok puszek na cukier, gdzie niegdyś leżało zdjęcie esesmana. Jest to kawałek papieru z obrazkiem narysowanym ołówkiem kopiowym. Przedstawia... mnie. Tak przynajmniej głosi podpis – FUSIA. I moją siostrę. Mnie włosy kłębią się w lokach po obu stronach twarzy, a stojąca obok Helena szczyrzy się jak głupia. Tyle że zamiast rąk Maks narysował nam anielskie skrzydła, które rozpościerają się od brzegu do brzegu kartki, a pod nimi widnieją trzynaście twarzy. Maks, doktor Schillinger, Dziusia. Siuniek Hirsch i jego ojciec. Malwina Bessermann z Cesią i Jankiem. Moniek i Salcia. Heniek i Danka. Jan Dorlich.

Dotykam wizerunku Maksa, lecz gdy słyszę głos Ilse w progu, biegnę do sypialni, żeby ukryć obrazek pod materacem. Tam gdzie chowam wszystko.

Nazajutrz podczas przerwy śniadaniowej w pracy Janka opowiada mi o kobiecie, mieszkance Przemyśla, tyle że po drugiej stronie Sanu, która ukrywała Żydów na strychu. Jej mąż zмайstrował specjalny system, dodatkową rurę, która biegła po ścianie domu, dzięki czemu ci ludzie mogli załatwiać swoje potrzeby. Niestety rura zaczęła przeciekać i lokatorka z parteru na okrągło miała strasznie brudne okna. A jej mąż popatrzył na rurę, zrozumiał, co oznacza, i poszedł na gestapo. Gestapowcy znaleźli na strychu czworo Żydów, wszystkich zastrzelili na podwórku przed domem, a potem zabili kobietę, która ich ukrywała, jej męża i dwoje dzieci. Mężczyzna z parteru miał takie wyrzuty sumienia, że wrócił do mieszkania i strzelił sobie w głowę. Jego żona postradała zmysły z rozpaczy.

Janka opowiada tę historię, jakby to była przerażająca bajeczka, którą się karmi przyjaciół w środku nocy, żeby wywołać u nich gęsią skórkę.

Dla mnie to jest rzeczywistość. Aż nazbyt realna. Dopada mnie znów ból za lewym okiem.

Lubek obserwuje mnie, paląc papierosa.

Biegając po pracy do domu, rozmyślam o słowach Janki. Wyobrażam sobie, że to dziś pielęgniarki wspięły się po drabinie. Rozmontowały fałszywą ściankę w poszukiwaniu szczurów... Z zadumy wyrывa mnie dopiero pani Krajewska, którą mijam na początku Tatarskiej.

– Jak ci się to udało, Stefanio? – pyta mnie, machając wolną ręką. W drugiej trzyma sprawunki. – Ja staram się od lat, a te Niemki tylko pstryknęły palcami i już!

– O czym pani mówi? – Chcę do domu. Chcę się przekonać, czy pozostał ktoś żywy.

– O elektryczności! – odpowiada sąsiadka. – Zanim poszłam na zakupy, szykowali się do poprowadzenia drutów. Na pewno bardzo docenisz ele...

– Poprowadzili druty? Gdzie?

– No chyba przez strych...

Ruszam z kopyta. Pędzę. Gnam. Nawet jeśli tylko po to, by zdążyć na własną egzekucję.

W górze ulicy brak mi tchu. W boku kłuje mnie tak, że muszę iść dalej zgięta w pół. Pani Krajewska nie minęła się z prawdą. Dwaj robotnicy stoją na moim dachu, tuż nad kryjówką, a w dole kłębi się tłumek gapiów zafascynowanych spektaklem. Wypatruję wśród nich obie pielęgniarki, które uśmiechają się z satysfakcją. Oraz pana Krajewskiego, który wychodzi z domu tak rzadko, że prawie go nie widuję.

Podbiegam do niego i dyszę:

– Co tu się dzieje?

– Przepuszczą przez strych słup, po którym poprowadzą druty – wyjaśnia mi. – Muszą w tym celu wyciąć dziurę w poszyciu dachowym. Zobaczysz, że to zrujnuje ściany. Mury są stare i...

– Chcą przepuścić słup przez strych? – upewniam się, czy dobrze usłyszałam.

– Tak.

Nie. Nie. Nie. Nie mogą tego zrobić.

– A potem – kontynuuje pan Krajewski – poprowadzą po nim druty, mocując je co kawałek.

Nie. Nie. Nie. Nie wolno im wejść na strych!

– I wreszcie – kończy wyjaśnienia mój sąsiad – pociągną kabel na sam dół.

Jeżeli wytną otwór w dachu, spojrzą prosto w twarz trzynaściorgu Żydom.

Jeden z mężczyzn podnosi świder, szykując się do nawiercania dachówek.

Nie. Nie! NIE!

– Chwileczkę! – wołam. – Nie możecie tego zrobić!

Robotnik nieruchomieje. Tłumek, w tym część personelu szpitalnego, czeka, co będzie dalej.

– Prąd jest potrzebny tylko w jednym pokoju! – krzyczę. – Mamy zimę! Niedługo zajdzie słońce! Czy nie łatwiej będzie skorzystać z okna?

– Dziewczyna ma rację – popiera mnie pan Krajewski. – Inaczej zrujnujecie ściany.

Robotnik rozważa to, co usłyszał, po czym odkłada świder.

– Uwaga, schodzę – rzuca.

Przez sekundę czuję ulgę, ale zaraz staje mi przed oczyma obraz tego, co musi się wyrabiać na strychu. Moi Żydzi na pewno słyszeli gwar ludzkich rozmów i przygotowania robotników do wycięcia dziury w poszyciu, a mimo to musieli zachować absolutną ciszę.

Wbiegam do domu. Helena siedzi w rogu wersalki, starając się zlać w jedno z obiciem.

– Powstrzymałam ich – mówię. – Wyjdź na dwór, a ja w tym czasie powiem im, co się dzieje.

Błyskawicznie wspinam się po drabinie – kury są na zewnątrz – rzucam się w stronę schronienia i ukrytego przejścia. Znalazłszy się po drugiej stronie, ustawiam deski na miejscu, na wypadek gdyby ktoś poszedł w moje ślady. Gdy się odwracam, widzę całą trzynastkę stłoczoną w jednym rogu, jak najdalej od miejsca, w którym miał biec słup. Są obdarci, w ich oczach czai się przerażenie, mają we włosach słomę, a na odsłoniętej skórze czerwone plamy po pchlich ugryzieniach. Doktor Schillinger zakrywa buzię Dziusi dłonią, tłumiąc wydawane przez nią szlochy. Maks jest zwrócony do nich twarzą, wyciąga w ich kierunku rękę, nakazując, aby zachowali ciszę.

Strach towarzyszy mi od dawna. Czuję go niemal cały czas. Pierwszy raz jednak widzę, jak wygląda u innych.

– Odwiodłam ich od pierwotnego planu – szepczę. – Nie będą przebijać się przez strych. Puszczą druty oknem w ścianie pod wami. Ani mru-mru!

Zerkam przez wydłubany otwór, odsuwam deski, zasuwam je i zbiegam na dół.

Otwieram drzwi do kuchni i... staję oko w oko z Ilse. Patrzymy na siebie nawzajem – ja na nią z uśmiechem, mimo że kęs kanapki Janki przełknięty niedawno chce wyrwać się na wolność.

– Z dachem wszystko w porządku – informuję. – Nie uszkodzili go.

Nie mam pojęcia, czy mnie rozumie, kiedy mówię po polsku. Ale później widzę, że zagląda do sieni i zerką w górę drabiny. Ból za lewym okiem obejmuje także prawe.

Skąd tyle hałasu o podciągnięcie prądu, dowiaduję się, gdy przychodzą narzeczeni pielęgniarek. Mają ze sobą radio. Siadam na łóżku i zaczynam szcztokować włosy Heleny, podczas gdy ona bawi się lalką i czeka, aż dostroją radio.

Czy to nie zabawne, myślę, że tak się przejmowaliśmy Ernestem zza ściany, a teraz, gdy mamy pod dachem czworo Niemców, jakby nigdy nic czeszę siostrę, mając nadzieję, że zaraz usłyszę wiadomości?

Marzenia ściętej głowy. Jakiegokolwiek stacji słuchają, za drzwi dociera tylko szum, dodatkowo stłumiony odgłosami prowadzonej po niemiecku rozmowy. W pewnym momencie słyszę charakterystyczny głos Ilse, której w sukurs idzie zaraz Karin. *Ratten*, powtarzają raz po raz. To wzbudza żywą reakcję mężczyzn.

Kładę się, choć ból za oczami nie minął. Nie podobało mi się to, w jaki sposób Ilse zerknęła w górę drabiny. Nie podoba mi się ucisk na dnie żołądka.

Nazajutrz z powodu choroby nie idę do pracy.

Nie jestem chora. Jestem przerażona.

Ledwie Karin i Ilse wyjdą, Helena idzie do studni. Gdzie musi bić się z synami pani Krajewskiej. A wydawało mi się, że ukróciłam te walki. Pani Krajewska miała porozmawiać z chłopcami. *Dlaczego Helena mi się nie poskarżyła?* Na szczęście moja siostra wygrywa tę rundę i przynosi wodę. Następnie dźwiga ją po drabinie, szczebel po szczeblu, a kiedy wraca, trzyma obiema rękami uchwyt wiadra z nieczystościami. Jakby nigdy nic przestępuje ponad kurami – zupełnie jakby odrażający smród jej nie przeszkadzał.

Wiele od niej wymagam. Zbyt wiele.

Zostaję w koszuli nocnej; gdy któraś z pielęgniarek po coś wróci, będę mogła dalej udawać chorą. Szykuję owsiankę. Wielki gar owsianki. Maks schodzi na dół.

– Hela mówi, że nie poszłaś dzisiaj do pracy. Źle się czujesz?

Nie wiem, jak mu wytłumaczyć, że coś w naszych pielęgniarkach mnie niepokoi. I to w takim stopniu, że zdecydowałam się na utratę jednej dniówki.

– Tylko udaję – odpowiadam.

– To dobrze – kwituje. – Mam ci coś do powiedzenia.

Uśmiecham się na jego widok. Wygląda lepiej niż ostatnio. Ślady po ugryzieniach mu zeszły, twarz ma rozjaśnioną jak lampy postawione na stole z okazji Chanuki. Gdy Helena wraca z opróżnionym i opłukanym wiadrem, Maks pochyla się odruchowo i pozwala jej zmierzić sobie długie włosy i przeczesać skołtunioną brodę, wydając przy tym odgłosy zadowolonego kanapowego pieszczocha czworonoga. Moja siostra chichocze i mówi:

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Musi to być jakiś strychowy rytuał, o którym nie miałam pojęcia.

– Co robisz na dole, Maks? – pyta Hela.

– Jestem niegrzeczny.

– Aha. – Chichocze ponownie i wygania kury na dwór.

– Dziś kolej Mońka i Salci, tak że mam tylko minutę, ale chciałem ci coś pokazać. Spójrz. – W rękę trzyma stetoskop.

– Masz zapalenie płuc?

– Jeszcze nie. Ale mogę... – zawiesza głos dla dramatyzmu – podsłuchiwać przez strop. – Porusza śmiesznie stetoskopem, jakby to był żywy wąż.

Podsłuchiwać przez strop? Słuchać radia!

– Co udało ci się usłyszeć?

– W sumie niewiele. Nie wszystko było tłumaczone na polski. Ale poskładałem klocki do kupy. Wychodzi na to, że idzie im coraz gorzej. Na wszystkich frontach. Rosjanie odbijają Ukrainę. Niemcy się wycofują...

– To blisko nas.

– Jeśli Rosjanie będą parli dalej na wschód...

– ...mogą dojść aż tutaj.

– A wtedy będziemy wolni – kończy Maks.

Dobrze jest zobaczyć wyraz nadziei na jego twarzy.

Sielankę przerywają ludzkie głosy na podwórku. *Nikt nie patrzył przez okno!*

Maks znika na strychu, ale zostawia drzwi do sieni uchylone. Nie mam czasu ich domknąć, ponieważ próg przekraczają właśnie pielęgniarki. Jest z nimi narzeczony Karin.

Esesman.

Odruchowo sięgam dłonią do dekoltu koszuli nocnej, zaciskam szorstki materiał w garści, równocześnie garbiąc się lekko. To – w połączeniu ze zzieleniałą nagle twarzą – na pewno przydaje mi wyglądu osoby chorej.

Albo przerażonej.

– Źle się czujesz, *Fräulein*? – pyta esesman.

A, więc mówi po polsku. Trzeba to zapamiętać.

Kiwam głową, zaciskając dekolt nocnej koszuli jeszcze ciaśniej. Drugą ręką ujmuję łyżkę i zaczynam mieszać owsiankę. Karin coś mówi, pokazuje

na mnie, zapewne każe mu zadać mi jakieś pytanie.

– Gdzie twoja siostra, *Fräulein*?

Strach staje się obezwładniający. Ledwie jestem w stanie utrzymać w ręce łyżkę. Helena nie wróciła z dworu. Zapewne pobiegła się gdzieś bawić.

Uciekaj, Helu. Uciekaj.

– Na targu – odpowiadam. – Dlaczego pan pyta?

– Te panie twierdzą, że z tym domem jest coś nie tak.

Spoglądam na pielęgniarki.

– Jak to?

– Chcą, żebym sprawdził strych.

Esesman stoi sztywno wyprostowany, z maską pozbawioną wyrazu zamiast twarzy. A mimo to wygląda jak ktoś, kto czuje się niezręcznie. *Namówiły go do tego!*

Chcę doprowadzić do mojej śmierci! I Heleny, dziecka jeszcze!

Może to dobrze, bo ta świadomość sprawia, że odpycham od siebie strach precz. Wciskam go w to samo miejsce w moim umyśle, gdzie już wcisnęłam Izia, panią Diamant i tych wszystkich ludzi, których znałam, a którzy wsiedli do pociągu w getcie i już nie wrócili. Bezdenny dół wspomnień, do którego nie muszę teraz zaglądać. Z którym mogę uporać się później, w swoim czasie.

Gdy strach znika, pojawia się wściekłość.

– Świetnie – rzucam. – Niech pan sprawdza.

Odwracam się i dalej mieszam owsiankę.

Owsiankę, którą ugotowałam dla piętnastu osób.

Nie widzę ich reakcji, ale słyszę, jak mamroczą między sobą.

Błagam, Maks. Niech deski będą zasunięte. Błagam, Panie Boże. Niech dzieci zachowują się cicho.

Słyszę kroki podkutych butów na podłodze kuchni. I na stopniach drabiny. Nakrywam garnek przykrywką i staję w drzwiach sieni, aby odprowadzić wspinającego się esesmana wzrokiem.

– Ostrożnie! – wołam za nim głośno. Żeby Maks usłyszał. – Niech pan uważa, tam mogą być szczury!

Esesman zaczyna wspinać się energiczniej, zapewne po to, by jak najszybciej wychylić się poza poziom podłogi, ratując głowę przed gryzoniami.

Uświadamiam sobie, że ten konkretny esesman boi się szczurów.

– Widzi pan jakieś? – wołam znowu. – Chciałam je wytruć, ale...

Stopami stoi na drugim szczeblu od góry. Wykręca tułów, rozglądając się dookoła.

– Mały ten strych – stwierdza.

– Reszta przynależy do mieszkania obok.

Karin krzyczy coś do niego po niemiecku, on jej odpowiada, patrzy w jeden punkt przez kilka sekund, po czym pyta:

– *Was ist das?*^[30]

Jakby zauważył coś, czego nie spodziewał się ujrzeć. Serce wali mi tak mocno, że pielęgniarki muszą to widzieć przez koszulę nocną. Krzyżuję ręce na piersi, jakbym się niczym nie przejmowała. Pozornie spoglądam przed siebie pustym wzrokiem, ale tak naprawdę patrzę na święty obrazek.

Proszę, Panie Boże. Proszę.

Esesman schodzi na dół, prędko, otrzepuje mundur i potrząsa głową.

– *Ratten* – oznajmia.

On chyba naprawdę zobaczył szczura!

Karin wygląda na zdziwioną. Ilse na rozczarowaną.

– Sprawdził pan wszystko? – pytam.

– *Ja*. Tak. Dziękuję, *Fräulein*.

– Mogłabym prosić pana o przysługę, skoro już pan tu jest i mówi po polsku?

Kiwa głową, doprowadzając mundur do porządku. Wydaje się lekko zagniewany.

Daleko mu jednak do mojej wściekłości.

– Mógłby im pan powiedzieć, że mój ojciec nie żyje, moja matka i brat są na robotach w Niemczech i muszę sama zajmować się młodszą siostrą?

Przekazuje pielęgniarce moje słowa ze spuszczonego wzrokiem.

– Mógłby pan jeszcze powiedzieć, że mało zarabiam i ledwo mi starcza pieniędzy?

Przekazuje i to, ale zaczyna tracić cierpliwość.

– Tak że kiedy podkradają mi jedzenie, moja siostra chodzi głodna?

Milczy przez moment, ale tłumaczy na niemiecki i te słowa. Karin zaczyna coś mówić, lecz ja jej przerywam.

– Niech pan im jeszcze powie, że moim zdaniem bardzo niegrzecznie jest zapraszać gości bez pytania. Zwłaszcza że muszą przejść przez moją sypialnię. I że zostają do rana, w obecności mojej młodszej siostry.

Znów czuje się niezręcznie, ale wciąż tłumaczy, co mówię.

– I jeszcze... Karin najpewniej już to wie... że jeśli poważy się znów podnieść rękę na moją siostrę, sama wezwę gestapo.

Tego już nie tłumaczy, tylko drze się na Karin, która drze się na niego, tak samo jak Ilse.

Stoję. W końcu, wciąż rozkrzyczani, wychodzą na zewnątrz.

Zdejmuję owsiankę z rozgrzanej fajerki. Gar na piętnaście osób, a oni nawet się nie zorientowali. Zdaję sobie sprawę, że przyjdzie mi jeszcze za wszystko zapłacić. Nawet jeśli Karin i Ilse nie wrócą.

Ponieważ strach wróci na pewno.

Przemyśl dał mi dobrą edukację. Nauczył mnie, by nie dzielić ludzi wedle ich narodowości, religii ani poglądów politycznych. Dzięki życiu w tym mieście wiem, na podstawie czego da się ludzi podzielić.

Stąd wiem, do której grupy zaliczają się pielęgniarzy.

[30] *Was ist das?* (niem.) – Co to jest?

26

MARZEC 1944

Ktoś mnie śledzi w drodze do pracy.

Zauważam to z samego rana, gdy nad wzgórzami otaczającymi Przemyśl unosi się wiosenna mgła, a wstające coraz wcześniej słońce dopiero zaczyna ją rozpraszać ciepłem swoich promieni. Na ryneczku, gdzie kupcy rozstawiają stragany, stoi mężczyzna udający, że czyta gazetę. Ma pociągłą twarz i krzaczaste brwi, niemalże zrosnięte w jedną. Tego samego człowieka widzę w dole obok torów, kiedy przechodzę mostem. A gdy opuszczam wieczorem fabrykę, rzuca mi się w oczy, oparty o słup telefoniczny.

Nie oglądam się. Zachowuję się normalnie. Ale na targu kluczę, mimo że jest już blisko zamknięcia. Przystaję, przepatruję towary, obracam je w rękę, ustawiając się pod światło, aby dojrzeć skazy w blednym blasku. I za każdym razem widzę jego, chociaż tłumek ludzi topnieje z każdą chwilą.

Nazajutrz jest tak samo. I kolejnego dnia.

Boję się wyjść z domu.

Boję się zostać w domu.

Mimo że pielęgniarki zachowują się wobec mnie milej. Niedługo po incydencie ze szczurem Ilse zbiera się w sobie i pyta mnie, ile mam lat. Pokazuję jej osiemnaście palców. Ilse wydaje się zaskoczona, a do mnie dociera, że obydwie mogły uważać Helenę za moją nieślubną córkę, nie siostrę. W każdym razie zaczynają mówić „dziękuję” i „proszę” i przestają podkradać nam jedzenie. Nadal przyprowadzają narzeczonych do domu, ale w wypadku Karin nie jest to ten sam esesman. Najważniejsze jednak, że zachowują się grzeczniej.

A może są takie grzeczne, bo wciąż żywią wobec mojej osoby podejrzenia i każą mnie śledzić dla pewności?

Licząc na to, że mężczyzna z jedną brwią o mnie zapomni – albo przynajmniej straci zainteresowanie mną – przez dwa dni z rzędu nie idę do pracy, oddając się w domu dzierganiu, aby zarobić pieniądze w miejsce utraconych dniówek. Pod nieobecność Karin i Ilse zamykam drzwi i wołam, żeby wszyscy zeszli ze strychu na dół, bo w przeciwnym razie tam zwariują.

Niektórych trudno mi poznać. Szopy włosów na głowie. Błede oblicza. Zmarszczki tam, gdzie ich jeszcze niedawno nie było. Doktor Schillinger stracił niemal wszystkie siły. Jan Dorlich to chodząca szczapa. A Dziusia nauczyła się zamykać we własnej głowie. Tylko siedzi i siedzi. Janek ledwie chodzi. Kryjówka jest za ciasna dla tylu osób. Tkwią w niej ściśnięci, nieruchomo – z obawy, że strop nad głowami pielęgniarek skrzypnie. Nie mogą rozmawiać, bo ktoś usłyszy. Choć są głodni, nie mogą jęczeć. Rozpiera ich gniew, któremu nie mogą dać ujścia. Nie wolno im kaszlnąć, nie wolno kichnąć, nie wolno zachrapać. Muszą się godzić z tym, że łażą po nich szczury.

Myślę, że niektórzy mnie obwiniają.

Inni winią Maksa.

Potrzebny im ktoś, na kogo mogliby zrzucić winę.

Trudno jest wierzyć, że to się kiedyś skończy.

Chyba tylko poprzedni narzeczony Karin chciał słuchać wiadomości, ponieważ odkąd przestał się pojawiać, jedyne dźwięki, jakie przynosi stetoskop, to melodie taneczne. Nie wiemy, czy Armia Czerwona robi postępy. Nie wiemy, jak wygląda sytuacja na innych frontach. Pani Krajewska pojechała z synami w odwiedzinach do siostry i – z czego zdałam sobie sprawę dopiero po dłuższym czasie – nie wróciła do domu. Pan Krajewski nadal mieszka obok. Maks mówi, że za ścianą słychać, jak przemierza pokój na piętrze tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zaopatrzenie jest coraz gorsze. To, co można znaleźć na targu, kosztuje bająćskie sumy. Wyraz nadziei, który tak pięknie wyglądał na twarzy Maksa, zniknął bez śladu.

Być może Niemcy jednak zawładnęli światem.

Nazajutrz po tym, jak mężczyzna z jedną brwią odprowadził mnie pod samą bramę fabryki, dowiadujemy się, że będziemy deportowani. Do Niemiec.

Fabryka Wyrobów Metalowych Minierwa zostaje przeniesiona do Berlina razem z całym personelem. Wywózki zaczną się pod koniec kwietnia.

Udaję się prosto do *herr* Brauna, który każe mi iść do dyrektora, a jemu dać spokój.

Idę do dyrektora, który siedzi za biurkiem w obowiązkowych drucianych okularach na nosie. Zapytany, potwierdza, że moje nazwisko znajduje się na liście. Odpowiadam, że właśnie się o tym dowiedziałam i dlatego przychodzę, ponieważ mam młodszą siostrę, której nie mogę

zostawić bez opieki. Na to słyszę, że to żaden problem, gdyż w Berlinie jest wiele porządných szkół z internatem i chętnie mi zaraz jakąś poleci.

Nie, nie mogę przenieść się do Berlina, ponieważ nie mam wystarczających kwalifikacji, właściwie nie wiem, co robię.

Z tego, co słyszał, mogłabym zastępować mechanika, tak dobrze sobie radzę z naprawianiem pompy wodnej.

Wzdycham i podaję prawdziwy powód: jestem chora.

Przeogląda listy obecności i moje absencje, przy których wpisałam jako usprawiedliwienie: „problemy kobiece”. Dyrektor odkłada papiery na bok. Problemy kobiece to nie choroba.

Właśnie że choroba.

Żadna tam choroba. Chyba że byłaby diagnoza lekarska. Nie ma? W takim razie jadę do Berlina ze wszystkimi.

Jeżeli wyjadę, moja trzynastka zginie z głodu.

Mężczyzna z jedną brwią idzie moim śladem pod sam gabinet lekarski. Odczekuję swoje w kolejce, po czym lekarz ostukuje mi brzuch i podbrzusze, a ja karmię go fałszywymi symptomami. Tylko że nie wiem, co dokładnie powiedzieć.

– W twoim wieku to normalne – orzeka, notując coś w karcie. – Wszystko minie, jak będziesz starsza.

– Ale ja cierpię – kłamię. – I nie mogę pracować.

– Cóż. Jestem pewien, że to przykre. Ale musisz to znosić, jeśli chcesz zostać matką.

Chcę go kopnąć, ot co. Ale uśmiecham się, szeroko, jakbym bardzo, ale to bardzo chciała, żeby kupił mi czekoladkę. W jego oczach pojawia się współczucie. A ja przywołuję na twarz wyraz niepokoju.

– Widzi pan, doktorze... Jest jeszcze jeden problem. Opiekuję się swoją młodszą siostrą. Ma dziewięć lat, a moją fabrykę przenoszą do Niemiec. Zabiorą mi Helenę, wyślą do szkoły z internatem, poza tym ta praca jest dla mnie za ciężka, nie ma mowy, żebym zniosła taką podróż... Najlepiej by było, gdybym dostała od pana zaświadczenie, że jestem zbyt chora, aby podróżować, dzięki czemu siostra zostanie ze mną, a ja znajdę jakąś inną pracę. Zgodzi się pan, że tak byłoby najlepiej?

Teraz lekarz marszczy czoło i chrząka.

– Nie wypiszę takiego zaświadczenia komuś, kto nie jest chory. Byłby to akt zdrady wobec Führera. Opuść ten gabinet. I następnym razem idź do innego lekarza.

Zagryzam wargę, ale wychodzę posłusznie. Pozwalam śledzić się mężczyźnie z jedną brwią do skrzyżowania z Tatarską. Odkąd zaczął za mną łązić, nigdy nie wspiał się na wzgórze.

Zastanawiam się, ilu szpiegów gestapo wysłało do gabinetu tego lekarza, że stał się tak ostrożny.

Zastanawiam się, jak ciężko powinnam zachorować, by dostać zaświadczenie.

Nazajutrz w pracy nie muszę udawać zmęczenia ani bladości, ponieważ jestem nieprzytomna z niewyspania. Nie muszę udawać bólu głowy. Sukienka na mnie wisi. Podczas przerwy wszyscy wybiegają przed fabrykę, gdyż w rowie leży kobieta. Nieżywa. Zamarznięta na kość. Zastrzelona, jak wyjaśnia *herr* Braun, za ukrywanie Żyda. Jedni szeptają, że to straszne. Inni, że dostała to, na co zasłużyła. Lubek pali w milczeniu papierosa.

Przez resztę zmiany jestem tak rozkojarzona, że nie wyrabiam normy. Majster zacina wargi w wąską kreskę. A później, gdy mężczyzna z jedną brwią znów śledzi mnie w drodze do domu, słyszę syknięcie.

– Pssst... *Fräulein, Fräulein!*...

Rozglądam się i widzę esesmana stojącego samotnie po przeciwnej stronie ulicy. Czapkę ma naciągniętą nisko na czoło, kołnierz postawiony wysoko po same uszy. Gestami daje znać, abym podeszła do niego. Czuję, jak strach się we mnie przelewa, ale ignoruję to. Każde naczynie ma ograniczoną pojemność, a ja jestem właśnie takim naczyniem. Przechodzę na drugą stronę ulicy i wtedy spływa na mnie olśnienie.

To on. Esesman ze zdjęcia, które trzymałam obok puszki na cukier.

Macha rękoma, pokazuje na siebie i marszczy w skupieniu brew.

– Urodziwy?

Pyta, czy go pamiętam. Kiedy potakuję skinieniem, odpręża się wyraźnie. Jest nadal przystojny, ale nie podszkolił się w polskim.

Urodziwy esesman wyteęza umysł, próbując znaleźć słowa. Zaciera ręce, ponieważ wiatr jest lodowaty.

– Nie – zaczyna i urywa, po czym dorzuca: – idź.

– Mam nie iść?

– *Ja!* – potwierdza. – Nie idź! Idź... – Obraca mnie i popycha w przeciwnym kierunku. Brwi ma ściągnięte. Wygląda na przejętego.

Nic nie rozumiem. Stoję jak kołek.

Bierze mnie więc pod rękę, delikatnie, i prowadzi w dół ulicy. W stronę, w którą i tak szłam. Zatrzymujemy się na rogu, on wygląda zza węgła i pokazuje na coś palcem.

Grupka niemieckich żołnierzy stoi wokół ognia rozpalonego w kuble na śmieci. Są hałaśliwi. Rubaszni. Jak to żołnierze. Esesman wskazuje najpierw ich, potem mnie.

– Nie idź – powtarza.

Cofam się głębiej za róg. Czy on próbuje mi powiedzieć, że ci Niemcy czekają na mnie? Coś podobnego przytrafiło się innej dziewczynie

z fabryki. Zniknęła w drodze z pracy do domu. Na jej miejsce przysłała nowa dziewczyna. Nikt się specjalnie nie przejął losem tamtej. A ja dzisiaj nie mam worka z węglem. Poza tym ich jest zbyt wielu, abym z nimi wszystkimi wygrała.

A myślałam, że strach mnie przepęlnia. Myliłam się...

Przystojny esesman orientuje się po mojej twarzy, że nareszcie zrozumiałam. Prowadzi mnie w przeciwną stronę, aż do następnej przecznicy, po czym popycha mnie znów lekko. Daje znać, że powinnam się pośpieszyć.

– Dziękuję – mówię. W odpowiedzi kiwa głową i macha ręką.

Uciekam. Choć tym razem esesman zasługuje na całusa, nie cmokam go.

W końcu to esesman.

Zamykam za sobą drzwi na klucz i sprawdzam wszystkie okna. Całą noc rozmyślałam, drżąc z zimna i strachu. A gdy wreszcie wstaje słońce, nie idę do pracy.

Tak samo następnego dnia i kolejnego. Płacę chłopcu mieszkającemu przy Tatarskiej, by zaniósł do fabryki wiadomość, że jestem chora. Ciężko chora. Leżę w łóżku, dopóki pielęgniarki nie wyjdą. Ilse bada mi czoło i pyta, co mi dolega. A przynajmniej tak myślę. Chwytam się za brzuch.

Po siedmiu dniach nieobecności w pracy oczekuję, aż pielęgniarki udadzą się do szpitala, po czym wymykam się na miasto w poszukiwaniu starych swetrów do sprucia albo ubrań do sprzedania – jakoś muszę nadrobić straty spowodowane tym, że przepadła mi tygodniówka. Czuję, że powietrze robi się coraz cieplejsze, nigdzie nie widzę mężczyzny z jedną brwią, ale i tak chodzę nie dalej niż na rynek. Przekonuję się, że to byłoby nieroztropne, skoro złożona chorobą mam leżeć w domu. Tak naprawdę trzęsę się jak galareta, ledwie wystawię nos za drzwi.

Nienawidzę się bać!

Po powrocie do domu zastaję Helenę – siedzi na wersalce i czyta podręcznik stomatologii – oraz Jankę, która stoi na środku kuchni, zaciskając dłonie na torebce i tupiąc nogą.

– Jesteś wreszcie! – wita mnie. – Ty idiotko! Policja tu była!

Zerkam na Helenę. Teraz widzę, że tylko udaje lekturę. Dolna warga jej drży, tak bardzo boi się policji.

– Z jakiego powodu? – pytam.

– Przestałaś przychodzić do pracy! A to państwowa posada!

– Przecież zawiadomiłam, że jestem chora.

– W fabryce ci nie wierzą! Dlatego wysłali do ciebie majstra. Lubek słyszał, jak o tobie rozmawiają. Skoro nie było cię w domu, wysłali policjantów. Którzy też cię nie zastali. Lada moment będzie tu gestapo, żeby cię aresztować!

Zakłada chustkę na głowę i przerzuca torebkę przez ramię.

– Muszę już iść. Nie mogę stracić tej pracy. Jeśli ją stracę, moi bracia będą chodzić głodni.

Nie wiedziałam, że Janka ma braci.

– Najlepiej będzie – ciągnie moja przyjaciółka – jak znikniesz na dzisiejszy wieczór. Staw się jutro jakby nigdy nic w Minerwie i wyżal się *herr* Braunowi, jaka byłaś chora. Przypuszczam, że cię nie wyrzucą, bo znasz się na tych pompach. Jest szansa, że ci się upiecze.

– Dziękuję, Janka – mówię i całuję ją w policzek. Wciąż zagniewana, trzaska drzwiami wyjściowymi. Przekręcam klucz w zamku.

Nie mogę dać się aresztować z tych samych powodów, dla których nie mogę dać się wywieźć do Niemiec. Helena zostanie bez opieki, a moja trzynastka... Wszyscy albo umrą z głodu, albo zginą rozstrzelani.

– Helu, nic ci nie jest?

Kręci głową, nie przestając udawać, że czyta. Podejrzewam, że coś jej jednak jest.

– Co powiedziałaś tym ludziom, którzy przyszli, kiedy mnie nie było?

– Że zachorowałaś i że skończyło nam się jedzenie, a ja jestem za mała, żeby chodzić na targ, więc poprosiłaś kogoś o podwiezienie.

Moja dzielna młodsza siostra! Znów sobie poradziła.

– Doskonale – chwalę ją. – Powtórzysz to samo, gdy przyjdzie ktoś jeszcze?

Kiwa głową twierdząco, ale ja się obawiam, że tylko na wyrost.

– Powiesz, że bardzo boli mnie brzuch i że przez większość czasu leżę w łóżku? I że ty musisz zajmować się domem?

– Ale zabrakło nam jedzenia, więc poszłaś na targ... – dodaje szeptem.

– Właśnie tak. Lepiej...

Ktoś wali do drzwi. Głośno.

Jeśli zostanę aresztowana, pozostali zginą.

– Dasz radę, Helu? – szepczę.

Potakuje skinieniem.

Obracam się i wspinam po drabinie.

Maks czeka na mnie przy wejściu do kryjówki. Wszystko słyszał. Wczołgujemy się do schowka i umieszczamy deski na swoim miejscu.

Zimno tutaj. I smrodliwie. Heniek obejmuje Dankę, która drży na całym ciele, a Dziusia i Janek siedzą w kręgu osób odwróconych do nich plecami dla zatrzymania ciepła. Pozostali siedzą w małych grupkach albo samotnie. Wszyscy są brudni i osłabieni, mają dziki wzrok i zapadnięte z głodu twarze. Czuję się tak, jakbym natknęła się na schorowane stado, którego przywódcą jest Maks.

Jedynym, co ich dzieli od śmierci w tej chwili, jest moja dziewięcioletnia siostra.

Maks nie odrywa oka od otworu w deskach.

Nie zdawałam sobie sprawy, ile tutaj sływać. Nie poszczególne wyrazy. Nie rozmowy z kuchni. Ale skrzypnięcie zawiasów, głos dziecka i jakiegoś mężczyzny, który zadaje pytania. Krótkie, takie jak: „Gdzie twoja siostra?”.

Helena coś mamrocze. Mężczyzna zbliża się do strychu.

– Mała oszustka! – krzyczy, aż podskakuję. Jego następne słowa są nie do odróżnienia oprócz „widziana na targu”.

Ktoś najwyraźniej widział mnie na targu. Może ten wstrętny człowiek, który mnie śledził przez tyle dni.

Helena zaprzecza – albo tłumaczy, że pojechałam na wozie. Niemal równocześnie rozlega się plaśnięcie. Ciało uderza o ciało. Helena piszczy, raz, po czym mówi dobitnie:

– Nie wiem!

Ktoś uderzył Helenę. Ktoś uderzył moją siostrę.

Przesuwam się w stronę wyjścia, lecz Maks wyciąga rękę i kręci głową. Chcę go odepchnąć, ale potrząsa głową mocniej i nakrywa mi dłonią usta. Nieruchomieję. Jeśli wdamy się w przepychankę, ten, kto jest na dole, wszystko usłyszy.

– Gdzie jest twoja siostra?! – Znow ten sam męski głos.

– Nie wiem!

Plask. Plask. Helena płacze.

Rzucam się do wyjścia, lecz Maks chwyta mnie w pól, ponownie zasłaniając mi usta dłonią. Przygniata mnie całym ciężarem, przytrzymuje w tej pozycji, przez cały czas kręcąc zamasyście głową.

Plask. Helena wrzeszczy. Plask. Jakiś mebel się przewraca.

– Powiesz mi wreszcie, gdzie ona jest, czy nie?! – drze się gestapowiec. Mogłaby to zrobić. Ale nie robi.

Plask.

– Powiesz mi...?!

Hela dławi się płaczem i nie jest w stanie w ogóle nic powiedzieć. Jąka się tylko nieartykułowanie. Próbuję się wyrwać Maksowi, lecz on trzyma mnie mocno.

Plask.

Plask.

Plask. Moja siostra krzyczy po każdym uderzeniu. A ja płaczę.

Plask. Plask. Maks zagryza wargę do krwi. Ukrywa twarz w moich włosach.

Plask.

Ten gestapowiec ją zabije...

Szarpię się znowu, ale Maks rozpląszcza mnie na podłodze, tłumiąc mój płacz własną szyją. Malwina kładzie się obok nas; patrzy wielkimi oczyma, nie odzywając się nawet szeptem.

Jeszcze chwila i wszyscy tu zwariujemy.

Coś się zmienia. Nasłuchuję uważniej.

Trzasnęły drzwi. Helena płacze, ale poza tym na dole panuje spokój.

Maks pozwala mi się wygramolić spod siebie, trzęsącymi się rękoma przesuwam deski i nieomal zjeżdżam po drabinie, tak mi się śpieszy. Kury biegają po całym domu, a moja siostra siedzi jak kupka nieszczęścia pośrodku kuchni, ukryta pod przewróconym krzesłem. Odstawiam je na bok, padam na klęczki i delikatnie przyciągam Helę do siebie.

Wargę ma rozciętą, usta i zęby zakrwawione, puchnące oko, a poza tym wszystkim – guza na czole, którego musiała sobie nabić, upadając na

podłogę. Tyle że już nie płacze.

Drży za to jak mysz w czasie zawiei śnieżnej.

Kołyszę ją. Tak samo jak wtedy, gdy była niemowlęciem.

Wyczuwam przy sobie obecność Maksa. Zamyka drzwi na klucz i woła, żeby ktoś wreszcie, na miłość Boga, zszedł tutaj i zaczął pilnować okna. Woła starego Hirscha. Przed wojną Leon był prawdziwym lekarzem, nie zwykłym dentystą.

Maks sięga po ściereczkę, zwilża ją w wiadrze z czystą wodą i zaczyna doprowadzać Helenę do porządku, podczas gdy tulę ją delikatnie. Nadal drży. Hirsch schodzi niezdarnie po drabinie i obrzuca małą wzrokiem. Jest przezroczysty. Istny cień człowieka. Nie mam pojęcia, czy w ogóle widzi wyraźnie. Ocenia jednak, że nie ma żadnych złamań. Żadnego trwałego uszczerbku na zdrowiu.

Ale Helena nadal się trzęsie. Obejmuje mnie rączkami za szyję tak mocno, że nie jestem w stanie jej od siebie odkleić.

Zaprzestaję dalszych prób już po pierwszym razie. Z trudem podnoszę się na nogi, wdzięczna za pomoc Maksa, który odciąża mnie nieco przez moment. Przechodzę z nią do sypialni.

Dużo urosła, odkąd przywiozłam ją do Przemyśla. Teraz jej stopy majtają się poniżej moich kolan.

Kładziemy się na łóżku razem, w dalszym ciągu splecione, a Maks nakrywa nas kocem. Helena nie przestaje drzeć. Nie mówi ani słowa. Maks siedzi obok nas, trzymając dłoń na głowie mojej siostry, podczas gdy Moniek pełni wartę przy oknie, kręcąc w kółko kciukami. Pozostali korzystają z okazji i prostują nogi.

Wolno, wolniusieńko Hela się uspokaja. Zasypia.

A ja pozwalam łzom płynąć. Płaczę i płaczę, aż Maks kładzie się przy nas i obejmuje nas obie ramieniem.

Płaczę, bo nic nie jest tak, jak powinno być.

Płaczę, bo nigdy jeszcze nie czułam takiej bezradności.

Płaczę, bo po raz pierwszy od początku wojny mam ochotę się poddać.

KWIECIEŃ 1944

Budzę się, szarpana przez Ilse. Podskakuję na łóżku i wciągam gwałtownie powietrze do płuc. W końcu siadam. Maksa nie ma w sypialni. Przy oknie nikt nie siedzi. Wszyscy musieli udać się na górę przed powrotem pielęgniarek z pracy. Przechodzi mnie dreszcz, gdy uświadamiam sobie, że nigdzie nie widać Heleny, za to obok mojego łóżka stoi jakaś nieznajoma.

Ilse mówi coś do niej po niemiecku, kobieta kiwa głową i odzywa się do mnie po polsku:

– Jestem Edith. Pielęgniarka ze szpitala naprzeciwko. Mówię... trochę... po polsku. – Uśmiecha się. – Twoja siostra leży na sąsiednim łóżku. Karin dała jej... – szuka właściwych słów – ...coś na sen.

Spoglądam na Helenę, która cała w siniakach leży spokojnie na łóżku obok. Oko zdążyło jej spuchnąć jak bania.

Teraz odzywa się Ilse, a Edith tylko tłumaczy.

– Co przydarzyło się twojej siostrze?

Nie widzę powodu, dla którego miałabym wprowadzać je w błąd.

– Zachorowałam i nie chodziłam do pracy, więc fabryka przysłała policję. Helena, która nie wiedziała, gdzie jestem, zebrała cięgi.

Edith marszczy czoło i przekłada na niemiecki moje wyjaśnienia. Słyszając je, Ilse również robi marsa, dodatkowo potrząsa głową. Zachowuje się, jakby jej było przykro, mimo że zaledwie kilka tygodni temu nieomal doprowadziła do śmierci mojej siostry.

Nad naszymi głowami rozlega się skrzypnięcie i drapanie. Edith podnosi wzrok, a Ilse wyjaśnia:

– *Ratten.*

Wymieniają szybko kilka zdań, po czym Edith znowu zwraca się do mnie:

– Ilse pyta, czy byłeś u lekarza.

Potakuję skinieniem.

– Nie uwierzył mi.

Teraz rozmowa między kobietami trwa dłużej.

– Ilse przeprasza za to, co stało się wcześniej. Karin się... ona się... jak to się mówi?... Ona się boi Żydów.

Biedna Karin. A musi mieszkać z trzynaściorgiem tuż nad głową. Potakuję, jakbym była dla niej pełna zrozumienia.

– Ilse przeprasza za wcześniejsze kłopoty. Gdybyś chciała się przebadać, może cię zaprowadzić do szpitalnego lekarza, który cię przyjmie nawet teraz. Skończyłyby się twoje problemy w pracy.

– Ten lekarz... czy on mógłby wypisać mi zaświadczenie zwalniające z pracy?

Edith tłumaczy moje pytanie na niemiecki, a Ilse wzrusza ramionami i rzuca:

– *Ja.*

– Ale co z... – Patrzę na Helenę.

– Będzie jeszcze długo spała – zapewnia mnie Edith. – Karin z nią zostanie. Jest bardzo dobrą pielęgniarką.

Nie wiem, co robić. Nie chcę opuszczać Heleny. Nie chcę, żeby Karin została w domu z moją siostrą i trzynastką podopiecznych. Z drugiej strony – jeśli nie dostanę tego zaświadczenia, zostanę wywieziona do Niemiec albo aresztowana, a wtedy wszyscy moi Żydzi zginą. Być może ja też. I Helena.

Chyba jednak się nie poddam.

Tak myślę, przerzucając nogi za ramę łóżka.

* * *

Przecinamy ulicę w ciemnościach, a ja się zastanawiam, kiedy zdążyło zajść słońce. Edith i Ilse podpierają mnie z obu stron, ponieważ mają mnie za chorą. Po paru chwilach jesteśmy już w szpitalu.

Przekroczyłam linię frontu. Znalazłam się na terytorium nieprzyjaciela.

Pielęgniarki prowadzą mnie długim korytarzem pomalowanym na oślepiającą biel. Wszędzie jest pełno lekarzy w fartuchach i kobiet w pielęgniarskich czepkach. Wszystko wydaje się takie czyste. Sterylne. Idealne. Jakże różne od zaszczurzonej Tatarskiej 3. W końcu skręcamy do pomieszczenia, w którym stoi biurko z rzędem krzeseł pod ścianą dla oczekujących pacjentów oraz wisi portret Hitlera. Edith się żegna, co mnie przeraża, ponieważ odtąd nie wiem, co kto mówi. Ilse dotrzymuje mi towarzystwa w poczekalni, po czym w pewnym momencie lekarz wzywa mnie do gabinetu.

Doktor mówi odrobinę po polsku i – jak sędzę – rozumie, kiedy karmię go tym samym stekiem kłamstw, który próbowałam wcisnąć polskiemu

lekarzowi. Ośluchoje mi serce. Mierzy mi ciśnienie. Każe mi się położyć i obmacuje mi cały brzuch. Pytam go, czy mógłby wypisać mi zaświadczenie zwalniające mnie z pracy. Odpowiada, że mógłby, ale musi mieć stuprocentową pewność. Daje mi szpitalną koszulę i prosi, abym się rozebrała za parawanem.

Następnie pokazuje mi, jaką pozycję mam przyjąć na stole, i przeprowadza szczegółowe badanie. Bardzo szczegółowe. Upokarzające. W dodatku kiedy to robi, do gabinetu wchodzi czwórka innych lekarzy, a on zaczyna mówić po niemiecku. Daje wykład. Chyba uczy tamtych, wykorzystując do tej nauki mnie. Słuchają go uważnie, wykręcają szyje, aby lepiej widzieć, robią notatki, podczas gdy ja się coraz bardziej rumienię. Na domiar złego doktor wcale nie jest delikatny. Uciska mnie mocno drugą ręką, chcąc wymacać coś w moich wnętrznościach. Krzywię się. Zaczynam się pocić. Zimne, kliniczne spojrzenia tych mężczyzn sprawiają, że mam ochotę się zerwać i uciec gdzie pieprz rośnie. Teraz już naprawdę mnie boli.

Ale jestem unieruchomiona. Jak owad przekłuty szpilką.

Doktor nadal opowiada o mnie różne rzeczy. Jeden z młodszych lekarzy oponuje – przeciwko czemu, nie wiem. Doktor zaczyna argumentować. Po chwili wszyscy się spierają. Drą się jak robotnicy wyklócający się o swoje na hali. W końcu doktor cofa rękę, a ja wydaję westchnienie ulgi, po czym pojawia się Ilse – z zakrytymi włosami i maseczką na twarzy. Trzyma tackę ze strzykawką. Igła jest naprawdę długa i gruba. Gwar podnieconej rozmowy nie ustaje, a mnie na czoło znów występuje pot.

Co jestem gotowa uczynić za to zaświadczenie?

Jeśli je dostanę, być może uda mi się ukrywać Maksa i pozostałych, dopóki coś się nie wydarzy. Dopóki wojna się nie skończy. Dopóki nie

nadejdą Rosjanie. W przeciwnym razie cała trzynastka zostanie sama, zdana na siebie, mając za współlokatorki Ilse i Karin antysemitkę.

Wspominam Izia. I panią Diamant. Co bym uczyniła, by ich uratować?

Co bym uczyniła dla braci Izia? Dla synów mojej ukochanej staruszki?

Co bym uczyniła dla Maksa?

Pomiędzy nim i Niemcami stoję tylko ja. Tak samo jak pomiędzy nami i gestapo stała tylko Helena.

Skoro moja siostra nie stchórzyła, ja również nie stchórzę.

Ilse zbliża się i ujmuje mnie za dłonie, a może tylko stara się unieruchomić moje ciało. Doktor wsadza igłę we mnie. Głęboko. Czuję ukłucie, a potem pieczenie. Straszne pieczenie. Krzyczę z bólu, nie jestem w stanie się powstrzymać. Wkrótce jest po wszystkim, młodzi lekarze kończą robić notatki, choć dalej się sprzecniają, już tylko między sobą, podczas gdy ja zostaję odesłana za parawan, aby tam – na miękkich nogach – ubrać się w swoje rzeczy.

Doktor nie zająknął się słowem na temat tego, co mi było. Zresztą najgorsze w tym wszystkim jest to, że byłam zdrowa jak rydz.

Wychodzę ze szpitala znacznie wolniej, niż przyszłam tutaj, albowiem teraz już boli mnie na całego, tak że ledwie poruszam nogami.

Ale w zaciśniętej garści trzymam zaświadczenie od doktora.

* * *

Nazajutrz budzę się równo z Heleną. Moja siostra jest cała zeszywniała i obolała, widzi tylko na jedno oko i nie ma pojęcia, że nie było mnie z nią przez część nocy. Nie odzywa się w ogóle, za to klei się do mnie jak dzień wcześniej. Chce, żebym ją nosiła na rękach. A ja nie mam siły. Na moim podbrzuszu pojawiła się dziwna opuchlizna. Jakbym połknęła pomarańczę w całości. Leżę skulona. Ledwie jestem w stanie się ruszyć. Sama myśl

o skorzystaniu z ustępu przepelnia mnie jeszcze straszniejszym bólem. Nie wstaję więc z łóżka. Trzymam Helenę jak lalkę, gładzę ją po włosach, lecz ona ani na moment mnie nie puszcza. Miętosi mi koszulę nocną na plecach, zaciska piąstkę na zmiętym materiale.

W ciągu dnia przychodzi Ilse, która najpierw bada oko Heleny, a potem odkrywa mnie i uciska mi podbrzusze. Wrzeszczę na całe gardło. Ona tylko cmoka i podaje nam po aspirynie i szklance wody.

Dobra wiadomość jest taka, że naprawdę jestem chora.

Zła – że nie mam jak przekazać zaświadczenia lekarskiego do urzędu pracy.

Kolejna zła – od wczoraj nikt nie zaniósł jedzenia ani picia na strych, poza tym kury chodzą głodne.

Nie mam nic, czym mogłabym nakarmić kury.

Nie mam prawie nic, czym mogłabym nakarmić ludzi.

Gdy Ilse i Karin sobie idą, a Helena zasypia, zwlekam się z łóżka i kuśtykając, podchodzę do drabiny. Maks jak zawsze czeka na posterunku, na mój widok odsuwa deski i wystawia skołtunioną głowę.

– Co się dzieje? – pyta. – Jak Helena?

– Obie jesteśmy chore.

– Co tobie się stało?

– Nic.

Nie mogę mu powiedzieć. Być może nigdy mu nie powiem.

– Zejdźcie na dół i zróbcie co trzeba – mówię.

Nie mają wiele do roboty, ponieważ spiżarnia jest praktycznie pusta. Wyjadają resztki zapasów.

Zastanawiam się, ile czasu upłynie, zanim naprawdę zaczną głodować.

Nazajutrz nie jest wcale lepiej. Pilnuję, aby ręka Heleny dotykała mojego ciała, kiedy się budzi. Jak dotąd nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Tygodniówka mi się nie należy. Nie mam nic do sprzedania. Spizarnia świeci pustkami.

Mam pieniądze starego Hirscha!

– Helu – szepczę. – Musimy skombinować trochę jedzenia, prawda?

Potakuje lekkim skinieniem, z palcami wplątanymi w moje włosy.

– Wolisz zostać w łóżku i zaczekać, aż wrócę, czy wolisz pójść ze mną?

Wzrusza ramionami, a ja nie jestem wiele mądrzejsza.

– Powiesz mi, co byś wolała?

Kręci odmownie głową. Zatem muszę jej zadawać pytanie, na które odpowiedzią będzie „tak” lub „nie”.

– Chcesz zostać?

Potrząsa głową.

– Chcesz pójść ze mną do urzędu pracy i na targ?

Potrząsa głową.

A potem kiwa nią.

Ubieramy się ciepło, bo chociaż jest kwiecień, zanoszą się na śnieg, a wiatr siecze niczym ostrze noża. Owijam głowę Heli swoją chustką, żeby nie zmarzła, a także po to, by ukryć część jej sińców, ona ujmuje mnie za rękę, po czym kierujemy się w dół ulicy. Czuję się jak stuletnia staruszka.

Szybko robi mi się zimno. Za wolno się poruszam, by rozgrzać krew. W dodatku, gdy znajdujemy się u podnóża wzniesienia, mój wzrok pada na mężczyznę z jedną brwią, który chroni się w przedsionku kościoła. Tyle że dziś ma na głowie futrzaną czapę.

Och, śledź mnie sobie, skoro nie masz lepszego zajęcia. Zabawnie będzie patrzeć, jak się męczysz przy moim wolnym chodzie.

Musimy przejść prawie cały Przemyśl, aby dostać się do urzędu pracy. Unikając po drodze żołnierzy. I esesmanów. I gestapowców. I policjantów. Praktycznie każdego, kto nosi mundur. Mój cień kręci kółka i wystaje przed wystawami sklepowymi. Gdy wreszcie pokonujemy stopnie urzędu i trafiamy do właściwego biura, musimy uzbroić się w cierpliwość. Aż Niemiec za biurkiem nas zauważy. Nie ma na nosie okularów, ale widzę, że leżą w pogotowiu na jednym stosie dokumentów.

Wyjaśniam, z czym przychodzę. Wręczam zaświadczenie lekarskie.

Urzędnik cmoka. Wzdycha. Zakłada okulary.

I oświadcza, że nie może przyjąć zaświadczenia.

Ponieważ wydał je lekarz wojskowy, z armijnego szpitala. To niedopuszczalne. A dlaczego to niedopuszczalne? Bo zaświadczenie musi być wydane przez lekarza ze szpitala miejskiego. Takie są zasady – nie, nie on je ustalał, jego obowiązkiem jest tylko ich przestrzegać. Zatem *auf Wiedersehen* i miłego pobytu w Berlinie.

Gdy wychodzimy z urzędu, w podbrzuszu tak mnie boli, że jestem gotowa usiąść na chodniku i zapłakać.

Tyle że nie mam na to czasu. Pora zdobyć coś do jedzenia.

Ponieważ zanoszą się na śnieg albo przynajmniej na śnieg z deszczem, kupcy rozłożyli dzisiaj stragany nie na świeżym powietrzu, lecz pod zadaszeniem kawałek dalej. Nie jest tam tak ciepło jak w hali targowej, ale zawsze zaciszniej. Chodzę i szukam czegoś, czym mogłabym nas nakarmić, kątem oka widząc kluczącego w tłumie mężczyznę z jedną brwią. W końcu kupuję płatki owsiane i kaszę, wydając jedną czwartą zabranych z domu pieniędzy. Ja niosę kaszę, Helena płatki i tak wracamy na Tatarską.

Zatrzymuję się przed ostatnim odcinkiem pochyłości do pokonania i zadzieram głowę. Helena, nie wypuszczając mojej dłoni z rączki, spogląda na mnie milcząco, wyraźnie czekając, kiedy się ruszę.

Jestem zmęczona, zmarznięta i pokonana.

Opuszczam spojrzenie i widzę, jak na czysty śnieg spomiędzy moich nóg kapie krew.

Pięknie, teraz jeszcze czeka mnie pranie.

Znienacka rozlega się męski głos:

– Mogę jakoś pomóc?

Spodziewam się zaraz zobaczyć mężczyznę z jedną brwią, ale nie. To policjant. Polski policjant.

Helena wtula się w mój bok. Nieomal mnie przy tym przewraca. Wiem, że to nie jest ten sam człowiek, który skrzywdził moją siostrę. Nie jest to też żaden z policjantów, których spotykałam pod gettem.

– Stefania Podgórnica? – pyta mnie.

Zaprzeczanie nic nie da.

– Szukałem pani. Proszę pozwolić, ja to wezmę...

* * *

Nie mam pojęcia, co moi Żydzi sobie myślą, gdy do domu wchodzi policjant. Znowu. Tyle że ten ma na imię Antoni, wnosi nasze zakupy do środka, po czym pozwala mi zamknąć drzwi na klucz, przebrać się i położyć do łóżka. Helena nie przestaje się mnie trzymać nawet wtedy, gdy zdejmuję sukienkę. A potem wchodzi za mną do łóżka.

Policjant puka, przysuwa sobie krzesło i siada obok nas.

Wyjaśnia, że Fabryka Wyrobów Metalowych Minerwa znów skontaktowała się z komendą, zgłaszając, że nie stawiam się w pracy. Tłumaczę, że staram się o zaświadczenie, ale żaden lekarz nie chce mi go

wydać. Antoni dopytuje o moich rodziców. Interesuje się, co spotkało Helenę, i okazuje gniew z powodu jej przeżyć. Prosi, abym mu pokazała zaświadczenie ze szpitala wojskowego. Uważa, że to śmieszne. Doktor pisze, że jestem chora. Ewidentnie jestem chora. Dziewczęta takie jak ja powinny otrzymać pomoc, a nie trafiać na roboty do obcego kraju.

Oznajmia, że wszystkim się zajmie. Wróci do urzędu pracy. Albo pójdzie do swoich przełożonych.

– A ty, biedna kózko – dodaje, próbując dotknąć Heleny, która na to nie pozwala – pamiętaj, że nie wszyscy policjanci są źli.

– Skąd jednak się dowiem, czy uniknęłam wywózki?

– Dostaniesz list.

Wzdycham. Z doświadczenia wiem, że listy z urzędu idą bardzo długo.

* * *

Tydzień później, gdy jedzenie znów nam się kończy, wybieramy się z Heleną ponownie na targ, gdzie wydaję kolejną ćwiartkę pieniędzy starego Hirscha.

Jadamy coraz mniejsze porcje, przy czym czasami ja rezygnuję ze swojej. Ilse regularnie bada moje podbrzusze, cmoka, a następnie z niejakim Rolfem, który też jest esesmanem, zamyka się w tylnym pokoju, by pochłaniać ciastka z kremem. A moja trzynastka przymiera głodem tuż nad jej głową.

Idąc na targ po kolejnych dwóch tygodniach, poruszam się nieco szybciej. Do tej pory nie dostałam żadnego listu. Ale policja się nie zjawia, a kominy Minerwy przestały puszczać dym. Mężczyzna z jedną brwią towarzyszy mi podczas robienia zakupów, na które wydaję następną ćwiartkę pieniędzy starego Hirscha. Przepalam jeszcze jedną dziurkę w pasku od sukienki.

Siedem dni później rozstaję się z resztką pieniędzy Hirscha. Przez tydzień mamy co jeść, ale dalsze chodzenie na targ mija się z celem. Ostatnie oszczędności się skończyły.

Ja przynajmniej czuję się lepiej. Opuchlizna na podbrzuszu zmaląła, tak że od czasu do czasu mogę nawet nosić Helenę na rękach, gdy się tego domaga. Nie zawsze jednak. Wtedy moja siostra klei się do mnie, jak tylko może. W dalszym ciągu nie mówi i kuli się za każdym razem, kiedy Rolf przechadza się po domu w lśniących oficerkach. Wypogodziło się. Ilekroć widzę w progu mężczyznę w mundurze, zastanawiam się, czy to już. Czy czeka mnie wywiezienie do Niemiec.

Nie wiem, co to odprężenie. Nocami, gdy jest spokój, przysypiam, lecz zawsze balansuję na krawędzi snu i jawy. Oraz strachu.

Choć moje ciało się zaleczyło, ja nadal czuję znużenie.

Wtedy właśnie Maks zbiega z drabiny.

– Malwina ma tyfus.

CZERWIEC 1944

Helenie i mnie nie wolno nawet zbliżyć się do strychu. Ponieważ nie możemy zachorować. Przynajmniej nie na tyfus, choć ja dotąd się zastanawiam, czy przed wywózką nie uratował mnie przypadkiem właśnie on. Maks schodzi na dół, ilekroć jest to bezpieczne, ale trzyma się od nas z daleka. Mówi bowiem, że przypadek Malwiny jest znacznie gorszy od przypadku doktora Schillingera i Heńka. Pani Bessermann ma bardzo wysoką gorączkę, cała jest w plamach. Być może umrze.

Jeżeli ona umrze, co zrobimy z jej ciałem?

Chyba możemy przestać się tym martwić. Gdyż pani Bessermann popada w delirium.

Nie potrafi uleżeć w bezruchu.

Nie potrafi zachowywać się cicho.

To oznacza, że umrzemy wszyscy.

Za pierwszym razem, gdy Malwina gorączkuje, Siuniek siada jej na nogach, Heniek na jednej ręce, Dorlich na drugiej, a Maks, doktor

Schillinger i Cesia na zmianę zakrywają jej usta szmatką zmoczoną w zimnej wodzie. Nie mam pojęcia, jakim cudem jej nie duszą. Ani nie topią.

Za drugim razem, gdy słyszę łomot na górze, pukam do drzwi pielęgniarek i – za pomocą języka gestów – proszę Karin, aby włączyła radio, ponieważ to pomaga Helenie zasnąć. Karin robi zażenowaną minę. W środku jest Rolf. I Ilse. I jakiś całkiem nowy esesman, którego jeszcze nigdy nie widziałam. Jej się wydaje, że chcę zagłuszyć wydawane przez nich odgłosy. Podczas gdy ja chcę tylko zagłuszyć odgłosy nad ich głowami.

Wracając do łóżka, myślę, że to już na pewno dziś. Dziś nastąpi koniec naszych zmagania. Smutne to...

Tymczasem słońce wschodzi, Niemcy rozchodzą się do swoich zajęć, a my nadal żyjemy.

Nie wiem, jak to możliwe.

Ledwie na dole zostają tylko ja i Helena, Maks schodzi po drabinie ze świstkiem papieru. Kładzie go na stole i cofa się przede mną. Żeby nie zarazić mnie ani Heleny, która czepia się mojej spódnicy. Świstek okazuje się receptą ze sfalszowanym podpisem – doktora, który wydał mi zaświadczenie.

– Masz duży talent – komentuję.

– Da się ją zrealizować?

Nie jest w nastroju do żartów. Od dawna nie spał. Nie ma na sobie nawet koszuli. Większość z nich chodzi półnaga, ponieważ na strychu jest gorąco, a oni nie mogą otworzyć okna – zresztą cóż by to pomogło, skoro załatwiają się wszyscy do jednego wiadra? Skórę Maksa pokrywa pot. On sam jest bliski śmierci z głodu. O ile wcześniej nie zabije go tyfus.

Zamknięcie w ciasnej przestrzeni źle odbija się na jego psychice.

– Sprzedałam na targu trzy koszule – mówię. – Tyle mamy jedzenia na ten tydzień.

– Jeśli jakoś jej nie uspokoimy, jedzenie nie będzie nam potrzebne – odwarkuje Maks. Potem zaś mruga i uśmiecha się do mojej siostry. Jakby wpadł tylko na miłą pogawędkę. – Śniło ci się dzisiaj morze, Helu?

Helena kręci przecząco głową.

– Powinnaś o nim śnić co noc – stwierdza poważnie Maks. – Jak się położysz do łóżka, zamknij oczy i wyobraź sobie ciepło słońca, piasek, słoną wodę i rekiny... – Kłapie dłonią niczym szczęką.

Helena uśmiecha się i wtula we mnie mocniej, a gdy nasze spojrzenia, moje i Maksa, krzyżują się, on odwraca wzrok. Zawstydzony.

A ja chcę mu powiedzieć, żeby się nie wstydził. Powiedział raz, że jestem najlepszą osobą, jaką zna. To nieprawda. On jest najlepszym człowiekiem, jakiego ja znam. W porównaniu z nim jestem nikim. On w porównaniu ze mną jest wszystkim. Pragnę go zapewnić, że nie ma powodów do wstydu. Ponieważ się nie poddaje.

Nie mam jednak pojęcia, jak mu to powiedzieć. Opuszczam więc spojrzenie na podrobioną receptę. Zrealizowanie jej będzie niebezpieczne. Zostanę dokładnie przepytana. A nigdy nawet nie wspomniałam Maksowi o mężczyźnie z jedną brwią. Bywa, że jestem pogodzona z myślą o śmierci w takim stopniu, że nawet nie zauważam u siebie tego uczucia.

– Maks... – zaczynam. Ale nie potrafię wyrazić tego, co bym chciała.

Nie zrealizują mi tej recepty. A jeśli nawet, i tak nie mamy co jeść. Nasze dni są policzone, gdyż prędzej czy później któraś z pielęgniarek albo któryś z esesmanów coś usłyszy. Albo zobaczy. O ile wcześniej nie wyda nas pani Bessermann.

Ale może Maks to wie. Jeśli nie wszystko, to chociaż część rzeczy, o których mu nie mówię.

– Będziemy walczyć do końca, Fusiu – oznajmia cicho. – Do samego końca.

Kiwam głową.

Niewykluczone, że koniec jest już bardzo blisko.

* * *

Biorę do ręki podrobioną receptę i wkładam płaszcz. Moja siostra, zamiast mi towarzyszyć, tym razem zostaje w domu. Kuli się w łóżku pod przykryciem, nie zapomniawszy wziąć swojej lalki. Mówię Helenie, że zamknę drzwi na klucz. I że nie musi otwierać nikomu, nawet Karin i Ilse. Daję jej podręcznik stomatologii i wychodzę na zewnątrz przekonać się, czy dożyję końca tego dnia.

Ponieważ padało, na ulicy woda płynie wartkim strumieniem. Opady jednak nic nie zrobiły z panującym od jakiegoś czasu skwarem. Postanawiam przejść przez most i zajrzeć do apteki po drugiej stronie Sanu, gdzie nikt mnie nie zna. Nurt jest rwący, pienisty. Z koryta unosi się dziwny zapach będący połączeniem spalin i parującego deszczu. Wyraźnie czuć napięcie. Żołnierze nie wystają na rogach ulic, nudząc się. Ci, których dostrzegam, idą dokądś szybkim krokiem, wbijając wzrok w ziemię. To przypomina mi niebieskooką Żydówkę, która zginęła na Mickiewicza. Dzień, gdy wszyscy uciekali wzrokiem.

Przyśpieszam. Mijając dawno zamknięty sklep rzeźniczy, zerkam w witrynę i widzę w niej odbicie mężczyzny z jedną brwią, który trzymając ręce w kieszeniach, udaje, że czyta wyjątkowo odrażający plakat o Żydach.

Mam serdecznie dość jego widoku.

Przyśpieszam jeszcze bardziej, przepuszczam ciężarówkę i błyskawicznie przecinam jezdnię, by po przeciwnej stronie zawrócić. Mój prześladowca staje jak wryty, po czym dla zachowania pozorów przystaje

przed sklepem. Zaraz jednak zmienia zdanie i skręca w tę samą stronę co ja. Powtarzam manewr. I jeszcze raz. A potem przeciągam mężczyznę z jedną brwią po całym Przemysłu.

Szybko wspinamy się na pochyłości i powoli z nich schodzimy. W jednym sklepie warzywnym przez kwadrans oglądam zgniłe kapusty, podczas gdy mój prześladowca nie wie, co ze sobą zrobić. Wchodzę do katedry. I zaraz z niej wychodzę, zanim zdążył przekroczyć próg. W końcu wkładam dłonie w kieszenie i zataczam wielkie koło, unikając ruchu ulicznego i bez przerwy zmieniając stronę chodnika. Zatrzymuję się w tym samym miejscu, w którym rozpoczęliśmy tę zabawę. Pod zamkniętym rzeźnikiem.

Widząc, że mężczyzna z jedną brwią zaczyna truchtać, by mnie dogonić, nieoczekiwanie daję nura do bramy pobliskiej kamienicy, po czym wypadam tyłem, skręcam w pierwszy zaułek i wchodzę tylnymi drzwiami na klatkę schodową sąsiedniego budynku. Przyglądając się przez brudną szybę, widzę, że mój prześladowca zagłębia się z wahaniem w pierwsze drzwi, wynurza się z nich po chwili, wiedzie wokół bezradnym spojrzeniem, gdzie też mogłam się podziać.

Tyle czasu spędził w tym mieście, myślę, a nie wie, że kamienice mają wejście od frontu i wyjście od podwórka. Ależ z niego kapuściana głowa!

Mężczyzna z jedną brwią przysiada na ławce, a ja kieruję się do tylnych drzwi. Po czym zawracam. Wyłamiam się jednak od frontu, schodzę po stopniach i stukając obcasami, idę prosto ku ławce. Nie mam pojęcia, kim jest ten człowiek. Czy to policjant w cywilu. Czy gestapowiec. Czy prywatny detektyw wynajęty przez dyrektora Minerwy. Nie wiem, czy w ogóle jest Niemcem, czy faktycznie poluje na Żydów. Może po prostu chce się umówić na randkę? Jakiegokolwiek ma wobec mnie plany, łazi za mną od miesięcy, a ja mam tego serdecznie dość.

Zatrzymuję się przy ławce. On siedzi do mnie plecami. Właśnie sięga po gazetę.

– Przepraszam – mówię cicho.

Skacze jak oparzony, odwraca się i rozdziawia usta ze zdziwienia. A ja... cóż... Wałę go centralnie w nos. Tak jak nauczył mnie Maks.

Prześladowcy spada kapelusz, a on sam klapie na cztery litery. Ja jestem już w pół drogi do najbliższej kamienicy. Zagłębiam się w bramę, przechodzę na przestrzal i wynurzywszy się na podwórku, wybieram zaułek na chybił trafił. Uśmiecham się do siebie pod nosem i wygrażam w powietrzu pięścią, rozglądając się za apteką, w której mogłabym zrealizować podrobioną receptę.

Trafiam do jednej w praktycznie mi nieznannej dzielnicy Przemysła. Ledwie przekroczę próg, orientuję się, że popełniłam omyłkę. W aptece nie ma w ogóle klientów. Aptekarz, nie mając nic innego do roboty, gotów mnie zarzucić pytaniami. O jaką chorobę chodzi? Dla kogo ten lek? Skąd u mnie recepta na tak silny środek przeciwbólowy, i to wypisana przez lekarza wojskowego? Udaję, że oglądam bandażę, aby wyjść niepostrzeżenie i poszukać szczęścia gdzieś indziej. Właśnie mam zamiar to zrobić, gdy do środka wpada grupka niemieckich żołnierzy. Prędko zbliżam się do okienka.

Aptekarz rzuca okiem na receptę. Na mnie właściwie nie patrzy. Niepokoją go żołnierze, którzy są znani z tego, że czasem „zapominają” zapłacić. Przynosi brązową butelkę z zaplecza, odlicza pigułki wprost na ladzie, zapisuje coś w rejestrze i prosi o pieniądze, nieustannie popatrując na rozgadanych mężczyzn lustrujących wzrokiem półki.

Kwota, którą podaje, jest zaniżona. I to sporo. Ale nie zamierzam zwracać na to jego uwagi. Podaję mu banknoty, chowam buteleczkę

i drobne do kieszeni, po czym wymykam się, zanim aptekarz ochłonie i zda sobie sprawę z własnego błędu.

Mnie zaś natychmiast poprawia się samopoczucie. Nie pamiętam, kiedy tak dobrze się czułam. Wracając, kupuję na targu płatki owsiane, przeniknięta nadzieją na wskroś niczym chmura blaskiem słońca. Znowu zaczyna padać. Docierając do domu, słyszę głos pani Bessermann. Z podwórka, niemalże z ulicy.

Malwina domaga się sera.

Zatem to już dziś... Zginiemy, ponieważ Malwina domaga się sera...

Otwieram drzwi kluczem, po czym starannie je za sobą zamykam.

Danka schodzi po drabinie tak szybko, że mało sobie nóg nie połamię.

– Wykupiłaś receptę?

Daję jej pigułki, a ona pędem wraca na górę. Szybkim krokiem przemierzam kuchnię i wchodzę do sypialni, gdzie Helena leży na łóżku, jak leżała – skulona – następnie zaś zaglądam do tylnego pokoju. Oba łóżka są niepościelone, na podłodze wala się bielizna, uprane pończochy schną na drucie elektrycznym pociągniętym przez okno.

Wiedziałam, że ich tu nie będzie. Ponieważ nie ma gestapowców.

Co nie oznacza, że ci ostatni się nie pojawią.

Otwieram szerzej drzwi i przekraczam próg. Gdyż zobaczyłam leżący pod radiem zielony druczek. Oglądam się przez ramię i sięgam po niego ręką. Mam wyrzuty sumienia, ale tylko przez moment. Ponieważ na druczku widnieje moje imię i nazwisko.

Zaświadczenie!

Pod zielonym druczkiem przypięta jest koperta, w której został nadany. Sądząc po dacie stempla pocztowego, powinnam go dostać przed ponad miesiącem.

Zatem Antoni jednak dotrzymał słowa. Nic dziwnego, że nie wywieźli mnie do Niemiec.

Zastanawiam się, czy Karin albo Ilse odebrała moją pocztę przez przypadek czy z rozmysłem. Ale dlaczego? Czyżby myślały, że przejmą dom, gdy mnie nie będzie?

Nagle Malwina domaga się głośno jajecznicy. A ja się zastanawiam, czy pan Krajewski siedzi za ścianą.

Chowam zaświadczenie pod materacem, tam gdzie trzymam zdjęcie przystojnego esesmana i mój portret narysowany przez Maksa, i słyszę, że na strychu panuje już cisza. Musieli podać Malwinie lekarstwo.

Wbijając sobie paznokcie w ciało, czekam na gestapo.

Maks nie może zejść, zatem to Cesia znosi wiadro z nieczystościami, zapłakana, ponieważ myśli, że jej matka umrze. Helena pilnuje okna, podczas gdy ja uspokajam Cesię i ostrożnie wyczesuję z jej włosów insekty. I to by było na tyle, jeśli chodzi o ochronę przed tyfusem.

Posyłam na górę dwa wiadra czystej wody, a później gotuję nijaką w smaku owsiankę, która – być może – utrzyma kogoś przy życiu. Następnie razem z Heleną zabieram się do porządków. Moja siostra zamiata, kiedy ja szoruję – jestem pełna podziwu, jak dobrze radzi sobie z miotłą. Na zewnątrz deszcz się wzmacnia, co przyjmuję z wdzięcznością. Pielęgniarki na pewno wkrótce wrócą z pracy, a uderzenia kropel o blaszany dach potrafią zagłuszyć wszystko.

Siedząc na łóżku, gramy w kocią kołyskę, aczkolwiek tylko ja śpiewam. Wtem nad naszymi głowami wszczyna się larum. Łubu-du! Donośnym odgłosom towarzyszą okrzyki. Helena podnosi spojrzenie na sufit. Ja myślę, że Maks w końcu stracił kontrolę nad tuzinem współrodaków. W pewnym momencie rozlega się taki hałas, jakby ktoś spadł z drabiny. Podnoszę się na nogi. Ostatnie dwie kury gdaczą głośno. Ktoś otwiera

drzwi na dwór... Odsuwam zasłonkę i widzę na zewnątrz Malwinę. Stoi pośród deszczu. I wzywa gestapo.

Czas spowalnia.

Niektóre rzeczy widzę rozmyte: niebo, komórkę, drzwi domu państwa Krajewskich, wodę ściekającą po szybie. Inne z taką wyrazistością, że aż bolą mnie od tego oczy: samochód jadący leniwie wzdłuż Tatarskiej, światła lamp w oknach szpitala wojskowego, ludzi wybiegających na zewnątrz i wpadających do środka. Maks jest już na podwórku, wyciąga przed siebie rękę. Ku Malwinie, która ma skołtunione włosy, brudną twarz – deszcz rzeźbi na niej jaśniejsze kaniony – wyblakłą, przesiąkniętą potem bluzkę, która odsłania jedno jej ramię. I plamy; mnóstwo czerwonych plam na twarzy, szyi, dekolcie i dłoniach.

– Chcę chleba! – wrzeszczy do Maksa. – I sera, i jajecznicy z rzodkiewką! Nie waż się mnie dotykać!... – Potyka się w błocie. – Przynieś mi wszystko albo wezwę policję. Wezwę gestapo!

– Fusi... – odzywa się za mną czyjś głos. – Musisz do nich wyjść.

Głosik jest słaby i skrzypliwy. Należy do Heleny. Pozostała jedenastka skupiła się wokół wersalki. Danka płacze. Moniek płacze. Stary Hirsch załamuje ręce.

– Już po nas, już po nas, już po nas...

– Cesia! Janek! Chodźcie ze mną!

Łapię ich za ręce i ciągnę na deszcz, na trudną do wyobrażenia przestrzeń, gdzie wszystko widać i słyszać i nie ma się gdzie schować. Maks w dalszym ciągu ma ręce wyciągnięte, włosy przylizane deszczem do głowy. Stara się przemówić Malwinie do rozsądku.

– Możemy zdobyć te rzeczy – zapewnia. – Tylko jeszcze nie teraz...

– A ja chcę teraz! I chcę wszystko dla siebie! Z nikim nie będę się dzielić! A już na pewno nie z Leonem!

– Przez ciebie zginiemy... – tłumaczy jej Maks. – Tego chcesz?

Część osób znajdujących się na szpitalnym dziedzińcu spogląda na nich z drugiej strony ulicy.

– Tak! – krzyczy Malwina. – Niech przyjdzie gestapo! Niech nas wystrzela! Niech to się nareszcie skończy! Policjaaa! – wrzeszczy. – Żydzi! Tu są Żydzi! Policjaaa!

Wtedy odzywa się Cesia:

– Mamo...

Pani Bessermann przytomnieje, wyciera twarz dłonią i skupia wzrok na córce.

– Mamo – podejmuje Cesia. – Nie chcę umierać. A wszyscy zginiemy, jeśli zaraz nie wejdiesz do środka.

– Umrzesz, cukierczku – odpowiada pani Bessermann. – Oczywiście, że umrzesz... wolną śmiercią... Gestapo! – wrzeszczy. – Chcę jajek, ale już!

– Mamo, proszę cię! – woła Janek. – Nie wzywaj gestapo! Nie zabijaj nas! – Podbiega do matki i obejmuje ją w pasie. Spodnie ma o co najmniej dziesięć centymetrów za krótkie. – Pociągu tu nie ma! Nie skazuj nas na śmierć, mamo, proszę cię!

– Wejźmy do środka – mówi Cesia, ujmując matkę pod łokieć. – To nie tak jak wtedy. Nie tak jak z tatą. Tutaj nie ma żadnego pociągu. Proszę, mamo, wejź ze mną do środka i wydobrzej.

Malwina wygląda na skonfundowaną, ale pozwala się Cesi poprowadzić. Janek nie odstępkuje boku matki, mażąc się na całego.

– Maks, wejź do środka – rzucam, osłaniając plecy Malwiny, aby ludzie zgromadzeni na szpitalnym dziedzińcu mieli na nią utrudniony widok. Ponieważ wygląda dokładnie na to, kim jest. Chorą na tyfus kobietą, która oszalała od siedzenia w zamknięciu na strychu.

Gdy jesteśmy znów w domu, przekręcam klucz w drzwiach wejściowych.

Ktoś na pewno zdążył wezwać policję. Nie wiem tylko, ile zostało nam czasu.

Nie potrafię uwierzyć, że to już dziś...

– Maks, zaprowadź ich na górę – proszę. – Ja sprzątnę błoto.

– Nie musisz robić, co ona ci każe! – drze się pani Bessermann, tocząc wkoło dzikim wzrokiem. Jej rozszerzone źrenice zatrzymują się w końcu na starym Hirschu. – A ja nie muszę robić, co on mi każe! Nie muszę za ciebie wyjść... tylko dlatego, że mówisz... tylko dlatego, że ja powiedziałam...

Staruszek ma oczy spuszczone, nie widać po nim żadnej reakcji. Czy Malwina naprawdę obiecała za niego wyjść? Na tym polegała ich umowa? Małżeństwo w zamian za kryjówkę?

– Nie muszę robić tego, co powiedziałam, że zrobię – mamrocze pani Bessermann. – A ty... – Odwraca głowę do Maksa. – Ty nie musisz robić, co ona ci każe... tylko dlatego, że ją... że jesteś... że jesteś w niej zakochany! Nie!... Nie musisz!...

– Mamo, chodź. – Cesia ciągnie matkę za rękę, unikając mnie spojrzeniem. Stoję zszokowana, z opuszczonymi wzdłuż boków rękoma. – Janek, pomóż mi! Szybko, zanim pojawi się policja!

– Nie musisz, Maks! – krzyczy pani Bessermann, gdy Siuniek wpycha ją po drabinie.

Maks unika mojego spojrzenia.

– Kazałbym ci uciekać, ale i tak tego nie zrobisz, prawda?

Kręcę głową.

– W porządku. Będziemy gotowi, gdy przyjdą. Wyślij ich prosto na górę, jeśli chcesz. – Uśmiecha się, choć nie powiedział nic śmiesznego, po

czym wdrapuje się na drabinę. Nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem.

Pozostali idą w jego ślady. Tylko Danka wciąż płacze na wersalce, w objęciach Heńka.

– Malwina wiecznie mamrotała coś o chlebie i serze – wyjaśnia Heniek. – Takich, jakie można było dostać przed wojną. Nawet wtedy, gdy mieliśmy być cicho. Narażała nas, leżąc tam i marudząc, żeby dziewczyna przyniosła jej chleba z serem. Aż trudno mi uwierzyć, że oszalała od tego prędzej niż ja.

– Jest chora – próbuję bronić pani Bessermann.

– Być może – szepcze Danka, ocierając łzy. – Ale gada o tym samym co zawsze. Że nie wyjdzie za Leona. Że wyda nas, żebyśmy nie musieli dłużej tego ciągnąć i znaleźli wytchnienie w śmierci. Tym razem wprowadziła swoje groźby w czyn.

– I to jak! – potwierdza Heniek.

Wstają równocześnie i kierują się do sieni. Są tacy delikatni. Krusi. Danka zadziera głowę i wbija wzrok w otwór w stropie. Nie chce wracać na górę.

– Co ona miała na myśli? – pytam ją cicho. – Powtarzając w kółko Maksowi...

– Wiecznie suszy mu głowę, że robi wszystko, co każesz, jakby to było tylko przez... no wiesz... a nie dlatego, że Maks stara się nam ocalić życie. To niesprawiedliwe...

– Co znaczy: „tylko przez no wiesz”?

Stawiając nogę na pierwszym stopniu drabiny, Danka odwraca się i rzuca:

– Fusi, daj spokój!

– Nie rób z siebie głupiej – dodaje Heniek, wspinając się za Danką na strych.

Czyżby Heniek, Danka, Malwina i wszyscy na górze myśleli, że Maks się we mnie kocha?

Kiedy się odwracam, widzę, że Helena stoi w drzwiach sypialni.

– Chyba powinnyśmy sprzątnąć to błoto...

Całuję ją w głowę, taka jestem szczęśliwa, że zaczęła znowu mówić. Nieważne, że w dniu, w którym mamy umrzeć.

Robimy porządek, a gdy podłoga jest już czysta, ubranie na mnie zaś zdążyło wyschnąć po deszczu, kładziemy się na łóżku i czekamy na gestapo. Pani Bessermann ucichła. Nie mam pojęcia, czy podali jej więcej pigułek czy nie, w każdym razie na strychu zapanował spokój. Przed oczyma staje mi Maks.

Wiem, że Maks mnie kocha. Ja kocham jego. Jesteśmy niczym rodzeństwo. Płakaliśmy po utracie tych samych bliskich. Przeżyliśmy razem najlepsze i najgorsze chwile swego życia. Maks jest moim przyjacielem. Ale to nie ma nic wspólnego ze słowami Malwiny. „Zakochany” to przecież zupełnie co innego.

– Fusi! – odzywa się Helena, gładząc włosy lalki. – Wszyscy wiedzą, że Maks cię kocha. Ale nikt nie wie, czy ty go kochasz.

– Dlaczego tak mówisz?

– Dlatego, że patrzy na ciebie w dziwny sposób. Zupełnie jak kiedyś pan Szymczak na swoją żonę. I jeszcze dlatego, że Heniek tak powiedział.

Opieram się na łokciu.

– A co takiego powiedział?

– Że Maks powinien dać sobie z tobą spokój, bo nigdy nie zapomnisz tego drugiego, Izia, i że Maksowi nigdy nie uda się pokonać ducha. –

Helena podnosi na mnie spojrzenie. – Tej części nie rozumiem. O pokonywaniu ducha. Jak można pokonać ducha?

– Nie wiem, Helu – szepczę.

Wspominam tamten pocałunek w czoło. Który – choć podobny do ojcowskiego – wcale taki nie był. Ani nawet braterski. I wcale nie skłonił mnie do myślenia o Iziu.

Poprzysięgłam sobie, że nikogo już nie pokocham. Nigdy więcej. Na pewno nie w trakcie wojny. Bo to za trudne.

Może jednak przysięgi sobie, a życie sobie?...

Gdy się nad tym zastanawiam, rozlega się pukanie do drzwi.

Całuję siostrę w czubek głowy, mocno i długo, pokazując, jak bardzo ją kocham i że to się nigdy nie zmieni – bez względu na wszystko. Potem wstaję z łóżka i idę do drzwi wejściowych.

Ale to nie policja. Ani gestapo. To tylko Karin i Ilse, złe jak osy, że musiały stać na deszczu i czekać, aż im otworzę.

Człapią do swojego pokoju, zostawiając za sobą kałuże deszczówki, lecz nie rzucając mi ani jednego spojrzenia w stylu: „Widziałyśmy tę obłąkaną Żydówkę, która darła się na twoim podwórku”. O dziwo, nie ma z nimi narzeczonych. Któraś włącza radio, ale to nie muzyka leci z głośnika, tylko wiadomości. Po niemiecku. Wyławiam powtarzające się nazwisko Hitlera. I jeszcze „Amerykanie” i „Berlin”. Pielęgniarki słuchają ściszonych wiadomości przez pół nocy.

Szala wojny się przechyla? Ale na którą stronę?...

Przebieram się w koszulę nocną, rozmyślając, czy Karin albo Ilse zauważą, że zabrałam spod radia swoje zaświadczenie. I czy Maks podsłuchuje wiadomości przez stetoskop. Czy podsłuchiwał przez stetoskop moje rozmowy z Heleną. Przede wszystkim jednak zastanawiam się, dlaczego gestapo jeszcze się nie pojawiło.

Może wszyscy gestapowcy są zajęci.

Przykrywam siostrę kocem i pozwalam jej się wtulić we mnie. Mamy dwa łóżka, ale na razie śpimy w jednym. Z tylnego pokoju dolatują stłumione dźwięki radia. Na strychu panuje cisza.

Wiem, że w tej ciszy biją serca i napełniają się płuca. Myśli i uczucia, których nie wolno wyrazić, kłębią się w zapchlonych głowach. Martwa cisza nad nami jest pełna życia i to się nie zmieni, nawet jeśli za kilka minut śmierć upomni się o nas wszystkich.

Milczenie bowiem nie oznacza nieobecności. Na ogół.

Dla mnie z całą pewnością nie.

O poranku, gdy deszcz przeminął i letnie słońce wdziera się złotymi promieniami przez szczelinę między zasłonkami, krzycząca cisza trwa, a ja nie rozumiem, czemu nadal żyjemy.

Nie pojmuję tego.

Ale tak właśnie jest.

Zaraz po pierwszej myśli przychodzi druga: *czy Maks wziął sobie do serca radę Heńka i dał sobie ze mną spokój?*

29

LIPIEC 1944

Faszerują panią Bessermann pigułkami, dopóki gorączka jej prawie całkiem nie spadnie. Malwina budzi się słaba i wychudzona, ale żyje. Podobnie jak reszta z nas. Cudem jest to, że nikt inny nie zachorował na tyfus.

W Przemyślu coś się dzieje. Wśród żołnierzy panuje poruszenie, wynoszą się z kwater, obarczeni ciężkimi plecakami. Ulicami przejeżdżają czołgi. Półki sklepowe są ogołoczone z towarów. Na targu nie ma praktycznie nic do kupienia, jeśli nie liczyć płodów rolnych bezpośrednio od gospodarzy – zważywszy jednak na to, że wciąż czekamy na żniwa, nie ma tego wiele. A to, co jest, przeraża cenami. Zjadamy więc ostatnie dwie kury. Próbuję sprzedać wersalkę. I stół, a właściwie połowę stołu. Szafę. Usiłuję dobić targu z którymś z gospodarzy, oferuję nawet własne buty. Ale nikomu nie są potrzebne moje sterane meble i rozczłapane buty. Wszyscy myślą tylko o zdobyciu czegoś do jedzenia.

W końcu nadchodzi ten dzień. Dzień, którego starałam się uniknąć przez całą wojnę. I bynajmniej nie mówię tu o gestapo.

Mówię o tym, że nie mamy nic do jedzenia. Kompletnie nic. Ani nawet pomysłu, jak coś zdobyć.

Dopada mnie myśl, że przeżyliśmy tylko po to, by teraz umrzeć z głodu.

Gdy pielęgniarki udają się do szpitala, wołam swoją trzynastkę na dół. Maks usadza w kręgu wszystkich oprócz Siuńka, który pełni wartę przy oknie. Ja mam wrażenie, że stoję przed stadem dzikich psów.

Powinłam była lepiej wszystko rozplanować.

Maks powinien był lepiej wszystko rozplanować.

Maks nie powinien był mnie słuchać.

Powinłam pójść na targ i sprawdzić, czy zdołam coś ukraść.

Powinłam wejść do pokoju Karin i Ilse i sprawdzić, czy nie chowają gdzieś pieniędzy.

W szpitalu musi być jakieś jedzenie – gdybym tylko miała odwagę, żeby tam pójść i zdobyć je...

Gdy człowiek jest głodny, wychodzą z niego najgorsze cechy.

Nieoczekiwanie odzywa się Salcia Hirsch:

– Możemy poprosić o pomoc panią Krawiecką.

Kłótnia urywa się w połowie.

– Jak dobrze ją znasz? – pyta Maks. Zamiast Salci odpowiada Jan Dorlich:

– Ja znam ją bardzo dobrze. Moja siostra u niej pracowała. Zawsze zachowywała się w porządku, dopóki nie pomyślała, że ją okłamałem. – *Cóż, bywa.* – Myślę, że jeśli będzie mogła, to mi pomoże.

– Mnie też – dodaje Salcia. – Jej mąż robił interesy z moim ojcem. Znamy się, odkąd byłam małą.

– Jesteście pewni, że nie pójdzie na gestapo? – pyta doktor Schillinger. Dziusia leży skulona u jego stóp. Uśmiecha się milcząco. Znow żyje we własnej głowie.

Salcia wzrusza ramionami.

– Przedtem nie poszła.

– Tylko dlatego, że bała się Fusi – zauważa Maks. Błądzi oczyma, aż nasze spojrzenia się krzyżują. Popatrzył na mnie po raz pierwszy od tamtej sytuacji z Malwiną. Brew mu drgnęła. Uśmiecha się. Odpowiadam tym samym. Wyobrażam sobie, że to, jak naskoczyłam na panią Krawiecką, jest jednym z jego lepszych wspomnień.

Danka spogląda na mnie znacząco, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz?”.

Ignoruję ją.

– No nie wiem, czy pani Krawiecka otworzy mi drzwi – mówię. – Nie po tym, jak ją zwyzywałam.

– Zabierz ze sobą Salcię – proponuje Maks.

– Nie. – Moniek zgłasza protest.

– Nie bądź taki samolubny – rzuca pani Bessermann.

Salcia kładzie dłoń na ramieniu Mońka.

– Chyba będę musiała pójść, jeśli mamy ją namówić do pomocy.

– Ktoś ma jakiś inny pomysł? – pyta Maks.

– Zawsze możemy zacząć się zjadać – obwieszcza stary Hirsch. – Ty pójdiesz na pierwszy ogień. Że też na to wcześniej nie wpadłem!

Miło słyszeć, że staruszek wciąż jest sobą.

* * *

Decydujemy, że pójdziemy do pani Krawieckiej wieczorem, gdy zaczyna się ściemniać, większość ludzi wraca do domu, nie oglądając się na nic, a pielęgniarki od dawna siedzą w swoim pokoju. Istnieje ryzyko, że wrócimy już po rozpoczęciu godziny policyjnej, i to pod obecność Karin i Ilse, lecz Salcia nie ma ubrania, które by uszło w dziennym świetle, a poza tym naprawdę jesteśmy przyciśnięci do muru.

Salcia schodzi po drabinie, kiedy pielęgniarki słuchają wiadomości w radiu. Mamy szczęście o tyle, że narzeczeni obu kobiet znów nie przyszli. No chyba że są pod drzwiami wejściowymi. W tej właśnie chwili. Salcia musiała pomyśleć to samo, ponieważ trzęsie się jak osika od samego stania w kuchni.

– Ciii – upominam ją. – Umyj twarz.

Z pomocą Heleny doprowadzam ją do porządku. Staram się ułożyć jakąś fryzurę z brudnych włosów. Buty, których od dawna nie nosiła, ledwie na nią pasują. Narzucam jej na ramiona swój płaszcz, aby zakryć wystrzępioną bluzkę – to nic, że jest lato i panuje gorąc. Macham Helenie na do widzenia, ona odpowiada tym samym gestem, po czym bezgłośnie zamyka za nami drzwi na klucz.

Teraz musimy przejść pod oknem tylnego pokoju. Blask światła elektrycznego przesącza się przez zasłonki. Mimo to udaje nam się niepostrzeżenie wyjść na ulicę.

– Pamiętasz adres? – pytam Salcię. W odpowiedzi kiwa głową. – Wiesz, którądy iść? – Ponowne skinienie. – Uśmiechaj się. Spacer z przyjaciółką to przyjemność, tak?

Udajemy koleżanki na przechadzce. A przynajmniej miałyśmy je udawać. Salcia się telepie i czepia mojego ramienia, aż mi drętwieje. Na jej miejscu zmierzyłabym się z każdym zagrożeniem, byle wreszcie opuścić strych i wyjść na zewnątrz. Ale pewnie nie jestem sobie nawet w stanie

wyobrazić, jak to jest: widzieć w każdym człowieku potencjalnego oprawcę.

Oddech Salci przyśpiesza na widok nadchodzącej z naprzeciwka kobiety ze sprawunkami. Salcia wzdryga się na odgłos gwizdu pociągu. Kuli, kiedy zatrąbi samochód. Boję się, że jeszcze chwila, a zemdleje.

– Salciu, nie masz nic wypisane na czole – szepczę. – Nikt nie wie, kim jesteś.

– Ale mnie się wydaje, że wszyscy wiedzą...

– W takim razie chodźmy szybciej.

Pani Krawiecka mieszka daleko. Niemal na drugim końcu Przemyśla. Mówiąc, że zajmie to pół godziny, Dorlich miał chyba na myśli jazdę wozem pocztowym. Salcia odwraca głowę od każdego mijającego nas żołnierza i policjanta, a ja zaczynam myśleć, że to musi wzbudzić podejrzenia. Nie zostajemy jednak zatrzymane. Wszystkich coś wyraźnie absorbuje. Nikt nie ma czasu, by zainteresować się dwiema dziewczynami.

Nareszcie docieramy na miejsce. Wchodzimy po stopniach. A ja zdaję sobie sprawę, że to nie kamienica, tylko wolno stojący dom.

Jakimś cudem umknęła mi informacja o bogactwie pani Krawieckiej. Doświadczenie mnie nauczyło, że każdy, kto zachował majątek w czasie wojny, współpracuje z Niemcami.

Czyli pani Krawiecka może mieć dużo do stracenia.

Robię się nerwowa jak Salcia.

Unoszę rękę, by zapukać, ale Salcia pokazuje mi guzik. Mają tu dzwonek elektryczny. Oczywiście. Wciskam go, czekam, aż przebrzmi, po czym drzwi się otwierają, odsłaniając niewiele młodszą od nas dziewczynę. Salcia odwraca głowę, kurczy się i chowa za mną.

Uśmiecham się do dziewczyny, która otworzyła drzwi.

– Ja do pani Krawieckiej.

– Zaczekaj tutaj – odpowiada dziewczyna, a następnie zamyka drzwi. –
Mamo! – Ze środka dolatuje mnie jej głos.

Przytupuję nogą. Musimy jak najszybciej zniknąć z ulicy. Co jednak
będzie, jeśli w tym domu są Niemcy?

Drzwi ponownie się otwierają. W progu pojawia się pani Krawiecka.

– Tak? – Zmarszczki na jej czole się pogłębiają. – Stefania Podgórska?
I... Och!

Salcia zdążyła zwrócić na nią twarz.

– Och, Salciu!

* * *

Pani Krawiecka zabiera nas na tyły domu, do jakiegoś pokoiku, w którym
zamyka się z nami na klucz.

– Żeby nam nie przeszkadzano! – wyjaśnia. – Stefanio, nie obawiaj się.
Nie uwięziłam cię. I tak masz mnie już za szantażystkę...

– Przepraszam, ale ja...

Gospodyni nie zwraca na mnie uwagi, zajęta tuleniem Salci.

– Myślałam, że nie żyjesz – szepcze. – A twój ojciec? Czy on...

Salcia potakuje skinieniem.

– Usiądź tu i opowiedz mi wszystko.

Moja towarzyszka zaczyna mówić, a ja przysiadam na wersalce tak
miękkiej, że niemal się w niej zapadam. Pani Krawiecka co rusz powtarza:
„Dobry Boże!” i „Matko Przenajświętsza”, wcale nie obrazoburczo.
Najlepsze zaś jest to, że nie muszę przeproszać, nie muszę nawet się
odzywać. A przede wszystkim – nie muszę prosić o pomoc.

– Trzynaścioro Żydów na górze, Niemcy na dole, a ty pośrodku –
kwituje pani Krawiecka. – No, no, Stefanio. Okazałaś się nie najgorszą

manipulantką.

Przyjmuję to za komplement.

Pani Krawiecka podchodzi do stołu, sięga po kartkę i zaczyna na niej pisać. W pośpiechu.

– Dajcie to dziewczynie przy tylnych drzwiach. Będzie wiedziała, co ma zrobić. No dalej, pośpieszcie się. Zatrzymałam dziś nieprzyzwoicie długo mężczyznę, z którym robię interesy, ale się opłaciło, dostarczymy was całe i zdrowe do domu, zanim rozpocznie się godzina policyjna. Nie możemy pozwolić, żeby was złapali, prawda? – Całuje Salcię w oba policzki. – Dobrze zrobiłaś, przychodząc do mnie. Została z ciebie sama skóra i kości. Zajmę się wszystkim. Do widzenia, Stefanio. Cieszę się, że tak dobrze się rozumiemy.

Zanim się spostrzegę, już biegniemy korytarzykiem i dajemy kartkę dziewczynie w białym czepku. Czyta, co jest na niej napisane, i wygania nas za drzwi, prosto na tylną kanapę samochodu.

– Nie ruszajcie się stąd! – rozkazuje i znika w gasnącym świetle. Szybko robi się ciemno.

– Sądzisz, że pani Krawiecka zadaje się z Niemcami? – pytam Salcię.

– Pewnie tak. I wykorzystuje ich, jak może.

– Pytam, czy zadaje się z Niemcami w swoim domu, w tej chwili...

Salcia przygląda się przez szybę domowi, wszystkim jego czterem kondygnacjom, i rozdziawia usta.

W pewnym momencie drzwiczki samochodu się otwierają, jakiś mężczyzna kładzie nam na kolana ciężkie worki, siada za kierownicą, zapala silnik i rusza, zostawiając za sobą kłęby dymu z rury wydechowej.

Kilka razy jechałam autobusem. I oczywiście pociągiem. Nigdy jednak nie siedziałam w samochodzie ani nie doświadczyłam płynności poruszania się nim, gdy trzeba przemieścić się z jednego punktu do drugiego.

Natychmiast zachciewa mi się takiego auta.

Pokonujemy wzniesienie prowadzące na Tatarską 3, jakbyśmy jechali po stole. Zwracam się do kierowcy z prośbą, aby wysadził nas w górze ulicy, nieopodal klasztoru. Nie chcę, by Karin i Ilse zobaczyły, że ktoś przywiózł nas samochodem. Wsiadamy z wozu, zabieramy worki i truchtamy w dół ulicy, podczas gdy mężczyzna zawraca i odjeżdża. Do rozpoczęcia godziny policyjnej zostało tylko kilka minut.

– Myślisz, że to jedzenie? – pyta Salcia. Potakuję skinieniem. – Myślisz, że mogłybyśmy coś od razu ugotować?

Jesteśmy już na podwórku, mijamy podświetlone od środka okno tylnego pokoju, po czym otwieram kluczem drzwi frontowe.

Na wersalce siedzą dwaj Niemcy.

Na ich widok staję jak wryta, a Salcia wpada mi na plecy.

Uśmiecham się. Jakbym chciała sprzedać nieoczekiwanym gościom wszystko, a nawet więcej.

W pewnym sensie tak właśnie jest.

– Dzień dobry – mówię.

Jeden z Niemców wstaje.

– Stefania Podgórska? Pamięta mnie pani?

– Nie... Przykro mi...

– Byłem w grupie lekarzy, gdy przechodziła pani zabieg w szpitalu.

Częścią umysłu wracam do tamtej chwili na stole zabiegowym i czerwienię się cała. Inną częścią odnotowuję, że ten człowiek mówi świetnie po polsku, a mimo to nie wyjaśnił mi wtedy, co się dzieje. Jeszcze inną zaś pragnę wepchnąć Salcię pod wersalkę.

Kurczowo trzymam się nadziei, że żaden z niemieckich lekarzy nie pomyśli, że mogłam wejść do własnego domu tuż przed godziną policyjną,

ciągnąc za sobą Żydówkę, która niesie moje zakupy.

– To moja przyjaciółka – mówię, czując, że kark mam zroszony potem. – Będziesz tak dobra i odstawisz to na miejsce? – Wciskam jej w rękę swój worek.

Salcia kiwa głową i w milczeniu kładzie worki na stole.

Tylko się nie rozsyp, błagam.

Przysuwam sobie krzesło bliżej wersalki i siadam na nim.

Przede wszystkim chcę się dowiedzieć, gdzie jest Helena.

Tymczasem lekarz siada, a do kuchni wparowuje Karin. Obrzuca wzrokiem najpierw Salcię, a potem worki z jedzeniem. Odwraca się do lekarzy i mówi do nich coś po niemiecku.

Lekarz kontynuuje:

– Siostra Karin informowała nas na bieżąco o pani stanie... – Zerkam na Karin, myśląc: „Ach tak?”.– Na tej podstawie uważamy, że pani przypadek należy zbadać szczegółowiej.

– Nie jestem zainteresowana dalszymi badaniami.

– Proszę nam wierzyć, są niezbędne. Dla pani przyszłego zdrowia.

– Zastryk, który dostałam, nie wyleczył mnie. Spowodował tylko, że przez długi czas czułam silny ból.

– Taka reakcja oznacza, że powinna pani znaleźć się pod obserwacją. – Peroruje, jakby wszystko było z góry ustalone. – Szpital ma zostać przeniesiony do Berlina, my wyjedziemy ostatnim pociągiem, który ruszy ze stacji późnym wieczorem. Siostry pomogą się pani spakować.

Karin bacznie mnie obserwuje. Wszyscy troje nie spuszczają ze mnie oka.

Przyglądam się lekarzowi i nagle przypominam sobie, że należał do tych pełnych entuzjazmu, ciekawości. Podczas gdy mnie paliło w środku

jak ogniem. Co oni mi zrobili?

Gdy zerkam na stół, widzę, że worki leżą nierozpakowane, a Salci nigdzie nie ma. Głupia dziewczucha poszła na strych!

Ponownie skupiam uwagę na lekarzu, uśmiecham się i poprawiając sobie włosy, ocieram kroplę potu ze skroni.

– Przykro mi, ale nie mogę dzisiaj wyjechać.

– Inny termin nie wchodzi w grę – oznajmia stanowczo lekarz. – Stawką jest pani zdrowie.

Coś mi podpowiada, że nie do końca.

– Oczywiście pojedziecie do Berlina we dwie, pani i pani młodsza siostra.

Drugi lekarz nie odezwał się dotąd ani słowem. W tym momencie wyjmuję papierosa, zapala go i z przekrzywioną głową obserwuje mnie, jakbym była ciekawym eksponatem. Przy pasie ma kaburę.

Niewiele mogę zrobić w tej sytuacji.

Nie przestając się uśmiechać, odpowiadam:

– Potrzebuję kilku minut, żeby się spakować.

Lekarz wyraźnie się odpręża.

– W szpitalu będzie pani miała dobrą opiekę – zapewnia. – Zaczekamy, aż obie będziecie gotowe, i odprowadzimy was na stację.

Uśmiecham się szerzej i zwracam ku sypialni. Karin idzie za mną, podczas gdy mówiący po polsku lekarz się rozgląda.

– Gdzie podziała się pani przyjaciółka?

Odwracam się.

– Ach... Wyszła parę minut temu, nie zauważył pan? Musiała wrócić do domu przed rozpoczęciem godziny policyjnej, w przeciwnym razie miałyby problemy.

Wchodzę do sypialni i ledwie zamknę za sobą drzwi, Karin zaczyna mnie popędać gestami. Z miejsca, w którym stoję, widzę bałagan w tylnym pokoju, ubrania leżą porozrzucane, a Ilse właśnie upycha szpilki w walizce.

– Dobrze, już dobrze! – mówię do Karin i gestami pokazuję jej, żeby sama się pośpieszyła. Zamykam dzielące nas drzwi, jakbym miała zamiar się przebrać. Jakbym miała się w co przebrać. – Hela! – szepczę. Zaglądam najpierw pod jej łóżko, potem pod swoje. Widzę, że jedna deska jest wybrzuszona. Moja siostra schowała się w bunkrze. – Wyjdź! – sapię, mocując się z deską. – Szybko! Zanim pielęgniarki zobaczą, gdzie byłaś! Musimy się spakować.

– Ale dokąd jedziemy? – pyta szeptem Helena.

– Donikąd – odpowiadam.

Sięgam po torbę, której użyłam podczas przeprowadzki z ulicy Mickiewicza. Tak naprawdę jest to stary worek po ziemniakach. Wpycham do środka koc, swoją szczotkę do włosów i lalkę Heleny. Dzięki temu wyglądamy, jakbyśmy się gdzieś wybierały. Dwie minuty później z tylnego pokoju wyłaniają się Karin i Ilse, obie w kapeluszach i rękawiczkach, z walizkami w dłoniach. Karin zdaje się cieszyć widok Heleny i naszej spakowanej torby. Z kolei Ilse sprawia wrażenie zaniepokojonej.

Przechodzimy do kuchni, gdzie okazuje się, że drugi lekarz – ten z papierosem – poddaje oględzinom sień i drabinę. Słyszając jednak nas, odwraca się i traci zainteresowanie nimi.

– Świetnie! – rzuca. – Samochód czeka po drugiej stronie ulicy.

Otwiera drzwi i przepuszcza przodem Karin i Ilse. Ja trzymam Helenę za rękę, więc niewygodnie by mi było go ominąć, dlatego on wychodzi pierwszy, a ja łapię się za głowę.

– Helu! Zapomniałaś czapki!

Przez moment patrzymy sobie w oczy. Helena kiwa głową i biegnie do sypialni po czapkę.

Moja siostra nie ma czapki.

Kiedy od dłuższej chwili nie wraca, zwracam się do lekarza:

– Nie może znaleźć. Pójdę jej pomóc.

Wracam do sypialni, nadal z workiem w ręce, słysząc, jak ktoś – zapewne lekarz z papierosem – krzyczy ciąg słów, spośród których wyłapuję tylko jedno: *schnell*^[31]. Ten drugi, który stał wciąż przed progiem, musi wyjść na zewnątrz, by odpowiedzieć tamtemu. Krzyczy coś po niemiecku, zapewne że już idziemy albo że dziecko szuka czapki, albo coś w tym stylu. Kiedy on jest zajęty wyjaśnieniami, ja dopadam drzwi, zatrzaskuję je i przekręcam klucz w zamku.

Dwie sekundy później ktoś zaczyna się dobijać z drugiej strony, wprawiając w drżenie futrynę. Rozlega się nawoływanie. Walenie pięścią w drzwi. Cokolwiek zrobili mi w szpitalu, nie pozwolę, aby uczynili to ponownie. Obchodzę cały dom i sprawdzam wszystkie okna. A potem Maks zbiega na dół ze swoją dechą.

– Nie stój tak! – szepcze. – On ma broń!

Odciąga mnie od okna i wpycha do sypialni, tam łapie Helenę za rękę i zmusza nas obie, abyśmy się położyły przy ścianie pod oknem, gdzie kule nas nie dosięgną.

Jeden z lekarzy nadal krzyczy i wali w drzwi, ale na podwórku słychać teraz więcej głosów. Choć nie rozumiem poszczególnych słów, wiele mówi mi sam ich ton. Niemcy są poirytowani. Boją się. Nie mają czasu do stracenia. Chcą, żeby lekarz dał mi spokój. Jeszcze parę minut łomotu, a potem rozlega się pisk opon na Tatarskiej.

Odwracam się do Maksa w zapadłej nagle ciszy. Cudownej ciszy. Maks jak zwykle jest nagi od pasa w górę, spocony od upału panującego na

stryszku.

– Skąd wiedziałeś, że jeden z nich jest uzbrojony?

– Salcia mi powiedziała.

– I zszedłeś na dół bronić mnie kawałkiem drewna?

– Tylko to miałem na podorędziu.

– A ja myślę – wtrąca Helena – że gdyby doszło do walki, toby wygrał

Maks.

– Zuch dziewczyna. – Maks puszcza do niej oko.

Opieram głowę o ścianę i uśmiecham się. A potem wybucham śmiechem.

Żadnych więcej narzeczonych. Żadnego więcej podbierania jedzenia. Żadnej więcej obawy, że skrzypnie strop.

Niemki uciekły.

Zrywam się z podłogi, wspinam po drabinie i zaglądam do kryjówki na strychu.

– Chodźcie na dół – szepczę. – Pielęgniarki wyjechały.

Pojawiają się kolejno, niczym zmarli powracający do życia. Z wielkim niepokojem patrzę, z jakim trudem doktor Schillinger i stary Hirsch schodzą po szczeblach drabiny.

Rozpiera mnie jednak radość, że nareszcie pozbyłam się z domu Niemek.

Zapoznaję się z zawartością worków od pani Krawieckiej. Dostaliśmy cztery kilo fasoli, cztery kilo mąki, kaszę, masło, sól, sacek ziemniaków i dwie kapusty. Same wspaniałości. Ziemniaki gotujemy w mundurkach, żeby nic się nie zmarnowało, i jemy z samą solą i masłem. Widzę, że Moniek co rusz prostuje się na całą swoją wysokość, Cesia spaceruje po

domu z szeroko rozłożonymi rękoma, rozkoszując się przestrzenią. Janek ukrywa się w kącie, gdzie kładzie się na ziemi, jakby wciąż był na strychu.

Trudno mi uwierzyć, że Niemcy wyjechali na dobre.

Maks wygląda przez okno – na wszelki wypadek. Ale robi to na stojąco, od niechcienia.

Kładę się spać. Gestapo nadal może zapukać do naszych drzwi, wszyscy nadal możemy zginąć, lecz nic nie jest w stanie zakłócić ulgi wywołanej ucieczką wroga. Nareszcie czuję się bezpieczna w swoim własnym łóżku.

Wcześniej nad ranem, gdy słońce dopiero zaczyna się budzić, rozbrzmiewa hurkot, a po nim huk w oddali. Maks odchodzi od okna. Siadam, nasłuchując. Gwizdy i jęki ranią moje uszy. Błyski ranią mi oczy. Ziemia drży pod naszymi stopami. Dziusia zaczyna krzyczeć, gdy kolejna pomarańczowożółta flara podświetla od zewnątrz zasłonki.

Wiem, co się dzieje. Nawet jeśli nie nauczyłam się w Przemyśle niczego innego, potrafię rozpoznać te odgłosy.

Trwa bombardowanie.

Obyśmy tylko byli bombardowani przez Rosjan.

[31] *Schnell* (niem.) – szybko.

30

LIPIEC 1944

Większość bomb spada na dolne partie miasta i linię kolejową, ale kilka sprawia, że i u nas tynk osypuje się z sufitu. Siedzimy zbici w ciasną gromadkę pod przeciwległą ścianą sypialni, co przypomina mi czas spędzony w piwnicy na Mickiewicza, gdzie Izio trzymał mnie za rękę, kiedy pani Diamant nie patrzyła. Dla dodania mi otuchy.

Teraz obok mnie siedzi Maks. Nie boi się spadających bomb. Przynajmniej nie tak bardzo jak tego, kto wygra to starcie. Jeżeli Niemcy utrzymają Przemyśl, dla moich Żydów nie będzie ratunku. Wiodę spojrzeniem po twarzach skulonych ludzi. Lustruję, co im zostało. Dziusi ojciec, staremu Hirschowi syn, Mońkowi Salcia, pani Bessermann dwoje dzieci. Heńkowi brat i Danką, a Janowi Dorlichowi – nikt w ogóle. Cała trzynastka przeżyła. Wbrew wszelkim przeciwnościom. Z powodów, których nie pojmuję. Doświadczyli najgorszego, co człowiek może doświadczyć, i przetrwali. Jeżeli przyjdą Rosjanie...

Jeżeli przyjdą Rosjanie, moi Żydzi będą wolni.

Dlatego siedzimy nieruchomo, czekając. Maks rozmyśla, gładząc deskę. Jest taki chudy i brudny. I dzielny. Zdeterminowany.

Nie chcę go kochać.

Ale chyba Kocham.

I on też mnie chyba Kocha.

Chociaż nie jestem pewna, czy chce.

Bombardowanie dobiega końca. Nad miastem unoszą się dymy. Panuje cisza. Wiem, co ona oznacza.

Zbliżanie się żołnierzy.

Na ulicach rozbrzmiewają serie z karabinów maszynowych. I warczenie gazików. Dudnienie czołgów. Przenosimy się razem pod ścianę naprzeciwko, gdzie nie dosięgną nas kule świszczące za oknem.

Czekamy.

Modlimy się.

Jeden dzień, drugi, trzeci...

Przepęlnia mnie nadzieja.

W mieście znów zapada cisza. Trwa i trwa.

W końcu Maks wygląda ostrożnie zza zasłonki. W pewnym momencie mówi, że ktoś idzie ulicą, samym środkiem Tatarskiej. Jakiś żołnierz. Nie ma nawet dobytej broni.

To niemiecki żołnierz.

Zatem wygrali Niemcy.

Unikamy się wzrokiem. Milczymy. Zamykamy oczy. Niektórzy wpatrują się w podłogę. Helena kładzie głowę na moich kolanach.

W trakcie bombardowania liczyłam, że nam się uda. Że ten koszmar ciągłego głodu i strachu nareszcie się skończy. Że będę górą w tej grze, w której grałam przeciwko nienawiści przez tyle czasu. A teraz muszę

patrzyć, jak moja trzynastka, rodzina po rodzinie, decyduje się wrócić na strych.

Ściskam rączkę Heleny, kiedy oni wspinają się po drabinie, szczebel po szczeblu, jedno za drugim.

Oprócz Maksa.

Staje obok mnie i oznajmia:

– Ja tam nie wrócę.

Kiwam tylko głową. Nie jestem w stanie zmusić się do wypowiedzenia choćby słowa. Ale rozumiem.

– Prosiłem cię o wiele rzeczy, Fusi. Poproszę o jeszcze jedną: zabierz Helenę i wróć na wieś, odnajdź matkę, brata i siostry. Zrobisz to dla mnie?

Nie chcę go opuszczać.

– Proszę, zrób to dla mnie.

Nie sądzę, aby się choćby domyślał, że nie chcę go opuścić...

Na podwórku rozlega się krzyk. Słyszać męskie głosy.

Maks chwyta swoją dechę i podchodzi do okna. Ja jestem gotowa w każdej chwili przebiec z Heleną do tylnego pokoju. Zanim którekolwiek z nas zdąży coś zrobić, drzwi wyjściowe zostają wyłamane z hukiem. Wrzeszczę ja, wrzeszczy Helena, a w domu roi się nagle od żołnierzy dzierżących karabiny maszynowe.

Gapię się na nich.

To nie są Niemcy.

– Rosjanie – szepcze Maks. – Jesteście Rosjanami!

– *Bros' orużyje, ruki wwierch!*^[32] – krzyczy ich dowódca z twarzą całą w sadzy. Łamaną polszczyzną dodaje: – Rzuti... bieroń...

Robię krok, aby ukryć Helenę za swoimi plecami. Dwie lufy śledzą mój ruch.

Maks upuszcza deskę.

– Co z Niemcami?

– Czyj jest Przemyśl? – pytam. – Rosji?

Dowódca prostuje się nieznacznie i kiwa głową.

– Szukamy Niemców.

Odwracam się do Maksa.

– Rosjanie zwyciężyli. Rosjanie zwyciężyli!

– Co z Niemcami? – dopytuje Maks. – Wrócą tu?

Dowódca potrząsa głową.

– Niemcy... – Szuka właściwego słowa, po czym rozkłada ręce.

I przejeżdża sobie palcem po szyi.

Maks wbija we mnie wzrok.

– To koniec...

– To koniec – powtarzam za nim.

A wtedy on dopada do mnie w paru susach, chwyta mnie w pasie i podnosi.

– Rosjanie zwyciężyli!

– Rosjanie zwyciężyli! – wtóruje mu Helena.

Dowódca się uśmiecha, gestem każąc swoim podwładnym opuścić broń. Lufy jednak momentalnie podskakują, kiedy z sieni zaczynają się wylewać ludzie.

– Stać! Kto...?!

– To Żydzi! – krzyczę z wysoka. Maks wiruje ze mną w miejscu.

Rosyjski dowódca znów opuszcza lufę.

– Żydzi? Ja Żyd. – Patrzy na starego Hirscha, który klaska w ręce, na Heńka, który robi z Danką to samo co Maks ze mną, na Janka i Dziusię

podskakujących w miejscu jak sprężynki. – Ukrywali się? – Spogląda na mnie. – Ty ukrywała Żydów?

I odbiera mnie Maksowi, poprawia ręce na mojej talii i zaczyna mnie podrzucać. Woła przy tym: *Gieroinia!*^[33], a jego podkomendni wiwatuja.

Maks się śmieje, Jan Dorlich się śmieje i ja też się śmieję, a gdy Rosjanin w końcu stawia mnie na ziemi, rzucam się na szyję Maksowi.

To koniec.

Wybiegamy na zewnątrz. Wszyscy. Prosto na słońce. Nie przejmujemy się, że powietrze jest gęste od dymu i cuchnie spalenizną i wojną. Nie przejmujemy się, że niemiecki żołnierz, który niedawno szedł środkiem Tatarskiej, teraz – z rękoma za głową – jest przeszukiwany przez Rosjan. Ani że pan Krajewski wygląda za drzwi, przestraszony tym, co się dzieje. Dajemy upust naszej radości, krzycząc i biegając. Stary Hirsch kładzie się na ziemi i wpatruje w słońce, Salcia śpiewa, a Maks bez końca ściska brata. W pewnym momencie Siuniek przynosi wiadro pełne wody i wyrzuca ją w powietrze, sprawiając, że pada na nas deszcz, wszyscy jesteśmy mokrzy. Chwilę później polewa pełnym wiadrem Cesię. I mnie. Uciekamy przed nim z piskiem. Helena tańczy, ponieważ wojna się skończyła.

Niebo nad nami jest czyste i jasne, opromienia nas swoim blaskiem. Bo jakimś cudem żyjemy.

* * *

Wieczorem urządzamy ucztę z tego, co zostało nam z jedzenia od pani Krawieckiej, śmiejąc się, gdy Dziusia woła do Maksa:

– Maks, załóż na głowę garnek!

Słuchamy radia, które zostawiły pielęgniarki, nastroiwszy je na polską stację nadającą wiadomości wojenne. W innych miejscach wojna wciąż się toczy, ale nie u nas. Nazajutrz pojawia się przysłany przez panią Krawiecką

mężczyzna, który przynosi więcej jedzenia. Salcia i Danka pieką chleb, który jemy, póki jest gorący, Maks i Siuniek znajdują w jednym ze zbombardowanych domów nieuszkodzoną wannę, którą następnie ciągną wzdłuż Tatarskiej, przystając co parę metrów i żartując. Później kąpiemy się w niej wszyscy po kolei. Zapomniałam, jak odprężająca potrafi być ciepła kąpiel. W miarę jak Rosjanie obejmują we władanie Przemyśl, a my przyzwyczajamy się z powrotem do normalnego życia, zaczynają się rozmowy na temat tego, co teraz będzie. Jedno tylko jest pewne.

Poczynionych przez wojnę szkód, w wyniku których ucierpiały nie tylko rodziny, ale też poszczególne osoby, nie da się tak łatwo naprawić. Szczególnie w wypadku niektórych.

Pani Bessermann opuszcza nas pierwsza, zabierając Janka. Przed świtem, bez pożegnania, tak samo jak Dorlich. O ich odejściu informuje nas zapłakana Cesia, która ma zamiar zostać z Siuńkiem i jego ojcem. Boli mnie, że tamta trójka – po tym wszystkim, cośmy razem przeszli – odwróciła się od nas w taki bezceremonialny sposób. Dochodzę jednak do wniosku, że tak naprawdę Dorlich, Malwina i Janek nie odwrócili się od nas, lecz od wspomnień o najgorszych chwilach swego życia.

Nikt nie chce pamiętać tego, co przeżył na strychu.

Następnie doktor Schillinger zabiera Dziusię, w nadziei że uda mu się otworzyć na nowo gabinet dentystyczny. Jego córka żegna się ze mną, przytulona, cmokając mnie w oba policzki.

Czuję niepokój, co z nią będzie w ciemnościach. Gdy wróci strach.

Czasami mi się śni, że pielęgniarki są w jednym pokoju ze mną, że wpełzają po ścianach, ku sufitowi, aby nasłuchiwać odgłosów ze stryszku.

Śni mi się też pani Diamant, jak krzyczy, gdy wywożą ją z getta. Śni mi się Izio, jak zwisa głową w dół. Śni mi się, że próbuję złapać Maksa, jak wyskakuje z jadącego pociągu.

Lecz gdy się budzę, mam obok Helenę i wiem, że życie zaczęło się od nowa.

Maks nie potrzebuje już, bym go ratowała.

Idę do kuchni w samej koszuli nocnej, żałując, że nie mogę sobie zrobić herbaty, i zastaję tam Mońka i Salcię, którzy szykują dla siebie śniadanie. Heniek i Danka wciąż śpią, a stary Hirsch chrapie na wersalce. Tylko koc Maksą leży w nieładzie, porzucony na podłodze w miejscu, w którym spał.

– Gdzie Maks? – pytam, tłumiąc ziewnięcie.

– Zostawił nas – odpowiada Salcia.

Sztywnieję.

– Jak to?

– Salcia chciała powiedzieć, że Maks wyszedł z domu – wyjaśnia Moniek.

– Kiedy wróci?

– Nie wiadomo – wyrywa się znów Salcia.

Maks nas zostawił...

W piersi coś mnie ściska.

Maks nas zostawił, Maks nas zostawił, Maks nas zostawił.

Okręcam się na pięcie i wracam do sypialni, żeby narzucić na siebie sukienkę, żeby zrobić cokolwiek – sama nie wiem co – ale wtedy słyszę, że Moniek śmieje się pod nosem.

– Gojka Maksowi już niepotrzebna...

Nieruchomieję. Gojka. Nie-Żydówka. Ja. Tylko że powiedział to w taki ohydny sposób. Deprecjonując mnie. Jakbym była kawałkiem gumy do żucia, który można wypluć, gdy już utracił smak. Moje ruchy nabierają tempa. Dopinam na sobie guziki, niedbale wiążę sznurówki trzewików i wypadam za drzwi.

– Fusia! – ściga mnie głos Salci, ale ja nie zwracam na to uwagi.

Maks odszedł. Nie, nie wierzę. Jak mógł?

Najwyraźniej dał sobie ze mną spokój.

– Fusia, zaczekaj!...

Nie czekam. Pozwalam, by drzwi wyjściowe trzasnęły za mną, wybiegam za róg i widzę stojącego przy studni pana Krajewskiego.

– Ty... – rzuca. – Powinienem był się domyślić, że coś jest na rzeczy. Moja żona zawsze uważała, że jesteś jakaś dziwna... – Idę dalej przed siebie, gotowa go zignorować. Na pewno jest podпиты. Ale on nagle mówi: – Dzisiaj rano zabili Żyda. Na targu.

Zamieram. Strach rodzi się na powrót w moich trzewiach, trzepoczącym wznoszący się do lotu ptak.

Duszę się.

Spoglądam na pana Krajewskiego.

– Kogo zabili? – pytam.

– Jakiegoś Żyda. Młodego chłopaka. Ponoć ukrywał się przez całą wojnę.

Maks.

– A teraz – kontynuuje mój sąsiad – ktoś uznał, że należy go ukarać za to, że nie dał się zabić jak wszyscy inni...

Maks!

– Ktoś uważa, że ma obowiązek dokończyć robotę rozpoczętą przez Niemców...

Nie. Nie. Nie.

– A ty... Podejrzewałem, do czego jesteś zdolna. Ci wszyscy mężczyźni, którzy od ciebie wychodzili. Raczej nie czytaliście razem książek, co? Nie wydaje mi się, żeby...

Przez cały ten czas, nawet teraz, pan Krajewski nie pojął, że ukrywałam Żydów. Ma mnie za prostytutkę. Przestaję go słuchać. Nieważne, co o mnie myśli. Niech sobie gada, co chce.

Wbiegając na płyty chodnika, boleśnie odczuwam cienkość podeszew.

Nie chcę kochać. Miłość jest równa cierpieniu.

Ale Kocham Maksa. I będę cierpieć znacznie bardziej bez niego.

Dlaczego odszedłeś, Maks?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Drugą stroną ulicy idzie jakiś mężczyzna z pakunkiem w ręku. Przystaje i wpatruje się we mnie.

– Fusia?

Podnoszę wzrok i widzę duże brązowe oczy i uniesioną lekko brew. Młody mężczyzna, który przyprawiał mnie o śmiech nocami. Człowiek, który jest w stanie przeżyć wszystko.

Przecinam Tatarską na ukos i rzucając mu się w ramiona. Pakunek, który trzymał, toczy się po chodniku.

– Co ci się stało? – dziwi się Maks.

– Zostawiłeś mnie! – Uderzam go w pierś. Raz, drugi, trzeci. – Zostawiłeś! Zostawiłeś!

– Poszedłem tylko obciąć włosy. – Nic dziwnego, że go nie poznałam. – A potem kupiłem trochę masła, ale mi je wytrąciłaś z ręki.

Wybucham płaczem. Nie z powodu masła, nie z powodu tego, że wyszedł, nic nie mówiąc. Dlatego, że jestem taką głuptaską. Maks bierze mnie w objęcia.

– Masz być ze mną – mówię mu. – Należysz do mnie!

– Wiem – odpowiada. – A ty należysz do mnie.

– Wiem.

– Naprawdę?

Potakuję skinieniem.

Maks ujmuję moją twarz w obie dłonie.

– Podarowałaś mi życie – szepcze. – Pozwól, że odwdziczę się tym samym.

Raz jeszcze kiwam głową.

Razem przetrwamy wszystko.

[32] *Bros' orużyje, ruki wwierch!* (ros.) – Rzucić broń, ręce do góry!

[33] *Gieroinia!* (ros.) – Bohaterka!



Stefania i Helena Podgórskie podczas wojny



OD AUTORKI


„POPROSIL O SCHRONIENIE NA JEDNĄ NOC, A ZOSTAŁ NA CAŁE ŻYCIE”.

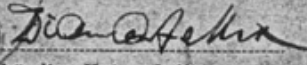
Stefania Podgórska wyszła za Maksą Diamanta 23 listopada 1944 roku. Wszyscy członkowie rodziny Podgórskich przeżyli wojnę, nie wyłączając matki i brata Stefanii, wywiezionych na roboty do Salzburga. Bliscy jednak nie pochwalili jej małżeństwa i wydziedziczyli obie siostry za ratowanie Żydów w okupowanym Przemyślu. Antysemityzm był wtedy w Polsce rozpowszechniony, a członkowie samozwańczej straży obywatelskiej postawili sobie za cel dokończenie tego, co rozpoczęli Niemcy. Aby chronić rodzinę, Maks zmienił imię i nazwisko na polsko brzmiące – Józef Burzmiński – po czym oboje małżonkowie wychowywali Helenę do czasu, aż rozpoczęła studia medyczne.



Maks i Stefania w 1944 roku, prawdopodobnie w dniu swojego ślubu


JUDE





eigenhändige Unterschrift
własnoręczny podpis

Nr * 1813 *

Name: D i a m a n t
Nazwisko

Vorname: Max
Imię

geboren am: 23.6.1915
urodzony (a) dnia

in: Wien

Wohnung: Ort Przemyśl
Mieszkanie: miejscowość


Strasse: Legionenplatz 5
Ulica


Berufsstellung: Zahntechnischer Laborant
Stanowisko w zawodzie: laborant techn. dentystyczny

Ist Mitglied der GESUNDHEITSKAMMER
jest członkiem Izby Zdrowia

Krakau, den 1.7. 1942.
Kraków, dnia

der Leiter
i. V.




(Dr Kroll)
SA-Sanitätsobeführer.

Kenkarta Maksa, opieczetowana „JUDE” dla oznaczenia narodowości żydowskiej

Heniek Diamant ożenił się z Danką, został dentystą i w latach 70. XX wieku przeprowadził się do Belgii. Zmarł w 2004 roku. Danka zmarła w roku 2011. Pozostawili po sobie jedną córkę i siedmioro wnucząt.

Po zakończeniu wojny doktor Wilhelm Schillinger ożenił się powtórnie i przeprowadził do Wrocławia, gdzie pracował jako chirurg szczękowy. Jego córka Dziusia utrzymywała bliskie kontakty z Burzmińskimi, a nawet mieszkała z nimi przez pewien czas, i zawsze uważała Stefanię za drugą matkę. Wyszła za mąż i w latach 50. XX wieku wyjechała do Brukseli, gdzie dotąd mieszka jej syn, córka i czworo wnucząt.



*Stefania Podgórska i Maks Diamant w latach 50. XX wieku.
Maks zmienił nazwisko na Burzmiński w 1944 roku.*

Malwina nie wyszła za Leona Hirscha. Wraz z synem Jankiem, już w 1949 roku, wyemigrowała do USA, gdzie Janek ostatecznie znalazł pracę jako inżynier elektryk w IBM-ie. Dochował się dwóch synów i wnuka. Cesia mieszkała krótko z Hirschami, ale szybko dołączyła do matki i brata, z którymi przeniosła się do USA. W 1988 roku udała się do Argentyny, aby zeznawać przeciwko Josefowi Schwambergerowi, niemieckiemu oficerowi odpowiedzialnemu za liczne okrucieństwa w przemyskim getcie. Dochowała się syna, córki i czworga wnucząt.

Opuściwszy dom przy ulicy Tatarskiej 3, Leon Hirsch i jego syn Siuniek mieszkali na terenie Rosji (wskutek przemodelowania ukraińskiej granicy). Siuniek zmarł na raka w 1947 roku. Moniek i Salcia Hirschowie zmienili

nazwisko na Jaleński i razem z Janem Dorlichem wyemigrowali do Izraela. Moniek na pewnym etapie życia przeprosił Stefanię za nazwanie jej gojką.

Józef i Stefania Burzmińscy przenieśli się do Izraela w 1958 roku. Józef otworzył tam gabinet dentystyczny, w którym asystentką była jego żona, znana już wtedy jako Stefi. Józef zeznawał przeciwko nazistowskiemu zbrodniarzowi Adolfowi Eichmannowi. W wyniku zabiegu medycznego – czy też eksperymentu – który Stefania przeszła w niemieckim szpitalu, ponoć miała być bezpłodna. Lecz po prawie dziesięciu latach małżeństwa Burzmińscy doczekali się córki i syna. W 1961 roku cała rodzina wyemigrowała do USA, gdzie Józef odkrył, że jego dyplom lekarza dentysty, zdobyty na polskiej uczelni, nie będzie honorowany. Skutkiem tego, po niemal dwudziestoletniej karierze dentysty i chirurga szczękowego, wciąż ucząc się języka angielskiego, zaczął uczęszczać do Tufts University w Bostonie. Drugi dyplom lekarza stomatologa zdobył w 1966 roku. Helena pozostała w Polsce, gdzie została lekarzem radiologiem. W momencie wydania tej książki mieszka we Wrocławiu razem z córką.

W 1979 roku Stefania i Helena Podgórskie zostały uhonorowane odznaczeniem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata przyznawanym przez Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu Jad Waszem, będący wiodącą placówką w dziedzinie propagowania wiedzy o Holokauście, dokumentowania poszczególnych przypadków, upamiętniania ich i prowadzenia badań naukowych. Wyjątkowa postawa Stefanii i Heleny znalazła szerokie uznanie: otrzymały one liczne nagrody, stały się bohaterkami wielu artykułów, filmów dokumentalnych i wywiadów telewizyjnych, a w 1996 roku powstał film telewizyjny pt. *W kryjówce milczenia (Hidden in Silence)*. W 1993 roku Stefania wygłosiła mowę z okazji otwarcia United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie, gdzie zabrała głos obok Chaima Herzoga (ówczesnego

premiera Izraela) oraz Billa Clintona i Hillary Clinton, a także została przytulona w świetle kamer przez Alę Gore'a – było wtedy chłodno. Oboje, Stefania i Józef Burzmińscy, wystąpili w 1994 roku w *The Oprah Winfrey Show*, podczas którego Stefi – również w świetle jupiterów – uniosła jeden palec i zwracając się stanowczym tonem do przeprowadzającej wywiad prezenterki, powiedziała: „Vait a minute”^[34].



Od lewej: Stefania, Maks i Helena nad morzem po wojnie



Od lewej: Stefania, Maks, Helena, Heniek i Danka po wojnie

Z istnienia Stefanii Podgórskiej zdałam sobie sprawę na początku lat 90. XX wieku, na długo przed tym, zanim zaczęłam w ogóle myśleć o pisarstwie. I to nie dzięki jakiemuś artykułowi ani słynnemu *The Oprah Winfrey Show*, lecz dzięki wywiadowi puszczonemu przez lokalną stację PBS. Rzuciłam, co w tamtej chwili robiłam, żeby obejrzeć program, i nigdy nie zapomniałam tej historii. Nosłam ją w sobie przez ćwierć wieku. W 2017 roku odkryłam pełną wersję wspomnianego wywiadu na stronie internetowej United States Holocaust Memorial Museum. Obejrzałam nagranie trzy razy, dzięki czemu zrozumiałam trzy rzeczy. Po pierwsze – to historia, którą trzeba opowiedzieć. Po drugie – to materiał na powieść. Po trzecie – ja ją napiszę.

Po okresie bezwstydnego molestowania przez Internet syna Józefa i Stefanii, Eda Burzmińskiego, skontaktowałam się z nim, a on podzielił się ze mną prawdziwym skarbem: niepublikowanym pamiętnikiem Stefanii. Ów pamiętnik właśnie stał się załącznikiem *Światła ukrytego w mroku*, które następnie uzupełniłam informacjami z uchwyconych kamerą wielogodzinnych wywiadów udzielonych przez Stefanię i Józefa, opowieści Cesi i Janka, pamiętników innych osób oraz prac naukowych opisujących Przemysł przed drugą wojną światową i po niej. Śmierć Reni Spiegel – „polskiej Anny Frank” – młodej Żydówki z Przemyśla, której pamiętnik dopiero niedawno ujrzał światło dzienne, zainspirowała mnie do napisania sceny rozstrzelania całej żydowskiej rodziny na ulicy przez esesmana, mam bowiem podstawy, by przypuszczać, że Stefania w swoim pamiętniku opisała właśnie to wydarzenie. Mężczyznę powieszonym na przemyskim rynku, którego Stefania zobaczyła w drodze do pracy, był Michał Kruk, stracony za ukrywanie Żydów.

W 2018 roku udałam się wraz z Edem do Belgii, gdzie przeprowadziliśmy wywiad z Dziusią Schillinger, jedną z najcudowniejszych kobiet, jakie w życiu spotkałam, a następnie do Polski, gdzie wywiadu udzieliła nam Helena – osoba o pięknej duszy i prawdziwa winiarka, której wina uderzają do głowy jak żadne inne. Obydwie okazały mi zadziwiającą wspaniałomyślność, zważywszy, że odwiedziłam je, by przywoływać z przeszłości najmroczniejsze wspomnienia. Później przespacerowaliśmy się z Edem po Przemyślu, odnaleźliśmy mieszkanie, w którym jego matka ukrywała jego ojca, teren po fabryce Minerwa, okienko piwniczne, za którym Maks urządził bunkier w getcie. Ileż się nachodziliśmy, by znaleźć lokal, w którym mieścił się sklep Diamantów! Stanęliśmy na strychu przy Tatarskiej 3 i obejrzeliliśmy zapuszczony budynek naprzeciwko, w którym niegdyś mieścił się niemiecki szpital.

Pojechaliśmy nawet do wsi Lipa i wprosiliśmy się do kuchni staruszki, która potrafiła wymienić z pamięci imiona całej ósemki rodzeństwa Podgórskich. Złożyliśmy wizytę w Bełzcu, gdzie zostali zamordowani dziadkowie i wuj Eda, jak również niezliczeni Żydzi poza nimi. Wdrapaliśmy się na nasyp kolejowy, gdzie na zakręcie Maks wyskoczył z jadącego pociągu.

Po tej wyprawie wróciłam do domu i nie odrywałam się od pisania.

Różnica między *Światłem ukrytym w mroku* a pamiętnikiem Stefanii jest taka, że w powieści nie mogłam zawrzeć wszystkiego. Chyba że książka miałaby mieć tysiąc stron. Zresztą umówmy się, życie nie jest nowelą, dlatego fabule podporządkowałam chronologię i przebieg niektórych wydarzeń. Zdarzyło mi się złąć w jedną postać dwie osoby z drugiego planu. Uzupełniłam też luki, zwłaszcza te dotyczące uczuć Stefanii. Z wyjątkiem jednak zdobycia kenkarty (wiemy, że nakłamała), zdobycia pracy (wiemy, że dała komuś łapówkę) i uderzenia w nos mężczyzny z jedną brwią (co – możemy podejrzewać – zrobiłaby, gdyby tylko miała okazję) całość powieści pokrywa się ze świadectwem Stefanii i Józefa. Trzymacie w rękach moje wyobrażenie losów tej pary.



Od lewej: Ed, Józef i Stefania Burzmińscy

Ze Stefanią Podgóorską spotkałam się tylko raz, w 2017 roku, aczkolwiek nie miała pojęcia, kim jestem. Cierpiała już wtedy na demencję. Po odwiedzinach wybraliśmy się z Edem na zakupy, aby sprawić jej nową piżamę. Tak więc przeszłam naprawdę długą drogę od oglądania w telewizji stacji PBS w zwykły dzień tygodnia. Wojna spowodowała u obu sióstr poważne problemy psychologiczne. Od Dziusi usłyszałam, że jakąś częścią siebie Stefania nigdy nie opuściła domu przy Tatarskiej 3. Dziś taki stan nazywamy zespołem stresu pourazowego. Jak na ironię demencja uwolniła Stefanię od przykrych wspomnień. Fusia zaczęła śpiewać i tańczyć, wracając do szczęśliwego dzieciństwa sprzed wojny.

Podczas wywiadu w Bostonie mąż Stefanii powiedział, jak bardzo żałuje, że przebywając w domu przy Tatarskiej 3, oboje nie wiedzieli, iż za

pięćdziesiąt lat będą siedzieć u siebie w salonie w USA i świętować złote gody ze swoimi dziećmi. „Wtedy mogliśmy tylko o tym pomarzyć – dodał. – Ale koniec końców stało się to prawdą”. Józef Burzmiński zmarł 17 lipca 2003 roku w Los Angeles, dokąd razem z żoną się przeprowadził, aby zamieszkać bliżej dzieci. Byli małżeństwem przez prawie sześćdziesiąt lat. Pierwszy wnuk urodził się już po śmierci Józefa.

Stefania Podgórska-Burzmiński zmarła 29 września 2018 roku, podczas pisania przeze mnie tej książki. Żałuję, że nie mogła wiedzieć, iż ta powieść powstaje. Pomogłam zredagować jej nekrolog, co było dla mnie zaszczytem. Ile osób ma ten przywilej, by podsumować życie kogoś, kogo podziwiają tak bardzo jak ja Stefanię? Ile osób ma przywilej napisania całej książki o kimś takim? W wywiadzie przeprowadzonym w 1988 roku, zapytana, czy uważa swoje życie za pełne znaczenia ze względu na to, co zrobiła w czasie wojny, odparła: „Och, nie wiem. – I machnąwszy ręką, uniosła ten swój palec. – Ale wiem, że moja historia ukaże się kiedyś drukiem”.

Miała rację, czyż nie?

Druga wojna światowa nadal sięga swymi mackami w teraźniejszość. Dla wielu osób, z którymi rozmawiałam, wcale się nie skończyła. Rany nie zdążyły się zaleczyć, konsekwencje widać na każdym kroku. Utrata najbliższych. Utrata przyjaciół. Utrata przeszłości i przyszłości. Strach, którego się nie zapomina. A jednak Stefania w żadnym ze swoich wywiadów nie wspomniała nawet, aby żałowała tego, co zrobiła. Przeciwnie, zawsze powtarzała, że uczyniłaby to ponownie. „Trzyznaście istnień w zestawieniu ze śmiercią jednego człowieka – rzekła raz. – Bilans był naprawdę korzystny”. Mimo że śmierć, o której mówiła, dotyczyła jej osobiście.

Tak bym zdefiniowała bohaterstwo.



Stefania i Helena pod koniec lat 40. XX wieku

[34] Właściwie: *Wait a minute* (ang.) – Jedną chwileczkę (wypowiedziane z ciężkim polskim akcentem).

PODZIĘKOWANIA

Pisanie podziękowań sprawia mi trudność. Jak bowiem w paru słowach wyrazić wdzięczność tym wszystkim wspaniałym osobom, które przyczyniły się do powstania książki? W przypadku *Światła ukrytego w mroku* trudność jest podwójna, gdyż ta opowieść nigdy nie należała do mnie. Jestem tylko jej chwilowym kustoszem. Ta historia zaistniała dzięki ludziom, którzy ją przeżyli. Została napisana dzięki pomocy wyjątkowych osób. To im dziękuję przede wszystkim.

Są to:

Ed Burzmiński. Stokrotnie ci dziękuję za niewiarygodną ilość czasu, jaką mi poświęciłeś, oraz za opiekę, którą roztoczyłeś nad tym projektem, jak nad każdym, który ma na celu lepsze poznanie twoich wyjątkowych pod każdym względem rodziców. To dzięki tobie historia ich życia nie umrze. Lori i Mia – dziękuję, że mi go wypożyczyłyście na uganianie się po Europie!

Helena Podgórska-Rudziak i jej cudowna córka Małgorzata Rudziak. Mogę was zapewnić, że nigdy nie zapomnę waszej dobroci i wspaniałomyślności. Heleno, dziękuję ci szczególnie za to, że dałaś mi to, co było najtrudniejsze do dania: swoje wspomnienia.

Krystyna Nawara (dawniej Dziusia Schillinger) i jej bliscy. Kontakt z wami był czystą przyjemnością. Dziękuję za przyjęcie mnie w Belgii i w

waszym domu.

Maciej Piórkowski oraz Bożena i Wiesiek Skibińscy. Wdzięczna jestem, że pokazaliście mi ulicę Tatarską i stojący przy niej pod numerem trzecim dom. Dziękuję za katedrę, za krypty i za pozwolenie, abym czołgała się po podłodze w tych kryptach, gładząc kamienie pamiętające XI wiek. Dziękuję za rozświetlone blaskiem zniczy cmentarze, a zwłaszcza za zgodę na to, abym otworzyła tamtą trumnę! To było najlepsze Halloween w moim życiu.

Monika Lach. Dziękuję, że opowiadasz przemyskim dzieciom o Stefanii i że pomogłaś mi zrozumieć przeszłość Przemyśla.

Piotr Michalski. Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną swą bogatą wiedzą i że dzięki tobie spaliłam tyle kalorii podczas zwiedzania Przemyśla!

Ewa Koper z Muzeum i Miejsca Pamięci w Bełżcu. Ogromne podziękowanie za spokojne i łagodne przedstawienie mi okropieństw tego obozu i za twój plan, aby żadna ofiara nie pozostała nienazwana. Znam się na ludziach i wiem, kiedy trafiam na kogoś, z kim czuję natychmiastową więź. Ty jesteś jedną z takich osób.

United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie. Nie mogłabym być bardziej wdzięczna za udostępnienie mi materiałów zawierających świadectwa osób, które doświadczyły Holokaustu osobiście. To część historii, która nigdy, przenigdy nie powinna zostać zapomniana.

Dr Agnieszka Legutko, wykładowczyni języka jidysz i szefowa Yiddish Language Program na Wydziale Języków Germańskich w Columbia University (NY). Dziękuję za przejrzanie wtrętów w jidysz i wiele mądrych sugestii.

Tami Rich, doradczyni ds. dziedzictwa historycznego i kulturalnego. Dziękuję za wnikliwe przejrzanie rękopisu. Za wszelkie błędy winę ponoszę wyłącznie ja.

Kelly Sonnack, moja agentka. Dziękuję, że jesteś po mojej stronie. Zawsze. To zaszczyt nazywać cię swoją agentką i przyjaciółką.

Lisa Sandell, moja redaktorka. Tworzymy razem udane książki, prawda? To zaszczyt nazywać cię swoją redaktorką i przyjaciółką.

Naprawdę nie wiem, co takiego uczyniłam, by sobie na was dwie zasłużyć! Potrafię jednak rozpoznać dobro, które mnie spotyka. Kocham was!

Wydawnictwo Scholastic Press. To już szósta książka, przy której czuję, że jesteśmy nie tylko zespołem, ale rodziną. Do jej członków zaliczają się: David Levithan, Olivia Valcarce, Josh Berlowitz, Ellie Berger, Rachel Feld, Shannon Pender, Erin Berger, Lauren Donovan, Amy Goppert, Lizette Serrano, Emily Heddleson, Jasmine Miranda, Danielle Yadao, Matt Poulter, Lori Benton, John Pels, cały dział sprzedaży i każdy, kto bywa na targach książki oraz działa przy klubach książki.

Moi czytelnicy beta od parunastu lat. Ruta Sepetys, Howard Shirley, Amy Eytchison i Angelika Stegmann. Ze świecą szukać takich jak wy. Przepadam za wami!

Last but not least, moja rodzina. Philip, Chris i Siobhan, Stephen i Elizabeth. Kocham was bardziej, niż można wyrazić na ostatniej stronie książki. Ty, Philipie, jak zwykle masz pierwszeństwo przed wszystkimi. Jesteś miłością mojego życia i najlepszym przyjacielem. Dziękuję ci za wszystko.

O AUTORCE

Sharon Cameron zadebiutowała książką pt. *The Dark Unwinding*, która zdobyła Society of Children's Book Writers and Illustrators's Sue Alexander Award for Most Promising New Work oraz SCBWI Crystal Kite Award, a także została okrzyknięta ALA Best Fiction for Young Adults. Sequel – *A Spark Unseen: Rook* – został wybrany IndieBound Indie Next Top Ten Pick of the List, natomiast *The Forgetting* to bestseller „New York Timesa”, który także znalazł się na IndieBound Indie Next List – wraz z towarzyszącym mu tomem *The Knowing*.

Autorka mieszka z rodziną w Nashville w stanie Tennessee. Można ją śledzić na Twitterze @SharonCameronE lub odwiedzić na stronie [www:sharoncameronbooks.com](http://www.sharoncameronbooks.com)

INNE KSIĄŻKI AUTORKI

The Forgetting

The Knowing

Rook

The Dark Unwinding

A Spark Unseen

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Od autorki](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

[Karta redakcyjna](#)

TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Light in Hidden Places

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Wydawca: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Bożena Sęk

Konsultacja zwrotów w jidysz: dr hab. Magdalena Ruta

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Everett Historical (Shutterstock.com)

Zdjęcia w książce: © The Ed Burzminski Family

THE LIGHT IN HIDDEN PLACES

Copyright © 2020 by Sharon Cameron. All rights reserved.

Published by arrangement with Scholastic Inc., 557 Broadway, New York,
NY 10012, USA

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz
Kierus

Copyright © for the Polish translation by Urszula Gardner, 2020

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2020

ISBN 978-83-66520-84-4



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



Wydawnictwo Kobięce

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek